

J. R. R. TOLKIEN

Niedokończone opowieści

Tom I

(Przekład: Radosław Kot)

OD TŁUMACZA

Uznając funkcjonowanie rzeczy (według purystów) niedoskonalej jako faktu kulturowego, niniejszy przekład odwołuje się do stworzonego przez panią Marię Skibniewską kanonu tłumaczenia prac J. R. R. Tolkiena. Wykorzystane w tekście cytaty pochodzą z następujących wydań:

Hobbit, czyli tam i z powrotem - Iskry, Warszawa 1985; Władca Pierścieni (Wyprawa, Dwie wieże, Powrót Króla) - Czytelnik, Warszawa 1981; Siłmarillion - Czytelnik, Warszawa 1985.

R.K.

WSTĘP

Trudno jest rozwiązać problemy związane z odpowiedzialnością za pisma nieżyjącego już autora komuś, kogo pieczy dzieła owe powierzono. Bywa, że niektórzy w takiej sytuacji powstrzymują się przed drukowaniem najmniejszego nawet fragmentu, wyjąwszy co najwyżej te urywki, które do czasu śmierci autora zostały praktycznie ukończone. W przypadku twórczości J. R. R. Tolkiena takie właśnie podejście mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać najwłaściwsze, szczególnie że on sam, nader wymagający i wobec własnych płodów krytyczny, w żadnym razie nie pozwoliłby na publikację nawet najbardziej dopracowanych fragmentów niniejszej książki, bez daleko idących poprawek.

Z drugiej jednak strony, istota i rozmach jego wyobraźni każą spojrzeć na te odrzucone wcześniej opowieści nieco inaczej. Kwestia, czy *Silmarillion* w ogóle powinien zostać opublikowany, nie powstała mi nawet w głowie, i to niezależnie od faktu, że dzieło było nie uporządkowane i ojciec zamierzał dopiero je przeredagować, czego jednak dokonać już nie zdążył. Po długim wahaniu zdecydowałem się zatem w tamtym przypadku przedstawić pracę jako kompletną i spójną całość, miast nadać jej postać studium historycznego, zbioru połączonych komentarzem tekstów. W przypadku tej książki rzecz ma się jednak inaczej, zebrane tu bowiem pisma nie tworzą żadnej całości, pozostając po prostu szeregiem różniących się formą, zamysłem, stopniem ukończenia jak i czasem powstania (jak i sposobem, w jaki ja je potraktowałem) utworów dotyczących Numenoru i Śródziemia. Jednak powód przemawiający za ich ogłoszeniem drukiem nie różni się zasadniczo od tego, który przyświecał mi przy publikacji *Silmarilliona*¹, chociaż cichszy może jest nieco tym razem ów głos. Ci, którym nie dane jest zapomnieć obrazu Melkora i Ugolianty spoglądających ze szczytu Hyarmentiru na „pola i pastwiska Yavanny, ozłoczone łąkami wysokiej pszenicy”; cieni rzucanych przez lud Fingolfiną przy pierwszym wzejściu księżyca w krainach Zachodu; Berena skradającego się w wilczej postaci ku tronowi Morgotha czy też blasku Silmarila, który zapłonął nagle w mroku Lasu Neldoreth, uznają zapewne, że niedoskonałość formy owych opowieści blednie wobec głosu Gandalfa (odzywającego się tutaj po raz ostatni) szydzącego z dumnego Sarumana podczas spotkania Białej Rady w roku 2851, czy też relacjonującego w Minath Tirith, już po zakończeniu Wojny o Pierścień, jak doszło do tego, że wysłał krasnoludów na słynne przyjęcie w Bag End. Cóż niedoskonałość znaczy wobec obrazu Ulma, Pana Wód wynurzającego się z morza w Vinyamarze, wobec Mablunga z Doriathu ukrywającego się jak kret pod ruinami

¹ *Silmarillion*, s. 84-85

mostu w Nargothrondzie, czy też wobec sceny śmierci Isildura u mulistych brzegów Anduiny.

Wiele fragmentów tej książki stanowi rozwinięcie wątków wspomnianych pokrótce lub zasygnalizowanych już gdzie indziej. Jedno trzeba jednak powiedzieć wyraźnie, a to mianowicie, że spora część tego dzieła nie okaże się szczególnie interesująca dla tych miłośników *Władcy Pierścieni*, którzy przemykali podczas lektury nad historycznymi dygresjami, mając je za element wzbogacający opowieść jedynie, a nie za cel sam w sobie i nie pożądamy wcale dalszych szczegółów, obojętnymi pozostając wobec kwestii dotyczących zorganizowania jeźdźców Marchii Rohanu, Dzikich Ludzi z lasu Druadan zostawiając własnemu losowi... Mój ojciec z pewnością nie miałby im tego za złe. W liście z marca 1955 roku, a zatem jeszcze przed ukazaniem się trzeciego tomu *Władcy Pierścieni*, pisał:

Żałuję teraz obietnicy zamieszczenia dodatków! Mam wrażenie, że ich pojawienie się w formie okrojonej i skondensowanej nie zadowoli nikogo, z pewnością zaś nie zadowoli mnie ani też tych, którzy mnogością listów dają mi do zrozumienia, że szczegóły takie lubią. Jest ich zaskakująco wielu. Natomiast czytelnicy radujący się tą książką jedynie jako „heroicznym romansem” i uznający owe wtręty za sposób wzbogacania prozy, całkiem słusznie zignorują dodatki.

Mocno obecnie powątpiewam, czy pomysł potraktowania całej sprawy jako rozwiniętej gry był spośród tych najlepszych, szczególnie że nazbyt mnie snucie takich wątków wciąga. Jest to, jak podejrzewam, cena do zapłacenia za wzbogacenie opowieści o liczne szczegóły dotyczące geografii, chronologii i języka, przez co wielu domagać się potem może obszerniejszych „informacji” czy wprost „wiedzy”.

W liście z następnego roku czytamy:

...podczas, gdy wielu tobie podobnych żąda map, inni jeszcze upominają się o szczegóły geologiczne; ktoś pragnie poznać zasady gramatyki języka elfów, detale fonetyki i stosowne przykłady; pojawiają się prośby o miary metryczne i prozodie... Muzycy chcą tonacji i zapisów nutowych, archeolodzy ceramiki i danych o metalurgii, botanicy domagają się bardziej szczegółowych opisów mallornów oraz elanor, niphredil, alfirin, mailos i symbelmyne, historycy oczekują informacji o społecznej i politycznej strukturze Gondoru, a wszelka ciekawsza gawiedź dopytuje się o Woźniców, Harad, pochodzenie krasnoludów, Umarłych z Dunharrow, Plemię Beorna, jak o dwóch brakujących (spośród pięciu) czarodziejów.

Jakkolwiek jednak spojrzeć na sprawę, dla niektórych, w tym i dla mnie, więcej niż zaspokajanie zwykłej ciekawości kryje się w poznaniu, że Veantur Numenoryjczyk przeprowadził swój gnany wiosennymi wiatrami statek „Entulesse”, czyli „Powrót” do Szarej

Przystani w roku sześćsetnym drugiej ery, że grobowiec Elendila Smukłego wzniesiony został przez jego syna, Isildura, na szczycie wzgórza sygnałowego Halifirien, że Czarnym Jeźdźcem, którego hobbitci dojrżeli na zamglonym drugim brzegu rzeki przy promie Buckleburry, był Khamul, przywódca Upiorów Pierścienia z Dol Guldur, a nawet że bezdzietność dwunastego króla Gondoru, Tarannona (fakt odnotowany w Dodatku do *Władcy Pierścieni*) wiązała się z nadal jeszcze tajemniczymi kotami królowej Beruthiel.

Przygotowywanie tej książki było zadaniem trudnym, a efekt owej pracy i tak pozostaje niełatwy do oceny. Wszystkie opowieści są w mniejszym lub większym stopniu „nie dokończone”, przy czym różnie należy owo „niedokończenie” rozumieć, każda bowiem wymagała innego podejścia. Wspomnę jeszcze pokrótce o kolejnych utworach, najpierw jednak chciałbym zwrócić uwagę na pewne ich wspólne cechy.

Najistotniejszym aspektem jest problem „konsekwencji” widoczny świetnie na przykładzie rozdziału zatytułowanego *Historia Galadrieli i Keleboma*, gdzie mamy do czynienia z „niedokończeniem” w szerokim rozumieniu tego słowa (a nie z nagłym i niespodziewanym urwaniem toku opowieści, jak to ma miejsce w przypadku epizodu „Tuor i jego przybycie do Gondolinu”, czy też z oderwanymi fragmentami składającymi się na tekst „Cirion i Eorl”), chociaż jest to bowiem jeden z najważniejszych wątków w historii Śródziemia, to jednak nigdy nie został on dopracowany do ostatecznej postaci, o spisaniu całości nawet nie wspominając. Włączenie do tego rozdziału nie znanych dotąd opowieści i szkiców wymusza zmianę w rozumieniu historii: nie jest już ona niezależnie od twórcy istniejącą, obiektywną „rzeczywistością”, staje się materią plastyczną i zmienną, widomie tkwiącą w umyśle autora (skrywającego się pod postacią redagującego teksty tłumacza). Skoro sam autor zaniechał publikowania swych dalszych prac, poddawszy je uprzednio szczegółowej krytyce i analizie porównawczej, kryjąca się w nie wydanych manuskryptach wiedza o Śródziemiu sprzeczna musi być często z tym, co ogłoszone zostało wcześniej, a wprowadzając nowe elementy do istniejącej już całości, pozwala dowiedzieć się niejednego nie tyle o historii wykreowanego świata, co o dziejach samego aktu kreacji. W przypadku tej książki przyjąłem po prostu, że tak być musi, tak zatem poza drobnymi korektami tyczącymi nazewnictwa (tam, gdzie wierność rękopisowi spowodowałaby zbytne zamieszanie i wymusiłaby konieczność wdawania się w przydługie wyjaśnienia), nie zmieniałem niczego w imię konsekwencji, zwracając raczej uwagę na pojawiające się sprzeczności i wariacje tematu. Pod tym względem *Niedokończone opowieści* różnią się zasadniczo od *Silmarilliona*, który z założenia (choć to nie jedyne założenie przyświecające jego publikacji) miał być spójny, zarówno wewnętrznie, jak i w odniesieniu do innych ksiąg. Tak zatem traktowałem *Silmarilliona* jak punkt odniesień na

równi z dziełami opublikowanymi osobiście przez mego ojca, nie biorąc pod uwagę licznych „nie autoryzowanych” wyborów, które czynić musiałem wówczas pomiędzy różnymi wariantami tych samych epizodów.

Książka niniejsza w całości składa się z opowieści (bądź opisów), wyłączyłem z niej wszystkie te pisma o Śródziemiu i Amanie, które miały spekulatywny charakter rozpraw filozoficznych, a jeśli nawet takie formy wypowiedzi pojawiają się od czasu do czasu, nie staram się tych wątków rozwijać. Przyjąłem najprostszy z możliwych układów, dzieląc teksty na trzy tomy, odpowiadające trzem pierwszym erom świata, co musiało w nieunikniony sposób powodować czasem ich nakładanie się, jak w przypadku legendy o Amrocie i jej omówienia w „Historii Galadrieli i Keleborna”. Czwarta część jest dodatkiem, którego obecność w książce zatytułowanej *Niedokończone opowieści* wymaga pewnego pokajania się, owa ostatnia bowiem część prawie wcale nie zawiera „opowieści”, lecz głównie eseje na tematy ogólne. Tekst o Druedainie, który znalazł się w całości edycji dzięki stanowiącej jego fragment opowieści „Wierny kamień”, nasunął mi pomysł, aby włączyć również eseje dotyczące Istarich i Palantirów, skoro są to sprawy (a szczególnie ta pierwsza) żywo intrygujące wielu czytelników, a książka ta wydała mi się stosownym miejscem dla przekazania tego, co na owe tematy wiadomo.

Zapiski te mogą wydać się czasami nieco zagmatwane, jednakże nieład ów powstał za sprawą nie tyle wydawcy, co autora (widać to szczególnie w tekstach takich, jak „Kłeska na Polach Gladden”), który w późniejszych pracach zwykł co rusz odbiegać od zasadniczego tematu, sporządzając dotyczące różnych kwestii notatki. Starłem się wyraźnie odróżniać komentarze od właściwych tekstów, ale ze względu na obfitość materiałów pojawiających się w przypisach i dodatkach, uznałem, że dobrze będzie nie ograniczać podanych w indeksie odniesień tylko do samych tekstów, ale rozciągnąć je na całą książkę z wyłączeniem wstępu.

Przyjąłem, że czytelnicy niniejszej książki znają dobrze twórczość mego ojca (a szczególnie *Władcę Pierścieni*) w przeciwnym bowiem razie musiałbym poszerzyć znacznie, i tak już obszerne, komentarze redakcyjne. Zdecydowałem się niemniej umieścić przy większości haseł indeksu krótkie uwagi, mogące oszczędzić czytelnikowi wertowania innych źródeł. Gdyby któreś z tych wyjaśnień okazało się niewystarczające lub nie dość jasne, polecić mogę dzieło, które i dla mnie było przy mej pracy wielką pomocą, czyli *Complete Guide to Middle-earth*² pana Roberta Fostera.

[Noty opisujące powstanie poszczególnych utworów zostały rozdzielone w ten sposób,

² Dzieło niedostępne jeszcze po polsku, niemniej pewną pomocą dla rodzimego czytelnika może być książka Tolkien - Przewodnik encyklopedyczny J. E. A. Tylera (przyp. tłum.).

aby otwierać każdy z trzech tomów komentarzami do jego zawartości, a nie znajdowały się jedynie w pierwszym tomie. Tak i tutaj są dwie, pozostałe umieszczono odpowiednio w T.2 i T.3].

I. O TUORZE I JEGO PRZYBYCIU DO GONDOLINU

Mój ojciec nie raz powtarzał, że „Upadek Gondolinu” został napisany jako pierwsza opowieść tycząca Pierwszej Ery i nic nie świadczy, aby było inaczej. W liście z roku 1964 stwierdza, że spisał ją „prosto z głowy” podczas urlopu zdrowotnego z wojska w roku 1917, chociaż przy innych okazjach wspominał również o roku 1916 lub przełomie lat 1916-1917. W liście, który dostałem w 1944 roku, znalazłem zdanie: „Pisać go [*Silmarillion*] zacząłem w barakach wojskowych, pośród tłoku i jazgotu gramofonowej muzyki”. W rzeczy samej, akapity dotyczące Siedmiu Imion Gondolinu zostały spisane na odwrocie druku regulującego „drabinę zależności służbowej w batalionie”. Wciąż istniejące najwcześniejsze manuskrypty to dwa zwykłe szkolne zeszyty zapisane ołówkiem. Potem ołówkowe pismo pociągnięto jeszcze atramentem, wprowadzając przy tym liczne poprawki. Ten właśnie tekst, najpewniej w 1917 roku, moja matka przepisała na czysto. Później, chociaż trudno powiedzieć dokładnie kiedy, został on poddany kolejnym przeróbkom. Możliwe, że miało to miejsce w latach 1919-1920, kiedy to mój ojciec był członkiem zespołu redagującego daleki jeszcze od ukończenia *Słownik*. Wiosną roku 1920 został zaproszony do klubu dyskusyjnego w swoim college'u w Exeter i wówczas to odczytał „Upadek Gondolinu”. W zachowanych do dzisiaj notatkach poczynionych do wystąpienia znajdujemy słowo przeproszenia, że nie przygotował eseju, „I tak zatem, ponieważ odczytać winienem rzecz już gotową, w desperacji sięgnąłem do tego tekstu. Rzecz jasna, nigdy dotąd nie ujrzał on światła dziennego... Ciąg zdarzeń tyczących elfiej historii krystalizował się (czy raczej układał) z dawna w mej wyobraźni. Niektóre epizody już spisałem... Ta opowieść nie jest akurat najciekawszą spośród nich, ale jedyną, która została przejrzana, i dlatego, chociaż może trudno jeszcze uznać ją za w pełni dopracowaną, ośmielę się historię ową przeczytać”.

Opowieść o „Tuorze i wygnańcach z Gondolinu” (bo taki tytuł nosił pierwotnie manuskrypt) przeleżała nie tknięta przez wiele lat, chociaż zapewne między rokiem 1926 a 1930 ojciec napisał jej skróconą wersję, która stała się częścią *Silmarilliona* (tytuł ten pojawił się po raz pierwszy, marginalnie wspomniany, w liście do *The Observer* 20 lutego 1938 roku), zmieniona przy tym zgodnie z wymaganiami kompozycyjnymi książki. Znacznie później ojciec rozpoczął pracę nad nowszą relacją, zatytułowaną „O Tuorze i upadku Gondolinu”. Bardzo możliwe, że miało to miejsce w roku 1951, kiedy to *Władca Pierścieni* był już gotowy, chociaż losy jego publikacji wciąż się ważyły. I styl, i konteksty uległy wówczas znacznym zmianom, sporo jednak zostało z owej historii, którą spisał w młodości. Tekst ów miał

uzupełnić o liczne szczegóły legendę tworzącą krótki, dwudziesty trzeci rozdział opublikowany w *Silmarillionie*. Niestety, urywa się w chwili, gdy Tuor i Voronwe docierają do ostatniej bramy Gondolinu i nie potrafię jednoznacznie orzec, czemu ojciec nie dokończył dzieła.

Te właśnie zapiski znalazły się w niniejszej książce. Aby uniknąć nieporozumień, zmieniłem ich tytuł na „O Tuorze i jego przybyciu do Gondolinu”, jako że o upadku miasta nie ma tam ani słowa. Jak to zwykle z pismami mego ojca, konieczna była tu i ówdzie ingerencja redaktorska, manuskrypt bowiem zawierał sugestie co do alternatywnych wersji, a jeden z epizodów (przeprawa przez Sirion) został nawet ukończony w kilku wariantach.

Zwraca uwagę fakt, że jedyna pełna relacja dotycząca kluczowych wydarzeń Pierwszej Ery (wyprawy Tuora do Gondolinu, związku z Odril Kelebrindal, narodzin Earendila, zdrady Maeglina, oblężenia miasta i ucieczki ocalałych) powstała w latach młodości mego ojca. Niestety, bez najmniejszych wątpliwości można stwierdzić, że tekst ów (choć tak istotny) nie nadaje się, by włączyć go do niniejszej książki. Napisany został w stylu skrajnie archaizowanym, uwielbianym podówczas przez ojca, i praktycznie nie ma nic wspólnego z późniejszymi światami *Władcy Pierścieni* i *Silmarilliona*. Wraz z najwcześniejszymi zapiskami dotyczącymi mitologii, należy on do *Księgi zaginionych opowieści*, nader interesujących dla kogoś pragnącego zgłębić najdawniejsze dzieje Śródziemia, wymagających jednak jeszcze długiego i żmudnego opracowania, o ile mają zostać kiedykolwiek wydane drukiem.

II. OPOWIEŚĆ O DZIECIACH HURINA

Legenda o Turinie Turambarze rozrastała się z latami w sposób najbardziej złożony spośród wszystkich historii dotyczących Pierwszej Ery. Podobnie jak opowieść „O Tuorze i upadku Gondolinu”, sięga korzeniami aż do samych początków. Owe początki to wczesny utwór prozą (jedna z *zaginionych opowieści*) oraz długi, nie dokończony poemat pisany wierszem aliteracyjnym. O ile jednak praca nad „długą wersją” Tuora nigdy nie posunęła się zbyt daleko, to późniejsza „długa wersja” Turina została niemal ukończona. Zwie się ona „Narn i Hin Hurin” i pod tym tytułem została zamieszczona w niniejszej książce.

Niemniej poszczególne fragmenty długiej „Narn” wymagały różnego wkładu pracy redakcyjnej. Epizody końcowe (od „Powrotu Turina do Dorlominu” do „Śmierci Turina”) zostały jedynie przejrane i poprawki były marginalne, podczas gdy cały początek (do „Turina w krainie Doriathu” włącznie) trzeba było przeredagować, miejscami nawet skracając, jako że trafiały się partie oderwane od kontekstu. Zasadnicza jednak część opowieści („Turin wśród banitów”, „Krasnolud Mim”, opis Dor-Kuartholu, śmierć Belega z ręki Turina i życie Turina w Nargothrondzie) przedstawiała sobą problem poważniejszy. Są to fragmenty najmniej dopracowane, niekiedy trafia się szkic jedynie opisujący planowany przebieg akcji. Ojciec wciąż rozbudowywał tę część i gdy przerwał nad nią pracę, krótsza wersja pomieszczona w *Silmarillionie* nie doczekała się pełnego rozwinięcia w „Narn”. Przygotowując do druku *Silmarilliona*, musiałem z konieczności sięgnąć właśnie do owych materiałów, zawikłanych i nie dopracowanych, wrywając z nich fragment dotyczący Turina.

Początkowe partie środkowej części (aż do zamieszkania Turina w siedzibie krasnoluda Mima na Amon Rudh), złożyłem z istniejących materiałów w spójne narracyjnie opowiadanie pozostające w stosownych proporcjach do reszty tekstu (z jedną luką, patrz przypis 12), jednak od wspomnianego powyżej miejsca, aż do przybycia Turina nad Ivrin po zniszczeniu Nargothrondy, zmuszony byłem zmienić taktykę. Luki w tekście okazały się nazbyt duże i konieczne byłoby powtórzenie tu rozdziału pomieszczonego w *Silmarillionie*. Niemniej zawarłem w *Dodatku* kilka oderwanych fragmentów tej zamierzonej, dłuższej wersji.

Porównanie trzeciej części (od „Powrotu Turina do Dorlominu”) z odpowiednimi stronami w *Silmarillionie* (s. 262-277), pozwoli odnaleźć wiele podobieństw, a nawet identycznych sformułowań, podczas gdy w pierwszej części były tylko dwa takie wypadki, które usunąłem z prezentowanego tekstu (patrz przypisy 1 i 2), skoro nie różnią się specjalnie od tych, które zostały już opublikowane i zamieszczone w *Silmarillionie*. Na wiele sposobów

można próbować wyjaśniać fakt takiego nakładania się różnych wersji. Mój ojciec uwielbiał opowiadać czasem rzecz na nowo, zmieniając optykę i sytuując historię w szerszym kontekście, jednakże nie wszystkie spośród wspomnianych fragmentów zostały tak właśnie przekształcone, nie każdy też potraktowania takiego wymagał. Można również uznać, że na wczesnym etapie prac nad tekstem ojciec mógł na próbę umieścić w dziele ustęp pochodzący z innej wersji. Pozostaje jednak jedno jeszcze wyjaśnienie, dotyczące nieco innego poziomu. Legendy podobne tej o Turinie Turambarze zostały już we wczesnych latach Śródziemia ujęte w formę poetycką (w tym przypadku był to poemat *Narn i Hin Hurin* Dirhavela), przekazywane zaś z latami fragmenty (szczególnie te o silnym ładunku emocjonalnym, jak przemowa Turina do miecza na chwilę przed śmiercią) byłyby zachowywane przez kolejne pokolenia w formie nie zmienionej jako świadectwo pochodzące wprost z Dawnych Dni (których historię opowiadać ma właśnie *Silmarillion*).

CZĘŚĆ PIERWSZA

PIERWSZA ERA

I. O TUORZE I JEGO PRZYBYCIU DO GONDOLINU

Riana, żona Huora, przebywała ze swymi z rodu Hadora, ale gdy dotarły do Dorlominu pogłoski o Nirnaeth Arnoediad, wówczas to, niespokojna o los męża (o nim nie dotarły żadne wieści), zdecydowała się wyruszyć na pustkowia. Zginęłaby, gdyby nie pomoc Szarych Elfów zamieszkujących w górach na zachód od jeziora Mithrim. Zaprowadzona do ich siedziby, jeszcze przed końcem Roku Lamentu powiła syna.

Powiedziała wówczas elfom:

- Niech zwie się Tuor, bo takie imię wybrał dlań ojciec, zanim wojna nas rozdzieliła. I błagam, wychowajcie go w ukryciu pośród was, przepowiadam bowiem, że wielkie dobro wyniknie za jego sprawą dla elfów i ludzi. Ja zaś muszę wyruszyć na poszukiwanie Huora, mego męża.

Na takie słowa elfy odpowiedzieć mogły co najwyżej współczuciem. Jeden tylko Annael, który samotnie powrócił z Nirnaeth, rzekł:

- Wiadomo, moja pani, że Huor padł u boku brata swego, Hurina, i mniemam, że spoczywa, w wielkim stosie poległych, usypanym przez Orków na bitewnym polu.

Usłyszawszy te słowa, Riana zebrała się i opuściła siedzibę elfów, wyruszając poprzez Mithrim i pustkowia Anfauglith aż do Haudh-en-Ndengin, gdzie zległa i umarła. Elfy jednak zadbały o jej nowo narodzonego syna. Z czasem Tuor wyrósł na wysokiego, pięknego młodzieńca o złocistych włosach, charakterystycznych dla rodu ojca. Był przy tym silny i odważny. Umiejętnościami i wiedzą nie ustępował księżętom Edainów z czasów, nim zagłada dosięgła Północy.

Jednak wraz z mijającymi latami coraz gorzej i mniej spokojnie żyło się w Hithlumie tym elfom i ludziom, którzy nie opuścili swych siedzib. Jak opisane to zostało gdzie indziej, Morgoth złamał wówczas słowo dane służącym mu Easterlingom i odmówił im praw do żyznego i upragnionego Beleriandu. Miast tego skierował ów złem przesiąknięty lud do Hithlumu i tam nakazał mu zamieszkać. Chociaż Easterlingowie nie kochali już Morgotha, to jednak służyli mu wciąż ze strachu, nienawiścią darząc przy tym cały ród elfów. Mając w pogardzie pozostałych z rodu Hadora (głównie starców, kobiety i dzieci), dokuczali im bez skrupów, siłą biorąc ich kobiety za żony, przywłaszczając sobie ziemie i dobra, czyniąc z dzieci niewolników. Potem pojawili się też i Orkowie, wedle upodobania wędrujący po całym kraju i zmuszający pozostałych jeszcze elfów do wycofania się ku górskim warowniom. Często brali ich w niewolę, aby pracowali w kopalniach Angbadu.

W takich to okolicznościach Annael poprowadził swych nielicznych poddanych do jaskiń Androth, gdzie czekał ich żywot ciężki, bez chwili wytchnienia w czujności. Tam też Tuor osiągnął wiek szesnastu lat. Potrafił władać orężem, toporem i łukiem Szarych Elfów, a w sercu wzbierał mu żal wywołany opowieściami o niedolach jego ludu. Nade wszystko pragnął wziąć pomstę na Orkach i Easterlingach. Tego jednak uczynić Annael mu nie dozwolił.

- Twe przeznaczenie, jak sędzę, leży o wiele dalej, Tuorze, synu Huora - powiedział. - Ta kraina nie zostanie uwolniona od cienia Morgotha, dopóki nie runie Thangorodrim. Toteż pozostaje nam jeno ująć ku Południowi, ty podążysz z nami.

- Ale jak zdołamy przemknąć się między nieprzyjaciół? - spytał Tuor. - Przemarsz takiej rzeszy z pewnością zostanie zauważony.

- Wyruszymy po kryjomu - wyjaśnił Annael. - A jeśli szczęście będzie nam sprzyjało, trafimy na sekretną drogę, którą my zwiemy Annon-in-Gelydh, czyli Bramą Noldorów, gdyż zbudowali ją nasi mistrzowie dawno temu, jeszcze za dni Turgona.

Imię to poruszyło młodzieńca, chociaż nie wiedział, czemu. Zaczął zatem wypytывать o Turgona.

- Jest synem Fingolfinu - odparł Annael. - Od upadku Fingona uważa się go za Króla Noldorów, żywy bowiem umknął z klęski Nirnaeth, kiedy to Hurin z Dorlominu oraz Huor, twój ojciec, utrzymali brody na Sirionie. Najbardziej zawzięty to z wrogów Morgotha.

- Pójdę zatem i poszukam Turgona - rzekł Tuor. - Pomoże mi przecież przez wzgląd na pamięć mego ojca?

- Tego uczynić nie możesz - powiedział Annael. - Jego warownia skryta jest przed oczami elfów i ludzi. Nie wiemy, gdzie się wznosi. Może niektórzy Noldorowie znają do niej drogę, ale nikomu jej nie wyjawia. Gdybyś jednak chciał z nimi porozmawiać, ruszaj ze mną. W ustroniach na Południu spotyka się czasem wędrowców z Ukrytego Królestwa.

Nadszedł czas, że elfy porzuciły jaskinie Androth a wraz z nimi powędrował Tuor. Wrogowie jednak czuwali, więc przemarsz niedługo pozostawał tajemnicą. Nim wędrowcy zdołali oddalić się od wzgórz i wydostać na równinę, napadł na nich liczny oddział Orków i Easterlingów. Rozproszył on gromadę, ścigając niedobitków aż do nocy. Serce Tuora rozgorzało gorączką bitwy, chłopak nie uciekł zatem, tylko tak jak niegdyś ojciec, z toporem w dłoni stanął do walki. Wielu nieprzyjaciół padło z jego ręki, w końcu został jednak obezwładniony. Pojmany, znalazł się rychło przed obliczem Easterlinga imieniem Lorgan, który był wodzem Easterlingów i uzurpował sobie, jako lennik Morgotha, władzę nad całym Dorlominem. Tuor, zostawszy jego niewolnikiem, wiódł życie ciężkie i pełne goryczy. Wiedząc, że oto ma w swej mocy potomka niegdysiejszych władców, Lorgan tym okrutniej

traktował jeńca, mając nadzieję, ku swe ucieście, złamać wreszcie dumę domu Hadora. Tuor jednak, który zaczerpnął już ze źródła mądrości, znosił wszelkie cierpienia oraz zniewagi niewzruszenie i z cierpliwością, z czasem zatem jego los nieco się poprawił, a w każdym razie udało się młodzieńcowi nie umrzeć z głodu, co spotkało niejednego z nieszczęsnych niewolników Lorgana. Tuor był mocny i zręczny, a Lorgan zwykł dobrze karmić swoje konie robocze, przynajmniej jak długo pozostawały młode i mogły pracować.

Po trzech latach niewoli Tuor dojrzał wreszcie szansę ucieczki. Prawie w pełni już wyrósłszy, był postawniejszy i szybszy niż którykolwiek z Easterlingów. Wysłany wraz z innymi niewolnikami do pracy w lesie, zwrócił się nagle przeciwko strażnikom, zabił ich toporem i zbiegł na wzgórze. Easterlingowie ruszyli za nim z psami, ale bez powodzenia, jako że Tuor przyjaźnił się niemal z wszystkimi ogarami Lorgana; gotowe łąsić się doń przy każdym spotkaniu, bez wahania usłuchały polecenia, gdy kazał im wracać do domu. W końcu młodzieniec dotarł do jaskiń Androth i zamieszkał tam samotnie. Przez cztery lata uchodził za wyjętego spod prawa na ziemiach swego ojca, a imię jego budziło strach, często bowiem, milczący i samotny, wyruszał na wędrówki, zabijając przy tym wszystkich napotkanych Easterlingów. Wyznaczono nawet wysoką cenę za jego głowę, ale nikt nie ośmielił się tropić go w kryjówce, która niegdyś była siedliskiem wciąż budzących w Easterlingach grozę elfów. Powiada się jednak, że to nie pragnienie zemsty skłaniało Tuora do podejmowania owych wycieczek, szukał raczej wspomnianej niegdyś przez Annaela Bramy Noldorów. Nie wiedząc jednak, gdzie patrzeć, nie znalazł jej; również nieliczne elfy, nadal przemieszkujące w górach, nic o owym przejściu nie słyszały.

Mimo iż szczęście wciąż sprzyjało Tuorowi, wiedział on, że jego dni wygnańca są policzone, czas kurczy się, a nadzieja blednie. Nie pragnął zresztą spędzić reszty życia jako błądzący po kamienistych pustkowiach dzikus. Serce rwało się ku wielkim czynom. Wtedy to, jak powiadają, objawiła się moc panującego nad wodami Ulma, któremu każdy strumień spływający ze Śródziemia do Wielkiego Morza był posłańcem przenoszącym nowiny w obie strony; ponad to Władcę Morza łączyła wieloletnia przyjaźń z Kirdanem i Budowniczym Okrętów u ujścia Sirionu³. W owym czasie Ulmo zwracał pilną uwagę na losy rodu Hadora, któremu w najskrytszych planach powierzał znaczącą rolę we wspomoczeniu wygnańców. Wiedział też dobrze o poniewierce Tuora, Annaelowi bowiem i wielu jego pobratymcom udało

³ W *Silmarillionie*, na stronie 238, znajdujemy wzmiankę, że po zniszczeniu przystani Brithombar i Englaest (w rok po Nirnaeth Arnoediad), ci spośród elfów z Falas, którzy zdołali uciec, ruszyli za Kirdanem na wyspę Balar i „przygotowali na wyspie Balar schronienie dla wszystkich elfów, którzy zdołaliby uciec przed nieprzyjacielem; elfowie Kirdana zatrzymali bowiem także przyczółek u ujścia Sirionu, gdzie w gęstym jak las sitowiu zarastającym odnogi rzeczne i zalewy stały ukryte lekkie i szybkie statki”.

się uciec z Dorlominu i ostatecznie dotrzeć do Kirdana na dalekim Południu.

I stało się tak, że pewnego dnia na początku roku (dwudziestego i trzeciego od klęski Nirnaeth) Tuor usiadł przy źródle bijącym nie opodal wylotu jaskini, w której zamieszkał, i spojrzał ku zachodowi, gdzie słońce zapadało za mglisty horyzont. Poczuł nagle, że czas oczekiwania dobiegł końca i poruszony nakazem serca zdecydował się powstać i ruszyć w drogę.

- Opuszczę szare ziemie mych pobratymców, których już tu nie stało! - krzyknął. - Pójdę na spotkanie przeznaczeniu! Ale gdzie się skierować? Tak długo już bez powodzenia szukałem Bramy.

Ujął wówczas harfę, z którą nigdy się nie rozstawał, biegle dobywając dźwięki z jej strun, i nie zważając na niebezpieczeństwo, zaśpiewał pieśń elfów z Północy głosem czystym, daleko niosącym się po pustkowiach. Gdy tak śpiewał, źródło u jego stóp zakipiało nagle, aż woda zaczęła występować z brzegów, spływając z donośnym pluskiem po kamienistym zboczu wzgórza. Tuor uznał, że oto otrzymał znak, podążył zatem za biegiem strugi, która poprowadziła go spomiędzy wyniosłych wzgórz Mithrimu ku północy, na równinę Dorlominu. Idąc brzegiem strumienia toczącego coraz więcej wody, skręcił na zachód, aż trzeciego dnia zarysowały się przed nim szare granie Ered Lomin. Pasma rozciągało się w z północy na południe, przegradzając drogę do Zachodnich Wybrzeży. Do tego miejsca we wszystkich swoich podróżach Tuor nigdy przedtem nie dotarł.

Teren stawał się coraz bardziej nierówny i skalisty. Grunt przed Tuorem zaczął się wznosić, a strumień zagłębił się w skalnej szczelinie. Wraz z nadejściem zmierzchu, trzeciego dnia wędrówki, Tuor stanął przed urwiskiem. Strumień niknął w otworze przypominającym wielki łuk bramy. Zrozpaczony Tuor powiedział:

- Zatem nadzieja okazała się złudna! Ujrzały na wzgórzach znak przywiódł mnie jedynie do ponurego końca pośrodku krain nieprzyjaciela. - Ze smutkiem w sercu przysiadł pomiędzy skałami na stromym brzegu strumienia. Trwał tak, przepełniony goryczą, przez całą noc, dotkliwie odczuwając brak ognia, był to bowiem dopiero miesiąc Sulime i nawet najmniejszy powiew wiosny nie dotarł jeszcze na północ, za to ze wschodu dał mroźny wiatr.

Gdy jednak pierwsze promienie wschodzącego słońca rozjaśniły mgły Mithrimu, Tuor usłyszał głosy, a spojrzawszy w dół, dostrzegł dwa elfy brodzące w płytkiej wodzie i zmierzające ku wykutym w brzegu stopniom. Gdy wspinali się na górę, Tuor wstał i zawołał ich. Elfy dobiły natychmiast mieczy i skoczyły ku intruzowi. Ujrzał wówczas, że pod szarymi płaszczami mieli kolczugi i zdumiał się, przybysze bowiem byli piękniejsi od wszystkich innych, poznanych dotąd przez Tuora elfów. Osobliwie też przyciągali spojrzenie, a to za

sprawą dziwnego blasku jarzącego się w ich oczach. Stał tedy prosto, oczekując ich, a gdy zauważyli, że zamiast sięgać po broń, śle im serdeczne pozdrowienia w języku elfów, schowali miecze, podejmując uprzejmie rozmowę.

- Jesteśmy Gelmir i Arminas, z ludu Finarfina - powiedział jeden z nich. - Czy należysz do ludu Edainów, zamieszkującego te krainy po Ninareth? Sądząc po złotych włosach, pochodzisz najpewniej z rodu Hadora i Hurina.

- Tak, jestem Tuor, syn Galdora, który był synem Hadora, ale obecnie pragnę opuścić ten kraj, w którym sam zostałem jako banita.

- A zatem - odparł Gelmir - jeśli chcesz uciec i znaleźć schronienie na Południu, twoje stopy zawiodły cię już na właściwą drogę.

- Tak właśnie sądziłem, wędrowałem bowiem w ślad za strugą, która wytrysnęła nagle na wzgórzach. Nie wiem teraz, gdzie się zwrócić, woda bowiem ginie w ciemności.

- Poprzez ciemność dochodzi się czasem do światła - powiedział Gelmir.

- Lepiej jednak, jeśli tylko można, wędrować w pełnym blasku słońca - odparł Tuor. - Ale skoro jesteście z rodu elfów, to proszę, powiedzcie mi, gdzie znajduje się Brama Noldoru. Szukam jej bowiem, odkąd Annael, mój przybrany ojciec z plemienia Elfów Szarych, wspomniał o istnieniu tej drogi.

Elfy roześmiały się, aż w końcu rzekły:

- Poszukiwania twe dobiegły kresu, my sami bowiem dopiero co przeszliśmy przez Bramę. Masz ją przed sobą!- Wskazali na skalny łuk, pod którym niknęła woda. - Ruszaj! Poprzez mrok dotrzesz do światła. Skierujemy cię na właściwy szlak, ale nie poprowadzimy zbyt daleko, wysłano nas bowiem do krainy, którą kiedyś w nagłej potrzebie opuściliśmy pośpiesznie.

- Nie bój się jednak - dodał Gelmir. - Widzę po twym czole, że masz do wykonania wielkie zadania, które zawiodą cię daleko od tych krain, a najpewniej nawet poza Śródziemie.

Zszedł więc Tuor w ślad za nimi do strumienia i brodząc w wodzie, podążył pod kamiennym łukiem. Wówczas Gelmir wydobył jedną ze sławnych lamp Noldorów, które niegdyś zrobiono w Valinorze. Ani wiatr, ani woda nie mogły ich zgasić, a jeśli zdjęło się osłonę, wówczas lśniły światłem mocnym i błękitnym, dobywającym się z uwięzionego w białym kryształach płomienia⁴. Gdy Gelmir uniósł lampę ponad głowę, Tuor ujrzał, jak

⁴ Świeące błękitnym blaskiem lampy elfów z Noldoru opisane zostały już przedtem, chociaż nie ma o nich mowy w opublikowanej wersji *Silmarilliona*. We wcześniejszej wersji opowieści o Turinie, Gwindor, elf z Nargothrond, który uciekł z Angbada i został przez Belega odnaleziony w puszczy Taur-nu-Fuin, miał właśnie taką lampę (widać ją na rysunku mego ojca, który namalował owo spotkanie [patrz Pictures by J. R. R. Tolkien, 1979, nr 37]. Właśnie w świetle nagle wywróconej i odkrytej przez to lampy Gwindora Turin ujrzał, że to Belega

podziemna, spływająca po stromiźnie rzeka znika w wielkim tunelu. Obok zasłanego głazami koryta długie schody wiodły w dół, ku mrokom, których blask lampy nie rozpraszał.

Skoro doszli do krańca bystrzyny, przystanęli pod ogromnym skalnym nawisem. Opodal rzeka spadała z hukiem aż echo niesło przez próg wodospadu, by zniknąć w dali pod sklepieniem kolejnego tunelu. Tutaj Noldor zatrzymał się i pożegnał Tuora.

- Pora nam wracać i ruszać czym prędzej swoimi drogami - powiedział Gelmir. - Wielkiej wagi wydarzenia szykują się w Beleriandzie.

- Czyżby nadeszła godzina Turgona? - spytał Tuor. Elfy spojrzały nań zdumione.

- To rzecz raczej Noldorów niż synów człowieczych - powiedział Arminas. - Co ci wiadomo o Turgonie?

- Niewiele - odparł Tuor. - Tyle tylko, że mój ojciec osłaniał jego ucieczkę z Nirnaeth i że teraz przemieszkuje w ukrytej warowni, z którą Noldorowie wiążą wszelkie swe nadzieje. Sam nie wiem, czemu imię jego porusza me serce i samo wykwita na ustach. Gdybym miał jakiś wybór, wolałbym wyruszyć i odszukać go, niż podążać tą mroczną drogą strachu. Chyba że to tajny szlak wiodący do jego kryjówki?

- Kto wie? - odparł elf. - Położenie warowni Turgona otoczone jest tajemnicą, więc i tajne są drogi do niej wiodące. Nie znam ich, chociaż długo takowych szukałem. Gdybym jednak je znał, i tak bym ich nie wyjawiał. Ani tobie, ani nikomu spośród ludzi.

- Słyszałem wszakże - wtrącił się Gelmir - że twój dom cieszy się łaskami Pana Wód. Jeśli to on podsuwa ci myśl o wędrowce do Turgona, to najpewniej zostaniesz doprowadzony do celu. Ruszaj szlakiem wody, za którą przyszedłeś tu ze wzgórz, i niczego się nie lękaj! Nie powinieneś długo maszerować w ciemności. Żegnaj! I nie wydaje mi się, żeby to przypadek zrządził nasze spotkanie, Mieszkający w Głębi bowiem kieruje niezmiennie wieloma sprawami tego świata. *Anar kaluva tielyanna!*⁵

Z tymi słowami Noldor obrócił się i podążył z powrotem długimi schodami, Tuor jednak stał nieruchomo, aż całkowicie zniknęło migotanie lampy i pośród huku wodospadu mrok zapadł głębszy niż noc. Zebrawszy wszystką odwagę, Tuor przycisnął lewą dłoń do

właśnie przyszło mu zabić. W przypisie do historii Gwindora urzędzenia te zwane są „lampami feanoryjskimi”, których sekretu nie znali nawet sami Noldorowie. Opis powiada zaś, że były to „kryształy zawieszane na siatce z łańcuszków i świecące niezmiennie własnym, błękitnym blaskiem”.

⁵ „Niechaj słońce oświeć ci drogę”. W krótszej znacznie wersji opowieści pomieszczonej w *Silmarillionie* nie ma mowy, jakim to sposobem Tuor znalazł Bramę Noldorów, nie znajdujemy tam też elfów Gelmira i Arminasa. Pojawiają się oni jednak w opowieści o Turinie (*Silmarillion*, str. 258), jako wysłannicy przynoszący do Nargothrond ostrzeżenie od Ulma. Według tej wersji mają oni być podwładnymi Angroda, syna Finarfina, który po Dagor Bragollach zamieszkał na południu wraz z Kirdanem. W dłuższej wersji opowieści o ich przybyciu do Nargothrond Arminas, niepochlebnie wyrażając się o Turinie i porównując go z Tuorem, stwierdza, że spotkał go „na pustkowiach Dorlominu”.

skalnej ściany i po omacku ruszył naprzód, z początku idąc wolno, potem coraz szybciej, kiedy wzrok przywykł do mroku. Nie napotkał żadnej przeszkody i wydawało mu się, że wędruje już dłuższą chwilę; zmęczony, ale niechętny, by przysiąść na odpoczynek w ciemnym tunelu, ujrzał przed sobą światelko. Przyspieszając kroku, dotarł do szczeliny, którą bystry strumień wypływał na złocisty blask wieczoru.

Znalazł się w głębokim parowie o wysokich ścianach, biegnącym na zachód. Na wprost zachodziło słońce, niebo było czyste i pogodne, ściany wąwozu lśniły ognistocie, a rzeka złociła się, tocząc pianę po kamienistym dnie.

Tuor ruszył rozpadliną z sercem lekkim i pełnym nadziei, bez trudu znajdując ścieżkę wzdłuż brzegu strumienia, u stóp południowej ściany. Z nadejściem nocy rzeka stała się niewidoczna, tylko gwiazdy odbijały się od ciemnych wód. Tuor ułożył się na spoczynek, nie lękał się bowiem, będąc w pobliżu wody niosącej moc Ulma.

Rankiem bezzwłocznie ruszył dalej. Słońce grzało go w plecy, potem świeciło w twarz, a tam, gdzie potok burzył się na głazach lub kotłował w wodospadach, wykwiwały ponad strumieniem barwne tęcze, toteż nazwał Tuor ów rzeczny wąwóz Kirith Ninniach.

Tak podróżował niespiesznie przez trzy dni, jedynie popijając zimną wodę, choć rzeka pełna była złocistych i srebrzystych ryb migocących wszystkimi kolorami. Nie odczuwał jednak głodu. Czwartego dnia dotarł do miejsca, w którym wąwóz rozszerzał się, ściany obniżały się, a ich stromizna łagodniała. Nurt rzeki za to przybrał na sile, po obu stronach bowiem rozciągały się wysokie wzgórza, skąd spływały lśniącymi wodospadami do Kirith Ninniach kolejne strumienie. Tuor posiedział tu dłuższą chwilę, zasluchany w nie milknące dźwięki i wpatrzony w bystre wiry. Trwał tak, aż noc zapadła i zimne gwiazdy zapaliły się na niebie. Wówczas dobył głosu i potracił struny swej harfy, a pieśń popłynęła nad wodami, odbijając się echem od ścian, błędząc ponad wzgórza, aż cała mrokiem otulona okolica wypełniła się tą muzyką zrodzoną pod gwiazdami. Nic o tym nie wiedząc, Tuor dotarł do Gór Echa w Lammoth. To tutaj właśnie, w Fiordzie Drengist, wylądował niegdyś po swej morskiej podróży Feanor i nim księżyc wzeszedł, zgiełk jego armii ogarnął całe wybrzeże Północy ⁶.

⁶ *Silmarillion* podaje (str. 92), że gdy Morgoth i Ungolinta zmagali się tamże o Silmarile, „z gardła Morgotha dobył się straszliwy wrzask, który echo rozniosło wśród gór. Dlatego okolicę tę nazwano Lammoth, gdyż echo krzyku Morgotha przetrwało wieki i każdy, kto się tu znalazł, mógł je swoim głosem wzbudzić na nowo; całe pustkowienie między górami a morzem zawsze odtąd rozbrzmiewało jak gdyby jękami torturowanych”. Z drugiej jednak strony, zamieszczony tu opis sugeruje, że każdy dźwięk rozbrzmiewał swym własnym echem, tyle że potężnym. Ta sama idea pojawia się na początku trzynastego rozdziału *Silmarilliona* (str. 125), (fragment bardzo podobny do omawianego): „Kiedy [Noldorowie] stawiali stopy na łądzie, krzyk ich rozległ się i pomnożył wśród gór tak, że zgiełk jakby niezliczonych głosów wypełnił całe północne wybrzeże”. Wygląda na to, że wedle jednej „tradycji” Lammoth i Ered Lomin (Góry Echa) zawdzięczają swe nazwy przechowanemu tamże echu strasznego krzyku Morgotha pochwyczonego przez Ungoliantę, inna zaś „tradycja” sugeruje, że jest to związane z akustycznymi właściwościami tych okolic.

Zachwytem przepełniony Tuor urwał pieśń i muzyka zamierała z wolna pośród wzgórz, aż nastała kompletna cisza, w której usłyszał ponad sobą dziwny krzyk, nie wiedział jednak, jakie stworzenie wydało ów odgłos.

- To sprawka czarów - orzekł najpierw. - Nie, raczej małe zwierzę skowyczy na pustkowiach - stwierdził po chwili, a gdy znów usłyszał krzyk, uznał: - To z pewnością mowa nieznanego mi nocnego ptaka. - Wydało mu się, że ten pełen żalości głos przyzywał go, był przeznaczeniem. Chciał podążyć za wołaniem, chociaż nie wiedział, jaki byłby kres wędrówki.

Rankiem usłyszał tenże głos tuż nad sobą, a podniósłszy głowę, ujrzał trzy wielkie, białe ptaki lecące nad wąwozem. Ich mocne, walczące z zachodnim wiatrem skrzydła lśniły w blasku wschodzącego słońca. Ptaki krzyczały donośnie, przelatując nad Tuorem. Tak oto po raz pierwszy ujrzał ukochane przez Telerich wielkie mewy. Powstał zatem i ruszył za nimi, a żeby lepiej śledzić ich lot, wspiął się na lewe zbocze wąwozu. Stanąwszy na szczycie, poczuł na twarzy silny, rozwiewający mu włosy podmuch z zachodu. Wciągnął głęboko to nowe dlań powietrze.

- Raduje me serce niczym łyk chłodnego wina! - powiedział, wiedząc już, że wiatr ów wieje wprost znad Wielkiego Morza.

Tuor ponownie ruszył w drogę, wypatrując szybujących wysoko ponad rzeką mew, aż dotarł do miejsca, gdzie brzegi wąwozu znów zbliżyły się do siebie, tworząc wąski kanał, w którym rozlegał się rozgłośny szum. Spojrzał Tuor w dół i zdumiał się, widząc wody wzbierające w korycie strumienia i walczące z prądem, aż nagle rosnące falą wysoką niczym ścianą. Pieniste, targane wiatrem wierzchołki sięgały niemal do szczytów klifu. Nareszcie znalazł się w głębokim parowie o wysokich ścianach, biegnącym na zachód. Na wprost zachodziło słońce, niebo było czyste i pogodne, ściany wąwozu lśniły ogniście, a rzeka złociła się, tocząc pianę po kamienistym dnie. Nareszcie rzeka ustąpiła i masy wody zalały kanał, z gromowym hukiem miotając zaścielającymi dno głazami. W ten oto sposób zew morskich ptaków uratował Tuora od śmierci w falach przypływu, który za sprawą pory roku i wiejącego od morza wiatru był tym razem szczególnie wysoki.

Zjawisko przeraziło Tuora na tyle, że cofnął się od brzegu i skręcił na południe. Szedł omijając długie wybrzeża Zatoki Drengist. Kilka dni wędrował przez pagórkowatą, bezdrzewną okolicę omiataną nieustannie nawalniami od morza. Cokolwiek tu rosło, krzew czy zielisko, smagane zachodnim wiatrem skłaniało się ku wschodowi. Tak przekroczył Tuor granicę Nevrastu, gdzie przemieszkiwał niegdyś jego ojciec, Turgon. Wreszcie, całkiem tego nieświadom (wysokie klifowe brzegi przesłaniały widok) dotarł nagle do krańca Śródziemia i ujrzał Wielkie Morze, Bezbrzeżny Belegaer. W tej godzinie słońce dotykało płomiennym

kręgiem krawędzi świata, a Tuor stanął na szczycie klifu i rozpostarł szeroko ramiona, a serce jego wypełniła ogromna tęsknota. Powiada się, że był on pierwszym człowiekiem, który zawędrował do Wielkiego Morza i że nikt, wyjąwszy Eldarów, głębiej nie odczuł nigdy tęsknoty sączonej przez owe fale.

Tuor spędził wiele dni w Nevraście. Kraina ta wydała mu się przyjazna, jako że otoczona od północy i od wschodu górami, cieplejsza była przez to i nie tak surowa jak równiny Hithlumu. Z dawna przywykł do życia myśliwego, w pojedynkę radząc sobie w głuszy, a zwierzyzny nie brakowało, gdyż wiosna rozkwitła i powietrze wypełniały odgłosy ptactwa, zarówno siadującego nad brzegami morza, jak i przybywającego z mokradeł Linaewenu z głębi lądu. W owych dniach nie przeszkodziła mu w samotności obecność ani elfów, ani ludzi.

Dotarł Tuor nad brzeg wielkiego jeziora, jednak do otwartych wód broniły przystępu pasma bagien i nie przebyte gąszcze trzcin. Zawrócił więc ku wybrzeżu, morze bowiem przyciągało go i nie chciał przebywać nazbyt długo w miejscu, skąd nie byłoby słyszeć szumu fal. Właśnie tam, gdzie wysokie i wyrzeźbione morzem brzegi na południe od Grengistu obfitowały w szczeliny i ukryte zatoczki z plażami białego piasku pomiędzy lśniącymi, czarnymi głazami, Tuor po raz pierwszy trafił na ślady dawnych Noldorów. Odnajdywał je, schodząc kręconymi schodami wykutymi w żywej skale. Nad wodą znajdował zrujnowane przystanie ułożone z wielkich bloków wydartych niegdyś ze ścian klifu. Tutaj w dawnych latach cumowały statki elfów. Obserwując wiecznozmiennie morze, Tuor pozostał w tych stronach, aż minęła wiosna, końca dobiegło lato i mroki zagęściły się nad BelerianDEM, zwiastując bliskość jesieni i zguby Nargothrundu.

Być może ptaki przeczuwały srogą zimę⁷, te bowiem, których zwyczajem było wędrować na południe, wcześniej zebrały się do odlotu, a inne, żyjące na północy, przyleciały do Nevrastu. Pewnego dnia, gdy Tuor siedział na brzegu, usłyszał nagle szum i łopot wielkich skrzydeł. Podniósł głowę i ujrzał klucz siedmiu białych łabędzi podążających na południe. Jednak przelatując nad nim, ptaki skrzyły nagle i runęły w dół, z wielkim pluskiem siadając na wodzie.

Tuor kochał łabędzie, które widywał jeszcze na szarych stawach Mithrimu, łabędź był też godłem Annaela i jego przybranego ludu. Powstał zatem, by powitać ptaki, i zawołał, urzeczony ich nigdy jeszcze dotąd nie widzianą wielkością i dumną postawą. Te jednak załopotwały skrzydłami i krzyknęły chrapliwie, jakby uznały go za wroga i pragnęły odpędzić od

⁷ Por. *Silmarillion*, str. 262: „Tymczasem Turin pędził na północ przez spustoszoną teraz krainę między Narogiem a Teiglinem, a na jego spotkanie wyszła sroga zima, w tym roku bowiem śnieg spadł, zanim się skończyła jesień, a wiosna była spóźniona i chłodna”.

brzegu. Potem znów z rozgłośnym szumem wzniosły się w powietrze i przeleciały nad Tuorem, aż poczuł na twarzy silny niczym wichur podmuch ich ogromnych skrzydeł. Zatoczyły jeszcze szeroki krąg, i wleciały wyżej, kierując się na południe.

Wówczas Tuor krzyknął głośno:

- Oto następny znak, tak długo wyczekiwany!

Z miejsca wspiał się na szczyt klifu i poszukał na niebie sylwetek ptaków. Potem ruszył na południe śladem łabędzi, które szybko zniknęły mu z oczu.

Całe siedem dni wędrował Tuor wzdłuż wybrzeża południe, a łopot łabędzich skrzydeł budził go co rano i codziennie ptaki prowadziły go dalej, sobie tylko znanym szlakiem. Z czasem brzegi obniżyły się, skały ustąpiły miejsca pełnym kwiecistym łąkom, na wschodzie zaś pojawiły się żółknące z woli, jesienne lasy. Coraz bliżej też było pasmo wysokich wzgórz odcinających drogę i ciągnących się ku wieńczącej łańcuch od zachodu potężnej górze, której skryty w chmurach, mroczny wierzchołek wznosił się ponad rozległym, zielonym przylądkiem sięgającym daleko w morze.

Owe szare wzgórza były w istocie zachodnią odnogą Ered Wethrinu ogradzającego Beleriand od północy, góra zaś zwała się Taras i stanowiła najbardziej na zachód wysunięte wzniesienie tej krainy, z dala widoczne dla każdego żeglarza, który zbliżał się do krain śmiertelnych. Na jej to stokach zamieszkał niegdyś Turgon w komnatach Vinyamaru, najstarszej kamiennej budowli wzniesionej przez Noldorów na ziemi ich wygnania. Zamek stał nadal choć opuszczony, na wysokich tarasach spoglądających w morze. Mijające lata obeszły się z nim miłosiernie, nawet słudzy Morgotha omijali budowlę, jedynie wiatr, deszcz i mróz znaczyły kamienie, bujna zaś zieleń pokrywała nie tylko dachy, ale wciskała się nawet w szczeliny pomiędzy kamieniami.

Tuor dotarł do pozostałości zapomnianej drogi i mijając wzgórza i skały, doszedł u schyłku dnia do starego zamku. W przestronnych salach hulał wiatr, ale nie zalegał tu żaden mrok, żadne zło nie czyhało w zakamarkach; mimo to Tuora ogarnął strach, gdy pomyślał o tych, którzy mieszkali tu niegdyś, a potem odeszli, nie wiadomo dokąd. Podziwiał przybyłe zza Morza dumne plemię nieśmiertelnych, lecz skazanych na zgubę. Tak jak oni często, tak i on spojrzał na błyszczące, niespokojne wody toczące fale aż po horyzont. Potem obrócił się i dostrzegł łabędzie, które przysiadły na najwyższym tarasie przed zachodnią bramą. Były skrzydłami, jakby nakłaniały go do wejścia. Wspiał się zatem Tuor po szerokich schodach, na wpół skrytych pod dywanem zawciagu i firletek, przeszedł pod potężnym nadprożem i dał się ogarnąć ceniom domu Turgona. W końcu dotarł do sali o sklepieniu wspartym na wysokich kolumnach. Wprawdzie już z zewnątrz budowla wydawała się ogromna, jednak dopiero teraz

docenić mógł w pełni jej wspaniałość i przestronność. Zalekniony, nie ważył się budzić drzemiących w pustych przestrzeniach ech. Jedynym, co dostrzegł we wnętrzu, było wysokie siedzisko stojące na podwyższeniu u wschodniej ściany. Jak tylko mógł ostrożnie, ruszył w tym kierunku, ale i tak kamienne płyty podłogi odpowiadały jego stopom miarowym stukotem, jakby przeznaczenie dawało znać o sobie, a echo poniosło odgłos daleko naprzód, gubiąc się między odgrodzonymi przez kolumny nawami.

Staął przed pogrążonym w półmroku tronem i ujrzał, że wyciosano go z jednego bloku kamienia i pokryto dziwnymi znakami. Zachodzące słońce spojrzało w tejże chwili prostopadle w wysokie okno u zachodniego szczytu, rozjaśniając ścianę przed Tuorem. Błysnął polerowany metal, wisiała tam bowiem tarcza i obszerna kolczuga, obok hełmu i długiego miecza w pochwie. Kolczuga lśniła, jakby zrobiono ją z czystego srebra, a promienie słońca zalały ją barwą złocistej patoki. Kształt tarczy zdumiał jednak Tuora, była bowiem podłużna i zwężała się ku dołowi. Na błękitnym polu widniało białe skrzydło łabędzie. Wówczas Tuor przemówił, a głos jego niczym wyzwanie zadźwięczał pod sklepieniem:

- Ogłaszam, iż biorę sobie ten oręż i przyjmuję wszelki los, który za jego sprawą mnie dosięgnie ⁸.

Zdjęta ze ściany tarcza okazała się niespodziewanie lekka i poręczna. Wydawała się zrobiona z drewna, jednak kowale elfów obłożyli ją płatami cienkiej jak folia, ale mocnej blachy chroniącej dzieło przed robactwem i zgubnym wpływem pogody.

Potem przywdział Tuor kolczugę i nałożył hełm, wreszcie przypasał miecz tkwiący w czarnej pochwie. Czarny był też pas ze srebrnymi klamrami. Tak uzbrojony, wyszedł z pałacu Turgona i spowity czerwonym blaskiem słońca stanął na najwyższym tarasie na stoku góry. Nie było świadka tej chwili, gdy cały skąpany w srebrze i złocie spojrzał na zachód. Tuor sam nie wiedział, jak bardzo przypominał wówczas potężnych władców Zachodu, kogoś godnego zostać królem nad królami ludzkiego plemienia zza Morza. Bo i takie właśnie było jego zadanie, a wraz z przejściem oręża zmiana zaszła w Tuorze, synu Huora i duch jego urósł. Gdy zstępował ze schodów, łabędzie oddały mu cześć, a każde wyrwawszy ze skrzydeł po jednym piórze, ofiarowały je Tuorowi, składając głowy na kamieniach u jego stóp. Zatknął tedy siedem piór na hełmie, a wówczas olbrzymie ptaki wzniosły się i uleciały ku północy, by zniknąć w

⁸ *Silmarillion* (str. 151) powiada, że gdy Ulmo pojawił się Turgonowi w Vinyamarze i wysłał go do Gondolinu, uczynił to ze słowami: „Może się więc zdarzyć, że klątwa ciążyąca nad Noldorami dosięgnie cię, nim czas się dopełni, i że zdrada zalegnie się także w murach twego grodu. A wtedy zagrozi mu ogień. Gdy wszakże przybliży się to niebezpieczeństwo, przyjdzie ktoś z Nevrastu, aby cię ostrzec i dzięki niemu wśród ruin i płomieni zaświta dla elfów i ludzi nadzieja. Zostaw tedy w swoim nadmorskim domu zbroję i oręż, aby ten, co po latach przyjdzie, mógł znaleźć je tutaj i abyś po tych znakach rozpoznał go i nie dał się zwieść fałszywemu zwiastunowi”. Po czym Ulmo poinstruował Turgona, jaki dokładnie hełm, kolczugę i miecz powinien zostawić.

blasku zachodzącego słońca i nigdy już więcej nie pokazać się oczom Tuora.

Poczuł Tuor teraz, że coś ciągnie go na brzeg morza, zszedł zatem długimi schodami na szeroką plażę u stóp północnego zbocza Tarasness, słońce tymczasem zniknęło za wielką, czarną chmurą, która wychynęła sponad fal ciemniejącego morza. Oziębilo się, powietrze zadrgało, a odległe pomruki przywoływały na myśl odgłosy zwiastujące nadejście burzy. Gdy Tuor stanął na brzegu, słońce widniało już jako skryta za dymem kula ognia, a wielka fala wydawała się wzbierać i toczyć ku brzegowi. Zdumiony i zaciekawiony Tuor nie wykonał jednak najmniejszego ruchu. Powleczone cieniem mgły fala była już bardzo blisko, gdy załamała się, wyciągając ku niemu długie ramiona piany. W miejscu jednak, gdzie grzywacz opadł, mroczniała pośród nadciągającej burzy naznaczona wielkim majestatem, wyniosła sylwetka.

Tuor skłonił się z szacunkiem, zdało mu się bowiem, że patrzy na potężnego króla. Wysoka korona jak ze srebra, długie włosy jaśniejące w półmroku niczym piana. A gdy ów król odrzucił spowijający go mgliście szary płaszcz, ukazała się lśniąca szata przylegająca do ciała tak jak łuska ogromnej ryby, a ciemnozielony kaftan pobłyskiwał niczym morskie fale, gdy postać brodziła z wolna ku brzegowi. Tak Mieszkaniec Głębin, którego Noldorowie zwykli nazywać Ulmo, pokazał się Tuorowi, synowi Huora z rodu Hadora⁹.

Władca Wód nie wyszedł jednak na brzeg, a tylko stojąc po kolana w wodzie, przemówił do Tuora, a za sprawą bijącego z jego oczu blasku i głębi głosu, który dobywał się, jak sądzić by można, z samych fundamentów świata, strach padł na Tuora, aż ten rzucił się na piasek.

- Powstań, Tuorze, synu Huora! - rzekł Ulmo. - Nie lękaj się mego gniewu, chociaż zaprawdę długo pozostawałeś głuchy na moje wołania i ociagałeś się z podróżą, która tutaj miała cię zawieść. Wiosną winienesz stanąć w tym miejscu, a tymczasem zima już nadchodzi z kraju Nieprzyjaciela. Przyjdzie ci teraz szybko się uczyć, miła zaś i bezpieczna droga, którą dla ciebie wytyczyłem, będzie musiała ulec zmianie. Pogardzono bowiem moimi radami¹⁰ i wielkie zło zbiera się nad Doliną Sirionu, i już teraz czereda wrogów zaległa pomiędzy tobą a celem.

- Jakież jest mój cel, panie? - spytał Tuor.

- Ten, który serce ci zawsze dyktowało - odparł Ulmo. - Odnaleźć Turgona i spojrzeć na Ukryte Miasto. Tobie bowiem właśnie pisana jest rola, mego wysłannika. Wszystko dla cię z dawna przygotowałem. Teraz jednak skryty w cieniu musisz ujść niebezpieczeństwu. Owiń się

⁹ Tuor był ojcem Earendila, który był ojcem Elrosa Tar-Minyatura, pierwszego króla Numenoru.

¹⁰ Odnosi się to niechybnie do ostrzeżenia Ulma, które Gelmir i Arminas przynieśli do Nargothrundu.

w ten płaszcz i nie odrzucaj go, aż znajdziesz się u kresu podróży.

Zdało się wtedy Tuorowi, że Ulmo rozszczepił swą szarą szatę. Jedną z fałd pod postacią obszernego płaszcza cisnął młodzieńcowi, a ta spowiła go całego, od stóp do głów.

- W ten sposób wędrować będziesz skryty w moim cieniu - powiedział Ulmo. - Ale nie zwlekaj już, bo nie wytrwa owa opończa zbyt długo w blasku Anaru albo ogni Melkora. Czy przyjmujesz zadanie?

- Tak, panie - odparł Tuor.

- Włożę tedy w twe usta słowa, a ty przekażesz je Turgonowi - rzekł Ulmo. - Najpierw jednak udzielę ci nauki. Usłyszysz rzeczy, których nie słyszał nigdy żaden człowiek, nawet znamienici spośród Eldarów. - Ulmo opowiedział Tuorowi o Valinorze i o zalegającym tam mroku, o wygnaniu Noldorów i Zgubie Mandosa, jak i o zakryciu Błogosławionego Królestwa przed oczami niepowołanych. - Wiedz jednak, że Los (jak nazywać go zwykły Dzieci Ziemi) zawsze zostawia szczeliny pomiędzy swymi wyrokami, a mury gmachu przeznaczenia mają liczne wylomy i trwa to tak, aż rzecz się dopełni w chwili przez was zwanej Końcem. Tak będzie, póki ja istnieję, głosem sekretnym podważając fatum, iskrą światła rozpraszając ostateczne mroki. Chociaż w tych dniach ciemności zdaję się przeciwstawiać woli moich braci, Władców Zachodu, to na tym właśnie polega przeznaczona mi u zarania Świata rola w naszym dziele. Wprawdzie siła potężna stoi za Przeznaczeniem i wydłuża się cień Nieprzyjaciela, a i ja słabnę, aż ostatecznie głos mój w Śródziemiu nie będzie donioślejszy od cichego szeptu. Źródła wód, które biegną ku zachodowi, są zatrute, władza Mieszkańca Głębin zanikła w tych krajach, za sprawą bowiem potęgi Melkora elfy i ludzie oślepli i ogłuchli na moją obecność. Zbliża się spełnienie Kłątwy Mandosa i wszystkie dzieła Noldorów szczyzną, rozwieje się wszelka nadzieja, którą oni zasiali. Została już jedna tylko szansa, przez nich nie przewidziana ani nie stworzona. Wiąże się ona z tobą, albowiem tak wybrałem.

- A zatem Turgon nie stanie przeciwko Morgothowi, jak łudzą się Eldarowie? - spytał Tuor. - Cóż więc przyjdzie ci z tego, panie, jeśli dołączę teraz do Turgona? Owszem, pragnę zrobić to, co uczynił mój ojciec, i stanąć przy królu, gdy ten w potrzebie. Jednak jakież ze mnie pożytek, skoro będę jeno samotnym śmiertelnikiem pomiędzy licznymi i dzielnymi rycerzami Wysokiego Rodu.

- Jeśli postanowiłem wysłać cię tam, Tuorze, synu Hurona, to wierzaj, że nawet jeden twój miecz wiele wart jest w tej sytuacji. Elfy bowiem nigdy nie zapomną o męstwie Edainów i doceniały będą przez wieki całkowitą gotowość ludzi do oddania życia, chociaż tak skąpo zostali nim obdarowani na tym świecie. Jednak nie dla odwagi samej cię wysyłam, ale i po to, byś niósł światu nadzieję, której zwiastunów jeszcze nie widać, małe światełko pośród

mroków.

I gdy mówił tak Ulmo, pomruk morza przeszedł w łoskot, zerwał się wiatr, a niebo poczerniało i szata Pana Wód spłynęła zeń niczym kłęby mgły.

- Ruszaj już - rzekł Ulmo - bo inaczej Morze cię pochłonie! Osse posłuszny jest woli Mandosa, a czyni to w gniewie, gdyż jest sługą Przeznaczenia.

- Jak każesz - odparł Tuor. - Ale jeśli umknę Przeznaczeniu, jakie słowa winienem przekazać Turgonowi?

- Jeśli doń dotrzesz, wówczas właściwe słowa same wykwitną na twych wargach, jakbym to ja sam przemawiał. Mów wtenczas i nie obawiaj się! Potem zaś czynń wedle tego, co mężne serce ci podpowie. I pilnuj otrzymanej ode mnie szaty, bo będzie ona cię strzegła. Przyślę ci też, chroniąc od gniewu Ossego, przewodnika - ostatniego zaprawdę żeglarza z ostatniego statku. Przed wzejściem Gwiazdy popłynie na zachód. A teraz ruszaj w głąb ładu!

Rozległ się huk gromu i błyskawica zamigotała nad morzem, a Tuor ujrzał Ulma, który niby srebrzysta i skąpana w płomieniach wieża stał pomiędzy falami.

- Ruszam, panie! - zawołał, przekrzykując wiatr. - Ale najpewniej serce me tęskniło będzie za morzem.

Wówczas Ulmo uniósł potężny róg i zadał weń, dobywając z instrumentu ton, przy którym ryk burzy był niczym zefirek ledwie muskający spokojną toń jeziora. Gdy ów dźwięk ogarnął Tuora, zdało się młodzieńcowi, że wybrzeże Śródziemia zniknęło i oto oczom jego ukazały się w wielkiej perspektywie wszystkie wody świata: rzeki od źródeł do ujść, przestwór cały od plaż i delt po głębiny. Ujrzał rojące się osobliwymi formami życia, niespokojne i mroczne otchłanie Wielkiego Morza, gdzie w wiecznej ciemności rozbrzmiewały echemi głosy napelniające grozą uszy śmiertelnika. Byстрыm spojrzeniem Valara ogarnął wszystkie te bezkresne przestrzenie skryte powierzchnią wód bezwietrznie trwających pod okiem Anara lub migocących drobnymi falami w blasku rogatego księżyca, a czasem rozbijających się gniewnymi górami fal o brzeg Wysp Cienia¹¹, aż u samego krańca perspektywy, w nie dającej się zmierzyć odległości, dojrzał górę, której ogrom przekraczał ludzkie wyobrażenie. Stopami kąpiąc się w przyboju, wierzchołkiem ginęła w lśniącej chmurze. Wyteżył słuch, by wyłować szum dalekich fal, skupił spojrzenie, chcąc dojrzeć lepiej tamten blask, ale wówczas to dźwięk rogu zamilkł i Tuor znalazł się w samym środku burzy. Widlasta błyskawica przecięła niebo. Ulmo zniknął, morze nacierało, dzikie fale uderzały za sprawą Ossego w mury Nevrastu.

Tuor umknął wściekłości wód, z wielkim trudem wspinając się z powrotem na wysoki

¹¹ Wyspy Cienia to zapewne Zaczarowane Wyspy opisane pod koniec jedenastego rozdziału *Silmarilliona* (str. 120). „Ciągnęły się z północy na południe niby sieć” w czasach Ukrycia Valinoru.

taras. Wiatr przyciskał go do stromego zbocza, a na samej górze powalił na kolana. Tuor ponownie poszukał schronienia w mrocznym i pustym wnętrzu zamku. Całą noc przeczekał na kamiennym tronie Turgona. Burza była tak gwałtowna, że nawet kolumny drżały pod jej naporem, a Tuorowi zdawało się, że wicher niesie dzikie okrzyki i zawodzenia. Zmęczony, przysypiał chwilami, ale dręczyły go wówczas niespokojne sny, z których wszystkie, prócz jednego, umknęły pamięci przy przebudzeniu. Ten jeden dotyczył wyspy, pośrodku której wznosiła się stroma góra. Słońce zachodziło za jej zboczami i cienie rosły coraz dłuższe, ale na nieboskłonie lśniła oślepiająco samotna gwiazda.

Wyśniewszy to, Tuor zasnął wreszcie głęboko, a jeszcze przed końcem nocy burza minęła, wycofując się czarnymi chmurami na wschód. Obudził się Tuor o szarym świcie, zszedł z tronu i ujrzał, że cała mroczna sala pełna była ptactwa morskiego, które znalazło tu schronienie przed sztormem. Wyszedł z zamku, gdy ostatnie gwiazdy bledły na zachodzie przed nadchodzącym dniem. Poznał po śladach, że w nocy wielkie fale wtargnęły daleko w głąb lądu, sięgając aż szczytu wysokiego klifu, wodorosty zaś i wszelkie prądem niesione nieczystości zalegały nawet na tarasie przed zamkowymi drzwiami. Spojrzawszy zaś na najniższy taras, dostrzegł Tuor elfa, okrytego szarym, przemoczonym płaszczem, opierającego się o mur tuż obok zwałów kamieni i wraku statku. Usiadł w milczeniu, wpatrzony w spustoszone sztormem plaże i załamujące się na nich fale, i siedział tak nieruchomo. Nic prócz ryku przyboju nie mąciło ciszy.

Spoglądając na szarą postać, Tuor przypomniał sobie słowa Ulma i jego wargi same wymówiły właściwe imię.

- Witaj, Voronwe! - zawołał. - Oczekiwałem ciebie¹².

Wówczas elf obrócił się i spojrzał w górę, ukazując Tuorowi oczy przenikliwe i szare jak morze, oczy Noldora. Zaraz jednak pojawiły się w tym spojrzeniu i lęk, i zdumienie, wywołane widokiem Tuora stojącego wysoko na murze, w mglistym płaszczu spod którego prześwitywała kolczuga elfów.

Trwali tak przez chwilę w bezruchu, badając nawzajem swe oblicza, aż elf wstał i skłonił się nisko.

- Kim jesteś, panie? - spytał. - Długom borykał się z niespokojnym morzem. Powiedz mi, czy wielkie zaszły tu zmiany od czasu, gdy ostatni raz gościłem w tych krainach? Czy Cię

¹² Por. *Silmarillion*, str 238-239: „Przychylając się do tej [Turgona] prośby [po Nirnaeth Arnoediad], Kirdan zbudował siedem chyżych statków, które pożeglowały na zachód. O wszystkich słuch zaginał, tylko o jednym z nich, ostatnim, doszła na wyspę Balar jakaś wieść. Załoga tego statku długo walczyła z morzem i w końcu zrozpaczona zawróciła ku Śródziemni, lecz gdy żeglarze już widzieli brzegi, rozszalał się sztorm i statek zatonął. Z całej załogi jednego tylko elfa uchronił Ulmo od gniewu Ossego. Ten ocalony nazywał się Voronwe i był jednym

został pokonany? Czy Ukryty Lud opuścił schronienie?

- Nie - odparł Tuor. - Cień urósł w siłę, a Ukryci pozostają w swym odosobnieniu.

Voronwe spoglądał nań dłuższą chwilę, nie wypowiadając ani słowa.

- A ty kim jesteś? - spytał ponownie. - Wiele lat temu mój lud opuścił te ziemie i od tamtej pory nikt nowy tu nie zamieszkał. Ty zaś, mimo odzienia, nie przynależysz do tego plemienia, ale raczej do człowieczego rodu.

- Owszem - odrzekł Tuor. - A czy tyś ostatni żeglarz z ostatniego statku, który wyruszając z Przystani Kirdana poszukać miał drogi na zachód?

- Tak. Jestem Voronwe, syn Aranwego. Ale skąd znasz moje imię i losy, tego nie pojmuję.

- Znam je, ponieważ wczoraj wieczorem przemówił do mnie Pan Wód - odparł Tuor. - Powiedział, że uratuje cię przez gniewem Ossego i przyśle tutaj, byś został mym przewodnikiem.

- Rozmawiałeś z Potężnym Ulmo? - zawołał Voronwe z lękiem i podziwem. - Niezwykłe zaiste muszą być twe przymioty i wielkie przeznaczenie! Ale gdzież mam poprowadzić ciebie, panie, króla ludzi, jak sadzę, na którego rozkazy bez wątpienia czekają poddani.

- Jestem jedynie zbiegłym niewolnikiem - wyjaśnił Tuor - banitą samotnie blakającym się po obcym kraju. Niosę jednak wiadomość dla Turgona, Ukrytego Króla. Czy nie znasz drogi wiodącej do niego?

- W tych złych czasach los niewolników i banitów łącznie spotyka wielu zrodzonych do innego życia - odparł Voronwe. - Myślę, że wedle prawa jesteś władcą ludzi. Ale najwyższa godność pośród twego plemienia to nie dość, by niepokoić Turgona i próżne będzie twe poszukiwanie. Bo nawet, gdybym do samych jego bram cię doprowadził, nie zostaniesz wpuszczony.

- Nie żądam, byś poprowadził mnie dalej niż do bramy - powiedział Tuor. - Tam Przeznaczenie zmierzy się z Wolą Ulma. Jeśli Turgon mnie nie przyjmie, wówczas moje zadanie dobiegnie końca i zgubne Przeznaczenie przeważy. Jeśli zaś mówić o mym prawie do poszukiwań Turgona, jestem Tuor, syn Huora i krewny Hurina, a te imiona Turgon pamięta. Poszukuję go także na polecenie Ulma. Czy Turgon może zapomnieć to, co niegdyś od niego usłyszał? „Ostatnia nadzieja dla Noldorów nadejdzie z Morza”. Lub też: „Gdy nadejdzie czas niebezpieczeństwa, wówczas zjawi się ktoś z Nevrastu, by cię ostrzec”¹³. To ja jestem tym,

z posłów przysłanych przez Turgona z Gondolinu”. Zob. również *Silmarillion*, str. 292.

¹³ Słowa wypowiedziane przez Ulma do Turgona pojawiają się w *Silmarillionie* w następującym brzmieniu (str.

komu dane jest nadejść, mam na sobie strój uszykowany dla mnie na tę właśnie okazję.

Tuor zdumiał się, słysząc własne słowa, bo wcześniej nie był świadom proroctwa Ulma o przybyśzu z Nevrastu, nie znał go nikt poza Ukrytym Ludem. Wypowiedź tym bardziej zaskoczyła Voronwe; odwrócił się jednak, spojrzał ku Morzu i westchnął.

- Niestety! Nie pragnąłem tu wracać. Przysięgałem nierzadko pośród wodnych przestworów, że jeśli kiedyś jeszcze postawię stopę na suchym lądzie, to zamieszkam z dala od Cienia na Północy, w Przystani Kirdana lub też na jasnych łąkach Nantathren, gdzie wiosna przychodzi słodsza niż porywy serca. Ale skoro zło wzrosło w siłę w czasie mej wędrówki i lud mój znalazł się w niebezpieczeństwie, to muszę wrócić do pobratymców. - Spojrzał na Tuora. - Zaprowadzę cię do ukrytej bramy, bo niemądrze jest sprzeciwiać się woli Ulma.

- Pójdziemy więc razem, skoro jego wola nas połączyła - powiedział Tuor. - Ale porzuć żalność, Voronwe! Serce podpowiada mi, że droga twego żywota zaprowadzi cię jeszcze do upragnionego celu i twa nadzieja powróci do Morza ¹⁴.

- I twoja także - rzekł Voronwe. - Ale teraz pora nam już najwyższa wyruszyć.

- Zaiste. Ale kędy i jak daleko zamierzasz mnie poprowadzić? Czy nie powinniśmy najpierw zastanowić się nad wyborem drogi przez pustkowia, gdzie nie znajdziemy osłony przed surową zimą?

Voronwe jednak nie chciał zdradzić żadnych szczegółów dotyczących szlaku.

- Znasz siłę człowieczą - stwierdził w końcu. - Ja zaś jestem Noldorem i wielkiego zaiste chłodu i głodu trzeba, by powalić jednego z tych, którzy przeszli niegdyś przez Cieśninę Lodowej Kry. Jak inaczej dawałbym sobie radę pośród słonych wód morza? Czy nie słyszałeś nigdy o sucharach elfów? Jak wszyscy marynarze, zachowuję je przy sobie do końca. - Odchylił płaszcz, pokazując zatknięty za pasem szczelny pakunek. - Żadna woda mu nie straszna, póki go nie rozerwę. Musimy jednak zachować to na czarną godzinę, ostatecznie banita i myśliwy z pewnością znajdzie coś do zjedzenia, nawet jeśli czas temu nie sprzyja.

- Może - odparł Tuor. - Ale nie wszędzie bezpiecznie jest polować, nie zawsze też jest na co. Poza tym łowy przedłużają wędrówkę.

Tuor i Voronwe przygotowali się do drogi. Tuor zabrał jeszcze ze ściany mały łuk i strzały, ale włącznie z wypisanym runami elfów Północy jego imieniem zostawił na znak, że odwiedził to miejsce. Voronwe nie miał żadnej broni, prócz krótkiego miecza.

151): „Pamiętaj, że prawdziwa nadzieja Noldorów świeci na zachodzie i przychodzi zza morza”, oraz „Gdy wszakże przybliży się niebezpieczeństwo, przyjdzie ktoś z Nevrastu, aby cię ostrzec”.

¹⁴ *Silmarillion* milczy o dalszych losach Voronwego po jego powrocie wraz z Tuorem do Gondolinu, pierwotna jednak wersja opowieści („O Tuorze i wygnańcach z Gondolinu”), powiada, że zdołał on umknąć z okrążonego grodu - jak sugerują to słowa Tuora.

Jeszcze przed południem opuścili pradawną siedzibę Turgona i Voronwe poprowadził Tuora ku zachodowi, najpierw schodząc po stromych stokach góry Taras, potem przecinając rozległy przylądek. Niegdyś biegła tam droga wiodąca z Nevrastu do Brithombaru, teraz zarosła zielenią pomiędzy torfowymi nasypami. Tak doszli do Belerianu i północnej części Falas, a zwróciwszy się na wschód, poszukali cienistych jarów Ered Wethrinu, gdzie poczekali w ukryciu, aż zapadnie zmrok. Bo chociaż starożytne siedziby Falathrimu, Brithombaru i Eglarestu były jeszcze daleko, to teraz rządzi tu Orkowie, a cały kraj roił się od szpiegów Morgotha, który obawiał się, że dobijające niekiedy do wybrzeży okręty Kirdana mogą połączyć się z najeźdźcami wysłanymi z Nargothrundu.

Posiadując skuleni niby szare cienie u stóp wzgórz, pogadywali sporo, ale ledwo Tuor jął wypytywać Voronwe o Turgona, elf powściągał język, rozwodząc się raczej o siedzibach na Wyspie Balar i w Lisgardh, krainie trzciny u ujścia Sirionu.

- Liczba przemieszkujących tam Eldarów rośnie powiedział - coraz ich bowiem więcej umyka przed Morgothem, dość mając wojny. Ja jednak nie opuściłem moich pobratymców z własnego wyboru. W rok po Bragolach i przerwaniu oblężenia Angbadu, zwątpienie wkradło się do serca Turgona wraz z obawą, że Morgoth może jedna okazać się zbyt potężny. Wówczas to pierwsi jego wysłannicy, garstka ledwie, przeszli bramę od tej strony. Tajna misja nie powiodła się jednak, niczego nie osiągnęli, wyjąwszy dotarcie do wielkiej wyspy Balar, gdzie z dala od wpływów Morgotha założyli samotną kolonię. Noldorowie bowiem nie są biegli w sztuce budowania statków na tyle mocnych, by pokonały fale Belegaera Wielkiego¹⁵.

Ale gdy później Turgon usłyszał o zniszczeniu Fala i splądrowaniu pradawniej, nieodległej stąd przystani skutników, gdy dowiedział się, że Kirdan nie zdołał ocalić swego ludu i pożeglował na południe do zatoki Balar, wówczas raz jeszcze posłał umyślnych. Było to całkiem niedawno, chociaż dla mnie wieki całe minęły od tej chwili. Znajdowałem się bowiem pomiędzy tymi, których wysłano, chociaż młody wciąż jestem jak na Eldara. Urodziłem się tutaj, w Śródziemiu, w Nevraście. Moja matka pochodziła z Szarych Elfów, a łączyła ją więź

¹⁵ Por. *Silmarillion*, str. 192: „[Turgon] był też przekonany, że koniec oblężenia był początkiem upadku Noldorów - nieuchronnego, jeśli nie nadejdzie jakaś potężna pomoc. Wysłał więc tajemnie oddziały Gondolindrimów do ujścia Sirionu i na wyspę Balar. Spełniając rozkazy króla, elfowie zbudowali tam statki i pożeglowali na najdalszy zachód, aby odszukać Valinor i wyprosić u Valarów przebaczenie i pomoc; mieli nadzieję, że ptaki morskie staną się dla nich przewodnikami. Ale morze było ogromne i burzliwe, osłonięte cieniem i mocą czarów, a Valinor zakryty przed ich oczyma. Żaden więc z wysłanników Turgona nie dopłynął do zachodniego brzegu, wielu zginęło po drodze, a tylko nieliczni wrócili z tej wyprawy”.

W jednym z „pierwotnych tekstów” *Silmarilliona* jest mowa o tym, że chociaż Noldorowie „nie znali sztuki skutniczej i wszystkie okręty, które dane było im zbudować, niepewnie żeglowały i wiatry często cofały je do przystani”, to jednak po Dagor Bragollach „Turgon ustanowił tajną kryjówkę na wyspie Balar”, a kiedy po Nirnaeth Arnoediad Kirdan i pozostali z jego szczepu uciekli z Brithombaru i Eglarestu na Balar, wówczas to „zmieszali się z ludem Turgona”. Ten jednak fragment opowieści został wykluczony z wydania *Silmarilliona* i przez to nie ma tam ani wzmianki o założeniu przez elfy z Gondolinu osady na wyspie Balar.

krwi z samym Ulmem (w pierwszych latach panowania Turgona nierzadko zdarzały się takie mieszane związki), noszę więc z właściwą plemieniu matki miłość do morza. Dlatego właśnie dobrano mnie do kompanii, bo przecież zadaniem nas było pozyskanie pomocy Kirdana w budowaniu statków. Mieliśmy zanieść wieści i błagania o wsparcie do Władców Zachodu, nim wszystko przepadnie. Zamarudziłem jednak po drodze. Niewiele dotąd widziałem Śródziemia, a do Nantathren dotarliśmy wiosną. Uroczy to kraj Tuor i sam się o tym przekonasz, jeśli kiedykolwiek stopa twoja postanie na wiodących ku południu drogach w dole biegu Sirionu. Znaleźć tam można lekarstwo na wszelką tęsknotę za morzem, skuteczne dla wszystkich, prócz naznaczonych przez Los. Tamże Ulmo jest sługą jedynie Yavanny, a ziemia daje życie szlachetnemu bogactwu, niewyobrażalnemu wprost dla kogoś tkwiącego pośród wzgórz Północy. Tam też Narog wpada do Sirionu, którego nurt łagodnieje i rzeka rozlewa się szeroko, leniwie płynąc pomiędzy pełnymi życia łąkami. Na jej brzegach zwartym lasem rośnie tatarak, a trawy mieniają się klejnotami kwiatów, dzwonków, płomieni czerwonych i złotych, niczym kolorowe gwiazdy rzuconych na zielony firmament. Najpiękniejsze ze wszystkiego są jednak wierzby Nantathrenu, bladozielone, srebrzyste na wietrze, niezliczonymi liśćmi szeleszczące w zakłętej melodii. Dni i noce mijały mi tam niepostrzeżenie, a ja stałem w wysokiej po kolana trawie i słuchałem. Oczarowany, zapominałem o Morzu, w wędrówce, nadając nazwy nowym kwiatom, polegając, by posłuchać śpiewu ptaków, brzęczenia pszczoł oraz wszelkich innych owadów.

I mógłbym dalej tam błędzić, nie myśląc o pobratymcach, o statkach Telerich i mieczach Noldorów, ale przeznaczenie dało znać o sobie. Może zresztą stało się to za sprawą Pana Wód, silna bowiem jest jego władza w tej krainie.

Tak więc przyszło mi do głowy, by zbudować tratwę z witek wierzby i powierzyć swój los jasnemu nurtom Sirionu. Uczyniłem to, a pewnego dnia, gdy żeglowałem środkiem rzeki, nagły poryw wiatru porwał mnie i wyniósł z Krainy Wierzb do Morza. Jako ostatni z wysłanników przybyłem do Kirdana, kiedy to siedem statków, które tenże wybudował na prośbę Turgona, było już gotowych. Wszystkie ukończono, prócz jednego. Po kolei odpływały na Zachód, ale żaden jeszcze nie powrócił i wszelki śluch po nim zaginął.

Jednak słone morskie powietrze na nowo obudziło we mnie dziedzictwo krwi matczynej, z radością przeto zabrałem się do nauki żeglowania, która przychodziła mi bardzo łatwo, jakbym już z dawna wiedział o każdym szczególe. Gdy ostatni, największy statek, został ukończony, paliłem się, by na nim wyruszyć, i powtarzałem sobie w myślach: „Jeśli słowa Noldorów są prawdziwe, to na zachodzie rozciągają się łąki, przy których Kraina Wierzb jest niczym. Nie ma tam wiatrów, a wiosna trwa wiecznie. Może nawet ja, Voronwe, zdołam

dotrzeć do tego miejsca. W najgorszym zaś razie żegluga lepsza jest niż trwanie w Cieniu Północy”. I nie bałem się, żadne bowiem fale nie zatopią statków Telerich.

Jednak straszne są odmęty Wielkiego Morza, Tuorze, synu Huora, i nienawidzi ono Noldorów, posłuszne bowiem Valarom służy dziełu fatalnego Przeznaczenia. Gorsze rzeczy chowa, niż tylko utonięcie w otchłani i zatrąę na wieczność, bo i nienawiść, i samotność, i szaleństwo. Przerażanie wichurą i burzą, ciszą martwą, odbierające wszelką nadzieję cienie, w których zetraca się wszystko, co żywe. Obmywa liczne brzegi dziwne i złe, wiele wysp niebezpiecznych, zarażonych strachem. Nie będę zmrażał ci serca, synu Śródziemia, opowieściami o siedmiu latach żeglugi po Wielkim Morzu z północy na południe, nigdy jednak na zachód. Ta droga była przed nami zamknięta.

Nareszcie, w czarnej rozpacz y pogrążeni i zmęczeni śmiertelnie, zawróciliśmy i umknęliśmy fatum, które oszczędzało nas tak długo po to jedynie, by tym okrutniej potem doświadczyć. Bo gdy dojrzeliliśmy z daleka górę, a ja zawołałem: „Patrzcie! Oto Taras, kraina mych narodzin”, zerwał się wiatr i ciemne niczym ołów chmury przygnały z zachodu. Porwały nas fale jak żywe, złośliwe bestie, błyskawice oślepiły, a gdy runęły maszty, morze poniosło bezwładny kadłub. Mnie jednak oszczędziło. O ile pamiętam, w pewnej chwili nadciągnęła fala większa od innych, ale i spokojniejsza. Zabrała mnie z pokładu i przetoczywszy na swym grzbiecie, rzuciła na wysoki brzeg, po czym cofnęła się, wodospadem spływając z klifu. Godzinę tam siedziałem, gdy nadszedłeś, zastając mnie wpatzonego wciąż w morze. Wciąż czuję lek towarzyszący tamtemu wydarzeniu i boleję nad gorzkim losem mych towarzyszy, z którymi tyle przewędrowałem, docierając do obszarów niewidocznych z krain śmiertelników.

Voronwe westchnął i odezwał się spokojniej, jakby mówił sam do siebie:

- I tak jasno lśniły gwiazdy na krańcu świata w tych chwilach, gdy rozpraszały się chmury zachodu. Ale czy tylko ciężkie obłoki widzieliśmy, czy rzeczywiście, jak utrzymywali niektórzy, dane było nam dostrzec Góry Pelori otaczające naszą utraconą ojczyznę, tego nie wiem. Daleko, bardzo daleko się wznoszą i nikt z krain śmiertelnych nigdy już tam najpewniej nie dotrze. - Aż umilkł Voronwe, bo noc już nadeszła wraz z białym i zimnym blaskiem gwiazd.

Wstawszy, Tuor wraz z Voronwe odwrócili się plecami do morza, zaczynając swą długą podróż w mroku. Niewiele da się o niej powiedzieć, cień Ulma bowiem skrywał Tuora, toteż nikt nie widział ich przemarszu pomiędzy lasami i skałami, polami i moczarami, wschodami i zachodami słońca. Wciąż jednak szli wytrwale, umykając nocnym drapieżcom Morgotha, omijając ścieżki wydeptane przy elfy i ludzi. Voronwe wybierał szlak, Tuor podążał za nim, nie zadając przy tym niepotrzebnych pytań i zdumiewając się tylko, że zmierzają wciąż

na wschód, równolegle do gór, nie skręcając wcale na południe. Tak jak pozostałe elfy i wszyscy ludzie, Tuor sądził, że Turgon osiedlił się z dala od pól bitewnych Północy.

Zmrokiem i nocą powoli przedzierali się przez bezdroża, a gdy zima nadciągnęła wcześniej z królestwa Morgotha, nawet kotliny pomiędzy wzgórzami nie były wystarczającym schronieniem przed silnymi, kłuszącymi chłodem wiatrami. Nie trwało długo, a głęboki śnieg zaległ na wzgórzach, zadymką grożąc na przełęczach, okrył bielą lasy Nuath, zanim jeszcze zdążyły opaść zwiędłe liście¹⁶. Tak zatem, chociaż wyruszyli w drogę przed połową Narquellie, gdy zbliżyli się do źródeł Narogu, Hisime nadszedł wraz z siarczystym mrozem.

Tam właśnie przystanęli o szarej godzinie u kresu nocy, a skonsternowany Voronwe spojrzał wokoło z żalem i przerażeniem. Miast stawu jaśniejącego w kamiennej misie, którą niegdyś wyźłobiły spadające wody, miast porosłej drzewami dolinki u stóp wzgórz, ujrzeli kraj splugawiony i obumarły. Drzewa spalone były lub wyrwane z korzeniami, skały nabrzeżne zaś skruszone i spękane, tak że wody Ivriu rozlały się rozległym, jałowym bagnem pośród zniszczonego ładu. Błoto zamarzło obecnie i tylko zatęchły smród zgnilizny zalegał niby mgła nad ziemią.

- Czyżby zło dotarło aż tutaj? - krzyknął Voronwe. - Niegdyś zakątek ten bezpieczny był przed zapędami Angbadu, ale widzę, że ręce Morgotha sięgają coraz dalej.

- Jest tak, jak zapowiadał Ulmo - rzekł Tuor. - „Źródła wód, które biegają ku zachodowi, są zatrute, moja władza zanikła w tych krajach”.

- Objawiła się tu siła złości większej niż prosta złośliwość Orków - odparł Voronwe. - Strach czai się w tym zakątku. - Przepatrzył jeszcze skraj bagna, aż nagle znieruchomiał i znowu krzyknął: - Tak, wielkie zło!

I skinął na Tuora, a gdy ten podszedł bliżej, dostrzegł wielką bruzdę przypominającą trop. Po obu stronach wiodącego na południe śladu widniały utrwalone przez mróz odciski pazurzystych łap.

- Widzisz! - dodał Voronwe z twarzą pobladłą ze zgrozy i obrzydzenia. - Nie tak dawno przechodził tędy Wielki Robak Angbadu, najokrutniejszy spośród wszystkich potworów Nieprzyjaciela! Już jesteśmy spóźnieni i trzeba nam ze wszystkich sił pospieszać do Turgona.

Gdy to powiadał, z głębi lasu dobiegło ich wołanie, przystanęli zatem, zasluchani, pomiędzy szarymi głazami. Głos był czysty, choć nabrzmiały żalem i zdawał się wzywać po imieniu kogoś zagubionego. Wtem zza drzew wyszedł jakiś człowiek, wysoki, uzbrojony i odziany w czerń, z długim mieczem w ręku. Zdumieli się, ostrze miecza bowiem też było

¹⁶ Lasy Nuath nie są wymienione w *Silmarillionie*, nie ma ich też na dołączonej do książki mapie. Rozciągały się na zachód od górnego biegu Narogu ku źródłu rzeki Nenning.

czarne, jedynie na krawędziach lśniło mocnym, chłodnym blaskiem. Mężczyzna miał niedolę wypisaną na twarzy, a gdy ujrzał spustoszenia nad brzegami Ivrinu, zakrzyknął zrozpaczony:

- Ivrin, Faelivrin! Gwindor i Beleg! Tutaj zostałem niegdyś uzdrowiony! Nigdy już jednak nie zaczerpnę z tej krynicy spokoju.

Potem odszedł ku północy, a uczynił to szybko, jak ktoś w pogoni lub jak nie cierpiący zwłoki posłaniec z pilnym zadaniem. Słyszeli jeszcze jego wołanie: Faelivrin, Findulas!, aż głos jego ucichł za drzewami¹⁷. Nie wiedzieli, bo wiedzieć nie mogli, że Nargothrond padł i że oto spotkali Turina, Hurinowego syna zwanego Czarny Miecz. W tej oto jednej, jedynej minucie skrzyżowały się na chwilę szlaki tych dwóch krewniaków, Turina i Tuora.

Gdy Czarny Miecz ich minął, Tuor i Voronwe podążyli w dalszą drogę, chociaż dzień już zaświtał. Udzielił im się żal nieznanego wędrowca, nie mogli też ścierpieć widoku splugawionego Ivrinu. Szybko jednak poszukali schronienia, wyczuwali bowiem coś złego wiszącego w powietrzu. Sen ich był krótki i niespokojny. Wraz ze zmierzchem padać zaczął gęsty śnieg, noc zaś powitała wędrowców siarczystym mrozem. Od tamtej pory śnieg i lód nie topniały przez całe pięć miesięcy surowej zimy, która na długo wryła się w pamięć mieszkańcom Północy. Tuor i Voronwe cierpieli katusze z zimna, obawiali się także, że wrogowie łatwo wypatrzą ich ślad. Czujnie stawiali każdy krok, nie chcąc wpaść w skryte pod białą powłoką pułapki. Dziewięć dni tak wędrowali, stąpając coraz wolniej i z większym wysiłkiem, aż Voronwe zaczął skręcać nieco ku północy, póki nie przeszli trzech strug źródeł Teiglinu, potem elf znowu ruszył na wschód, oddalając się od gór. Zmęczeni, minęli Glithui i dotarli do zamrożonego i czarnego strumienia Malduin¹⁸. Tutaj Tuor powiedział do Voronwego:

- Mróz jest okrutny i śmierć czai się z każdym dniem bliżej, jeśli nie na ciebie, to na mnie na pewno. - Z każdym dniem pogarszała się ich kondycja, dawno już nie znaleźli w głuszy niczego do jedzenia, zapas sucharów kurczył się niepokojąco, byli zziębnięci i osłabieni.

- Niedobrze jest znaleźć się pomiędzy zgubnym Przeznaczeniem Valarów a Złem Nieprzyjaciela - odparł Voronwe. - Czy po to umknąłem morskim falom, by znaleźć grób pod śniegiem?

- Ile drogi nam jeszcze zostało? - spytał Tuor. - Dość tajemnic, Voronwe, przynajmniej wobec mnie. Czy prowadzisz prosto, czy kluczysz? Jeśli bowiem mam zdobyć się na dalszy

¹⁷ Por. *Silmarillion*, str. 255-256: „Córka króla Orodretha, Findulas, poznała go i przywitała mile, gdyż kochała Gwindora, zanim poszedł walczyć w bitwie Nirnaeth, on zaś tak był rozmiłowany w jej piękności, że nazywał ją Faelivrin, czyli Odblaskiem Słońca na Rozlewiskach Ivrin”.

¹⁸ Rzeka Glithuina nie pojawia się w *Silmarillionie*, nie ma też jej nazwy na mapie, chociaż sama rzeka tam widnieje: dopływ Teiglinu, nieco na wschód od Malduiny.

marsz, muszę wiedzieć, jaki wysiłek mnie czeka.

- Wiodłem cię drogą na tyle prostą, na ile tylko było to możliwe i bezpieczne - odparł Voronwe. - Wiedz zatem, że Turgon nadal zamieszkuje na północy kraju Eldarów, chociaż niewielu w to wierzy. Jesteśmy już blisko, mimo to przed nami wciąż niemało staj do przebycia, nawet lotem ptaka, a nas czeka jeszcze przeprawa przez Sirion i nie wiemy, jakie zło spotkać nas może na szlaku. Zapewne niedługo dojdziemy do gościńca, który wiodł niegdyś od Minas króla Finroda do Nargothrond¹⁹. Szlak ten pozostaje pod ciągłą strażą Nieprzyjaciela.

- Uważałem się za najtwardszego z ludzi - powiedział Tuor. - Wiele zim przecierpiałem w górach, tam jednak miałem schronienie jaskini i ogień, teraz zaś widzę, że w ten głodny, mroźny czas przyjdzie zdobyć się na większy jeszcze wysiłek. Wędrujemy więc, jak długo się da, nim nadzieja nas opuści.

- Nie mamy wyboru - stwierdził Voronwe - chyba że zlegniemy na śniegu, by zamarznąć we śnie.

Tak też brnęli z mozołem przez cały ten goryczy pełen dzień, uznając srogość zimy za wroga większego niż nieprzyjacioły, jednak im dalej szli, tym mniej znajdowali śniegu, skierowali się bowiem z powrotem na południe, ku Dolinie Sirionu, góry Dorlominu zostawiając daleko za sobą. W zapadającym zmierzchu dotarli do gościńca biegnącego u stóp wysokiego, lasem porośłego wału i tam nagle dobiegły ich głosy. Wyjrzawszy ostrożnie spośród drzew, ujrzeli w dole czerwone światło. Gromada Orków obozowała pośrodku drogi przy wielkim ognisku.

- Gurth an Glamhoth!²⁰ - mruknął Tuor. - Pora wyłonić się mieczowi spod płaszcza. Gotów jestem zaryzykować życie, byle poczuć ciepło tego ognia. Nawet mięso Orków byłoby mi miłą strawą.

- Nie! - stwierdził Voronwe. - W tej podróży tylko płaszcz może się przysłużyć. Nie myśl o ogniu, chyba że zapomnieć chcesz o Turgonie. To nie jedyna banda w głuszy. Czy twe oczy śmiertelnika nie dostrzegają odległych światła innych posterunków na północy i południu? Zgiełk sprowadzi nam wrogów na głowy. Posłuchaj mnie, Tuorze! Wbrew prawu Ukrytego Królestwa jest, by ktoś zbliżał się do jego granic z nieprzyjacioły depczącymi mu po piętach, a ja nie złamię tego prawa i nie zmusi mnie do tego ani Ulmo, ani sama śmierć. Zostawię cię, jeśli zaczeptysz Orków.

¹⁹ O drodze tej czytamy w *Silmarillionie* (str. 250): „Posuwali się odwiecznym szlakiem, prowadzącym przez długi wąwóz Sirionu obok wyspy, na której Finrod zbudował swoją wieżę Minas Tirith, następnie przez krainę pomiędzy Malduiną a Sirionem i dalej skrajem lasu Brethil do Przeprawy na Teiglinie”.

²⁰ „Śmierć Glamrothom!” To drugie słowo, chociaż nie występuje w *Silmarillionie* ni *Władcy Pierścieni*, określało w języku sindarińskim Orków jako takich. Dokładnie znaczy tyle, co Jazgotliwa banda” czy „armia wrzawy”. Por.

- Dobrze, minę ich - powiedział Tuor. - Ale niech dożyję tego dnia, gdy nie będę już musiał przemykać obok garstki Orków niczym tchórzliwy pies.

- Dalej! - polecił Voronwe. - Dość gadania, bo nas wyczują. Ruszaj za mną!

Przekradł się na południe, z wiatrem, aż znaleźli się w połowie drogi pomiędzy tym obozowiskiem a następnym. Tam przystanęli na dłuższą chwilę, nastawiając uszu.

- Nie słyszę nikogo na drodze - rzekł - ale nie wiemy, co może czaić się w cieniu. - Zerknął przed siebie, w mrok i wzdrygnął się. - Złe jest to powietrze - mruknął. - Niestety! Tuż przed nami leży kraina, cel naszej wyprawy i nadzieja życia, ale śmierć nas od niej odgradza.

- Śmierć jest wszędzie wkoło nas - stwierdził Tuor. - Sił zostało mi jednak tylko na przebycie najkrótszej z dróg. Musimy przepawić się tutaj, inaczej już po nas. Zaufam szacie Ulma, powinna skryć również i ciebie. Teraz ja poprowadzę!

Tak mówiąc, podkraść się do skraju drogi, potem, obejmując mocno Voronwego, narzucił na obu fałdy szarego płaszcza Pana Wód i ruszył naprzód.

Trwała niczym nie zmacona cisza. Podmucha zimnego wiatru przemknął nad dawną drogą. Nagle ucichł i on, a Tuor wyczuł zmianę w powietrzu, jakby oddech tchnący z krainy Morgotha osłabł na chwilę, ustępując nikłemu jak wspomnienie morza powiewowi z zachodu. Niczym szara mgła przemknęli po kamiennym gościńcu i zniknęli w gęstych zaroślach po wschodniej stronie.

W tejże chwili tuż obok rozległ się dziki wrzask i zaraz zawtórowały mu następne po obu stronach drogi. Chrapliwie odezwał się róg, dały się słyszeć odgłosy bieganiny. Tuor jednak nie wpadł w panikę. Dość poznał w niewoli język Orków, by zrozumieć znaczenie tych krzyków: strażnicy zwietrzyli ich i usłyszeli, ale nie dojrzeli. Pościg jednak wyruszył, zatem Tuor z wysiłkiem zaczął przekradać się dalej z Voronwem u boku, wspinając się po łagodnym stoku porośłym kolcolistem i czernicą, płacząc się w gęsto rosnącej jarzębinie i niskich brzozech. Przystanęli na grani, nasłuchując dobiegających z dołu krzyków i czynionego przez Orków łomotu.

Tuż obok wyrastał ze splątanych wrzośców i jeżyn spory głaz, pod nim zaś otwierała się jama, wspaniale nadająca się na schronienie dla ściganego zwierzęcia, nadzieja, jeśli nie na umknienie prześladowcom, to przynajmniej na drodze sprzedanie swego życia. Tuor wciągnął Voronwego w ciemną niszę, gdzie położyli się obok siebie i przykryci szarym płaszczem dyszel jak zgonione lisy. Nie wypowiedzieli ani słowa, cali zamienieni w słuch.

Odgłosy pogoni słabły coraz bardziej, Orkowie bowiem nie zapuszczali się nigdy zbyt głęboko w głąsę po obu stronach drogi, poprzestając raczej na krążeniu po samym gościńcu.

Zbiegowie mało ich obchodzili, obawiali się jednak szpiegów i zbrojnych oddziałów wroga, Morgoth bowiem wysłał strażników na szlak nie po to, by zatrzymali Tuora i Voronwego (o których, jak dotąd, nic nie wiedział) czy też kogokolwiek nadciągającego z zachodu, ale by wypatrywali Czarnego Miecza i przeszkodzili mu w ucieczce i ściganiu uprowadzonych z Nargothrundu jeńców, a może nawet sprowadzeniu pomocy z Doriathu.

Noc mijała i cisza znów zapadła nad martwymi krainami. Znużony i wyczerpany, Tuor spał przykryty płaszczem Ulma, Voronwe wypełził jednak spod kamienia i milczący stał bez ruchu, penetrując elfimi oczami wszystkie cienie. O świcie obudził Tuora, a gdy ten wyrzwał na świat, zauważył, że pogoda zaiste poprawiła się chwilowo i wiatr odegnał czarne chmury. W różowym brzasku dostrzegł odległe szczyty dziwnych gór, odcinające się na tle ogarniętego porannym pożarem nieba.

Wówczas Voronwe wyszeptał:

- *Alae! Ered on Echoriath, ered e.mbar nin!*²¹ - Wiedział bowiem, że patrzy na Góry Okrężne, otaczające murem królestwo Turgona. Poniżej, w głębokiej i cienistej dolinie, płynął jasny i sławiony w pieśni Sirion, dalej zaś, otulone we mgły, rozciągało się pogórze, od brzegów rzeki ciągnące się aż do skruszonych wzniesień u stóp wysokich gór. - Za nimi leży Dimbar - powiedział Voronwe. - Obyśmy do niego dotarli! Tam nasi wrogowie rzadko odważają się zapuszczać, a przynajmniej było tak w czasach, gdy moc Ulma żyła w Sirionie. Teraz jednak wszystko mogło się zmienić²², wszystko, prócz samej rzeki, która zawsze była niebezpieczna. Głęboka jest i bystry jej nurt, nawet Eldarom niełatwo ją przebyć. Dobrze cię jednak poprowadziłem, tam bowiem pieni się Bród Brithiach, trochę tylko na południe. Niegdyś tamtędy przebiegała Wschodnia Droga z Tarasu. Nikt, ani elf, ani człowiek, ani Ork, nie waży się teraz jej przebyć, chyba że w ostatecznej potrzebie, szlak ten bowiem wiedzie do Dungorthebu i krainy strachu pomiędzy Gorgoroth i Obręczą Meliany. Trakt zarósł już dawno, zostawiając po sobie jedną ścieżkę wijącą się pomiędzy krzewami i ciernistymi powojami²³.

Wówczas Tuor spojrzał tam, gdzie wskazywał Voronwe, i dojrzał w dali błysk otwartych wód lśniących w promieniach poranka, za nimi jednak trwała ciemność wielkiej puszczy Brethilu ciągnącej się ku odległym wyżynom na południu. Z wysiłkiem zeszli po

²¹ Echoriath: Góry Okrężne otaczające równinę Gondolinu, ered e.mbar nim: góry mego domu.

²² W *Silmarillionie*, str. 244, Beleg z Doriathu powiada Turinowi (a dzieje się to kilka lat przed czasem tu zamieszczonej opowieści), że Orkowie znaleźli drogę przez przełęcz Anach i „Dimbar, kraina dawniej tak spokojna, już czuje nad sobą władzę Czarnej Ręki”.

²³ Tąże drogą Maeglin i Aredhel uciekli do Gondolinu przed pościgiem Eola (*Silmarillion*, str. 16), później Kelegorm i Kurufin obrali ją wygnani z Nargothrundu (tamże, str. 213). Wzmianka na temat zachodniego przedłużenia drogi do sławnej siedziby Turgona u stóp góry Taras, pojawia się dopiero w niniejszym tekście. Na mapie szlak urywa się w miejscu połączenia ze starym, południowym gościńcem wiodącym wzdłuż północno-zachodniego skraju Brethilu do Nargothrundu.

zboczu doliny, aż dotarli do dawnej drogi zbiegającej od krzyżówki z gościńcem z Nargothrondu u granicy Brethilu. Tuor zauważył, że zbliżyli się już znacznie do Sirionu, ale wysokie brzegi koryta rzeki rozchodziły się w tym miejscu, a wody rozlewały się szeroko i płytko na obficie zaścielających dno kamieniach²⁴, szemrząc pienistymi strumieniami. Trochę dalej Sirion znów zwężał się, płynąc ku lasom, gdzie znikał w nieprzeniknionych dla oka oparach mgły. Tam bowiem, chociaż Tuor o tym nie wiedział, leżała skryta w cieniu Obręczy Meliany północna marchia Doriathu.

Zrazu Tuor chciał pospieszyć ku brodowi, ale Voronwe powstrzymał go ze słowami:

- Nie możemy przebyć Brithiach w świetle dnia, musimy też poczekać, aż zyskamy całkowitą pewność, że zmyliliśmy pogonie.

- Mamy więc usiąść tu i tkwić bezczynnie? - spytał Tuor. - Wątpliwości nie pozbędziemy się nigdy, jak długo trwało będzie królestwo Morgotha. Dalej! Ruszajmy skryci w cieniu płaszcza Ulma.

Voronwe wahał się jednak, spoglądając na zachód, ale nikt nie nadciągał szlakiem i tylko szum wód mącił ciszę. Zerknął zatem na szare i puste niebo, na którym nawet ptak nie krążył. Nagle twarz jego pojaśniała i zawołał głośno:

- Dobrze jest! Wrogowie Nieprzyjaciół strzegą wciąż brodu. Orkowie nie pójda tu za nami, zatem uda nam się teraz przemknąć pod płaszczem.

- Cóż takiego ujrzałeś? - spytał Tuor.

- Niedaleko sięga wzrok śmiertelnych! - odparł Voronwe. - Widzę orły Crisseagrimu, ciągną tutaj. Przypatrz się tylko!

Wówczas Tuor wzniósł oczy ku niebu, wyteżył wzrok i wkrótce dostrzegł na wysokości trzy sylwetki bijących skrzydłami ptaków, które spływały znad odległych szczytów górskich, znów skrytych teraz w chmurach. Orły zniżały lot, zataczając koła, aż nagle będąc tuż nad głowami podróżników, z impetem puściły się w dół, ale zanim Voronwe zdążył je zawołać, skreśliły zamasyście i w szumie skrzydeł oddaliły się ponad rzeką ku północy.

- Chodźmy - powiedział Voronwe. - Jeśli nawet jakiś Ork krążył w pobliżu, leży teraz z nosem wbitym w ziemię i czeka, aż orły odlecą jak najdalej.

Zbiegli czym prędzej po łagodnym zboczu i przeprawili się przez Brithiach, częściej stąpając suchą nogą po łachach żwiru niż brodząc w wodzie nie głębszej niż po kolana. Rieczne rozlewiska były czyste i bardzo zimne. Lód pokrywał powierzchnię kałuż w miejscach, gdzie kręte strumyki zbłądziły pomiędzy kamienie, jednak główny nurt Sirionu nie zamarzał nigdy,

²⁴ Nazwa Brithiach zawiera rdzeń brith - „żwir”, pojawiający się również w nazwach Brithon i zatoki Brithombar.

nawet w czasie ciężkiej zimy jak ta w roku upadku Nargothrondy²⁵.

Po drugiej stronie przeprawy natknęli się na jar przypominający koryto wyschniętego strumienia, który jednak zdołał wyrzeźbić sobie niegdyś głębokie łożysko, spływając żywo z północy, z gór Echoriathu i przynosząc do Sirionu kamienie, tworzące teraz bród Brithiach.

- Dotarliśmy, gdzie chciałem, choć niemal utraciłem nadzieję! - krzyknął Voronwe. - Patrz! Oto jest ujście Suchej Rzeki i oto droga, którą przyjdzie nam obrać²⁶. - Weszli wówczas w jar i ruszyli nim na północ pomiędzy stromymi wzgórzami, a ściany parowu wznosiły się pionowo po obu stronach. Tuor potykał się w półmroku o zaścielające dno kamienie.

- Zła to droga dla znużonego wędrowca - stwierdził.

- Jednak wiedzie do Turgona - odparł Voronwe.

- Tym bardziej mnie zdumiewa, że początek jej pozbawiony jest straży. Spodziewałem się ujrzeć wielką bramę i siłę wartowników.

- Zobaczysz to wszystko we właściwym czasie - powiedział Voronwe. - Jesteśmy jeszcze daleko, a i na wyrost nazwałem tę wyboistą ścieżkę drogą, od bowiem ponad trzystu lat nikt tędy nie chodził prócz nielicznych a tajnych posłańców, Noldorowie zaś użyli wszelkich swych umiejętności, by zamaskować ów szlak, odkąd Ukryty Lud nań wkroczył. Brak tu strażników? A czy w ogóle zauważyłbyś ten przesmyk, gdybyś nie miał mieszkańca Ukrytego Królestwa za przewodnika? Czy odgadłbyś, że jest czymś więcej niż jeno dziełem wody i wiatru? Nie widziałeś orłów? To plemię Thorondora, do czasu, gdy Morgoth urósł w siłę, zamieszkiwało nawet Thangorodrim. Obecnie, po upadku Fingolfiny, orły żyją w Górach Turgona²⁷. One jedne, prócz Noldorów, znają położenie Ukrytego Królestwa i strzegą nieba ponad nim, choć dotąd żaden sługa Nieprzyjaciela nie odważył się wlecieć tak wysoko.

²⁵ W alternatywnej wersji tego tekstu, niemal na pewno odrzuconej właśnie na rzecz wariantu wydane go drukiem, podróżnicy nie pokonują Sirionu przez Brody Brithiach, ale kilka mil na północ od przeprawy. „Krętą ścieżką podjechali na brzeg rzeki, a wówczas Voronwe krzyknął:

- Spójrz na ten cud! Dobra i zła to dla nas wróżba. Sirion zamarzł, chociaż żadna opowieść nie wspomina, by zdarzyło się tak od czasu przybycia Eldarów ze Wschodu. Przejdziemy po lodzie, oszczędzając wiele mil, zbyt długich na nasze siły. Jednakże w ten sposób inni też będą mogli przejść, by podążać naszym śladem”.

Bez przeszkód przeszli rzekę po lodzie i „tym sposobem, za radą Ulma, na niczym spełzły knowania Nieprzyjaciela, gdyż droga ich uległa skróceniu i ostatkiem sił i nadziei dotarli jednak Tuor i Voronwe do koryta Suchej Rzeki w miejscu, gdzie kończyła ona swój bieg z pogórza”.

²⁶ Por. *Silmarillion*, str. 150: " Istniała jednak tajemna droga wydrążona głęboko pod górami przez spływające do Sirionu wody. Tę drogę odkrył Turgon i dzięki temu dostał się na zieloną równinę wśród gór i ujrzał wznoszącą się na niej wyspę - skałę z twardego, gładkiego kamienia; dolinę tę bowiem w zamierzchłych czasach wypełniało wielkie jezioro”.

²⁷ W *Silmarillionie* nie ma mowy o tym, by wielkie orły zakładały kiedykolwiek gniazda na Thangorodrimie. W rozdziale 13. (str. 130) Manwe: „kazał kilku orłom zagnieździć się wśród skał Północy i śledzić Morgotha”, podczas gdy w rozdziale 18. (str.185), „Thorondor w porę nadleciał ze swego gniazda wśród iglic Krissaegrimu”, by unieść ciało Fingolfiny sprzed bram Angbadu. Por. również *Powrót Króla*, str. 289: „najwspanialsze z orłów północy, szlachetnych potomków starego Thorondora, który gniazda swe zbudował na szczytach gór [Określonych] w zaraniu Śródziemia”. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa pierwotny pomysł, by Thorondor zamieszkał zrazu na Thangorodrimie, obecny również we wcześniejszej wersji *Silmarilliona*, został potem porzucony.

Znoszą Królowi nowiny o wszystkim, co dzieje się w okolicznych krainach. Gdybyśmy byli Orkami, możesz mieć pewność, że orły pochwytyłyby nas w swoje pazury i zrzuciły z wielkiej wysokości na bezlitosne skały.

- W to nie wątpię - odparł Tuor. - Ale zastanawiam się, czy wieści o naszym przybyciu nie dotrą do Turgona szybciej niż my sami. A czy to dobrze, czy źle, tylko ty jeden potrafisz ocenić.

- Ani źle, ani dobrze - stwierdził Voronwe. - Skoro i tak nie przebedziemy Strzeżonej Bramy nie zauważeni, zatem będą nas u jej progów wypatrywać, albo i nie. Jeśli tam dotrzemy, strażnicy z pewnością bez żadnych zapowiedzi sami rozpoznają, że nie jesteśmy Orkami. To jednak nie wystarczy, by przejść. Nie pojmujesz, Tuorze, jak wielkiemu niebezpieczeństwu przychodzi nam stawić czoło. Nie wiń mnie jednak, że cię nie ostrzegłem przed tym, co może nas spotkać, i niech Pan Wód okaże swoją moc! Ta nadzieja jedynie sprawiła, że zgodziłem się ciebie poprowadzić, ale jeśli zawiedzie, wówczas czeka nas pewna śmierć, o wiele pewniejsza niż za sprawą zimy na pustkowiach.

- Dość krakania - odrzekł Tuor. - W zgubę przy Bramie, mimo twych słów, śmiem powątpiewać. Prowadź mnie dalej!

Wiele staj brnęli po kamieniach Suchej Rzeki, aż przystanęli, nie mogąc uczynić już dalej ni kroku. Z wieczorem ciemność zaległa w jarze, wspięli się zatem na wschodni brzeg. Oto podeszli już do zmurszałych wzniesień u stóp gór. Tuor zadarł głowę i ujrzał, że wyrastają one odmiennie od wszystkich gór, które dotąd widywał, ich zbocza były niczym gładkie ściany. Piętrzyły się coraz wyżej, jedna na drugiej, kolejnymi zwisłymi nad przepaścią tarasami. Dzień miał się już jednak ku końcowi i mgła zaległa nad ziemią, a dolina Sirionu skryła się w cieniu. Voronwe poprowadził Tuora do utworzonej w zboczu wzgórza płytkiej jaskini z wylotem wprost na samotne stoki Dimbaru. Wpełzli do środka i w tym ukryciu zjedli ostatki prowiantu. Mimo wielkiego zmęczenia, nie zasnęli. Tak oto, o zmroku osiemnastego dnia Hisime, w trzydziestej siódmej dobie podróży, Tuor i Voronwe dotarli do wieżyc Echoriathu i siedziby Turgona, dzięki mocy Ulma umknąwszy zarówno Przeznaczeniu, jak i Złu.

Gdy pierwszy szary blask dnia błysnął pomiędzy mgłami Dimbaru, zeszli z powrotem do koryta Suchej Rzeki, które rychło skręciło ku wschodowi, wijąc się u samej skalnej ściany, przed nimi zaś wyrosła pionowo wielka góra, u której stóp krzewiła się bujnie ciernista i splątana roślinność. Kamienisty trakt prowadził prosto w te chaszcze, gdzie ciemność zalegała jak w nocy. Zwolnili, pełne bowiem kolców gałęzie sięgały aż do jaru, tworząc miejscami tak nisko zwieszoną gęstwinę, że trzeba było przepelzać pod nią na podobieństwo wracającego do legowiska zwierza.

W końcu jednak, choć z wielkim trudem, dotarli do podstawy urwiska. Trafili tu na otwór tunelu wyrzeźbionego jakby w twardej skale przez wypływające z samego serca gór wody. Ruszyli dalej, a choć wokół zalegał mrok, Voronwe maszerował pewnie, podczas gdy Tuor stapał z ręką opartą na ramieniu kompana i pochylał głowę, bo sklepienie zwieszało się nisko. Przez pewien czas posuwali się krok za krokiem, na oślep stawiając stopy, aż poczuli, że droga przestała się wznosić i zniknęły zaścielające dno kamienie. Przystanęli wówczas i odetchnęli głęboko, nasłuchując. Powietrze było świeże i rześkie. Czuli, że ściany tunelu rozbiegły się na boki, a sufit zniknął gdzieś w górze, wszędzie panowała cisza, której nie mącił nawet odgłos spadających kropel wody. Wydało się Tuorowi, że coś zaniepokoiło Voronwego i że elf ma poważne wątpliwości.

- Gdzież jest ta Strzeżona Brama? - spytał. - A może już ją minęliśmy?

- Nie - odparł Voronwe. - Dziwię się tylko, bo to osobliwe, żeby ktoś zdołał nie indagowany dotrzeć tak daleko. Obawiam się, by niespodziewana zguba nie dopadła nas z ciemności.

Szepty wędrowców obudziły drzemiące w jaskiniach echa, które z wielokrotności i wzmocniły każdy wydobyty dźwięk, odbijając się od sklepienia i niewidocznych ścian, sycząc i pomrukując tysiącami tajemniczych głosów. Gdy echa zamarły w skale, z samego jądra ciemności dobiegły Tuora słowa wypowiedziane w języku elfów, najpierw w nie znanej mu Szlachetnej Mowie Noldorów, potem w języku Beleriandu, chociaż z akcentem, który dziwnie brzmiał dla Tuora, zupełnie jakby mówiący dawno już nie zetknął się z krewniakami²⁸.

- Stać! - rozbrzmiało. - Nie ruszać się! Inaczej zginiecie, czy przyjaciółmi jesteście, czy wrogami.

- Jesteśmy przyjaciółmi - odparł Voronwe.

- Róbcie więc, co każę.

Echa ich głosów umilkły w ciszy, a Voronwe i Tuor stali wciąż nieruchomo i zdało się Tuorowi, że minuty ciągną się jak wieki, a strach w jego sercu przewyższał wszystko, co czuł podczas niebezpieczeństwami najeżonej wędrówki. Wtem usłyszeli odgłos zbliżających się stóp tak donośny, jakby maszerował cały oddział trollów. Nagle ktoś zdjął osłonę z latarni elfów, a blask płomienia padł na znajdującego się z przodu Voronwego, Tuor jednak nie zdołał

²⁸ *Silmarillion* nie wypowiada się precyzyjnie na temat mowy elfów z Gondolinu, jednak fragment ten sugeruje, że dla niektórych przynajmniej, mowa elfów Wysokiego Rodu (quenya) był to język potoczny. W późniejszej rozprawie filologicznej dotyczącej quenya znajdujemy wzmiankę, że była to mowa na co dzień używana w domu Turgona, nią też władał od dziecka Earendil. Jednak „dla większości mieszkańców Gondolinu był to język znany wyłącznie z ksiąg, inni bowiem Noldorowie używali zwykle sindarińskiego”. Por. *Silmarillion*, str. 156: po edykcje Thingola „wygnańcy zaczęli więc używać w codziennym życiu języka sindarińskiego i tylko książęta Noldorów między sobą mówili Szlachetnym Językiem Zachodu, który przetrwał jednak jako język mędrców

dojrzeć niczego, prócz oślepiającej gwiazdy zawieszanej w mroku, wiedział jednak, że póki stoi w świetle, nie wolno mu się poruszyć ani próbować ucieczki lub dalszego marszu.

Przez chwilę trwali tak, uchwyceni w blasku, po czym głos znów się odezwał:

- Pokażcie swe twarze!

Voronwe odrzucił kaptur i oblicze jego zaświeciło jasno i wyraźnie niczym wyrzeźbione z kamienia. Tuor zachwycił się jego pięknem, elf zaś odezwał się dumnie:

- Czyżbyście nie wiedzieli, kogo widzą wasze oczy? Jestem Voronwe, syn Aranwego z rodu Fingolfina. A może po tylu latach zapomniano mnie już we własnej ojczyźnie? Powędrowałem ze Śródziemia dalej niż sięga myśl, ale poznałem twój głos, Elemmakilu.

- Jeśli tak, to winien Voronwe pamiętać również prawa swej ojczyzny - odparł głos. - Skoro odszedł stąd na mocy rozkazu, może powrócić, ale nie wolno mu przyprowadzać tu obcych. Czynnem tym przekreślił swój przywilej i musi jako więzień zostać doprowadzony na sąd przed oblicze Króla. Co zaś tyczy się nieznanego przybysza, zostanie zabity lub uwięziony, wedle wyroku Straży. Niech podejdzie bliżej, bym mógł go ocenić.

Voronwe poprowadził Tuora ku światłu, a wówczas liczni Noldorowie, wszyscy w kolczugach i uzbrojeni, wysunęli się z mroków i dzierżąc miecze w dłoniach otoczyli wędrowców. Elemmakil zaś, trzymający lampę kapitan straży, przyjrzał im się bacznie.

- Zdumiewasz mnie, Voronwe - powiedział. - Z dawna byliśmy przyjaciółmi, czemu zatem zostałem wystawiony przez ciebie na tak ciężką próbę i zmuszony do wyboru między obowiązkiem a przyjaźnią? Gdybyś przywiódł tu kogoś z przebywających poza ukryciem pozostałych rodów Noldorów, niewielkim byłoby twoje wykroczenie. Ale ty wyjawieś tajemnicę Drogi śmiertelnemu człowiekowi, po oczach jego poznaję, z jakiego wywodzi się plemienia. Nie może odejść stąd wolny, zna bowiem już sekret, a skoro jako obcy nam odważył się tu wejść, winienem go zabić, nawet jeśli darzysz go serdeczną przyjaźnią.

- Wiele niezwykłych rzeczy spotkać można w krainach poza tymi górami, Elemmakilu, a czasem zdarzy się, że zostanie komuś powierzona zadanie, o które ani nie prosił, ani go nie oczekiwał - odrzekł Voronwe. - Czasem też podróżnik powraca z wyprawy odmieniony. Wszystko co zrobiłem, uczyniłem na rozkaz potęgi większej niż prawo Straży. Tylko Król może osądzić i mnie, i tego, który przybył ze mną.

Wtedy Tuor, który nie czuł już lęku, też się odezwał:

- Przychodzę z Voronwem, synem Aranwego, jego bowiem właśnie obrał mi na przewodnika Pan Wód. Po to tylko pozwolono mu umknąć przed gniewem Morza i Kłątą Valarów. Niosę synowi Fingolfina posłanie od Ulma i nikomu innemu, prócz syna Fingolfina,

treści owego posłania nie wyjawię.

Spojrzał Elemmakil ze zdumieniem na Tuora.

- Kimże jesteś? - spytał. - I skąd przybywasz?

- Jam Tuor, syn Huora z rodu Hadora i krewniak Hurina, a te imiona, jak mi powiedziano, nie są nieznane w Ukrytym Królestwie, do którego z Nevrastu przychodzę, wiele niebezpieczeństw zwalczywszy po drodze.

- Z Nevrastu? - spytał Elemmakil. - Mówią, że odkąd nasz lud odszedł z owej krainy, nikt tam już nie mieszka.

- To prawda - odparł Tuor. - Pustka i chłód zaległy w Vinyamarze. A jednak właśnie stamtąd przybywam. Zaprowadź mnie teraz do tego, kto zbudował ten pradawny pałac.

- Nie do mnie należy decyzja w tak wielkich sprawach - stwierdził Elemmakil. - Wyprowadzę cię tedy na światło, gdzie więcej będzie można ujawnić, i przekażę cię wartownikowi Wielkiej Bramy.

Wydał rozkaz i dwóch roślących strażników stanęło przed Tuorem i Voronwem, a trzech za nimi; kapitan poprowadził z jaskini Zewnętrznej Straży do prostego, jak się zdawało, korytarza i długo szli po równym, aż w przodzie pojawiło się blade światło. Nareszcie dotarli do szerokiego łuku bramy, wspartego z obu stron na wysokich kolumnach wyciosanych ze skały, pomiędzy którymi zwisała wielka, drewniana kratownica cudownej roboty, pracowicie rzeźbiona i nabijana żelaznymi bretnalami.

Elemmakil dotknął kratownicy, a ta uniosła się bezszelestnie i przeszli bramę, a Tuor ujrzał, że stoją u krańca wąwozu, jakiego nigdy jeszcze nie widział ani nawet sobie nie wyobrażał, chociaż wiele wędrował po górskich pustkowiach Północy, wobec bowiem Orflach Echor, Kirith Ninniach był jedynie małym wyżłobieniem w skale. Tutaj, podczas dawnych wojen u zarania świata, ręce samych Valarów rozszczepiły potężne góry, niczym toporem wygładzając ich pionowe, wznoszące się ku nieodgadnionym wyżynom zbocza. Gdzieś tam, wysoko, jaśniała wstęga nieba, a na granatowym tle czerniały zarysy szczytów i skalnych iglic, odległych, ale surowych, okrutnych jak ostrza włóczy. Zbyt wyniosłe były te skalne ściany, by zimowe słońce zajrzeć mogło do środka, i chociaż ranek jaśniał już pełnym blaskiem, to na niebie ponad wąwozem wciąż błyszczały blado gwiazdy, a na samym dnie panował półmrok rozjaśniany przez lampki ustawione obok stromo wspinającej się drogi. Podłoże doliny wznosiło się bowiem ku wschodowi, po lewej zaś Tuor dojrzał ciągnącą się obok łóżyska strumienia drogę gładko brukowaną, wijącą się gdzieś ku górze i znikającą w cieniu.

- Minęliście Pierwszą Bramę zwaną Drewnianą - powiedział Elemmakil. - Musimy iść tędy. Zatem pospieszajmy.

Jak daleko wiodła ta droga, tego Tuor nie potrafił powiedzieć, a gdy spojrzął przed siebie, znużenie ogarnęło go niczym chmurny opar. Zimny podmuch ciągnął od kamieni, więc młodzieniec otulił się szczelniej płaszczem.

- Chłód niesie wiatr z Ukrytego Królestwa! - powiedział.

- Zaiste - odparł Voronwe. - Obcemu zdawać się może, że duma uczyniła sługi Turgona bezlitosnymi. Dla znużonego drogą i głodnego wędrowca długie i ciężkie wydają się staje drogi pomiędzy Siedmioma Bramami.

- Gdyby nasze prawo nie było tak surowe, dawno już podstępem nienawiść wniknęłaby tutaj, niszcząc nas ze szczętem. Sam dobrze o tym wiesz - stwierdził Elemmakil. - Nie jesteśmy jednak okrutnikami. Nie mamy tu nic do jedzenia, a obcy nie może cofnąć się nawet o krok. Wytrwajcie jeszcze trochę, a doznacie ulgi przy Drugiej Bramie.

- To dobrze - powiedział Tuor i ruszył dalej, jak mu kazano. Po chwili odwrócił się i ujrzał, że podążają za nim jedynie Elemmakil z Voronwem.

- Na tym terenie nie trzeba już więcej straży - oznajmił Elemmakil, odczytując jego myśli. - Nie ma dla elfa ni człowieka ucieczki z Orflachu, nie ma powrotu.

Tak wędrowali pod górę, czasami długimi schodami, niekiedy ścieżkami pograżonymi w cieniu, wijącymi się po zboczu, aż w odległości około kilkuset kroków od Drewnianej Bramy, Tuor ujrzał, jak drogę przegradza wielki mur wzniesiony od ściany do ściany rozpadliny, z przysadzistymi wieżami po obu stronach. W owym murze widniał łuk bramy. Zdawało się, że dawni budowniczowie zaślepili ją gigantycznym głazem. Gdy trzech mężczyzn zbliżyli się, jego wypolerowana i ciemna powierzchnia zaślniła w blasku wiszącej pośrodku łuku lampy.

- Oto Druga Brama, zwana Kamienną - powiedział Elemmakil, podchodząc do wrót i naciskając lekko, a wtedy obróciły się na niewidocznej osi, aż stanąwszy równolegle do drogi, otworzyły po obu stronach przejście na podwórzec, na którym znajdowało się wielu uzbrojonych strażników w szarych strojach. Nie padło ani jedno słowo, kiedy Elemmakil prowadził swych podopiecznych do komnaty pod północną wieżą. Tam wędrowcy mogli odpocząć przez chwilę. Podano im jedzenie i wino.

- Skąpy może wydać się ten poczęstunek - zwrócił się Elemmakil do Tuora. - Ale jeśli dowiedziesz prawdy twych słów, wówczas do wystawniejszego stołu zasiądziesz.

- Tyle mi wystarczy - odparł Tuor. - Tylko słaby duch łakoci potrzebuje, by urosnąć w siłę. - I rzeczywiście, jadło oraz napitki Noldorów wzmocniły go na tyle, że wkrótce gotów był ruszyć w dalszą drogę.

Niewiele później dotarli do muru wyższego i solidniejszego niż poprzedni. Tkwiła w

nim Trzecia Brama, Brama z Brązu, dwuskrzydłowe wrota obite brązowymi płytami, na których wyryto liczne postaci i dziwne znaki. Z muru ponad nadprożem wyrastały trzy wieże na planie kwadratu, wszystkie nakryte dachami i obłożone miedzią. Za sprawą szczególnego traktowania jej przez mistrzów kowalskich jaśniała ona niczym ogień w promieniach czerwonych lamp, jak pochodnie osadzonych rzędem w murze. I tę bramę przebyli w ciszy, na podwórku zaś za wrotami ujrzeli większą jeszcze kompanię wartowników odzianych w kolczugi, które lśniły stłumionym płomieniem, ostrza zaś toporów straży miały kolor czerwony. Załoga składała się w większości z Sindarów z Nevrastu.

Doszli teraz do najtrudniejszego odcinka drogi, pośrodku Orflachu bowiem zbocze było najbardziej strome, a gdy się tak wspinali, Tuor dojrzał mroczniejący przed nim najpotężniejszy z murów. Tak oto zbliżyli się w końcu do Czwartej Bramy, Bramy Splątanego Żelaza. Wysoki, czarny i niczym nie oświetlony był jej mur. Ponad nim wznosiły się cztery żelazne wieże, pomiędzy zaś dwoma wewnętrznymi widniała wykuta w żelazie podobizna orla tak realistyczna, że zdawać by się mogło, iż sam Król Thorondor przysiadł na murze niczym na górskim szczycie, by odpocząć po locie w przestworzach. Tuor stanął przed bramą i zdało mu się, że przez splątane pnie i gałęzie wiecznych drzew spogląda na bladą twarz księżyca. Blask bowiem przenikał przez ornamenty wrót wykutych i wygiętych na podobieństwo drzew o wijących się korzeniach i bujnych konarach okrytych listowiem i kwiatami. Dopiero przechodząc bramę zrozumiał, czemu zawdzięczał to złudzenie: mur był nader gruby i nie jedną, lecz trzy kratownice osadzono w nim kolejno w ten sposób, by dla kogoś nadchodzącego środkiem szlaku zdawały się tworzyć jednolitą barierę, a światło za nimi było blaskiem dnia.

Wspięli się już bardzo wysoko ponad dolinę, w której wędrowkę zaczęli, i za Bramą Żelazną droga biegła już niemal równo. Co więcej, minęli też koronę i serce Echoriathu. Szczyty górskie zlewać zaczynały się już z wewnętrznymi wzgórzami, a rozpadlina otwierała się coraz szerzej, zbocza zaś stawały się mniej strome. Leżał na nich śnieg, którego biel odbijała światło dnia, bladym blaskiem zalewając pełną roziskrzonej mgiełki dolinę.

Przeszli obok strażników Żelaznej Bramy, mających czarne opończe, kolczugi i podłużne tarcze, oblicza zaś skrywających za przyłbicami podobnymi do orlich dziobów. Elemmakil prowadził ich dalej, a Tuor dostrzegł, że obok drogi pojawił się splachetek trawy, poprzetykany niczym gwiazdami białymi kwiatkami uilos, niezapominajkami, które kwitną przez cały rok i nigdy nie więdną;²⁹ i tak oto, zachwycony i z lekkim sercem, doprowadzony

²⁹ Były to kwiaty, które bujnie rozkwitały na kurhanach królów Rohanu pod Edoras, i które Gandalf nazwał w języku *Rohirrimów simbelmyne*, czyli „wiecznie pamiętające”, kwitną bowiem przez cały rok w miejscu, gdzie spoczywają zmarli (Dwie wieże, str. 142). Nazwa nadana im przez elfy, *uilos*, pojawia się tylko w tym miejscu opowieści, ale samo słowo odnaleźć można i w Amon Uilos, co jest przetworzoną na sindaroński nazwą Oilosse

został do Srebrnej Bramy.

Mur Piątej Bramy wzniesiono z białego marmuru i był niski, a szeroki. Wieńczyła go srebrna krata rozpięta pomiędzy pięcioma wielkimi, marmurowymi kulami. Stało tam wielu na biało odzianych łuczników. Sama brama miała kształt trzech czwartych koła i uczyniono ją z giętego srebra oraz pereł z Nevrastu. Kształtem przypominała księżyc. Ponad łukiem, na środkowej kuli, jaśniał wizerunek Białego Drzewa, Teperiona, cały ze srebra i malachitu, z kwiatami z wielkich pereł pochodzących z Balaru³⁰. Za bramą zaś rozciągał się przestronny dziedziniec wyłożony zielonym i białym marmurem. Trzymali tam straż łucznicy w srebrnych kolczugach i białogrzebieniastych hełmach, setka ich była z każdej strony. Elemmakil przeprowadził Tuora i Voronwego pomiędzy milczącymi szeregami, aż wstąpili na długą, białą drogę wiodącą prosto do Szóstej Bramy. Gdy tak szli, pasma murawy po bokach rosły coraz szersze, a pomiędzy białymi gwiazdkami uilos pojawiły się drobne, złote oczka podobne do kwiecia.

W końcu dotarli do Złotej Bramy, ostatniej z pradawnych bram Turgona wzniesionych przed Nirnaeth. Przypominała Srebrną Bramę, mur jednak był z żółtego marmuru, a sześć kul i parapet wykonano z czerwonego złota. Na wierzchołku piramidy osadzono podobiznę Laurelinu, Drzewa Słońca, z kwiatami rżniętymi z topazów i zwisającymi w kiściach na złotych łańcuchach. Bramę udekorowano dyskami ze złota, promienistymi jak samo Słońce, oraz ozdobami z granatów, topazów i żółtych diamentów. Na podwórku za bramą stały w szeregach trzy setki łuczników z długimi łukami i w pozłacanych kolczugach, z wysoko wyrastającymi z hełmów złotymi piórami. Potężne, okrągłe tarcze strażników czerwone były niczym płomień.

Słońce oświetliło dalszą część drogi. Po obu jej stronach ciągnęły się już tylko zielone wzgórza z płachtami śniegu na szczytach. Elemmakil przyspieszył kroku, niedaleko bowiem już mieli do Siódmej Bramy, Stalowej zwanej też Wielką, którą Maeglin wykuł po powrocie z Nirnaeth, zagradzając szerokie wejście do Orflach Echor.

Tutaj nie było muru, tylko dwie wieże z licznymi oknami wznosiły się wysoko, na siedem pięter, ku wieńczącym ich stożkowate kształty wieżyczkom z jasnej stali. Pomiedzy wieżami widniała potężna kratownica ze stali, która nie okrywała się rdzą, tylko lśniła zimną bielą. Tworzyło ją siedem pionowych sztab, wielkich i mocnych jak młode drzewa, zwieńczonych bezlitosnymi szpicami, ostrymi niczym igła. Do kolumn przymocowano siedem

(w języku quenya „Wiecznie Śnieżnobiała”, Góra Manwego). W opowieści Kirion i Eorl, kwiat ten otrzymał jeszcze jedno od elfów pochodzące imię, alfirin.

³⁰ W *Silmarillionie*, str. 108, znajdujemy informację, że Thingol nagrodził krasnoludy z Belegostu licznymi perłami: „dostał je od Kirdana, bo płytkie wody wokół wyspy Balar obfitowały w perły”.

poziomych, równie potężnych sztab, pomiędzy zaś każdymi dwoma kolumnami umieszczono po siedmiokroć siedem stalowych prętów, zakończonych ostrzami szerokimi i płaskimi jak groty włóczy. W centrum, ponad środkową i najwyższą sztabą, widniała podobizna królewskiego hełmu Turgona - wysadzanego diamentami Korony Ukrytego Królestwa.

Tuor nie zauważył w tej przegrodzie żadnej bramy ani drzwi, ale gdy podszedł bliżej, zdało mu się, że pomiędzy sztab sący się oślepiające światło, przysłonił więc oczy i stanął zmartwiał ze strachu i zdumienia. Elemmakil jednak ruszył dalej, trącił jedną ze sztab, a cała kratownica jak harfa zabrzmiała dźwiękiem czystym i harmonijnym, który krążyć zaczął od wieży do wieży.

Z wież wyjechali jeźdźcy; przed tymi z północnej podążał jeden na białym koniu; on też zsiadł z wierzchowca i podszedł do podróżnych. Chociaż wysoki i dumny był Elemmakil, to przewyższał go postawą i rangą Ekthelion, Władca Źródeł, a podówczas Strażnik Wielkiej Bramy³¹. Cały odziany w srebro, na lśniącym hełmie nosił stalowe kolce zwieńczone diamentami. Gdy giermek wziął od niego tarczę, ta roziskrzyła się jak okryta kroplami deszczu, tysiącami odłamków kryształu. Elemmakil pozdrowił go i rzekł:

- Oto przyprowadziłem Voronwego Aranwiona, wracającego z Balaru. Przywiódł on obcego, ten zaś żąda widzenia z Królem.

Wówczas Ekthelion odwrócił się do Tuora, który owinął się płaszczem i stał jeno w milczeniu, oddając spojrzenie; i zdało się Voronwemu, że mgła otuliła Tuora i postać jego urosła, tak że czubek kaptura wzniosł się ponad wierzchołek hełmu dumnego elfa niczym szczyt morskiej fali wdzierającej się w głąb lądu. Ekthelion spuścił jasne oczy przed spojrzeniem Tuora i po chwili ciszy odezwał się z powagą:³²

- Dotarłeś do Ostatniej Bramy. Wiedz zatem, że żaden obcy, który przez nią wejdzie, nie powróci, chyba że przez wrota śmierci.

- Nie strasz mnie! Jeśli bowiem wysłannik Pana Wód przejdzie przez tę bramę, wtedy wszyscy, którzy tu mieszkają, podążą za nim. Władco Źródeł, nie zatrzymuj wysłannika Pana Wód!

Wówczas Voronwe i strażnicy stojący w pobliżu, raz jeszcze spojrzeli na Tuora, zdumiewając się jego słowami i głosem. Voronwemu zaś zdało się, że oto usłyszał ton donośny, z wielkiej wszakoż wołający odległości. Tuor jednak, gdy tak słuchał słów przez

³¹ Ekthelion znad źródeł pojawia się w *Silmarillionie* jako jeden z dowódców straży Turgona, która strzegła flanków wojsk Gondolinu w czasie odwrotu w dół Sirionu podczas Nirnaeth Arnoediad. On też był pogromcą Gothmoga, wodza Balrogów, ale sam również zginął z jego ręki podczas ataku na miasto.

³² Tutaj kończy się wielokrotnie poprawiany, ale mimo to starannie sporządzony rękopis. Cała reszta historii pomieszczona została na skrawku papieru.

siebie wypowiedzianych, miał wrażenie, że to kto inny przez jego usta przemawia.

Przez chwilę Ekthelion trwał w milczeniu, spoglądając na Tuora i z wolna lęk wypełził na jego oblicze, tak jakby w szarości płaszcza Tuora zamajaczyły przesłane z oddali obrazy. Potem skłonił się, podszedł do kratownicy i położył na niej dłonie, a brama otworzyła się do środka dwoma skrzydłami po obu stronach sztaby z koroną. Przeszedł Tuor na murawę po drugiej stronie, skąd roztaczał się widok na dolinę i na otoczony bielą śniegów Gondolin. Jak zakłęty, długo nie mógł oderwać spojrzenia od upragnionego miasta, albowiem nareszcie ujrzał to, o czym śnił i za czym tęsknił.

Stał tak, nie mówiąc ani słowa, a zewsząd otaczali go tłumnie - wojownicy Gondolinu, w tym i przedstawiciele załóg wszystkich Siedmiu Bram, tylko kapitanowie ich i dowódcy siedzieli na grzbietach białych i szarych koni. I gdy tak zdumieni patrzyli na Tuora, ten zrzucił płaszcz, ukazując się zebrany we wspaniałej zbroi z Nevrastu, a wielu spośród nich pamiętało, świadkami zdarzenia będąc, jak Turgon sam wieszał ów rynsztunek na ścianie za Wielkim Tronem w Vinyamarze.

Ekthelion odezwał się wreszcie:

- Nie trzeba nam już dalszych dowodów, bo nawet imię tego, który mieni się synem Huora znaczy mniej, niż ten widomy znak prawdy, że przybywa on od samego Ulma³³.

³³ Tu oto opowieść urywa się ostatecznie, jednak kilka pospiesznie rzuconych na papier zdań wskazuje na jej zamierzony dalszy ciąg:

Tuor spytał o nazwę miasta i usłyszał siedem jego nazw (można zauważyć, że nazwa Gondolin nie pada w całej opowieści aż do ostatnich jej fragmentów, efekt bez wątpienia zamierzony; miast tego mowa jest o Ukrytym Królestwie lub Ukrytym Mieście). Ekthelion rozkazał, by odegrano sygnał, zadęto więc w trąby z wież Wielkiej Bramy, aż echo poszło po górach. Gdy cisza zaległa, inne trąby odpowiedziały im z murów miasta. Przyprowadzono konie (szarego dla Tuora) i wszyscy pojechali do Gondolinu.

Dalej następować miał opis Gondolinu, schodów na wysoki taras i wielkiej bramy, kopców (to słowo nie jest pewne) porośniętych mallornami, brzoźami i drzewami wiecznie zielonymi. Dalej, źródłanego Dziedzińca, wspartej na kolumnach Wieży Króla, siedziby Króla i sztandaru Fingolfinu. Potem pojawić miał się sam Turgon, „wyższy od wszystkich Dzieci Świata, prócz samego Thingola”, z biało-złotym mieczem w pochwie z kości słoniowej, by przywitać Tuora. Maeglin miał stanąć po prawicy tronu, a Idril, córka Króla, zasiąść po lewej. Tuor przekazać miał posłanie od Ulma albo „w obecności wszystkich”, albo „w komnacie królewskiej rady”.

Dalsze oderwane notatki wspominają o opisie Gondolinu widzianego przez Tuora z dalszej perspektywy i że płaszcz Ulma zniknąć miał w trakcie przekazywania posłania Turgonowi. Miało też się pojawić wyjaśnienie, czemu Gondolin nie miał królowej. Ponadto, jako istotna pojawia się notatka, by wyraźnie zaznaczyć przy opisie, jak to pierwszy raz Tuor ujrzał Idril, lub trochę wcześniej, że niewiele kobiet widział czy znał dotąd w swoim życiu. Większość niewiast i wszystkie dzieci z grupy Annaela wysłane zostały na południe, a jako niewolnik spotykał Tuor wyłączone dumne i barbarzyńskie kobiety Easterlingów, które traktowały go jak zwierzę, lub też nieszczęsne białogłowy, od dzieciństwa zmuszane do niewolniczej pracy, dla których miał jedynie współczucie.

Można też zauważyć, że późniejsze wzmianki o mallornach w Numenorze, Lindonie i Lothlorien nie potwierdzają (choć też i nie zaprzeczają), by te drzewa kwitły w Gondolinie w Dawnych Dniach; nie rozstrzygają też, czy Elenwe, żona Turgona, zginęła na długo przed przeprawą hufca Fingolfinu przez cieśninę Helkarakse (*Silmarillion*, str. 105).

II. NARN I HIN HURIN

OPOWIEŚĆ O DZIECIACH HURINA³⁴

Dzieciństwo Turina

Hador Złotowłosy był władcą Edainów i ulubieńcom Eldarów. Po kres swych dni cieszył się opieką Fingolfinia i zamieszkiwał na ziemiach przez niego nadanych w tej części Hithlumu, którą zwano Dorlomin. Jego córka, Gloredhel, wyszła za Haldira, syna Halmira, władcę ludzi z Brethilu, wesele zaś wyprawiano podwójne, tego samego bowiem dnia syn Hadora, Galdor Wysoki, ożenił się z Hareth, córką Halmira.

Galdor i Hareth mieli dwóch synów, Hurina i Huora. Hurin był o trzy lata starszy, niższy jednak od mężczyzn swego plemienia, jako że postawę wziął po matce. We wszystkim innym przypominał wszakże swego dziadka, Hadora, miał bowiem złote włosy i jasną karnację. W sercu mocno zbudowanego i porywczego młodzieńca ogień palił się jednak płomieniem równym, świadczącym o silnej woli i wytrwałości. Spośród wszystkich ludzi Północy, on najwięcej poznał sekretów Noldorów. Jego brat, Huor, był wysoki, najwyższy z Edainów (przerósł go dopiero jego syn, Tuor). Potrafił też najszybciej biegać, gdy jednak ścigali się na dłuższym dystansie, to Hurin przybywał pierwszy do mety, równo bowiem rozkładał siły. Bracia kochali się serdecznie i w młodości rzadko zdarzało im się rozstawać.

Hurin poślubił Morwenę, córkę Baragunda, syna Bregolasa z rodu Beora, przez co spowinowacona była blisko z Berenem Jednorękiem. Wysoką i ciemnowłosą Morwenę, przez blask jej oczu i piękno oblicza, mężczyźni zwali Eledhwen, czyli Blask Elfów, była jednak nieco szorstka i nazbyt dumna. Smutki rodu Beora zaległy cieniem w jej sercu, Dorlomin bowiem stanowiło miejsce jej wygnania z Dorthonionu po klęsce Bragollach.

Imię Turin nadali Hurin i Morwena swemu najstarszemu dziecku urodzonemu w tym samym roku, w którym Beren przybył do Doriathu i spotkał Luthien Tinuvel, córkę Thingola. Morwena urodziła Hurinowi również córkę zwaną Urwena; zwykle wołano jednak na nią Lalaith, co oznacza Śmiech. Życ jej dane było krótko.

³⁴ W istniejącym w różnych wersjach wstępie odnaleźć można uwagę, że chociaż opowieść spisana została w języku elfów i w znacznym stopniu na ich relacjach się opierała (ze szczególnym uwzględnieniem opowieści elfów z Doriathu), to jednak „Narn i Hin Hurin” była dziełem poety z plemienia ludzi, Dirhavela, który za dni Earendila przemieszkiwał u ujścia Sirionu i zbierał wszelkie wieści o rodzie Hadora, zarówno wśród swoich pobratymców, jak i elfów, niedobitków lub uciekinierów z Dorlominu, Nargothrondu, Gondolinu czy Doriathu. Według jednej z wersji Dirhavel sam miał pochodzić z rodu Hadora. Owa pieśń, najdłuższa ze wszystkich pieśni Beleriandu, była jego jedynym dziełem. Twórca został jednak nagrodzony przez Eldarów, użył bowiem języka Elfów Szarych, w którym był biegły. Wykorzystał też miarę metryczną elfów, zwaną Minlamed thent estent, z dawien dawna stosowaną w nam (wierszowanej opowieści, którą jednak recytuje się, miast śpiewać). Dirhavel zginął podczas najazdu synów Feanora na Przystań u ujścia Sirionu.

Huor poślubił Rianę, kuzynkę Morweny i córkę Belegundy i Bregolasa. Okrutnym zrządzeniem losu dziewczyna ta urodziła się w czasach nie sprzyjających komuś o łagodnym sercu, nie cierpiącemu ni polowań, ni wojny. Kochała drzewa i polne kwiaty, śpiewała i sama pieśni układała. Dwa miesiące ledwo była żoną Huora, gdy mąż jej wyruszył wraz z bratem wziąć udział w Nirnaeth Arnoediad i nigdy go już więcej nie ujrzała³⁵.

W latach po Dagor Bragollach i upadku Fingolfiną, gęstnieć zaczął cień strachu przed Morgothem, jednak w czterechsetnym i sześćdziesiątym dziewiątym roku od powrotu Noldorów do Śródziemia nowa nadzieja wstąpiła w elfów i ludzi, gdy posłyszeli pogłoski o czynach Berena i Luthien oraz o hańbie, która spotkała Morgotha na jego własnym tronie w Angbadzie, a niektórzy powiadali, że Beren i Luthien wciąż żyją lub że zmartwychwstali. W onymże roku zamiary Maedhrosa bliskie były już spełnienia i wielkim wysiłkiem Eldarów i Edainów pochód Morgotha został powstrzymany, a Orkowicze wygnani z Beleriandu. Zaczęto napomykać o rychłej wiktoryi i o naprawieniu błędów Bitwy Bragollach, kiedy to Meadhros winien poprowadzić połączone hufce, zepchnąć Morgotha do podziemi i zapieczętować Wrota Angbadu.

Co mądrzejsi jednak wciąż odczuwali niepokój i lęk, że Meadhros nazbyt wcześniej ujawnił swe siły i że Morgoth będzie miał dość czasu, by znaleźć przeciwko niemu skuteczną radę.

„W Angbadzie zawsze znajdzie się nowe zło, o którym nie śniło się ni elfom, ni ludziom” - powiadali. Jakby dla potwierdzenia prawdy ich słów, już jesienią nadciągnął z północy morowy wiatr niosący ołowiane chmury. Zwano go Złym Tchnieniem, był bowiem zabójczy. Wielu zachorowało i zmarło z końcem roku w krainach graniczących na północy z Anfauglithem, w większości dzieci i podrostki z rodu człowieczego.

W tymże roku Turin, syn Hurina, miał tylko pięć lat, a Urwena, jego siostra, ledwo trzy kończyła z początkiem wiosny. Gdy biegała po łąkach, jej włosy przypominały kwitnące w trawie żółte lilie, a śmiech dziewczynki brzmiał niczym szmer pogodnego strumienia spływającego z gór obok murów domu jej ojca. Nen Lalaith zwał się ów potok, dlatego też mieszkańcy domostwa wołali dziewczynkę Lalaith i radowały się ich serca, że takie właśnie dziecko żyje między nimi.

Turin mniej zaznał miłości niż siostra. Ciemnowłosy jak matka, zapowiadał się na podobnego duchem, zwykle bowiem poważny, rzadko się odzywał, chociaż bardzo wcześniej

³⁵ W tym miejscu tekstu „Narn” znajduje się ustęp poświęcony pobytowi Hurma i Huora w Mandolinie. Jest dość wiernie wzorowany na historii opowiedzianej wersji zamieszczonej w *Silmarillionie* - na tyle wiernie, że postanowiłem go już tutaj nie powtarzać. Por. *Silmarillion*, str. 190-192.

nauczył się mówić i wyglądał na starszego, niż był w rzeczywistości. Dobrze zapamiętywał sobie wszelką niesprawiedliwość czy szyderstwo, ale ponieważ płynęła w jego żyłach i krew ojca, potrafił też zapalczywy być i porywczy. Łatwo było wzbudzić w nim współczucie. Krzywda czy ból wszelkiego żywego stworzenia często poruszały go do łez, w czym również przypominał ojca, Morwena bowiem odnosiła się do wszystkich surowo. Kochał matkę, jako że była to kobieta szczerza i otwarta. Ojca rzadko widywał, gdyż Hurin ciągle wypuszczał się z armią Fingona, który strzegł wschodnich granic Hithlumu, a kiedy wracał, jego prędką mowa, pełna obcych słów i na wpół zrozumiałych jeno żartów, onieśmiałała i niepokoila Turina. W owym czasie całe serce oddał siostrze, nieczęsto jednak się z nią bawił, wołał raczej strzec jej nie zauważony i przyglądać się, jak spaceruje po trawie czy pod drzewami i śpiewa pieśni, które dzieci Edainów ułożyły dawno temu, kiedy język elfów bliski był jeszcze w ich mowie.

- Lalaith swą gładkością przypomina dziecię elfów - powiedział Hurin do Morweny - choć, niestety, krótsze życie jej pisane. Ale tym piękniejsza jest może, i bardziej kochana.

Zadumał się Turin, słysząc tę dziwną wypowiedź. Nie widział nigdy dziecka elfów, na ziemiach jego ojca bowiem nie przemieszkował wówczas ani jeden elf i ujrzyć było można Eldarów jedynie przy okazji przejazdu Fingona i jego znamienitej świty przez Dorlomin, kiedy to cali w srebrze i bieli pokonywali most nad Nen Lalaith.

Zanim jeszcze rok dobiegł końca, proroctwa okazały się słowa ojca, gdyż Złe Tchnienie nawiedziło Dorlomin. Turin zachorował i zleżł pośród mrocznych majaków, powalony gorączką. Gdy wyzdrowiał, bo taki los był mu pisany i wiele miał w sobie życia, spytał o Lalaith. Opiekunka odpowiedziała mu jednak:

- Nie wspominaj więcej o Lalaith, synu Hurina, o swojej zaś siostrze, Urwenie, idź dowiedz się od matki. - Gdy zatem Morwena zajrzała doń, Turin zagadnął:

- Nie jestem już chory i chcę widzieć Urwenę, ale czemu nie wolno mi więcej wymieniać imienia Lalaith?

- Bo Urwena nie żyje i śmiech umarł w tym domu - odparła. - Ty jednak ocalałeś, synu Morweny, tak jak trwa wciąż Nieprzyjaciół, który winien jest nieszczęściu.

Nie próbowała ukoić jego bólu, podobnie jak sama nie fółgowała swemu żalowi, znosząc cierpienie w ciszy, z oziębłym sercem. Hurin jednak otwarcie przywdział żalobę, sięgnął nawet po harfę, by tren ułożyć, ale ponieważ pieśń nie przyszła, połamał instrument i wyszedłszy przed dom, wyciągnął ręce ku Północy i zakrzyknął:

- Ty, coś zeszpecił oblicze Śródziemia, gdybym tylko mógł stanąć z tobą twarzą w twarz, naznaczyłbym cię piętnem tak, jak uczynił to mój pan, Fingolfín!

Turin zaś łkał gorzko przez całą noc, chociaż nigdy już nie wypowiedział przy matce

imienia siostry. Przed jedną tylko bliską sobie osobą otworzył się wówczas, wylewając swój żal i smutek wynikły z pustki, która zapanowała w domu. Przyjaciel ten zwał się Sador i sługą był w domu Hurina. Kulał przy tym i niewiele znaczył pośród innych. Niegdyś pracował jako drwal i niezręczny zamach toporem pozbawił go prawej stopy, a okaleczona tak noga uschła. Turin wołał go Labadał, czyli Skokostopa. Nie gniewało Sadora to przezwisko, wzięło się bowiem ze współczucia, a nie z pogardy. Znający się nieco na obróbcie drewna Sador pracował w obejściu, strugając lub naprawiając wszelkie drobne sprzęty, które choć niewiele warte, to jednak przydawały się w domostwie. Turin przynosił mu to i owo, by Sador nie musiał sam po wszystko kuśtykać, czasem zaś podbierał gdzieś po cichu jakieś narzędzie czy kawałek drewna, jeśli zdało mu się, że rzecz nie ma właściciela, a może przydać się do czegoś przyjacielowi. Sador uśmiechał się wówczas, ale zawsze kazał mu odnieść znalezisko na miejsce.

- Dawaj szczodrze, ale tylko to, co twoje - powiedział. Jak mógł, nagradzał przy tym dobroć dziecka, rzeźbiąc dlań figurki ludzi i zwierząt. Turin wołał jednak słuchać opowieści Sadora, który w czasie Bragollach młodzieńcem był jeszcze i z chęcią rozprawiał o tych niedługich dniach męskości poprzedzających okaleczenie.

- Powiadają, że była wielka bitwa, synu Hurina. Odwołano mnie od pracy w lesie, gdyż tamtego roku taka zaistniała potrzeba, ale nie brałem udziału w walce, a szkoda, bo może chwalebniejsze odniósłbym rany. Za późno przybyliśmy, zostało nam tylko znieść na marach starego pana, Hadora, który padł w obronie Króla Fingolfiną. Potem wstąpiłem do wojska i służyłem w Eithel Sirion, wielkiej fortecy elfich królów i trwało to wiele lat, a może tylko tak mi się dzisiaj zdaje, skoro wiosny mijają mi teraz podobne jedna do drugiej. Byłem w Eithel Sirion, gdy napadł ją Czarny Król a Galdor (ojciec twego ojca, który dowodził wówczas w zastępstwie Króla) poległ i na moich oczach Hurin przejął godności i dowództwo, chociaż dopiero co osiągnął wiek męski. Płonął w nim ogień, od którego rozgrzewał się mu miecz w dłoni, tak powiadano. Pod jego komendą wdeptaliśmy Orków w piach, i nie wazą się od tamtego dnia podejść na rzut okiem do fortecy. Ale niestety! Aż zanadto nasyciłem się bitwą, sporo krwi tracąc i dość ran doznając, tak więc wrócić musiałem do utęsknionych lasów. I tam właśnie okaleczyłem sam siebie. Człowiek bowiem, który ucieka przed własnym strachem, zwykle odwlecze jedynie najgorsze i nic nadto.

W ten sposób Sador przemawiał do Turina, gdy ten dorastał, aż chłopiec zaczął zadawać wiele pytań, na które przyjaciel nie zawsze znajdował odpowiedzi, uznając, że nauk winni udzielać mu jego najbliżsi. Pewnego dnia Turin spytał:

- Czy Lalaith rzeczywiście podobna była do dziecka elfów, jak powiedział to mój ojciec? I co miał na myśli, gdy stwierdził, że krótsze życie jest jej pisane?

- Czasem trudno odróżnić małe dzieci ludzi i elfów - odparł Sador. - Jednak potomstwo człowiecze rośnie szybciej, a młodość rychło przemija, taki już nasz los.

- Co to jest los? - zagadnął wówczas Turin.

- Spytaj kogoś mądrzejszego od Labadala - odparł Sador. - Tyle wiem tylko, że życie ludzkie nie trwa długo, z sił opadamy i nadchodzi koniec, a bywa i tak, że wcześniej jeszcze człek śmierć napotka. Elfy zaś nie starzeją się i nie umierają, chyba że doznają bardzo ciężkich ran. Ciosy i żal, gotowe człowieka powalić, im są jedynie chorobą, z której się leczą. Podobno nawet jeśli ciała ich unicestwić, to i tak wracają. Z nami tak nie jest.

- To Lalaith nie wróci? - spytał Turin. - Gdzie odeszła?

- Nie wróci. Ale dokąd odeszła, tego żaden człowiek nie wie, a w każdym razie nie wiem tego ja.

- Czy zawsze tak było? A może ciąży nad nami klątwa tego szalonego Króla, taka jak Złe Tchnienie?

- Nie potrafię odpowiedzieć ci na to pytanie. Ciemność kryje naszą historię i ledwo kilka opowieści rozświetla te mroki. Może ojcowie naszych ojców wiedzieli więcej, ale dziś nie rzekną już ani słowa. Nawet ich imiona zatarły się w pamięci. Góry stoją między nami a ich życiem niegdyś, które porzucili, nie wiadomo przed czym uciekając.

- Może się bali? - spytał Turin.

- Może. Mogło być i tak, że umknęli ze strachu przed Ciemnością po to tylko, by znaleźć ją tutaj, gdzie kończy się ląd i dalej nie ma już żadnej drogi.

- Ale teraz my się nie lękamy niczego - powiedział Turin. - Nie wszyscy. Mój ojciec się nie boi i mi obce będzie to uczucie, a przynajmniej, jeśli kiedykolwiek zaznam strachu, tak jak matka, nie pokażę tego po sobie.

Zdało się w tej chwili, że oczy Turina niezbyt przypominają oczy dziecka i Sador pomyślał: „Żal hartuje tylko silnego ducha”. Głośno jednak powiedział:

- Synu Hurina i Morweny, co wzrośnie w twoim sercu, tego Labadal nie odgadnie, ale rzadko kiedy i nielicznym tylko będzie dane w nie zajrzeć.

- Może lepiej nie wyjawiać swoich pragnień, jeśli nie można ich spełnić - stwierdził wówczas Turin. - Ale żałuję, Labadalu, że nie jesteśmy jednymi z Eldarów. Wówczas Lalaith mogłaby wrócić, a ja czekałbym na nią, nawet jeśli wracałaby z bardzo daleka. Gdy tylko dorosnę, wyruszę jako żołnierz z elfim królem, tak ja ty kiedyś, przyjacielu.

- Wtedy poznasz ich lepiej - westchnął Sador. - To lud piękny i wspaniały, obdarzony władzą nad ludzkimi sercami. Czasem wydaje mi się, że lepiej by było, gdybyśmy nigdy nie spotkali tego plemienia i trzymali się własnych, ostatnich szlaków. Mądrość elfów

wywodzi się ze starożytnych czasów, dumni są i wytrzymali. W ich blasku nasz płomień albo blednie, albo gorzej tym silniej, szybko się wypalając, a wówczas tym ciężiej jest człowiekowi przyjąć wyrok losu.

- Ale mój ojciec kocha Eldarów - powiedział Turin. - Bez nich nie jest szczęśliwy. Mówi, że prawie cała nasza wiedza od nich właśnie pochodzi, że uczynili nas szlachetniejszymi, powiada też, że ludzie, którzy przyszli niegdyś z Gór, niewiele różnili się od Orków.

- To prawda - odparł Sador - przynajmniej od wielu spośród nas. Ale taka wspinaczka trudna jest i bolesna, a z wysokiego stołka łatwo spaść.

Turin miał osiem lat, gdy nadszedł miesiąc zwany w kalendarzu Edainów Gwaeron, owego roku, który pozostanie w ludzkiej pamięci. Od jakiegoś czasu krążyły już wśród starszyny pogłoski o wielkim przeglądzie wojsk i gromadzeniu oręża, nie jednak z tego nie docierało do Turina, Hurin zaś, znając odwagę i opanowanie żony, często rozmawiał z Morweną o zamiarach królów elfów i o tym, co wyniknąć może z ich zwycięstwa lub klęski. Sam pełen był nadziei i nie martwił się zbytnio o wynik bitwy, nie podejrzewał bowiem, by jakakolwiek siła w Śródziemiu mogła pokonać potężnych i wspaniałych Eldarów.

- Oni widzieli Światło na Zachodzie - powiedział - Ciemności przyjdzie w końcu pierzchnąć, gdy stawia jej czoło.

Morwena zaś nie zaprzeczyła, w towarzystwie Hurina bowiem i jej nadzieja rosła. Ponieważ jednak pochodziła z ludu, który też posiadał nieco wiedzy elfów, powiedziała sobie:

- Czyż nie wyrzekli się Światła, czyż nie jest zatem tak, że nie mają teraz doń przystępu? A jeśli Władcy Zachodu wymazali ich ze swych myśli, czy pokonanie jednego z Możliwych nie będzie wówczas zadaniem przewyższającym siły nawet Pierworodnych?

Cień podobnych wątpliwości zdawał się w ogóle nie nawiedzać umysłu Hurina Thaliona, jednak któregoś wiosennego dnia owego roku obudził się po niespokojnym śnie cały chmurny, wieczorem zaś stwierdził nagle:

- Gdy mnie wezwą, Morweno Eledhwen, wówczas twej pieczy powierzę dziedzictwo rodu Hadora. Życie człowieka jest krótkie i wiele czyha nań pułapek, nawet w czasach pokoju.

- Zawsze tak było - odparła. - Ale co mają znaczyć te słowa?

- To znak rozwagi, nie zwątpienia - powiedział Hurin, jednak zdawał się zaniepokojony. - Ten, kto myśli o przyszłości, musi dostrzec, że nic nie zostanie takie, jakie było. Szykuje się wielka rozgrywka, która ze szczętem pograży jedną ze stron. Jeśli to królowie elfów przegrają, wtedy zły los spotka także Edainów, a my mieszkamy najbliżej Nieprzyjaciela. Jeśli tak by się stało, nie powiem ci: Nie bój się! Choć słusznie bowiem lękasz

się tego, co straszne, to strach nie ma nad tobą władzy. Rzeknę zatem: Nie czekaj! Wróć, gdy tylko będę mógł, ale ty nie czekaj! Jak szybko będziesz mogła, ruszaj na południe; podążę za tobą i znajdę cię, choćbym cały Beleriand miał przeszukać.

- Rozległy jest Beleriand i nieżyczliwy wygnańcom - powiedziała Morwena. - Dokąd mam uciekać i ilu ludzi zabrać ze sobą?

Hurin pomyślał chwilę w ciszy.

- W Brethilu mieszka rodzina mej matki - odezwał się w końcu. - Lotem orła to jakieś trzydzieści staj.

- Gdyby tak fatalny czas zaiste nadszedł, to cóż po ludziach? - spytała Morwena. - Ród Beora upadł. Jeśli potężny ród Hadora zostanie pokonany, w jakąż to myśią dziurę przyjdzie się schować Ludowi Halethy?

- Niewielu ich jest i nieuczeni oni, ale nie powątpiewaj w ich męstwo - powiedział Hurin. - Bo czyż można liczyć na cokolwiek więcej?

- Nie wspomniałeś jeszcze o Gondolinie.

- Tak, ta nazwa nie padła z mych ust - odparł Hurin. - Prawdą jest jednak to, co słyszałaś: byłem tam. Powiadam ci jednak szczerze, jak nigdy dotąd nikomu nie wyjawilem i nie wyjawię, że nie wiem, gdzie leży Gondolin.

- Ale domyślasz się i najpewniej orientowałbyś się, gdzie szukać - stwierdziła Morwena.

- Może i tak, ale dopóki Turgon nie zwolni mnie z danego słowa, nawet tobie nie zdradzę mych przypuszczeń i na próżno byś szukała. Gdybym zaś, hańbą się okrywając, powiedział ci wszystko, to w najlepszym razie stanęłabyś przed zawartą bramą, aż bowiem do chwili, gdy Turgon wyruszy na wojnę (a nic nie wiadomo, by miał to uczynić i nikt się tego nie spodziewa), żadna istota nie wejdzie do środka.

- Skoro zatem nie można liczyć na twych pobratymców, a przyjaciele odmawiają pomocy - powiedziała Morwena - sama muszę zdecydować i myśli moje skłaniają się ku Doriathowi. Obręcz Meliany padnie ostatnia, jak sądzę, nikt też nie będzie tam pogardzał rodem Beora. Czyż nie jestem teraz krewniaczką Króla? Przecież Beren, syn Barahira, był wnukiem Bregora, tak jak i mój ojciec.

- Niezbyt ciepło noszę w sercu Króla Thingola - powiedział Hurin. Nie udzielił on żadnej pomocy Królowi Fingonowi i nie wiedzieć czemu, dziwny cień zbiera się w mych myślach, gdy wypowiedzana jest nazwa Doriath.

- A mnie chłód ogarnia, gdy słyszę o Brethilu - odparła Morwena. Wówczas Hurin roześmiał się nagle i powiedział:

- Oto siedzimy sobie, rozpamiętując sprawy nijak od nas nie zależne, mroczne cienie przywołując z niebytu. Nie będzie aż tak źle. Ale gdyby jednak, to na odwadze i roztropności przyjdzie ci polegać. Postąpisz, jak ci serce podyktuje, nie zwlekaj tylko. Jeśli zaś kres żywota napotkamy, wówczas sprawą królów elfów będzie przywrócić lenno spadkobiercom rodu Beora, a syn nasz obejmie dostojne dziedzictwo.

Tej nocy Turin prawie przebudził się i zdało mu się, że ojciec i matka stoją obok łóża i przyglądają się synowi w świetle trzymanyh w dłoniach świec, twarzą rodziców jednak nie dostrzegł.

Rankiem w dniu urodzin Turina, Hurin dał synowi prezent, wykuty przez elfy nóż z rękojeścią i pochwą w barwach srebra i czerni. Wręczając dar, powiedział:

- Dziedzicu rodu Hadora, oto mój podarunek urodzinowy. Uważaj jednak! Okrutne jego ostrze, stał służy zaś tym tylko, którzy potrafią nią władać. Wszystko gotowa jest ciąć z równą gorliwością, nawet twoją dłoń. - I sadzając Turina na stole, ucałował go serdecznie. - No proszę, niemal dorównujesz mi wzrostem. Nie minie wiele czasu, a naprawdę mnie przerosniesz. Wielu zacznie się wówczas lękać twego noża.

Wówczas Turin uciekł z komnaty i samotnie wybiegł z domu, a w sercu chłopca zagościło ciepło niczym blask słońca rozgrzewający wiosną zmarzniętą ziemię. Powtarzał sobie słowa ojca, który nazwał go dziedzicem rodu Hadora, jednak w myślach inne jeszcze zdanie sobie przypominał: Dawaj szczodrze, ale tylko to, co twoje. Poszedł zatem do Sadora i zawołał:

- Labadalu, dziś jest moje święto, urodziny dziedzica rodu Hadora! Przyniosłem ci prezent z tej okazji. Oto nóż, dokładnie taki, jakiego ci trzeba, gładko i równo wytniesz nim, co zechcesz.

Sador przyjął rzecz z zakłopotaniem, wiedział bowiem, że Turin sam otrzymał ów nóż na urodziny, jednak nie godzi się mężczyźnie odmówić daru, jeśli ten zostaje wręczany dobrowolnie, obojętnie czyja ręka to czyni. Powiedział zatem z powagą:

- Ze szczodrego rodu pochodzisz, Turinie, synu Huora. Nie zrobiłem nic, czym godnie mógłbym ci odpłacić i za mało życia mi zostało, by to zmienić. Postaram się jednak tego dokonać, na ile sił mi starczy. - A gdy wyciągnął nóż z pochwy, stwierdził: - Zaiste, wspaniały to dar, ostrze ze stali elfów. Z dawna brakowało mi jej dotyku.

Hurin zauważył wkrótce, że syn nie nosi noża, a gdy spytał go, czy może tak zląkł się przestrogi, Turin odparł:

- Nie, ale dałem nóż cieśli Sadorowi.

- Czyżbyś pogardził prezentem od ojca? - spytała Morwena i Turin znów odpowiedział:

- Nie, ale kocham Sadora i żał mi tego człowieka. - Wtenczas rzekł Hurin:

- Wszystkie te trzy rzeczy twoimi były i rozdać je mogłeś wedle swej woli, Turinie: miłość, współczucie, a w końcu i nóż.

- Ale wątpię, czy Sador zasłużył sobie na nie - powiedziała Morwena. - Sam się okaleczył przez brak biegłości, co ma zrobić, zawsze czyni powoli, marnując czas na błahostki.

- Tak czy inaczej, zasługuje na współczucie - stwierdził Hurin. - Nawet prawa dłoń i szczere serce mogą czasem zbłądzić, a taką krzywdę trudniej bywa znieść niż knowania wroga.

- Teraz jednak będziesz musiał poczekać na inny nóż - powiedziała Morwena. - Ten zaś dar pozostanie prawdziwym prezentem, swoją bowiem własność oddałeś.

Niemniej od tamtej pory Turin zauważył, że Sadora zaczęto traktować z większymi rewerencjami, zlecono mu też wykonanie wielkiego siedziska dla pana domu, by ten mógł ustawić je w swojej komnacie.

Nadszedł jasny poranek w miesiącu Lothron, kiedy to nagle dęcie w trąby obudziło Turina. Gdy podbiegł do drzwi, ujrzał na podwórzu wielką cizbę pieszych i konnych uzbrojonych jak na wojnę. Stał tam i Hurin, przemawiając do ludzi i wydając rozkazy. Turin dowiedział się, że wszyscy oni wyruszają właśnie do Barad Eithel. Byli między nimi nie tylko strażnicy i ludzie domu Hurina, ale i mężczyźni wezwani z całego kraju. Niektórzy wyruszyli już wcześniej z Huorem, bratem ojca Turina, inni mieli dołączyć do władcy Dorlominu po drodze, by pod jego sztandarem ruszyć na wielki przegląd wojsk Króla.

Morwena nie roniła łez, żegnając męża.

- Przypilnuję wszystkiego, co zostawiasz mej pieczy - powiedziała. - I tego, co jest, i tego, co będzie.

- Żegnaj, pani Dorlominu, wyruszamy z nadzieją większą, niż kiedykolwiek. Niech pozostanie przy nas wiara, że tej zimy święto przesilenia radośniejsze będzie niż we wszystkich minionych latach i wiosna bez lęku zawita w nasze progi! - Potem posadził sobie Turina na ramieniu i zawołał do swych ludzi: - Niech dziedzic rodu Hadora ujrzy błysk waszych mieczy! - I słońce zajaśniało na pięćdziesięciu ostrzach, które tamci dobyli, a podwórzec wypełnił się zawołaniem bitewnym Edainów z Północy: *Lacho calad! Drego morn!* Płoń blasku! Uciekaj Nocy!

W końcu Hurin wskoczył na siodło i rozwinął jego złoty sztandar, a trąby zagrały raz jeszcze tego ranka. W ten sposób Hurin Thalion odjechał ku Nirnaeth Arnoediad.

Morwena i Turin stali zaś w drzwiach, aż dobiegł ich z dala słaby zew rogu: to Hurin minął grań pagórka, zza którego nie widać było już domu.

Słowa Hurina i Morgotha

Wiele pieśni nucą elfy i niejedną snują opowieść o Nirnaeth Arnoediad, Bitwie Nieprzeliczonych Łez, w której zginął Fingon i kwiat cały plemienia Eldarów. Życia ludzkiego by nie starczyło na wysłuchanie wszystkich tych historii³⁶, teraz zatem pora na słowo o tym jedynie, co przytrafiło się Hurinowi, synowi Galdora, panu Dorlominu, kiedy to na rozkaz Morgotha został w końcu pojmany żywcem przy strumieniu Rivil, skąd uprowadzono go do Angbadu.

Zaprowadzono Hurina przed oblicze Morgotha, który dzięki swoim talentom i szpiegom wiedział o przyjaźni łączącej Hurina z Królem Gondolinu i pragnął osobiście złamać więźnia. Hurin jednak nie dał się nastraszyć i stawiał czoło Morgothowi, który zakuł go wówczas w łańcuchy i skazał na powolną mękę. Wrócił jednak po niedługim czasie do Hurina i dał mu wybór pomiędzy odejściem gdzie wola i ochota lub też przyjęciem służby pomiędzy największymi dowódcami Morgotha, a to pod warunkiem, że wyjawi położenie fortecy Turgona i wszystko, co wie o zamiarach Króla. Ale Hurin Nieugięty zakpił z niego, mówiąc:

- Ślepy jesteś, Morgocie Bauglirze i ślepy pozostaniesz, mrok jeno dostrzegając. Pojęcia nie masz, co rządzi sercami człowieczymi, a nawet, gdybyś to wiedział, nie potrafiłbyś darować ludziom spełnienia. Głupcem zwać tego, kto wierzy w słowa Morgotha. Najpierw zagarniesz to, co pragniesz, potem cofniesz obietnicę, a mnie tylko śmierć zostanie, jeśli ulegnę twym żądaniom i namowom.

Morgoth roześmiał się wówczas i powiedział:

- Będziesz mnie jeszcze błagał o śmierć jak o łaskę.

Potem zabrał Hurina na Haudh-en-Nirnaeth, który to kurhan dopiero co usypano, więc wciąż spowijało go tchnienie śmierci. Usadził swego więźnia na szczycie, spojrzeć kazał na zachód, ku Hithlum, i skłonił do pomyślenia o żonie, dzieciach i reszcie krewnych.

- Teraz wszyscy oni mieszkają w należącem do mnie królestwie - powiedział Morgoth.
- Mogą liczyć jedynie na moje miłosierdzie.

- Które nie istnieje - dodał Hurin. - Jednak nie są w stanie wskazać ci drogi do Turgona, nie znają bowiem jego tajemnic.

Wówczas gniew ogarnął Morgotha.

- Ty jednak możesz mi w tym pomóc, wraz z całym swym przeklętym rodem. Nagnę cię do mej woli, choćbyś twardszy miał być od stali. - I porwał długi miecz, który tam leżał, i na oczach Hurina złamał go wpół. Hurin zaś, choć odłamek zranił mu twarz, nawet nie drgnął.

³⁶ Tekst „Narn” zawiera w tym miejscu opis Nirnaeth Arnoediad, który pominąłem z tych samych powodów, jak w

Wyciągnął zatem Morgoth długą rękę ku Dorlominowi i przeklął Hurina, Morwenę i ich potomstwo, mówiąc: - Patrz! Cień mej myśli spowije twoich bliskich, gdziekolwiek pójdą, i moja nienawiść ścigała ich będzie aż na kraniec świata.

- Próżne gadanie - odrzekł śmiało Hurin. - Nie dostrzegasz ich nawet, nie masz z dala nad nimi nijakiej władzy i miał nie będziesz, jak długo pozostajesz w tej postaci, jak długo pragniesz być widzialnym Królem tej ziemi.

Obrócił się wtedy Morgoth do Hurina i powiedział:

- Głupcze, najlichszy spośród ludzi, ostatnich spośród istot obdarzonych mową! Czy widziałeś kiedykolwiek Valarów, czy poznałeś siłę Manwego i Vardy? Czy wiesz, dokąd sięgają ich myśli? A może sądzisz, że pamiętają o tobie i że gotowi są chronić cię z dużej odległości?

- Tego nie wiem - odparł Hurin. - Jednak mogliby to uczynić, gdyby zapragnęli. Jak długo bowiem Arda istnieje, nikt nie pozbawi Odwiecznego Króla tronu.

- Mylisz się, Hurinie - stwierdził Morgoth. - Jam jest Odwiecznym Królem: Melkor, pierwszy i najpotężniejszy z Valarów, byłem już, kiedy świat jeszcze nie istniał, to ja go stworzyłem. Cień mych zamysłów zalega nad Ardą i wszystko, co ją tworzy, ulega z wolna, ale nieuchronnie mej woli. Nad tymi zaś, których kochasz, zawiśnie niczym chmura widmo Zagłady, aż bez reszty pogrążą się w mroku i rozpacz. Gdziekolwiek pójdą, zło podąży za nimi. Cokolwiek powiedzą, fatalną okaże się rada. Każdy czyn, przeciw nim się obróci. Umrą odarci z nadziei, i śmierć, i życie przeklinając.

- Czyżbyś zapomniał, z kim rozmawiasz? - spytał hardo Hurin. - Dawno temu opowiadałeś już takie bajdy naszym ojcom, umknęliśmy jednak z zasięgu twego Cienia. Teraz już wiemy dobrze, kim jesteś, patrzyliśmy bowiem w oblicza tych, co widzieli Światło, słyszeliśmy głosy tych, którzy rozmawiali z Manwem. Owszem, istniałeś wcześniej niż Arda, ale nie byłeś sam, i nie ty ją stworzyłeś. Trudno też cię nazwać najpotężniejszym, za wiele bowiem siły zużyłeś, by zbudować swój wizerunek, z próżności zmarnowałeś i roztrwonileś swą moc. Teraz jesteś ledwie zbiegłym więźniem Valarów i nikim nadto. Ich łańcuch wciąż na ciebie czeka.

- Dobrze wyuczyłeś się zadanej przez twych panów lekcji - powiedział Morgoth. - Ale takie dziecinne bajanie nic ci nie pomoże, skoro wszyscy oni uciekli.

- Na sam koniec więc, więźniu Morgocie, powiem ci coś, co nie od Eldarów pochodzi, ale pojawiło się w mym sercu w tej godzinie. Nie jesteś panem ludzi i nigdy nim nie będziesz, nawet gdyby i Arda, i Menel dostały się w twe jarzmo. Nie dosięgniesz poza Kręgami Świata

tych, którzy sprzeciwią się twojej woli.

- Poza Kręgi Świata ścigał ich nie będę - odparł Morgoth. - A to dlatego, że tam jeno pustka i nicość. Tutaj jednak mi nie ujdą, chyba że nicość wybiorą.

- Kłamiesz - stwierdził Hurin.

- Sam jeszcze ujrzysz i przekonasz się, że to, co mówię jest prawdą - odrzekł Morgoth i zabrał Hurina z powrotem do Angbadu, by przykuć go swą mocą do kamiennego siedziska wysoko na zboczu Thangorodrimu, skąd rozciągał się widok daleko w głąb Hithlumu na zachodzie i Beleriandu na południu. Stanąwszy zaś obok, Morgoth przeklął go raz jeszcze, nie pozwalając ni ruszyć się z miejsca, ni umrzeć, póki sam więźnia nie uwolni.

- Siedź tutaj i patrz na krainy, gdzie zło i rozpacz dosięgnie tych wszystkich, których wystawiłeś na me ciosy. Ośmieliłeś się bowiem drwić ze mnie, podważyłeś potęgę Melkora, pana losu Ardy. Tedy moimi oczami widział będziesz, moimi uszami słyszał i nic nie zostanie ci oszczędzone.

Odejście Turina

Tylko trzech mężów ze wszystkich wrócić zdołało do Brethilu przez Taur-nu-Fuin i ponury był to powrót. Gdy Gloredhel, córka Hadora, dowiedziała się o śmierci Haldira, umarła z żalości.

Do Dorlominu żadne wieści nie dochodziły. Riana, żona Huora, popadła w szaleństwo i uciekła na pustkowia, gdzie jednak trafiła na Elfy Szare ze wzgórz Mithrimu. One przyjęły ją oraz dziecko, które urodziła, i roztoczyły opiekę nad Tuorem, kiedy to Riana wyruszyła do Haud-en-Nornaeth, gdzie zległa i umarła.

Morwena Eledhwen pozostała w Hithlumie, cierpiąc w milczeniu. Jej synowi, Turinowi, biegł dopiero dziewiąty rok życia, a ona znów oczekiwała dziecka. Zły był to czas. Easterlingowie w wielkiej liczbie nadciągnęli do jej włości, ze szczególnym okrucieństwem traktując poddanych Hadora, ograbiając ich z majątku i pędząc w niewolę. Zabierali wszystkich, którzy mogli przydać się do jakiegokolwiek służby czy pracy, nawet dziewczęta i chłopców, starych zabijali lub głodzili na śmierć. Nie ośmielili się jednak jeszcze ani wyciągnąć rąk po panią Dorlominu, ani wyrzucić jej z domu, wierzyli bowiem, że jest ona niebezpieczną czarownicą mającą swe układy z białymi demonami, jak nazywali elfy, budzące w nich lęk silniejszy od nienawiści³⁷. Z tegoż samego powodu omijali góry, gdzie, szczególnie na południu, schroniło się wielu Eldarów. Skończywszy plądrowanie, Easterlingowie poniechali dalszego dzieła zniszczenia i wycofali się na północ, posiadłość zaś Huora znajdowała się na południowym wschodzie Dorlominu i góry były blisko, a Nen Lalaith brał swój początek ze źródła tryskającego u stóp Amon Darthir, której grzbiet przecinała przełęcz stroma, ale dostępna dla kogoś zaprawionego w wędrówkach. Śmiałek taki, pokonawszy Ered Wethrin mógł zejść potem wraz z dopływami Glithui do Beleriandu. Ani Easterlingowie, ani nawet sam Morgoth nie znali jeszcze tej drogi, jak długo bowiem stał dom Fingolfin, kraj ten był bezpieczny. Nieprzyjaciele i słudzy zła nigdy tam się nie zapuszczali. Morgoth zaś uważał Ered Wethrin za przeszkodę nie do przebycia, zarówno dla uciekinierów z północy, jak i najeźdźców z południa. I rzeczywiście, nie istniało inne przejście dla bezskrzydłych istot od Serech aż po daleki zachód, gdzie Dorlomin graniczył z Nevrastem.

Tak więc się stało, że podczas pierwszych wypadów poniechano Morweny, jednak

³⁷ Inna wersja tego tekstu wyjaśnia, że Morwena zaiste kontaktowała się z Eldarami przemieszczającymi się sekretnie w górach niezbyt daleko od jej domu. „Ale nie mieli jej nic nowego do powiedzenia. Nikt z nich nie widział ostatnich chwil Hurina.

- Nie było go z Fingonem - powiedzieli. - Został wraz z Turgonem zepchnięty na południe i jeśli ktokolwiek z nich ocalał, to pociągnął za zastępami Gondolinu. Ale czy można wiedzieć coś na pewno? Orkowie zebrali ciała wszystkich poległych w jeden stos i próżno by szukać, nawet gdyby ktoś ważył się wybrać do Haudh-en-Nirnaeth”.

wielu ludzi czaiło się w pobliskich lasach, więc śmiałkowi wypuszczającemu się zbyt daleko od domu groziło duże niebezpieczeństwo. Pod opieką Morweny pozostało jeszcze kilkoro starszych mężczyzn i kobiet, w tym cieśla Sador, oraz Turin, któremu matka zakazała teraz wychodzić poza dziedziniec. Dom Hurina podupadł jednak wkrótce i chociaż Morwena ciężko pracowała, to bieda cisnęła ją mocno i pani Dorlominu przymierałaby głodem, gdyby nie dyskretna pomoc Aeriny, krewnej Hurina, którą niejaki Brodda, Easterling, wziął przemocą za żonę. Gorzki był to kąsek dla Morweny, przyjmowała jednak dary przez wzgląd na Turina i nie narodzone jeszcze dziecko, a też dlatego, powiadała, że swoje bierze, to właśnie bowiem ów Brodda zagarnął jej poddanych, dobra i bydło z włości Hurina, wyprowadzając je do własnego majątku. Był to człowiek zuchwały, ale niezbyt liczył się między swoimi, nim przybyli do Hithlumu, tak zatem, pragnąc bogactwa, wyciągał rękę po okolice, którymi inni pogardzili. Raz tylko widział Morwenę, gdy przyjechał do jej domostwa po łupy, i lęk go wówczas ogarnął. Zdało mu się, że patrzy w srogie oczy białego demona i przerażony, aby tylko jakiego uroku nań nie rzuciła, zaniechał plądrowania, nie odkrywając tym samym Turina. Inaczej życie prawdziwego dziedzica i pana na włościach dobiegłoby przedwczesnego końca.

Z ludu Hadora Brodda uczynił swych niewolników, zmuszając Słomiane Łby, jak ich nazywał, do wzniesienia dlań drewnianego pałacu na północ od domu Hurina. Tam też nieszczęsnych stłoczył niczym bydło na otoczonym palisadą dziedzińcu, strzeżono ich jednak marnie. A byli w owej gromadzie i tacy, którzy nie bacząc na swe mizerne położenie, nie lękali się pomagać pani Dorlominu, i od nich to docierały do Morweny przekazywane potajemnie wieści, nie dodające jednak otuchy. Niemniej Brodda traktował Aerinę jak prawdziwą żonę, a nie jak niewolnicę, niewiele bowiem kobiet przybyło z armią Easterlingów, a i te nie umywały się do córek Edainów. Miał też nadzieję objąć kiedyś władzę nad całą tą krainą i czekał dziedzica, by mieć komu włości przekazać.

O tym, co się działo i jeszcze zdarzyć mogło, Morwena nie wspominała prawie Turinowi, on zaś bał się zmącić jej milczenie pytaniami. Gdy po raz pierwszy Easterlingowie przybyli do Dorlominu, spytał wówczas matkę:

- Kiedy wróci mój ojciec, by przegnać tych obrzydliwych złodziei? Czemu jeszcze nie nadchodzi?

- Nie wiem - odparła wówczas. - Może zginął, może popadł w niewolę, a może rzucił go los tak daleko, że nie może przedrzeć się do nas przez rzesze nieprzyjaciół.

- Chyba jednak poległ - powiedział Turin, a nim matka zdołała go ukoić, dodał ze łzami: - Bo przecież gdyby żył, nikt by go nie powstrzymał przed powrotem, by nam pomóc.

- Obawiam się, że i tak nie domyślamy się prawdy - odparła Morwena.

Z czasem Morwena coraz bardziej zaczęła się lękać o los swego syna, dziedzica Dorlominu i Ladrosu, obawiając się, że nie minie wiele lat, a stanie się niewolnikiem Easterlingów i nic lepszego go już w życiu nie spotka. Wtedy wspomniała słowa Hurina i ponownie pomyślała o krainie Doriathu, ostatecznie postanawiając wysłać tam cichcem Turina i poprosić Króla Thingola, by przygarnął chłopca. Gdy tak siedziała i dumiała, jak tego dokonać, usłyszała w myślach wyraźnie głos Hurina mówiący: „Ruszaj szybko! Nie czekaj na mnie!” Zbliżał się jednak czas rozwiązania, a droga szykowała się ciężka i niebezpieczna, z każdym krokiem dająca mniej szans na ucieczkę, na dodatek Morwena łudziła się wciąż, chociaż była to nadzieja skrywana na samym dnie serca, że Hurin nie zginął i że którejś bezsennej nocy usłyszy wreszcie jego kroki. Czasem budziła się, przekonana, że oto dobiegło ją rzenie jego konia, Arrocha. Co więcej, chociaż pragnęła, by syn znalazł schronienie pod obcym dachem, duma nie pozwalała jej samej prosić o jałmużnę, nawet Króla. Nie posłuchała więc głosu męża, czy też wspomnienia owego głosu, i za jej sprawą w tejże oto chwili dopełniać się zaczął fatalny los Hurina.

Jesień Roku Lamnetu zdążyła nadciągnąć, nim Morwena podjęła swą decyzję, toteż pośpiech był teraz wskazany, niewiele bowiem czasu zostało na podróż, próba zaś przeczekania zimy groziła pojmaniem Turina przez krążących w pobliżu i szpiegujących domostwo Easterlingów. Tak zatem niespodziewanie rzekła pewnego dnia Turinowi:

- Twój ojciec nie powróci. Ty również musisz wyruszyć, i to rychło, tak jak on tego pragnął.

- Wyruszyć? - krzyknął Turin. - Ale dokąd pójdziemy? Przez Góry?

- Tak - odparła. - Na południe, gdzie może tli się jeszcze jakaś nadzieja. Nie powiedziałam jednak „my”, mój synu. Ja muszę zostać.

- Nie odejdę sam! - powiedział Turin. - Nie zostawię cię. Czemu nie mielibyśmy ruszyć razem?

- Ja nie mogę - stwierdziła Morwena. - Nie będziesz jednak samotnie wędrował. Wyślę z tobą Gethrona, a może też i Grithnira.

- A czemu nie Labadala?

- Bo Sador jest kulawy, a droga niełatwa. Ponieważ jesteś moim synem i ponure czasy nastały, powiem wprost: możecie zginąć w marszu. Zima już bliska. Jeśli jednak zostaniesz, wówczas czeka cię koniec gorszy jeszcze, nie unikniesz bowiem niewoli. O ile chcesz godnie dojść wieku męskiego, wówczas zbierzesz się na odwagę i zrobisz, jak mówię.

- Ale przy tobie będzie tylko Sador, ślepy Ragnir i garstka starych kobiet. Czy ojciec nie powiedział, że jestem dziedzicem Hadora? Ktoś taki powinien zostać w domu, by go bronić.

Jaka szkoda, że oddałem nóż!

- Powinien, ale nie może - odparła Morwena. - Niewykluczone jednak, że pewnego dnia tu powróci. Odwagi! Jeśli sytuacja pogorszy się, wyruszę za tobą, o ile tylko będę mogła.

- Ale jak odszukasz mnie wówczas wśród pustkowia? - spytał Turin i załkał nagle, przerażony.

- Skoro nie przestaniesz tak jęczeć, to inni znajdą cię przede mną. Znając cel wędrówki, odnajdę was. Macie dotrzeć gdzie trzeba i pozostać na miejscu. Wysyłam cię do Króla Thingola w krainie Doriathu. Czy nie wolisz być raczej gościem Króla niż niewolnikiem?

- Sam nie wiem. Nigdy nie spotkał mnie los więźnia.

- Po to właśnie cię wysyłam, byś nie poznał doli niewolnika - odparła Morwena i posadziła Turina przed sobą, po czym spojrzała mu w oczy, jakby chciała wyczytać z nich odpowiedź na jakąś zagadkę. - Czasy są ciężkie, Turinie, mój synu - odezwała się po dłuższej chwili. - I to nie tylko dla ciebie. Niełatwo mi w tych złych dniach osądzić słuszość wyboru. Czynię jednak to, co wydaje mi się słuszne. Bo i dla jakiego niby innego powodu miałabym rozstawać się z najdroższą osobą, jaka została mi na świecie?

Więcej już o tym nie rozmawiali, Turin zaś, smutny i nieswój, poszukał następnego ranka Sadora, który rąbał na szczapy mizerne resztki drewna do ognia, co musiało wystarczyć, nikt bowiem nie odważał się obecnie zapuszczać w las. Wsparty na kulach zapatrzył się na wielkie siedzisko Hurina, które tkwiło nieukończone w kacie.

- Przyszedł jego czas - powiedział. - Nie pora dziś na zbytki.

- Poczekaj z tym - poprosił Turin. - Może on jeszcze wróci, a wówczas z radością ujrzy, co dlań zrobiłeś, gdy przebywał z dala od domu.

- Próżna nadzieja gorsza jest od strachu - stwierdził Sador - bo nie ogrzeje nas tej zimy.

- Przesunął palcem po rzeźbieniach mebla i westchnął. - Stracony był to czas, chociaż miło upływał. Ale takie dzieła zawsze krótko żyją i jedyna radość, której dostarczają, to radość tworzenia. Równie dobrze mógłbym oddać ci teraz twój nóż.

Turin zaraz wyciągnął rękę, ale jeszcze szybciej ją cofnął.

- Mężczyzna nie odbiera tego, co podarował - stwierdził.

- Ale skoro nóż należy do mnie, to czy nie mogę podarować go komukolwiek zapragnę?

- Owszem, każdemu, prócz mnie. Ale czemu miałbyś chcieć mi go oddać?

- Chyba nie trafi mi się już robota warta tego ostrza - odrzekł Sador. - Nadchodzą dni, gdy nie będzie pracy dla Labadala innej jak niewolnicza harówka.

- Co to jest niewolnik?

- Człowiek, który człowiekiem już nie jest, bo traktują go jak zwierzę. Jeść dostaje tyle

tylko, by pozostał żywy, żyje dla nieustannego trudu, a trudzi się ze strachu przed cierpieniem i śmiercią. Zresztą ci łupieżcy gotowi są męczyć i zabijać dla samej zabawy. Słyszałem, że wybierają co lepszych biegaczy, by polować na nich z psami. Uczą się od Orków szybciej, niż my nauczyliśmy się od Pięknego Ludu.

- Teraz lepiej rzecz pojmuję - powiedział Turin.

- To haniebne, że tak wcześnie musisz zacząć rozumieć podobne sprawy - odparł Sador, a dostrzegając dziwny błysk w oczach chłopca, spytał: - A co właściwie pojmujesz?

- Matka wysyła mnie w drogę - mruknął Turin i zalał się łzami.

- Aha! - powiedział Sador. - Tylko czemu zwlekała tak długo? - dodał pod nosem. - Nie wygląda mi to na dobry powód do płaczu. Nie powinienes jednak wspominać o decyzji Morweny ani Labadalowi, ani nikomu innemu. Czasy takie, że ściany mają uszy i mało szlachetne głowy tymi uszami strzygą.

- Ale przecież muszę z kimś porozmawiać! Zawsze wszystko ci mówiłem. Nie chcę cię opuszczać, Labadalu. Nie chcę zostawiać domu ani matki.

- Zrozum, jeśli tego nie zrobisz, to ród Hadora wygaśnie niebawem. Labadał pragnie z całego serca, byś nie odchodził, ale Sador, sługa Hurina spokojniej spał będzie wiedząc, że syn Hurina żyje bezpiecznie poza zasięgiem Easterlingów. Cóż, nic nie da się zrobić. Nadeszła pora, by się pożegnać. Czy i teraz nie przyjmiesz od mnie noża jako prezentu na do widzenia?

- Nie! - krzyknął Turin. - Idę do elfów, do Króla Doriathu, tak mówi matka. Tam mogą mieć więcej takich noży, ale nie będę mógł przesłać ci żadnego daru, Labadalu. Będę bardzo daleko i zupełnie sam. - I znów zapłakał, ale Sador powiedział:

- Gdzie podziwiał się syn Hurina? Bo słyszałem, jak mówił całkiem niedawno: „Gdy tylko dorosnę, wyruszę jako żołnierz z elfim królem”.

Wówczas Turin powstrzymał łzy.

- No dobrze, jeśli tak powiedział syn Hurina, to trzeba mu dotrzymać słowa i ruszyć w drogę. Co innego jest jednak mówić o czymś, a robić to naprawdę, gdy czas nadejdzie. Wcale nie pragnę odchodzić. Muszę w przyszłości zwracać większą uwagę na me słowa.

- Zaiste, pamiętaj o tym - stwierdził Sador. - Tak to jest, że większość ludzi próbuje pouczać innych, ale mało kto z nich sam się uczy. Będzie co ma być i nie zamartwiaj się tym, dzisiejsze troski starczą ci aż nadto.

Turin, gotów już do podróży, pożegnał się z matką i wyruszył potajemnie z dwoma jedynie kompanami. Za ich namową odwrócił się jeszcze i spojrzał na dom swego ojca, a wówczas ból rozstania poraził go jak miecz. Oto był pierwszy ze smutków Turina.

- Matko! Matko, kiedy znów cię zobaczę? - zakrzyknął, a stojącą na progu domostwa

Morwenę dobiegło spomiędzy lesistych wzgórz echo tego okrzyku i tak mocno zacisnęła dłoń na framudze drzwi, że aż poraniła sobie palce.

Na początku następnego roku po odejściu Turina Morwena urodziła córkę, której dała na imię Nienor, czyli Żaloba, sam zaś Turin znajdował się w owej chwili już bardzo daleko. Droga była uciążliwa, jako że potęga Morgotha wyciskała piętno nawet na odległych zakątkach. Za przewodników miał chłopiec Gethrona i Grithnira, których młodość przypadała na czasy Hadora, niemniej, choć teraz postarzali, wciąż sprawiali się dzielnie i dobrze znali okolice, nie raz i nie dwa przemierzywszy niegdyś Beleriand. Los sprzyjał odważnym, tak więc pokonali Góry Cienia, zeszli do Doliny Sirionu, minęli Lasy Brethil, aż zmęczeni i wynędniali, dotarli do granic Doriathu. Tutaj zgubiwszy się w labiryncie Królowej, długo wędrowali leśnymi bezdrożami, aż skończyło się jedzenie i śmierć zajrzała im w oczy, gdyż mroźna zima nadciągnęła z północy. Jednak nie tak lekki koniec pisany był Turinowi. Ulegli już zrozpaczeni, gdy dobiegł ich dźwięk rogu. To Beleg, Mistrz Łuku, polował w tej okolicy, przemieszkował bowiem na pograniczu Doriathu, jako najpotężniejszy w owych czasach człowiek lasu. Dosłyszał ich krzyki i zbliżył się, a potem poczęstował jadłem i napojem, a kiedy poznał imiona wędrowców i dowiedział się, skąd wyruszyli, serce jego wypełniło się podziwem i litością. Natychmiast poczuł sympatię do wytrwałego i mocnego Turina, który po matce odziedziczył urodę, a charakter po ojcu.

- O co będziesz chciał prosić Króla Thingola? - zagadnął Beleg chłopca.

- Pragnąłbym zostać jednym z jego rycerzy i wyruszyć przeciwko Morgothowi, by pomścić mego ojca - odparł Turin.

- Może stać się i tak, gdy podrośniesz z latami - stwierdził Beleg. - Bo chociaż mały jeszcze jesteś, zapowiadasz się na dzielnego męża, godnego syna Hurina Nieugiętego. - Imię Hurina było w wielkim poważaniu pomiędzy elfami i Beleg chętnie zgodził się zostać przewodnikiem wędrowców. Poprowadził ich do domku myśliwskiego, w którym mieszkał tymczasem wraz z innymi łowcami. Zagościli tam, a wysłannik wyruszył z wieścią do Menegrothu. A gdy wrócił z nowiną, że Thingol i Meliana przyjmą syna Hurina i jego świtę, Beleg powiódł ich tajnymi ścieżkami do Ukrytego Królestwa.

Tak więc dane było Turinowi przejść wielki most ponad Esgalduiną i minąć bramy pałacu Thingola. Jako dziecko ujrzał cuda Menegrothu, których nie oglądał dotąd żaden śmiertelnik prócz jednego, spowinowaconego zresztą z Turinem, Berena. Gethron wygłosił przed Thingolem i Melianą wiadomość od Morweny, a Król przyjął ich uprzejmie i dla uczczenia imienia Hurina, najpotężniejszego z ludzi, jak i bliskiego mu Berena, posadził sobie Turina na kolanach. Ci, którzy to widzieli, zdumieni się niepomniernie, jako że gest ów oznaczał,

że Thingol uznaje chłopca za swego wychowanka, a w owych czasach królowie nie zwykli czynić nikomu podobnych zaszczytów, nigdy zaś nie okazał takiej łaski władca elfów człowiekowi.

- Synu Hurina, oto twój dom - powiedział Thingol. - I chociaż człowiekiem jesteś, dorastać będziesz odtąd jako mój syn i do końca dni swoich synem moim pozostaniesz. Posiadasz wiedzę ponad miarę plemienia człowieczego, nauczysz się władać bronią elfów. Może przyjdzie taka pora, gdy odzyskasz ziemie twego ojca w Hithlumie, na razie jednak pozostań tutaj, otoczony miłością.

Tak rozpoczął się pobyt Turina w krainie Doriathu. Przez czas jakiś towarzyszyli mu jeszcze Gethron i Grithnir, chociaż tęsknili za powrotem do pani w Dorlominie. Stary i schorowany Grithnir postanowił jednak pozostać przy Turinie do swej śmierci, Gethron jednak zapragnął odejść, zatem Thingol wyprawił go z eskortą, przekazując wiadomość dla Morweny. Dotarli w końcu do domu Hurina, a gdy Morwena usłyszała, jakich to zaszczytów dostąpił jej syn w pałacu Thingola, łez zrobiło się jej na sercu; ponadto elfy przekazały hojne dary od Meliany oraz prośbę, by Morwena zechciała wraz z poddanymi Thingola powrócić do Doriathu. Mądra Meliana posiadała umiejętność jasnowidzenia, miała nadzieję, że odwróci w ten sposób fatum zawisłe za sprawą Morgotha nad rodziną Hurina. Morwena jednak nie chciała opuścić domostwa, jako że niezmiennie było jej dumne serce, co więcej, Nienor gaworzyła dopiero w kołysce. Podziękowała zatem elfom z Doriathu, obdarowując ich na drogę drobiazgami ze złota, ostatnimi, jakie w tej biedzie, skrywanej przed gośćmi, pozostały, i namawiając też, żeby zanieśli Thingolowi hełm Hadora. Turin wyglądał niecierpliwie powrotu wysłanników Thingola, a gdy pojawili się bez Morweny, uciekł do lasu, gdzie zapłakał, wiedział bowiem o zaproszeniu Meliany i miał nadzieję, że matka jednak przybędzie. Oto był drugi z żalów Turina.

Gdy wysłannicy przekazali odpowiedź Morweny, współczucie ogarnęło Melianę i uprzytomniła sobie, że przewidzianego przez nią fatalnego losu nie da się tak łatwo odmienić.

Insygnium władzy Hadora trafiło w ręce Króla Doriathu. Był to (wykuty przez mistrza Telchara, kowala z Nogrodu) hełm z szarej stali zdobionej złotem i zwiastującymi zwycięstwo runami. Miał moc chronienia przed ranami i śmiercią tego, kto go nosił, miecz pękał w zetknięciu z mocną stalą, a strzały odeń odskakiwały. Przyłbica, wzorowana na osłonach stosowanych przez krasnoludy podczas pracy w kuźni, chroniła twarz wojownika przed ogniem i strzałami, pozwalała jednak dostrzec nieprzyjaciółom budzące w ich sercach grozę oblicze. Całość zwieńczona była połączoną podobizną smoka Glaurunga, krótko bowiem przed ukończeniem dzieła bestia po raz pierwszy wyłoniła się z bram Morgotha. Hador, a po nim

Galdor, nosili go często w bitwie, górując nad polem walki i radując tym widokiem serca wojowników Hithlumu, którzy wołali: „O ile więcej wart jest Smok Dorlominu niż smocze robactwo Angbadu!”

Po prawdzie, ów hełm nie został zrobiony dla człowieka, ale dla Azaghala, pana Belegostu, który zginął, zabity przez Glaurunga w Roku Lamentu³⁸. Wcześniej Azaghal podarował go Maedhrosowi w podziękę za ocalenie życia i majątku podczas napadu Orków na Drodze Krasnoludów w Beleriandzie Wschodnim³⁹. Maedhros przesłał go następnie jako prezent Fingonowi, z którym często wymieniał dowody przyjaźni i pamięci po tym, jak Fingon zapędził Glaurunga z powrotem do Angbadu. Nie było jednak w Hithlumie nikogo, kto mógłby ów uczyniony na karłowatą modłę hełm nosić bez wysiłku, prócz jednego Hadora i syna jego, Galdora. Tedy Fingon przekazał go Hadorowi, kiedy ten został władcą Dorlominu. Złym zrzędzeniem losu Hador nie miał jednak tej stalowej osłony na głowie, gdy bronił Eithel Sirion, jako że napaść była gwałtowna, pobiegł nie uzbrojony na mury, gdzie strzała Orka trafiła go w oko. Dla Hurina już jednak hełm stanowił zbyt duży ciężar, przeto nigdy nie założył go w żadnej potrzebie, powiadając: „Wolę raczej stawiać czoło nieprzyjacioły z odkrytą twarzą”. Tak czy inaczej, uznawał jednak ów hełm za jeden z największych skarbów swego dziedzictwa.

Thingol miał w Menegroth podziemne zbrojownie pełne wszelakiego oręża, jak: kolczugi (wykute na podobieństwo rybiej łuski i lśniące niczym gładź wody w blasku księżyca) miecze i topory, tarcze i hełmy (zrobione w zamierzchłej przeszłości przez samego Telchara lub znakomitego ucznia jego, Gamila Ziraka) oraz dzieła coraz sprawniejszych w tym fachu elfów. Niektóre rzeczy otrzymał bowiem Thingol w darze aż z Valinoru, z kuźni znamienitego Feanora, któremu w owych czasach nikt na świecie nie potrafił dorównać w rzemiośle. Jednak Thingol przyjął Hełm Hurina, jakby nie miał tych bogactw, i odezwał się dwornie:

- Dumne głowy zdołał niegdyś ten hełm należący do przodków Hurina.

Potem zaświtała mu pewna myśl, wezwał więc Turina i powiedział, że oto Morwena przysłała synowi nader istotną i znamienitą część ojcowizny.

- Weź teraz Smoczy Hełm Północy - polecił - a gdy czas nadejdzie, noś go szczęśliwie.

Turin był jednak jeszcze za mały, by unieść hełm, więc nie przynosił jemu żadnej pociechy.

³⁸ Taki właśnie opis hełmu Hadora zbieżny jest z deskrypcją: „wielkie maski, szkaradne wprawdzie [lecz bardzo pomocne w starciu ze smokami]”, gdy mowa jest o nakryciach głowy noszonych przez krasnoludy z Belegostu podczas Nirnaeth Arnoediad (*Silmarillion*, str. 234). Później, wyruszając z Nargothrondu do walki, Turin nosił krasnoludzką maskę, a „wrogowie pierzchali na widok tak groźnego oblicza” (tamże, str. 256). Patrz także dodatek do „Narn”.

³⁹ Wypadek Orków na tereny Wschodniego Beleriandu, kiedy to Maedhros uratował Azaghala, nie został wspomniany w żadnym innym miejscu.

Turin w krainie Doriathu

Dzieciństwo spędził Turin w królestwie Doriathu, pod okiem Meliany, chociaż sam rzadko ją widywał. Żyła bowiem w lasach dziewczyna imieniem Nellas, która na prośbę Meliany czuwała z daleka nad Turinem, gdy ten zapuszczał się między drzewa, często też, niby to przypadkiem, spotykała go w puszczy. Od niej dowiedział się chłopiec wiele o życiu i dziwach Doriathu, ona też nauczyła go używać języka Sindarów na modłę przyjętą w dawnym królestwie, kiedy wykorzystywano całe bogactwo i dworność tej mowy⁴⁰. Na czas jakiś niemal zapomniał Turin o smutku, aż cień znów go ogarnął, przyjaźń bowiem z Nellas przeminęła jak poranek wiosny. Dziewczyna nie chciała pójść z nim do Menegrothu, wzdragając się przed życiem pod dachem z kamienia. Tak więc, gdy dzieciństwo dobiegło końca i pora była Turinowi zająć się sprawami męskimi, coraz rzadziej i rzadziej widywał Nellas, aż za którymś razem w ogóle jej nie zawołał.⁴¹ Ona jednak wciąż obserwowała go z ukrycia.

Dziewięć lat mieszkał Turin w komnatach Menegrothu. Sercem i myślami skłaniał się ku pobratymcom, niekiedy otrzymując od nich uspokajające wieści. Thingol bowiem, jak tylko mógł często, wysyłał gońców do Morweny, ona zaś przekazywała synowi kilka słów. Tak i usłyszał Turin, że siostra jego, Nienor, wyrasta na piękność, kwiat istny pośród szarej Północy, a los samej Morweny nieco się poprawił. Wyrósł w końcu Turin na mężczyznę wysokiego pomiędzy ludźmi, a siła jego i odwaga sławne były w królestwie Thingola. Wiele przez ten czas się nauczył, chętnie słuchając opowieści o dawnych dziejach. Stał się rozważny i oszczędny w słowach. Beleg, Mistrz Łuku, niekiedy przybywał do Menegrothu, by odwiedzić Turina. Wypuszczali się wówczas daleko, a Beleg pokazywał młodzieńcowi, jak żyć w lesie, używać łuku oraz (co Turin szczególnie wielbił) władać mieczem. Gorzej radził sobie Turin z wszelką twórczością, nie przywykły bowiem jeszcze do swej siły, łatwo nieostrożnym ruchem niszczył obiekt starań. Często też nie osiągał tego, czego pragnął, lub też mimowolnie osiągał coś zupełnie niezamierzonego. Z trudem zawiązywał przyjaźnie, brak mu było wesołości ducha i rzadko się śmiał, skażony w młodości Cieniem. Niemniej ci, którzy znali go dobrze, otaczali Turina szacunkiem i miłością, poważano go też jako przybranego królewskiego syna.

Znalazł się jednak ktoś, kto mu tego wszystkiego zazdrościł i wrogie uczucia narastały tym bardziej, im bliżej był Turin wieku męskiego. A nazywał się on Searos, syn Ithilbora. Pochodził z Nandoru i należał do grupy, która schroniła się w Doriacie po tym, jak ich władca,

⁴⁰ Przy innej okazji ojciec napomknął, że nawet w czasach Turina mowa mieszkańców Doriathu (i króla, i pozostałych) bardziej była archaiczna niż gdzie indziej. Dodał też uwagę Mima (choć zachowane materiały dotyczące Mima nic o tym nie wspominają), iż jedyną rzeczą, której pomimo urazy żywionej do Doriathu Turin nigdy nie zdołał zmienić, był akcent typowy dla krainy jego młodości.

⁴¹ Notatka na marginesie jednego z tekstów: „Zawsze szukał w kobiecych twarzach rysów Lalaith”.

Denethor, zginął na Amon Ereb w pierwszej bitwie o Beleriand. Obecnie mieszkali głównie w Arthorienie, pomiędzy Arosem i Celonem na wschodzie Doriathu, czasem jednak wypuszczali się na pustkowia za Celonem. Od momentu przejścia Ossiriandu i osiedlenia się w Estolandzie, to właśnie plemię elfów nie darzyło Edainów przyjaźnią. Searos najczęściej przebywał w Menegrocie, gdzie zaskarbił sobie szacunek Króla. Był bardzo dumny i z góry traktował wszystkich, których uważał za gorzej urodzonych czy mniej rozgarniętych niż on sam. Zaprzyjaźnił się z minstrelem Daeronom⁴², jako że również biegły był w pieśni i nie przepadał nijak za pobratymcami Berena Erchamiona.

- Czy to nie dziwne - mawiał - że wpuszcza się tu przedstawicieli tej nieszczęsnej rasy? Czy i bez nich nie dość nieszczęść w Doriacie?

Spoglądał więc krzywo i na Turina, i na jego dzieła, obgadując młodzieńca przy byle okazji. Fałszywy jednak i nieszczerzy, skrywał złośliwe zapędy i ilekroć zdarzyło mu się spotkać Turina, pogwarzał z nim wesoło, chwalać głośno każdy pomysł, aż wreszcie syn Hurina dość miał jego towarzystwa. Długo znosił to wszystko w milczeniu, adwersarz jego bowiem cieszył się sporym szacunkiem jako doradca Króla, ale Searos nawet to milczenie gotów był uznać za obrazę.

W siedemnastej wiosnie życia Turina żal znów powrócił, przestały bowiem dochodzić go wieści z domu. Cień Morgotha rósł z roku na rok, aż mrok otulił całe Hithlum. Bez wątpienia Morgoth wiedział niejedno o poczynaniach krewnych Hurina, mimo to chwilowo ich nie niepokoił, czekając aż los się dopełni. Ostatecznie jednak, w pogoni za własnymi celami, przyjrzał się baczniej Góróm Mglistym. Odciał wszelkie szlaki, toteż nikt nie mógł wydostać się z Hithlumu ni tam przemknąć, nie ryzykując życia. Orkowie zaś nawiedzili tłumnie źródła Narogu i Teiglinu, docierając aż do górnego biegu Sirionu. Toteż gdy pewnego razu wysłannicy Thingola nie powrócili, Król zaniechał wysyłania następnych. Nigdy zresztą nie patrzył przychylnie na oddalanie się swoich poddanych poza strzeżone granice i sam fakt wysyłania przez lata posłańców w niebezpieczną drogę do Morweny w Dorlominie był z jego strony wyrazem dobrej woli i wielkiej sympatii dla rodziny Hurina.

Serce Turina stwardniało wówczas, nie wiedział bowiem, jakie to nowe zło czai się za progiem, obawiał się też nieustannie o los matki i siostry. Przez całe dni siedział milczący i dumał o upadku rodu Hadora i Ludziach z Północy. Nareszcie wstał i poszukał Thingola, którego znalazł spoczywającego wraz z Melianą pod Hirilornem, wielkim bukiem Menegrothu.

Thingol spojrział na młodzieńca zdumiony, stanął bowiem przed nim nie syn przybrany,

⁴² W jednej z wersji tego fragmentu opowieści Searos miał być krewniakiem Daerona, w innej jeszcze - jego bratem. Opublikowany wariant jest zapewne najpóźniejszym.

ale obcy człowiek. Wysoki, ciemnowłosy, z zapadniętymi oczami w bladym obliczu. Gdy Turin poprosił Thingola o kolczugę, miecz, tarczę i przypomniał o swych prawach do Smoczego Hełmu, Król dał mu to wszystko ze słowami:

- Znajdę ci miejsce pomiędzy moimi rycerzami, gdyż miecz będzie twoją bronią. Jeśli pragniesz, możesz wraz z nimi zacząć wprawiać się w wojennym rzemiośle na pograniczu.

- Serce gna mnie poza granice Doriathu - odparł Turin. - Miał tkwić tutaj, wolałbym raczej uderzyć na Nieprzyjaciela.

- Jeśli tak, to przyjdzie ci wyruszyć w pojedynek - stwierdził Thingol. - O udziale mego ludu w wojnie z Angbadem sam zadecyduję, gdy rozum mi to podpowie, a póki co żaden oddział Doriathu nie wyjdzie poza obszar królestwa i nie potrafię przewidzieć chwili, kiedy to nastąpi.

- Ty jednak wolny jesteś. Możesz ruszać wedle swej woli, synu Morweny - powiedziała Meliana. - Obręcz Meliany nie zatrzyma nikogo, kto przekroczył ją za naszym przyzwoleniem.

- Chyba że mądra rada cię powstrzyma - dodał Thingol.

- Jaka to rada, panie? - spytał Turin.

- Z pozoru jesteś już mężczyzną, ale daleko ci jeszcze do pełni męskości. Z czasem może upodobnisz się do swych przodków, ale istnieje mała szansa, by jeden człowiek zdziałał więcej przeciwko Czarnemu Władcy niż królowie elfów w swej fortecy, przynajmniej jak długo dane będzie jej trwać.

- Beren, mój krewniak, uczynił więcej.

- Beren i Luthien - powiedziała Meliana. - Zbyt śmiało to słowa wobec ojca Luthieny. Nie wydaje mi się, by aż takie przeznaczenie było ci pisane, Turinie, synu Morweny, chociaż los twój splata się z losem elfów na dobre i na złe. Bacz na swe czyny, bo inaczej to drugie przeważy. - Umilkła na chwilę, aż znów się odezwała. - Idź teraz i rozważ radę Króla. Nie sądzę jednak, byś długo zabawił tu z nami po dojściu wieku męskiego. Wspominaj często słowa Meliany, a tylko na tym skorzystasz: strzeż się zarówno żaru, jak i chłodu swego serca.

Wówczas Turin skłonił się przed nimi i odszedł, a niedługo potem nałożył Smoczy Hełm, przypasał oręż i dołączył do wojowników elfów na północnym pograniczu, które strzec było trzeba przed Orkami oraz wszelkimi sługami i stworami Morgotha. Tak zatem, ledwie wyrósłszy z chłopięstwa, nabrał siły i odwagi, a pamiętając dobrze o wszelkich wadach swego plemienia, zawsze śmiało wyrynał się do przodu w potrzebie, odnosząc wiele ran od strzał i krzywych szabel Orków, ale przeznaczenie chroniło go od śmierci. Powtarzano wtedy po lasach, a nawet daleko poza granicami Doriathu, że Smoczy Hełm z Dorlominu znów walczy. Wielu zdumiewało się, zapytując: „Czy to duch Hadora albo Galdora Wysokiego wrócił z

krainy śmierci? A może Hurin uciekł z lochów Angbadu?”

Jeden był tylko wówczas w armii pogranicza wojownik biegłej władający orężem od Turina - Beleg Kuthalion. Oni to dwaj wspierali się zawsze, wyprawiając się razem na długie wędrówki po głuszy.

W ten sposób minęły trzy lata, podczas których Turin z rzadka zaglądał do pałacu Thingola, mało dbając o swój wygląd czy ubiór, chodził bowiem rozczochrany, w kolczudze okrytej poplamionym płaszczem. Zmieniło się to dopiero trzeciego lata, kiedy dwie dziesiątki wiosen liczący Turin przybył niespodziewanie do Menegrothu, jako że jego oręż wymagał pilnej interwencji płatnerza. Zjawił się wieczorem i wszedł do pałacu. Nie zastał Króla, który wraz z Melianą wybrał się do lasów, gdzie chętnie spędzał czas w środku lata. Zmęczony i zamyślony Turin spoczął bez zachęty przy stole, jednak pech zrządził, że zajął pomiędzy starszymi królestwa miejsce, na którym siadać zwykł Searos. Ten spóźnił się nieco, a przyszedłszy, wpadł w gniew, przekonany, że to duma pchnęła Turina do owego postępu i że był to zamierzony afront. Złość Searosa nie zmaląła, gdy odkrył, że towarzystwo, miast ganić Turina, mile wita go przy stole.

Na razie jednak udawał jeszcze przychylność wobec przybranego syna Thingola, zasiadł tedy przy stole naprzeciwko niego.

- Rzadko kiedy wojownik z pogranicza zaszczyca nasze towarzystwo - powiedział. - Chętnie oddam mu moje ulubione miejsce w zamian za sposobność pogawędki. - Powiedział jeszcze niejedno, wypytyując Turina o wieści znad granic i jego poczynania w głuszy, a chociaż zdawał się przemawiać uprzejmie, tylko głupiec nie rozpoznałby szyderstwa w głosie Searosa. W końcu Turin dość miał tej rozmowy, poczuł bowiem gorzki smak wygnańczego chleba. Rozejrzał się wkoło, ale pomimo ciepła i radości panujących w sali pałacu, myśl jego wracała nieustannie do Belega i wspólnej włóczęgi po lesie, a nawet do Morweny w domu ojca w Dorlominie. Zmarszczył czoło i ponuro zadumany nie odpowiedział Searosowi. Ten zaś, biorąc do siebie te grymasy, przestał się maskować, ujął złoty grzebień leżący na blacie przed Turinem i powiedział:

- Nie wątpię, człowieku z Hithlumu, że w pośpiechu siadałeś do stołu i można wybaczyć ci ten zszargany płaszcz, ale czemu czupryna twa przypomina krzak jeżynowy? Może gdybyś odgarnął włosy z uszu, to lepiej słyszałbyś, co się do ciebie mówi.

Turin nic nie odpowiedział, spojrział tylko na Searosa z dziwnym błyskiem w oczach. Elf jednak nie pojął ostrzeżenia, wzrokiem przeszył Turina i odezwał się niemal do granic możliwości podnosząc głos:

- Jeśli mężczyźni z Hithlumu to tak dzicy i nieokrzesani ludzie, jakie zatem są ich

kobiety? Czy jak łanie ganiają po turniach, okryte jeno własnymi włosami?

Wówczas Turin ujął puchar i cisnął nim w twarz Searosa, który upadł na wznak, poraniony. Młodzieniec dobył zaś miecza, gotów użyć go w tej potrzebie, ale myśliwy Mablung powstrzymał królewskiego syna. Searos podniósł się, spluwając krwią na stół.

- Jak długo jeszcze żywić będziemy tego leśnego wosa⁴³? Kto tu rządzi? Prawo doriackie surowo karze za zranienie wasala w pałacu, za wyciągnięcie zaś miecza należy się wygnanie. Wyjdźmy stąd, barbarzyńco, to poznasz mą odpowiedź!

Turin jednak ochłonął, ujrzawszy krew. Wyrwał się Mablungowi i bez słowa wybiegł z sali.

Wtedy myśliwy odezwał się do Searosa:

- Co cię dziś opętało? Wszystko to przez ciebie i możliwe, że królewski osąd uzna rozbite usta za właściwą karę za szyderstwa.

- Jeśli ten młokos ma coś do mnie, niech odwoła się do Króla - odparł Searos. - Ale nic nie usprawiedliwia zdobycia miecza w pałacu. Jeśli ów dzikus robi to samo na zewnątrz, wówczas go zabiję.

- To nie jest takie pewne - stwierdził Mablung. - Ale śmierć któregośkolwiek z was posłuży bardziej Angbadowi niż Doriathowi, w każdym wypadku złem będąc i zło przyciągając. Chyba jakiś cień z Północy zaległ dzisiaj nad nami. Uważaj, Searosie, synu Ithilbora, byś w dumnym zaślepieniu nie poddał się woli Morgotha, i pamiętaj, że jesteś Eldarem.

- Tego nie zapomnę - odrzekł Searos, wciąż jednak kipiąc gniewem. Złość jego wzrosła nawet przez noc, gdy opatrywał swoje rany.

Nad ranem Turin wyruszył z powrotem na północne pogranicze, a Searos zasadził się na swego osobistego wroga. Rzucił się na Turina od tyłu z wyciągniętym mieczem i tarczą na dłoni, młodzieniec jednak, zaprawiony leśnym życiem do nieustannej czujności, dostrzegł go kątem oka i odskakując, wyciągnął szybko broń i stawiał czoło przeciwnikowi.

- Morweno! - zawołał. - Szyderca zapłaci za obelgi!

Rozszczepił tarczę Searosa na dwoje i miecze przeciwników starły się w walce. Turin miał za sobą twardą szkołę, a zwinny był jak elf i do tego silniejszy. Szybko wykazał własną wyższość i zraniwszy Searosa w dłoń wiodącą miecz, zdał wroga na swą łaskę. Przydepnął upuszczony miecz i powiedział:

- Długi bieg przed tobą, Searosie, i ubranie będzie ci zawadą. Włosy ci wystarczą.

⁴³ Wos - „dziki człowiek z lasu”, por. przypis 14 do rozdziału „Druedain” [w trzecim tomie *Niedokończonych opowieści*].

Powalając nagle elfa na ziemię, odarł go z szat. Searos nie stawiał oporu, przestraszony wielką siłą Turina, który jednak puścił go nareszcie.

- Biegnij! - krzyknął. - Mknij szybko jak jelen, bo inaczej pogonię cię od tyłu szpikulcem.

I Searos czmychnął do lasu, po drodze wrzeszcząc o pomoc jak opętany; Turin ruszył za swą ofiarą, a jakkolwiek szybko elf by biegł, jakkolwiek by kluczył, wciąż czubek miecza bódł go w słabiznę.

Krzyki Searosa ściągnęły innych, którzy także przyłączyli się do gonitwy, ale tylko najlepsi z biegaczy zdołali dojść czoła wyścigu. Był między nimi Mablung, mocno zakłopotany i przeświadczony, że „zło, które budzi się o poranku, wodą jest na młyn Morgotha”. Nie bawiły go takie nieczne igraszki i za żałosne uważał wystawianie kogokolwiek z rodu elfów na pośmiewisko, głęboko przeciwny samowolnemu rozstrzyganiu spraw, które winny zakończyć się przed sądem. Nikt onym czasem nie wiedział jeszcze, że to Searos napadł na Turina, zamierzając go zabić.

- Wstrzymaj się, wstrzymaj Turinie! - nawoływał. - Nie zachowuj się jak Orkowie!

- Godne Orka traktowanie za orkowe gadanie w pałacu! - odkrzyknął Turin i znów pogonił za Searosem, który widząc w rozpacz, że znikąd pomocy, a śmierć tuż-tuż, ruszył żwawo, aż dobiegł do skalistego urwiska nad szerokim na skok jelenia wąwozem. W dole płynął strumień, jeden z dopływów Esgalduiny. W wielkim strachu Searos dał susa, ale nie dosięgnął drugiego brzegu i z krzykiem spadł na sterczący z wody wielki głaz. Tak skończyło się jego życie w Doriacie, a rozpoczął długi pobyt pod okiem Mandosa.

Turin popatrzył na leżące w strumieniu ciało i pomyślał: „Pechowy głupiec! Stąd pozwoliłbym mu już odejść spokojnie do Menegrothu. A teraz zostanę przez niego niewinnie oskarżony”. Spojrzał ponuro na Mablunga i jego towarzyszy, którzy zdołali nadbiec i stali teraz obok na skraju urwiska.

- Cóż, stało się - powiedział wreszcie po dłuższej chwili Mablung. - Ale ty wracaj z nami, Turinie, Król musi bowiem osądzić twe czyny.

- Gdyby Thingol był sprawiedliwy, uznałby mnie niewinnym - odparł młodzieniec. - Ale czy Searos nie należał do grona jego doradców? Czy mimo nikczemności nie uchodził za przyjaciela Króla? Odrzucam wasze prawo i królewski osąd.

- Niemądre to słowa - stwierdził Mablung, chociaż w głębi serca współczuł Turinowi. - Nie idź na włóczęgę, jak przyjaciel proszę cię, byś wrócił ze mną. Są przecież świadkowie. Gdy Król dowie się prawdy, będziesz mógł liczyć na jego wybaczenie.

Turin jednak dość już miał pałacu elfów, ponadto obawiał się uwięzienia.

- Odmawiam twej prośbie. Nie chcę szukać łaski u Króla. Wyruszam tam, gdzie jego wyrok mnie nie dosięgnie, a ty masz tylko dwie możliwości: albo pozwolisz mi odejść, albo mnie zabijesz, jeśli tak nakazuje ci twoje prawo. Za mało was, by wziąć mnie żywcem.

Poznawszy po wyrazie oczu, że prawdę mówi, przepuścili go, a Mablung stwierdził:

- Dość jednej śmierci.

- Nie pragnąłem jej, ale daleko mi do żałoby - powiedział Turin. - Mandos osądzi go sprawiedliwie, a jeśli wróci jeszcze kiedyś do krain żywych, niech mądrzej się sprawia. Żegnajcie!

- Odejdź wolno, skoro takie twoje życzenie! - zakrzyknął Mablung. - Ale nie wróżę tej wędrowni nic dobrego. Cięń zalega w twoim sercu, ale gdy znów się spotkamy, może mrok nie będzie tak gęsty.

Na to Turin już nie odpowiedział, tylko ruszył szybko przed siebie i nikt nie wiedział, dokąd.

Powiadają, że kiedy nie powrócił Turin na północne pogranicze Doriathu i żadne wieści o nim nie nadeszły, Beleg sam przybył do Menegrothu i z ciężkim sercem wysłuchał opowieści o czynach i ucieczce młodzieńca. Krótko potem zjawili się w pałacu Thingol z Melianą, jako że lato dobiegało końca, a gdy Królowi zrelacjonowano wszystko, ten zasiadł na tronie w wielkiej sali Menegrothu, a wokół niego zebrali się możni i doradcy.

Gdy przekazano już ostatnie przed rozstaniem słowa Turina, Thingol westchnął i powiedział:

- Niestety! Cięń zdołał wemknąć się do mego królestwa. Miałem Searosa za mądrego i prawego. Gdyby żył, poczułby mój gniew na sobie, złe były bowiem jego szyderstwa i on ponosi winę za wydarzenia w sali pałacu. Dotąd wybaczam Turinowi. Ale zhańbienie Searosa i zagonienie go na śmierć nie przystają do uprzedniej obrazy. Są dowodem pychy i wyniosłości.

- Thingol umilkł na dłuższą chwilę, po czym przemówił ze smutkiem: - Oto jest niewdzięczność syna przybranego, oto człowiek, dumny ponad stan. Jak mogę przygarnąć kogoś, kto pogardził i mną, i moimi prawami, jak mam wybaczyć temu, kto nie czuje skruchy? Wypędzam więc z Doriathu Turina, syna Hurina. Jeśli spróbuje tu wrócić, zostanie doprowadzony przed królewskie oblicze na sąd, a dopóki nie padnie u mych stóp i nie poprosi o wybaczenie, nie uznam go ponownie swoim synem. Jeśli ktokolwiek z obecnych uważa ten wyrok za niesprawiedliwy, niech przemówi.

Cisza zapadła na sali, a Thingol unosił już dłoń, by zatwierdzić wyrok, gdy Beleg wbiegł na środek.

- Panie! - krzyknął. - Czy mogę zabrać głos?

- Spóźniłeś się - powiedział Thingol. - Czy nie zostałeś wezwany wraz z innymi?

- Tak, panie - odparł Beleg. - Szukałem jednak kogoś i przyprowadziłem świadka, który winien zostać wysłuchany, zanim decyzja stanie się nieodwracalna.

- Przemawiali już wszyscy, którzy chcieli - stwierdził Król. - Co jeszcze można dodać do tego, co usłyszeliśmy?

- Sam to osądzisz. Nie odmawiaj mi, jeśli zasłużyłem sobie czymkolwiek na tę łaskę.

- Dobrze - zgodził się Thingol. Wówczas Beleg wyszedł na chwilę i przyprowadził za rękę Nellas, która mieszkała w lasach i nigdy nie odwiedzała Menegrothu, lękała się bowiem wielkiej sali z kolumnami i kamiennego sklepienia, jak i licznych wpatrzonych w nią oczu. Gdy Thingol nakazał jej mówić, zaczęła:

- Panie, siedziałam na drzewie... - i tu się zająknęła, speszona widokiem Króla i nie mogła głosu dobyć z siebie.

- Inni też tak siadują - stwierdził Król z uśmiechem - ale nie odczuwają potrzeby, by opowiadać o tym monarchom.

- Owszem - odezwała się Nellas, zebrawszy się na odwagę. - Nawet Luthien! I o niej właśnie myślałam tego ranka, i o człowieku Berenie.

Tym razem Thingol nic nie powiedział i uśmiech zniknął z jego warg, gdy czekał na ciąg dalszy słów Nellas.

- Bo Turin przypomina mi Berena - dodała. - Słyszałam, że są podobni, a gdy ktoś przyjrzy się bliżej, to widać ich pokrewieństwo.

- Możliwe - powiedział Thingol, tracąc cierpliwość. - Ale Turin, syn Hurina, porzucił nas z pogardą i nie ujrzysz go więcej, by oceniać podobieństwo do krewnych. Pora, bym ogłosił wyrok.

- Panie, Królu! - krzyknęła. - Miej dla mnie zrozumienie i wysłuchaj najpierw. Siedziałam na drzewie, by spojrzeć jeszcze na Turina, gdy będzie odchodził, a ujrzałam Searosa. Wybiegł z lasu z tarczą i mieczem, po czym bez ostrzeżenia rzucił się na Turina.

Pomruk przeszedł po sali, a Król uniósł dłoń ze słowami:

- Przynosisz wiadomość bardziej doniosłą, niżby można było oczekiwać. Bacz teraz pilnie na swoje słowa, przed sądem bowiem przemawiasz.

- Tak też Beleg mi powiedział i tylko dlatego odważyłam się przybyć tutaj, by nie skrzywdzono Turina niesprawiedliwym wyrokiem. Mężny on jest, ale i miłosierny. Walczyli obaj, panie, aż Turin wytrącił Searosowi tarczę i miecz, lecz nie zabił podstępного napastnika. Tak i nie wierzę, by potem pragnął jego śmierci. Jeśli Searos zhańbiony został, to słusznie sobie na tę hańbę zasłużył.

- Osąd zostaw mnie - rzekł Thingol. - Ale twoje słowa nie pozostaną bez wpływu na wyrok. - Potem wypytał Nellas dokładniej, na końcu zaś zwrócił się do Mablunga: - Dziwne mi się zdaje, że Turin nic wam o tym nie wspomniał.

- W rzeczy samej - odparł Mablung. - Ale gdyby to uczynił, innymi słowy bym go pożegnał.

- Inny też będzie mój wyrok. Słuchajcie! Tak winę jego rozpoznawszy, wybaczam Turinowi, uznając że został skrzywdzony i sprowokowany. A skoro to istotnie jeden z moich doradców źle go potraktował, nie będę oczekiwał od Turina przeprosin, ale wyślę po niego, gdziekolwiek jest, i wezwę do godnego powrotu do Menegrothu.

Po skończonej rozprawie Nellas załkała nagle:

- Ale gdzie go teraz szukać? Opuścił nasz kraj, a świat jest tak wielki.

- Nie ustaniemy w wysiłkach - powiedział Thingol i wstał, a Beleg wyprowadził Nellas z pałacu.

- Nie płacz - odezwał się do dziewczyny - bo jeśli tylko Turin żyje i wędruje gdzieś poza granicami, to odnajdę go, nawet jeśli starania innych okażą się bezskuteczne.

Następnego dnia Beleg stawiał się przed Thingolem i Melianą, a Król spytał:

- Doradź mi, Belegu, ciężko mi bowiem na sercu. Uznałem Turina za syna i tak pozostanie, chyba że Hurin powróci z mroku cienia, by upomnieć się o swoje. Nie chcę, by powiadano, że niesprawiedliwie wypędziłem Turina na pustkowia. Umiłowałem go i chętnie ujrzałbym z powrotem.

- Będę szukał Turina tak długo, aż go znajdę - odparł Beleg. - I jeśli tylko zdołam, przywiódę do Menegrothu. I ja miłuję tego młodzieńca.

Potem odszedł. Przemierzył cały Beleriand, daremnie nasłuchując wieści o Turinie, aż minęła zima, a po niej i wiosna.

Turin pośród banitów

Opowieść wraca teraz do Turina, który sam uznał się za banitę i przekonany, że Król zarządzi za nim pościg, nie wrócił na północ, do Belega, ale ruszył na zachód i wymknął się nie zauważony ze Strzeżonego Królestwa, docierając do lesistego południa Teiglinu. Przed Nirnaeth było tam wiele z rzadka rozrzuconych gospodarstw ludzi w większości pochodzących z ludu Halethy, nie mieli oni jednak władcy i trudnili się głównie polowaniem i uprawą roli. Na bukowych polanach hodowali świnie, plony zbierali z przecinek, które odgradzały ich od głuszy. Wielu z nich wyginęło jednak lub uciekło do Brethilu, gdy Orkowie i wszelcy zbrodniarze zagrażać zaczęli okolicy. Po spustoszonych krainach błądziły wówczas liczne grupy ludzi bezdomnych i zdesperowanych, niedobitków pokonanych armii, gotowych czynić wszelkie zło. Polowali na wszystko, co nadawało się do jedzenia, a gdy zimą zaczął doskwierać im głód, stali się plagą gorszą od wilków. Ci, którzy zdołali obronić przed nimi swe domostwa, nazwali ich Gaurwaith, Ludzie-Wilki. Około pięćdziesięciu połączyło się w jedną bandę buszującą w lasach na zachodnich rubieżach Doriathu. Nie cierpiano ich niemal tak samo jak Orków, mieli bowiem zatwardziałe serca i żywili urazę do własnych współplemieńców. Najstraszniejszy był Androg, ścigany w Dorlominie za zabójstwo kobiety. Z tej krainy pochodził także sędziwy Algund (najstarszy w gromadzie, uciekinier z Nirnaeth) i Forweg, jak nazywał sam siebie, przywódca bandy, mężczyzna o jasnych włosach i rozbieganych, lśniących oczach, rosły i przystojny, ale jakże różny od Edainów, poddanych Hadora. Banda była czujna, wysyłała zwiadowców, wystawiała strażę, zarówno w marszu jak i podczas popasu. W ten sposób szybko zauważyli Turina, gdy zawędrował na ich terytorium. Śledzili go tak długo, aż otoczyli zwartym pierścieniem, a gdy wyszedł na polanę nad strumieniem, wyskoczyli zewsząd z naciągniętymi łukami i nagimi mieczami.

Turin przystanął, ale nie okazał po sobie strachu.

- Kim jesteście? - spytał. - Myślałem, że tylko Orkowie polują na ludzi, ale widzę, że się myliłem.

- I pożałujesz tej pomyłki - odpowiedział Forweg - bo to nasze tereny łowieckie i nie cierpimy tu obecności innych ludzi. Intruzów bierzemy żywcem i trzymamy tak długo, aż ktoś ich wykupi.

Wówczas roześmiał się Turin.

- Za mnie nic nie dostaniecie, banitą jestem i wyrzutkiem. Gdybyście zaś nabrali ochoty na przeszukanie mego trupa, to uprzedzam, że drogo będzie was kosztowało zwątpienie w prawdę mych słów.

Śmierć jednak zdawała się być bliska, wiele strzał bowiem czekało w cięciwach na znak przywódcy, a żaden z wrogów nie przysunął się dość, by Turin mógł sięgnąć go mieczem. Widząc jednak kilka kamieni leżących u swych stóp na brzegu strumienia, Turin schylił się gwałtownie. W tejże chwili jeden z rozsierdzonych jego słowami napastników wystrzelił, ale strzała przeleciała ponad młodzieńcem, on zaś cisnął kamień celnie i z wielką siłą, aż łucznik padł z rozłupaną czaszką.

- Żywy mogę bardziej wam się przydać. Zastąpię tego pechowca - powiedział Turin, po czym zwrócił się do Forwega. - Dobry dowódca nie pozwala, by ktoś atakował bez jego rozkazu.

Wówczas dwóch mężczyzn podniosło głosy przeciwko Turinowi, a jeden z nich był przyjacielem zabitego. Nazywał się Ulrad.

- Dziwny sposób na wkupienie się do kompanii, zabijając jednego z najlepszych.

- Nie ja zacząłem - odparł Turin. - Ale dobrze, chodźcie tu obaj, pokonam was orężem lub gołymi rękami, a wtedy sami ocenicie, czy mogę zastąpić waszego świetnego kamrata. - I postąpił ku nim, ale Ulrad cofnął się, nie chcąc walczyć. Drugi rzucił łuk i zmierzył Turina spojrzeniem, a był to właśnie Androg z Dorlominu.

- Nie mnie się z tobą równać - powiedział w końcu, kręcąc głową. - Nikt z nas ci chyba nie sprostą. Jeśli chodzi o mnie, to możesz dołączyć do kompanii, ale tkwi w tobie coś dziwnego. Niebezpieczny jesteś. Jak się nazywasz?

- Neithan, Skrzywdzony. - I tak też został przezwany przez banitów. Powiedział im, że został skrzywdzony (i aż nazbyt chętnie nastawiał ucha na opowieść każdego, kto podobnie przedstawiał historię swego nieszczęścia), lecz nawet słowem nie wspomniął ani o swym poprzednim życiu, ani o pochodzeniu. Mimo to wszyscy widzieli, że przybysz wywodzi się z wysokiego rodu i że chociaż nic prócz oręża z własności mu nie zostało, to jednak były to ostrza wykute przez elfy. Wkrótce Turin zdobył ich uznanie, dzięki swej sile, odwadze i doskonałej umiejętności radzenia sobie w lasach. Zaufali mu, jako że nie był chciwy i niewiele brał dla siebie, ale też bali się go za sprawą nagłych napadów gniewu, których natury zwykle nie rozumieli. Do Doriathu nie mógł powrócić, czy też duma na powrót nie pozwalała, do Nargothrundu zaś po śmierci Felagunda nikogo nie wpuszczano. Do pospólstwa Halethy czy Brethilu nijak Turina nie ciągnęło, do pełnego zaś nieprzyjaciół Dorlominu nie śmiał się wybrać, nie mając nadziei przejść w pojedynkę przełęcz Gór Cienia. Toteż przystał do banitów, jako że nawet takie towarzystwo łatwiejszym czyniło do zniesienia życie w głuszy, a ponieważ nie szukał ni śmierci, ni zwady z kompaniami, z rzadka przeciwstawiał się czynionemu przez nich złu. Czasem tylko budziła się w nim litość i wtedy, wstydem ogarnięty,

niebezpieczny był w swoim gniewie. Tak minął mu czas do końca roku i przebył głodną zimą, aż ożyła przyroda i przysłała piękna wiosna.

Powiada się, że w lasach na południe od Teiglinu naonczas wciąż stały ludzkie siedziby, a ich mieszkańcy, choć nieliczni, wytrwali byli i czujni. W żadnym razie nie kochali banitów, jednak współczuciem wiedzeni, w szczególnie zły czas zimy wystawiali nieco żywności w miejscach, gdzie Guarwaithowie mogli łącznie na nią trafić. Mieli nadzieję, że w ten sposób odsuną od siebie groźbę ataku bandy. Po prawdzie wdzięczna była im za to tylko leśna zwierzyna oraz ptactwo, gdyż banitom niewiele się z tego dostawało. Jedynie psy i mocne ogrodzenia trzymały ich z dala od obejść otoczonych roslymi żywopłotami i pasem nagiej ziemi. Domów zaś broniły fosy i palisady, a wszystkie gospodarstwa były połączone ścieżkami, którymi w potrzebie nadbiec mogła wezwana graniem rogów pomoc.

Gdy jednak wiosna rozkwitła, niebezpieczne stało się dla Gaurwaithów dalsze przebywanie w pobliżu siedzib osadników, którzy w każdej chwili mogli skrzyknąć się w pewnej chwili przeciwko banitom. Turin dziwił się, czemu Forweg nie prowadzi bandy na południe, gdzie więcej jest jedzenia i zwierzyny, a mniej ludzi i zasadzek. Pewnego dnia nie mogąc znaleźć nigdzie Forwega ni Androga, spytał o nich kamratów, ale ci tylko się roześmiali.

- Pewnie załatwiają jakieś własne sprawy- powiedział Ulrad. - Wrócą niedługo, a wtedy ruszymy, i to w pośpiechu, by nam wszystkim rozdrażnione pszczoły na kark nie siadły.

Słońce stało wysoko na niebie i liście migotały młodą zielenią, gdy dość mając nędznego obozowiska banitów, Turin wyruszył w samotną wędrówkę po lesie. Mimo woli pamiętał wciąż Ukryte Królestwo i zdawało mu się, że słyszy nazwy kwiecia rozbrzmiewające echem starego, niemal całkowicie zapomnianego języka. Nagle dobiegł go krzyk i z gąszczu krzewów wypadła młoda kobieta w odzieniu potarganym przez kolczaste zarośla, bardzo przy tym wystraszona. Potknęła się i tracąc oddech, upadła na ziemię. Turin skoczył zaraz ku ścianie zieleni z wciągniętym mieczem, tnąc ścigającego ją mężczyznę. Dopiero w chwili zadawania ciosu poznał Forwega.

Gdy tak stał zdumiony, ze wzrokiem wbitym w zakrwawioną murawę, zjawił się Androg i też przystanął, zaskoczony widokiem.

- Źle uczyniłeś, Neithanie! - zawołał i dobył miecza, jednak Turin odzyskał już zimną krew i rzekł tylko:

- No i gdzie są ci Orkowie? Czyżbyście aż tak ich wyprzedzili, pragnąc jej pomóc?

- Orkowie? - spytał Androg. - Ty głupcze! Zwiesz się banitą, a nie wiesz, że wyjęci spod prawa niczego nie uznają prócz własnych potrzeb. Zajmij się lepiej swoimi sprawami, Neithanie, i przestań się wtrącać w nasze.

- Tak też zrobię - odparł Turin. - Ale dzisiaj nasze ścieżki się przecięły. Albo zostawisz mi tę kobietę, albo dołączysz do Forwega.

Androg roześmiał się.

- Niech i tak będzie - powiedział. - Sam nie dam ci rady, ale nasi kamraci mogą mieć do ciebie pretensje za zabicie Forwega.

Wtedy kobieta wstała i położyła dłoń na ramieniu zbawcy. Spojrzała na rozlaną krew, potem przeniosła wzrok na Turina i w jej oczach pojawił zachwyt.

- Zabij go, panie! - poprosiła. - Jego też zabij! A potem chodź ze mną. Jeśli przyniesiesz ich głowy, wtedy Lamach, mój ojciec, nie spojrzy na cię krzywo. Dobrze zwykł nagradzać za dwa „wilcze trupy”.

Turin spytał jednak Androga:

- Jak daleko jest do jej domu?

- Mila - odparł ten. - Stoi pośrodku ogrodzonego gospodarstwa. A ona wypuściła się samopas.

- Wracaj teraz - rzekł Turin do kobiety - i powiedz ojcu, by lepiej cię pilnował. Ale nie pozbawię życia mych kamratów ani po to, by wkupić się w jego łaski, ani dla żadnego innego powodu. - I schował miecz. - Chodź - zwrócił się do Androga. - Wracamy. Jeśli chcesz pogrzebać przywódcę, sam musisz to zrobić. Pospiesz się jeno, bo niedługo może ruszyć oblawa. A nie zapomnij wziąć jego broni.

Po czym Turin odszedł, a Androg długo patrzył za nim, marszcząc czoło, jakby próbował rozwiązać nader skomplikowaną zagadkę.

Wróciwszy do obozowiska, Turin zastał banitów niespokojnych i zniecierpliwionych. Zbyt długo pozostawali w jednym miejscu, w pobliżu dobrze strzeżonych siedzib i z wolna ludzie zaczęli już szemrać przeciwko Forwegowi.

- On się bawi - powiadali - nasze głowy narażając na szwank. Jeszcze zapłacimy za jego przyjemności.

- No to wybierzcie nowego herszta! - krzyknął Turin, stając przed nimi. - Forweg już was nie poprowadzi, bo nie żyje.

- A ty skąd o tym wiesz? - spytał Ulrad. - Czyżbyś wybierał miód z tej samej barci? Pszczoły go zażądliły?

- Nie. Jedno żądło starczyło. Ja go zabiłem. Oszczędziłem jednak Androga, który wróci niebawem. - Następnie przedstawił bieg zdarzeń, strofując tych, którzy podobne wyprawy dla harców zwykli przedsiębrać. Gdy mówił, nadszedł Androg z bronią Forwega w dłoniach.

- Zobacz, Neithanie! - krzyknął. - Nie podnieśli alarmu. Może dziewczka ma nadzieję, że

znów cię spotka.

- Jeśli to miał być żart - odparł Turin - to już zaczynam żałować, że jej odmówiłem głowy waszeci. Teraz gadaj, co właściwie się zdarzyło, tylko krótko.

Wtedy Androg wyznał szczerze, jak się rzeczy miały.

- Zastanawiam się, co właściwie porabiał tam Neithan. Na pewno nie polował na to samo, co my, bo gdy nadszedłem, Folweg już nie żył. Uradowana takim widokiem kobieta prosiła, by poszedł z nią i wziął nagrodę za nasze głowy. Ale on odmówił i przegnał dziewczkę, tak i nie mam pojęcia, co miał do Folwega. Wdzięczny mu jestem, że nie skrócił mnie o głowę, chociaż wciąż nie rozumiem, jak to się stało, że jeszcze żyję.

- Śmiem wątpić zatem, byś rzeczywiście pochodził z ludu Hadora - powiedział Turin. - Winienesz należeć raczej do Uldora Przeklętego i poszukać służby w Angbadzie. Ale słuchajcie mnie teraz! - krzyknął do całej bandy. - Daję wam wybór. Albo uznacie mnie za herszta, albo was porzucę. Jeśli nie obejmę nad wami władzy, odejdę. Gdybyście jednak postanowili mnie zabić, to proszę! Będę walczył, aż śmierć nie zabierze mnie albo was.

Wielu chwyciło za broń, ale Androg krzyknął:

- Nie! Głowa, którą on oszczędził, nie jest tak całkiem wyprana z konceptu. Jeśli zaczniemy walczyć, niejeden zginie bez potrzeby, nim zgładzimy najlepszego spośród nas. - Potem roześmiał się. - Znów jest tak jak wtedy, gdy do nas dołączył. Zabija, by zrobić miejsce. Jeśli raz się udało, dlaczego nie miałoby się udać znowu. Może z nim czeka nas coś więcej, niż tylko uganianie się za cudzymi dziewczkami po lesie. - Na to odezwał się stary Algund:

- To najświetniejszy mąż spośród nas. Był czas, gdy i my potrafiliśmy dokonać takich rzeczy w przypływie odwagi. Ale wiele już zapomnieliśmy. Może nareszcie zawiedzie nas do domu.

Wtedy przyszła Turinowi do głowy myśl, że to jest sposób, by powiększyć tę bandę i zmienić ją w drużynę wolnego władcy. Na razie spojrzał jednak tylko na Algunda i Androga, po czym powiedział:

- Do domu, mówisz? Wysoko wznoszą się zimne Góry Cienia, licznie roją się za nimi ludzie Uldora, wkoło zaś pełno legionów Angbadu. Jeśli te niebezpieczeństwa nie zrażają was, siedem razy siedmiu mężów, to i owszem, mogę poprowadzić kompanię ku rodzinnym stronom. Ile jednak przejść zdołamy, nim śmierć nas dopadnie?

Zapadła cisza, a wówczas Turin znów się odezwał:

- Czy uznajecie we mnie przywódcę? Jeśli tak, to najpierw powiodę was w głąsę, daleko od ludzkich siedzib. Tam może lepiej będzie nam się wiodło, może gorzej, ale przynajmniej nie wzbudzimy tyle nienawiści.

Wtedy zebrali się przy nim wszyscy pochodzący z ludu Hadora i okrzyknęli go swoim hersztem, reszta zaś przystała na to, chociaż niezbyt chętnie. A on, nie czekając ni chwili, wyprowadził ich z tej krainy⁴⁴.

Thingol wysłał wielu umyślnych, by szukali Turina w Doriacie i przyległych krajach, ale przez rok wypatrywali go na próżno, nikomu bowiem nie postało w głowie, że przyłączył się on do wrogich ludziom banitów. Gdy znów przyszła zima, posłańcy wrócili, jeden tylko Beleg został samotnie na szlaku.

Tymczasem w Dimbarze i na północnym pograniczu Doriathu sprawy przybrały zły obrót. Smoczy Hełm nie pojawiał się już w walce, zabrakło też Mistrza Łuku, tak i słudzy Morgotha zhardzieli, napływając w coraz większej liczbie. Zima przyszła i minęła, a z wiosną potyczki rozgorzały na nowo. Dimbar padł i lęk zakradł się do serca ludzi z Brethilu, zło bowiem wkraczało zewsząd w ich granice, jedno południe zostawiając spokojnym.

Minął już niemal rok od ucieczki Turina, a Beleg wciąż go szukał, chociaż nadzieja gasła w nim z wolna. Wędrując ku północy, dotarł aż do przeprawy na Teiglinie, ale zawrócił stamtąd, dowiedziawszy się o nowym wypadzie Orków z Taur-nu-Fuin. Przypadkiem trafił na domostwa leśnych osadników niedługo po tym, jak Turin opuścił te okolice. Tam usłyszał osobliwe opowieści o wysokim i władczym człowieku lub też wojowniku elfów, który pojawił się w lasach i ściął głowę jednemu z Gaurwaithów, ratując w ten sposób ściganą przez tych zbójów córkę Larnacha.

- Był bardzo dumnej postawy - powiedziała dziewczyna Belegowi. - Miał jasne oczy, ale ledwie na mnie spojrzał. Wilków nazywał swoimi kompanami i nie chciał zabić tego drugiego, który znał jego imię, brzmiące Neithan.

- Rozumiesz cokolwiek z tego? - spytał Lamach elfa.

- I owszem - odparł Beleg. - Mężczyzna, o którym mówicie, jest tym właśnie, którego szukam. - Ale nie dodał nic więcej, a tylko ostrzegł osadników przed złem zbierającym się na Północy. - Niedługo już nadciągną tu Orkowie, a będzie ich zbyt wielu, byście mogli się obronić. Jeszcze w tym roku musicie wybrać między wolnością leśnych ludzi a ocaleniem

⁴⁴ W alternatywnej wersji tego fragmentu opowieści Turin wyjawiał wówczas banitom swe prawdziwe imię i stwierdził, że będąc pełnoprawnym władcą i sędzią ludu Hadora sprawiedliwie śmierć wymierzył Forwegowi, który pochodził wszak z Dorlominu. Na to Algund, stary banita ocalały z Nirnaeth Arnoediad i zbiegły z nurtem Sirionu, powiedział, że od dłuższego już czasu Turin z kimś mu się kojarzył, kimś o nader podobnym spojrzeniu, i chociaż przypomnieć sobie nie mógł, kto zacytował ów był, to teraz wie już, że znał go kiedyś jako syna Hurina.

„ - On jednak był niższy, niewyrosły w porównaniu ze swymi przodkami, chociaż ognistą miał naturę i złotorude włosy. Twoje włosy są ciemne i jesteś wysoki. Teraz, gdy bliżej ci się przyglądam, widzę, ile odziedziczyłeś po matce, pochodziła z rodu Beora. Ciekaw jestem, jaki los ją spotkał.

- Nie wiem - powiedział Turin. - Żadne wieści nie doszły mnie z Północy”.

W tej wersji ujawnienie faktu, że Neithan to właśnie Turin, syn Hurina, zdecydowało o uznaniu go przez pochodzących z Dorlominu banitów za herszta bandy.

życia. Póki czas, ruszajcie do Brethilu!

Potem odszedł w pośpiechu, poszukując legowisk banitów i jakichkolwiek znaków mogących naprowadzić go na ich ślad. Znalazł je rychło, ale Turin był już wówczas od kilku dni w drodze i szybko maszerował, a obawiając się pościgu osadników, jak mógł najlepiej zacierał tropy i mylił ślady. Rzadko banda nocowała dwukrotnie w tym samym obozowisku i mało co wskazywało na szlak jej wędrówki, tak że nawet Beleg czuł się bezradny. Odczytując nieliczne znaki i nasłuchując plotek dzikich zwierząt, których głosy rozumiał, często bliski był celu, ale zastawał zawsze tylko puste legowiska, horda bowiem trzymała straż dniem i nocą i wystarczał jeden sygnał, że ktoś się zbliża, a ruszała żwawo dalej.

- Niestety! - zakrzyknął. - Nazbyt dobrze wyuczyłem to dziecię człowiecze sztuki życia w lesie i pośród pól! Można by pomyśleć, że to kompania elfów wędruje.

Banici jednak rychło zorientowali się, że ktoś podąża niezmordowanie ich tropem i mocno zaniepokoił fakt, że tropiciela nie można ni dostrzec, ni zgubić⁴⁵.

Nie trwało długo, a urzeczywistniły się obawy Belega i Orkowie nawiedzili Brithiach, a napotkawszy opór wszystkich sił, jakie zebrać zdołał Handir z Brethilu, przez Przeprawę na Teiglinie skierowali się po łupy na południe. Wielu osadników zdążyło wysłać swe kobiety oraz dzieci do Brethilu i one umknęły, wraz z eskortą, na czas docierając do brodów. Jednak zbrojni, którzy szli za nimi, natknęli się już na Orków i marny był ich los. Tylko garstka wywalczyła sobie przejście, docierając do Brethilu, wielu zginęło lub popadło w niewolę. Potem Orkowie zajęli się ich domostwami, grabiąc je i paląc, aby następnie czym prędzej zwrócić się ku zachodowi w poszukiwaniu Traktu. Objuczeni zdobyczą, ciągnąc za sobą rzesze niewolników, chcieli bez zwłoki wrócić na Północ.

Banda szybko wyczuła ich przemarsz i chociaż więźniowie mało banitów obchodzili, to jednak łupy uniesione ze splądrowanych osad rozpałył chciwość wygnańców. Turin uważał, że lepiej nie pokazywać się Orkom na oczy, przynajmniej jak długo nie będzie wiadomo, ile głów liczy ich oddział, ale podwładni nie chcieli go nawet słuchać. Zbyt wielu rzeczy niedostawało im w głuszy i niektórzy zaczęli już nawet żałować wyboru herszta. Tak zatem, jednego Orlega biorąc do towarzystwa, Turin poszedł na przeszpiegi, przekazując dowództwo Androgowi i

⁴⁵ Ostatnie spisane wersje tej części historii zgodnie stwierdzają, że zostawszy przywódcą banitów, Turin poprowadził ich byle dalej od domów osadników, aż do puszczy na południe od Teiglinu, i że Beleg zawędrował w tamte strony wkrótce po odejściu bandy. Jednak wskazówki geograficzne są tutaj niejasne, a informacje dotyczące kierunków marszruty banitów - sprzeczne. Jeśli wziąć pod uwagę dalszy ciąg narracji, pozostaje przyjąć założenie, iż banici nie opuszczali Doliny Sirionu i w czasie najazdu Orków na siedziby Ludzi Lasu rzeczywiście przebywali w pobliżu swych poprzednich kryjówek. W jednym z wczesnych szkiców banici poszli na południe, aż dotarli do krainy „powyżej Aelinuial i Moczarów Sirionu”, jednak ponieważ był to „teren bez żadnego schronienia”, Turin dał się przekonać swym podwładnym do powrotu na lesiste ziemie na południe od Teiglinu, gdzie to po raz pierwszy ich spotkał. Takie wyjaśnienie spójnie uzupełnia tok narracji.

nakazując bandzie czekać gdzieś niedaleko w ukryciu.

Orkowie wielokrotnie przewyższali banitów liczbą, znajdowali się jednak na terenie, gdzie rzadko dotąd gościli i wiedzieli dobrze, że niedaleko rozciąga się Talath Dirnen, Strzeżona Równina pełna zwiadowców i szpiegów Nargothrundu. Obawiając się napotkania wroga, zachowywali sporą ostrożność. Czujki przekradały się przez lasy po obu stronach kolumny. W ten sposób trzech zwiadowców weszło na leżących w ukryciu Turina i Orlega, a chociaż dwóch zginęło od razu, trzeci uciekł, krzycząc: Golug! Golug!, jak nazywali wówczas Orkowie Noldorów. W jednej chwili puszcza zarośla się od zbrojnych, przemykających cicho po całej okolicy. Widząc, jak mała jest szansa ucieczki, Turin postanowił ujawnić się wreszcie i odciągnąć Orków od kryjówki bandy. Domyślając się po okrzyku „Golug!”, że napastnicy lękają się przede wszystkim zwiadowców Nargothrundu, umknął wraz z Orlegiem ku zachodowi. Zaraz też ruszył pościg. Długie kluczenie między drzewami wywiodło ich w końcu z lasu na Trakt, gdzie zostali dostrzeżeni, a Orleg padł przeszyty wieloma strzałami. Turina ocalała koleczuga elfów, uciekł zatem samotnie w głąsę po drugiej stronie, dzięki szybkim nogom i sztuce zacierania śladów uchodząc wreszcie prześladowcom. W ten sposób znalazł się w głębi nie znanej mu krainy. Wówczas Orkowie, obawiając się ataku elfów z Nargothrundu, zabili więźniów i szybko oddalili się na północ.

Minęły trzy dni, a Turin wraz z Orlegiem nie wracali i niektórzy spośród banitów zaczęli poszeptywać, że może by wyjść wreszcie z tej jaskini, w której się skryli, ale Androg nie wyrażał zgody. Gdy się tak kłócili, nagle stanęła przed nimi szara postać. To Beleg odnalazł ich wreszcie. Podeszedł bez broni i pokazał puste dłonie, oni jednak zerwali się przerażeni, a Androg zaszedł przybysza od tyłu i zarzucił nań pętlę, krępując elfowi ręce.

- Jeśli goście wam Niemili, to strażę się wystawia - powiedział Beleg. - Czemu mnie tak witacie? Przybywam w przyjaźni i szukam mego przyjaciela. Słyszałem, że zwiecie go Neithan.

- Nie ma go tu - odparł Ulrad. - Ale chyba długo nas szpiegowaleś, skoro znasz jego imię?

- Od dawna szedł za nami - powiedział Androg. - To on był naszym cieniem. Teraz dowiemy się, po co naprawdę to czynił. - I kazał przywiązać Belega do drzewa obok jaskini. Spętawszy mu ciasno ręce i nogi, wzięli go na spytki. Beleg wszakże jedną miał tylko odpowiedź na wszystkie pytania:

- Przyjacielem Neithana jestem od chwili, gdy po raz pierwszy spotkałem go w lasach. Był wówczas ledwie dzieckiem. Z miłości go szukam i dobre przynoszę mu wieści.

- Zabijmy go i pozbądźmy się szpiega - powiedział rozzłoszczony Androg, zezując

pożądliwie na wielki łuk elfa. Jednak kilku bardziej litościwych wstawiło się za Belegiem, a Algund stwierdził:

- Dowódca może wrócić lada chwila, a wówczas pożałujesz gorzko, żeś za jednym zamachem pozbawił go i przyjaciela, i dobrych nowin.

- Nie wierzę w gadkę tego elfa - rzekł Andróg. - Jest szpiegiem Króla Doriathu. Ale jeśli naprawdę ma jakieś wieści, to niech nam je przekaże, a my osądzimy, czy dość tego, by zostawić go przy życiu.

- Poczekam na waszego przywódcę - odparł Beleg.

- No to postoisz tutaj, aż się namyślisz - powiedział Andróg.

Za jego namową zostawili Belega przywiązanego do drzewa bez jedzenia czy wody, a sami rozsiedli się w pobliżu z ucztą. Więzień jednak nie odezwał się do nich ani słowem. W ten sposób minęły dwa dni i dwie noce. Coraz bardziej zalękniona i wściekła banda przebąkiwać zaczęła o pilnym wymarszu. Gotowi byli już zabić elfa. Gdy noc zapadła, zebrali się wkoło drzewa, a Ulrad przyniósł płonącą głównię z niewielkiego ogniska rozpalonego u wylotu jaskini. W tejże chwili powrócił Turin. Podkraść się cicho, jak to miał we zwyczaju, i przystanął w mroku poza ludzkim kręgiem. Stamtąd dojrzał i rozpoznał w świetle pochodni wymizerowaną twarz Belega.

Jak piorunem rażony skoczył do drzewa. Natychmiast stopniały lody jego serca i łzy napłynęły do oczu.

- Belegu! Belegu! - krzyknął. - Skąd się tu wzięłeś? I czemu tak stoisz? - Niezwłocznie przeciął więzy i Beleg padł mu w ramiona.

Wysłuchawszy całej opowieści swoich ludzi, Turin wpadł w złość, jednak póki co Beleg był najważniejszy. Pielęgnując go najlepiej, jak tylko potrafił, rozmyślał Turin o swoim dotychczasowym życiu w lasach, samemu sobie czyniąc wyrzuty. Często bowiem zdarzało się, że banici zabijali obcych, którzy zbliżyli się nieopatrznie do obozowiska, nieraz napadali też na wędrowców, a on nijak ich przed tym nie powstrzymywał, złe rzeczy opowiadając o Królu Thingolu i Szarych Elfach. Tak zatem, gdyby kamraci uznani zostali za bandę wroga, jego byłaby w tym wina. Pełen zgorzknienia zwrócił się do podwładnych:

- Okrutni byliście bez widomej potrzeby. Dotąd nigdy nie torturowaliśmy więźniów. Nazbyt upodobniliśmy się w tej głuszy do Orków. Bezprawiu się oddaliśmy, bez pożytku upływa nam życie, gdy tak myślimy tylko o sobie i coraz większą nienawiść hodujemy w sercach.

- A komu niby mamy służyć? - spytał Andróg. - Kogo ukochać, skoro wszyscy nas nienawidzą?

- Czyń, jak chcesz, ale ja nie podniosę już ręki na elfa ni człowieka - odrzekł Turin. - Angbad ma dość wiernych. A jeśli inni odmówią tej przysięgi, sam pójdę dalej.

Wówczas Beleg otworzył oczy i uniósł głowę.

- Nie sam! - powiedział. - Wreszcie mogę ci przekazać, z czym przybywam. Nie zostałeś wyjęty spod prawa i imię Neithan niezbyt do ciebie pasuje. Odpuszczono tobie winę. Od roku już cię szukają, by wezwać do godnego powrotu na królewską służbę. Brakuje nam Smoczego Hełmu.

Turin jednak nie okazał radości, tylko usiadł i zamilkł na dłuższą chwilę, słowa Belega bowiem starym cieniem zaległy mu na duszy.

- Poczekajmy z decyzją do rana - powiedział w końcu. - A jakkolwiek postanowię, jutro i tak musimy stąd odejść. Ci, którzy nasz szukają, nie życzą nam dobrze.

- Tak jak wszyscy na tym świecie - mruknął Androg i spojrzał ze złością na Belega.

O świecie Beleg, który wydobrzył już całkowicie, uleczony pradawną metodą elfów, porozmawiał z Turinem na osobności.

- Oczekiwałem, że bardziej się ucieszysz tymi nowinami - powiedział. - Bez wątpienia wrócisz teraz do Doriathu? - I zaczął na wszelkie sposoby błagać Turina, by to uczynił, ale im bardziej nalegał, tym większy był opór Turina. Wypytał niemniej Belega dokładnie o wszystko, a w końcu rzekł:

- A zatem Mablung dowiódł, że jest moim przyjacielem, jak utrzymywał?

- Powiedziałbym raczej, że bardziej on ceni prawdę, co w końcu i tak na dobre wyszło. Ale czemu, Turinie, nie powiedziałeś mu o napaści Searosa? Wówczas od samego początku sprawy wzięłyby inny obrót, ty zaś - tu spojrzał na ludzi rozłożonych u wylotu jaskini - nosiłbyś wciąż twój hełm i nie upadłbyś tak nisko.

- Może - odparł Turin. - Ale tak już wyszło. Słowa uwięzły mi wówczas w gardle. W oczach Mablunga dojrzałem oskarżenie o czyn, którego nie popełniłem. Obwinił mnie, nie spytawszy pierwej. Król elfów powiedział, że dumne jest serce człowieka. Bo i rzeczywiście, Belegu Kuthalionie. Do dziś nie pozwala mi powrócić do Menegrothu, gdzie musiałbym znosić współczujące spojrzenia, przyjmować przeprosiny niczym skarcony pochopnie dzieciak. To do mnie należy dzieło wybaczenia, nie odwrotnie. Nie jestem już chłopcem, lecz mężczyzną wedle miary mego plemienia. Los natomiast zrządził, żem twardy i zaprawiony w trudach.

- A zatem co uczynisz? - zapytał zmieszany Beleg.

- Odejdę wolny - odparł Turin. - Tego właśnie życzył mi Mablung przy rozstaniu. Łaska Thingola nie rozciągnie się chyba na towarzyszy mego upadku. Nie przyjmie ich, a ja nie odstąpię gromady, o ile sam nie zostanę porzucony. Pokochałem ich na swój sposób, nawet

tych najgorszych. Należą do mego plemienia i w każdym tkwi zalążek dobra, może pewnego dnia się rozwinie. Chyba gotowi są stanąć za mną.

- Widzisz swych kamratów w innym świetle niż ja - powiedział Beleg. - Jeśli spróbujesz sprowadzić ich ze złej drogi, zawiodą cię. Nie dowierzam im, a jednemu to już szczególnie.

- Jak elf oceniać może ludzi?

- Tak jak wszystko ocenia i nieważne, kto rzecz uczynił - odparł Beleg, umilkł jednak, nie chcąc wspominać, o okrutnym potraktowaniu go przez Androga. Nie napomknął też, ile zła wyczuł w swoim prześladowcy. Pojmował nastrój Turina i wiedział, że dawny druh z niedowierzaniem przyjąłby jego słowa, a tym samym elf naraziłby przyjaźń na szwank, co z kolei skłoniłoby młodzieńca do podążenia mrocznymi ścieżkami.

- Mówisz zatem, że odejdiesz wolny, Turinie, przyjacielu. A co właściwie zamierzasz?

- Poprowadzę tych ludzi na wojnę wedle własnego pomysłu - odpowiedział Turin. - Przynajmniej serce moje się odmieniło. Wzdragam się uderzyć nawet na Nieprzyjaciela ludzi i elfów. A ponad wszystko pragnąłbym być z tobą. Proszę, zostań!

- Gdybym wytrwał u twego boku, to z miłości jeno, nie z rozsądku. Serce podpowiada mi wszakże, że winienem wrócić do Doriathu.

- Niemniej ja tam nie pójdę.

Raz jeszcze próbując przekonać Turina, Beleg powiedział o nowych najazdach Orków docierających z Taur-nu-Fuin przez przełęcz Anach aż do Dimbaru i że bardzo brakuje na północnym pograniczu siły i męstwa Smoczego Hełmu. Zrozumiawszy jednak, że mówi na próżno, stwierdził ostatecznie:

- Twardym człowiekiem nazwałeś się, Turinie, i rzeczywiście, twardy jesteś i uparty. Teraz moja kolej. Jeśli naprawdę pragniesz ujrzeć Mistrza Łuku przy sobie, szukaj mnie w Dimbarze, tam bowiem powrócę.

Turin pogрузzył się w milczeniu, rozpamiętując minione lata i zmagając się z powstrzymującą go od zmiany losu dumą. Nagle jednak ocknął się z zamyślenia i spytał Belega:

- Ta elfia dziewczyna, o której wspomniałeś. Wiele zawdzięczam jej świadectwu, ale zapomniałem, jak miała na imię. Czemu właściwie mnie śledziła?

Beleg spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Czemu właściwie? Turinie, czyżbyś zawsze sercem i połową pamięci bujał gdzieś daleko? Jako chłopiec wędrowałeś z Nellas po lasach Doriathu.

- To było dawno temu. Tak odległe wydaje mi się teraz dzieciństwo, jakaś mgła je skrywa. Dobrze pamiętam tylko dom ojca w Dorlominie. Czemu miałbym wędrować z

dziewczyną elfów?

- Chyba uczyła cię wówczas. Tak czy inaczej, synu człowieczy! Są jeszcze w Śródziemna inne smutki niż twój, są rany bolesne, choć nie orężem zadane. W rzeczy samej, zaczynam sądzić, że elfy i ludzie nigdy nie powinni się spotkać ni bratać.

Turin nie odpowiedział, spojrzał tylko przeciągle w twarz Belegowi, jakby chciał odczytać z oblicza przyjaciela znaczenie tych słów. Jednak Nellas z Doriathu nigdy więcej nie spotkała Turina i jego cień opuścił ją ostatecznie⁴⁶.

⁴⁶ W *Silmarillionie* opowieść przedstawia dalej pożegnanie Belega z Turinem (str. 245-246), wspomina o dziwnym przeczuciu Turina, że los zaprowadzi go do Amon Rudh, o powrocie Belega do Menegrothu (gdzie otrzymał od Thingola miecz Anglechel i lembasy od Meliany), jak i o jego ponownej wojaczce z Orkami w Dimbarze. Brak jest jakichkolwiek uzupełnień odnoszących się do tego ustępu, toteż postanowiłem ominąć go w tym wydaniu.

Krasnolud Mim

Po odejściu Belega (a było to drugiego lata od ucieczki Turina z Doriathu)⁴⁷, marnie zaczęło wieść się Ludziom-Wilkom. Deszcze rozpadały się jak nigdy o tej porze roku, a Orkowie nadciągali z północy w liczbie większej niżli dotąd i rozpełzli się wzdłuż starego Południowego Traktu, przekraczając Teiglin i niepokojem napelniając lasy na zachodnich rubieżach Doriathu. Coraz trudniej było o chwilę wytchnienia czy bezpieczne schronienie i banici częściej sami stawali się zwierzyną niż myśliwymi.

Gdy kryli się tak pewnej nocy, nie mając odwagi rozpaść ognia, Turin spojrzał wstecz, na swoje życie i doszedł do wniosku, że mógłby jednak łatwo poprawić swój los. „Muszę znaleźć jakiś bezpieczny zakątek” - pomyślał. - „Zrobić zapasy przed zimą, zabezpieczyć się przed chłodem”. Następnego dnia poprowadził swych ludzi dalej od Teiglinu i pogranicza Doriathu, niż zdarzyło im się dotąd zapuszczać. Po trzech dniach wędrówki przystanęli u zachodniego skraju lasów w Dolinie Sirionu. Teren był tu bardziej suchy i roślinność uboższa, a grunt zaczynał wznosić się ku wrzosowiskom.

O zmierzchu szarego, deszczowego dnia banici poszukali schronienia w niskich, gęstych krzewach, za którymi rozciągała się bezdrzewna przestrzeń naznaczona licznymi skupiskami głazów. Wokół panowały cisza i bezruch, tylko krople wody skapywały z liści. Nagle wartownik dał sygnał, a zerwawszy się na nogi, banici ujrzeli trzy zakapturzone postaci w szarych szatach, idące miarowym krokiem pomiędzy głazami. Każdy z osobników dźwigał na plecach wypchany worek, ale i tak poruszali się dość szybko.

Turin zawołał, by się zatrzymali, a jego ludzie pogonili za obcymi niczym sfora, ci jednak maszerowali dalej i chociaż Androg wystrzelił w ślad za nimi kilka strzał, dwaj zniknęli w mroku, tylko jeden, który jako wolniejszy lub bardziej obciążony pozostał z tyłu, dał się pojmać i obalić na ziemię. Przytrzymywany przez wiele rąk, wciąż się wyrywał, kłusując niczym zwierzę. W końcu jednak nadszedł Turin i pohamował zapędy banitów.

- Co tu macie? - spytał. - Czy trzeba być aż tak gwałtownym? Stare to i nieduże. Jaka niby krzywdę może zrobić?

- Gryzie - powiedział Androg, pokazując krwawiącą dłoń. - To Ork lub ktoś podobny. Zabić go!

- Na nic lepszego nie zasłużył, skoro na darmo go ścigaliśmy - powiedział inny, zaglądając do worka. - Same korzenie i kamyki.

- Nic z tego - stwierdził Turin. - Ma brodę. To chyba krasnolud. Dajcie mu wstać i

⁴⁷ Turin uciekł z Doriathu latem. Jesień i zimę spędził między banitami, wiosną następnego roku zabił Forwega i

przemówić.

I tak oto Mim pojawił się w Opowieści o dzieciach Hurina. Pozbierawszy się, przyklęknął przed Turinem i zaczął błagać o darowanie życia.

- Stary jestem - rzekł - i biedny. Jak słusznie zauważyłeś, jam tylko krasnolud, nie Ork. Nazywam się Mim. Nie pozwól im zabić mnie bez powodu, panie, tylko Orkowie tak czynią.

Turin pożałował go w głębi serca, ale powiedział:

- Wydajesz się biedny, Mimie, chociaż dziwne to u krasnoludów, niemniej my chyba jeszcze ubożsi jesteśmy, bo nie mamy ni domu, ni przyjaciół. Jeśli postanowię darować ci życie, chociaż nic nas ku temu nie skłania, co ofiarujesz w zamian?

- Nie wiem, czego pragniesz, panie - odparł ostrożnie Mim.

- W tej chwili zaiste niewiele! - zawołał Turin, ogarnawszy spojrzeniem deszczowy krajobraz. - Bezpiecznego miejsca do spania, gdzie woda nie kapie za kołnierz. Chyba masz coś takiego?

- Owszem, ale nie mogę wam go oddać, bo za stary jestem, by sypiać pod gołym niebem.

- Mogę oszczędzić ci trudów starczego wieku - powiedział Androg, podchodząc z nożem w zdrowej dłoni. - Dość już przeżyłeś.

- Panie! - krzyknął Mim w wielkim strachu. - Jeśli stracę życie, pozostaniecie bez noclegu; nikt nie znajdzie go bez Mima. Jak rzekłem, nie mogę wam go oddać, ale się nim podzielę. Obecnie jest tam więcej miejsca niż kiedyś, tak wielu odeszło na zawsze - załkał.

- Darujemy ci życie - postanowił Turin.

- Przynajmniej póki nie doprowadzisz nas do swego domu - dodał Androg, Turin jednak odwrócił się do niego i powiedział:

- Jeśli Mim nie oszuka nas i pokaże, gdzie mieszka, i będzie to dobre schronienie, wówczas okupi swe życie i nie zostanie zabity przez żadnego z moich ludzi. Przysięgam.

Wtedy Mim objąwszy Turina nogi, odezwał się tymi słowy:

- Mim będzie twym przyjacielem, panie. W pierwszej chwili, głos usłyszawszy i mowę, sądziłem że jesteś elfem, jednak okazałeś się człowiekiem, co i lepiej. Mim nie lubi elfów.

- Gdzie jest ten twój dom? - spytał Androg. - Musi być naprawdę wygodny, żeby Androg zmieścił się tam z krasnoludem. Bo Androg nie przepada z kolei za krasnoludami. Moi współplemieńcy niewiele dobrego mają do powiedzenia o tej rasie ze Wschodu.

- Poczekaj, aż zobaczysz mą siedzibę, wtedy sam ocenisz - powiedział Mim. - Ale będziecie potrzebowali światła, bo ludzie potykają się w ciemności. Wrócę niebawem i

poprowadzę was.

- Nie, nie! - krzyknął Androg. - Na to nie pozwolimy, prawda, wodzu? Nigdy więcej nie ujrzelibyśmy tego łotra.

- Zapada zmrok - powiedział Turin. - Niech zostawi jakiś fant. Czy możemy zatrzymać twój worek, Mimie?

Ale krasnolud znowu padł na kolana i zaczął lamentować:

- Jeśli Mim nie zamierza dotrzymać słowa, to nie pożądaj starego worka z korzonkami - tłumaczył rozpaczliwie. - Wróć. Puśćcie mnie!

- Tego nie uczynimy - rzekł Turin. - Jeśli nie potrafisz rozstać się z bagażem, to musimy razem z nim zatrzymać także ciebie. Spędziwszy noc pod osłoną liści, lepiej nas zrozumiesz. - Zauważył jednak, nie on jeden zresztą, że zawartość worka była dla krasnoluda o wiele cenniejsza, niżby można sądzić.

Zaprowadzili krasnoluda do swego smętnego obozowiska. Po drodze mamrotał w dziwnym, chropawym języku coś, co brzmiało jak pradawne przekleństwa, ale gdy nałożyli mu więzy na nogi, umilkł nagle. Ci, którzy trzymali przy nim wartę, widzieli potem, jak siedział przez całą noc nieruchomy niczym skała i tylko jego oczy lśniły bezsennie, penetrując ciemność.

Przed świtem deszcz ustał i poryw wiatru zakołysał drzewami. Ranek wstał jaśniejszy, niż zdarzyło się to od wielu dni, a ciepły powiew z południa rozproszył chmury, ukazując słońce wschodzące na błękitnym niebie. Mim siedział wciąż bez ruchu i wyglądał jak martwy, a przy świetle brzasku ujawniły się wszystkie jego zmarszczki, co potwierdziło wiekowość krasnoluda.

- Jest już dość jasno - powiedział Turin, stając nad więźniem.

Wtedy Mim otworzył oczy i wskazał na pęta, a gdy je zdjęto, odezwał się ze złością:

- Nauczcie się, głupcy, by nigdy nie krępować krasnoluda! Nie wybaczysz tego. Nie pragnę śmierci, ale czyn wasz wzbudził we mnie zawziętość. Cofam obietnicę.

- Ale ja nie - odparł Turin. - Zaprowadzisz swego domu i póki tego nie uczynisz, nie mówmy o śmierci. Tak postanowiłem. - I spojrzał stanowczo w oczy krasnoluda, a ten zadrżał, ponieważ mało kto potrafił znieść wzrok Turina zagniewanego lub upierającego się przy swoim.

- Chodź za mną, panie - powiedział w końcu, odwracając głowę i wstając.

- Dobrze! - krzyknął Turin. - I tyle tylko dodam, że pojmuję twą dumę. Może i zginiesz, ale wiązać cię już nie będziemy.

Wtedy Mim poprowadził ich z powrotem do miejsca, gdzie go pojмали, i wskazał na

zachód.

- Tam jest mój dom! - powiedział. - Nieraz go pewnie widzieliście, bo wysoko się wznosi. Sharbhund zwaliśmy go kiedyś, zanim elfy nie odmieniły wszystkich nazw.

Banici ujrzeli, że wskazywał na Amon Rudh, Nagą Górę, której łysy wierzchołek widoczny był na wiele staj wokoło.

- Widzieliśmy, ale nigdy z bliska - stwierdził Androg. - I tam niby można znaleźć schronienie, a gdzie na górze woda czy inne jeszcze, potrzebne rzeczy? Chyba nas nabiera. Jak mamy ukryć się na szczycie?

- Czasem taka manifestacja lepsza jest niż chowanie się po kątach - rzekł Turin. - Amon Rudh daje się dostrzec z daleka. Dobrze, Mimie, pójdę z tobą i zobaczę, co masz do zaoferowania. Ile czasu zajmie nam, niezdarnym ludziom, dotarcie na miejsce?

- Cały dzień aż do zmroku - odparł krasnolud.

Turin z Mimem stanęli na czele pochodu i cała kompania ruszyła na zachód, czujnie rozglądając się po wyjściu z lasu, ale okolica była cicha i opustoszała. Minęli porozrzucane głazy i zaczęli wspinaczkę na leżące pomiędzy Amon Rudh a dolinami Sirionu i Narogu wyniosłe wrzosowisko, wrzos potrafił bowiem znaleźć dla się miejsce w kamienistej glebie nawet na wysokości ponad trzystu metrów. Po wschodniej stronie nierówny teren wznosił się łagodnie ku graniom, gdzie kępy brzoź i jarzębiny oraz sędziwie wybijały się głągów czepiały się korzeniami skał. Niższe partie stoków Amon Rudh pokryte były gęsto krzewami aeglosu, jednak szary wierzchołek pozostawał nagi, jeśli nie liczyć czerwonego seregonu otulającego skały⁴⁸.

Późnym popołudniem banici dotarli do stóp góry. Mim podprowadził ich z północy i dobrze widzieli słoneczny blask padający z zachodu na koronę Amon Rudh, gdzie seregon kwitł właśnie.

- Patrzcie! Wierzchołek góry kapie się we krwi - powiedział Androg.

- Jeszcze nie - odparł Turin.

Słońce tonało za horyzontem i światło gasło w parowach. Góra zawisała nad nimi, zagradzając drogę i banici doszli do wniosku, że do tak rzucającego się w oczy celu doszliby spokojnie sami. W miarę jednak, gdy w ślad za krasnoludem wspinali się coraz wyżej, pojęli, że prowadzi ich sekretną ścieżką, której tajemnica istnienia przekazywana musiała być chyba z pokolenia na pokolenie, o ile nie wytyczały jej jakieś nieznane ludziom znaki. Droga wiła się, a

⁴⁸ Aeglos, „śnieżny cierni”, miał być podobny do janowca (ciernistego), ale większy i z białymi kwiatami. Aeglos brzmiało również imię włóczni Gilgalada. Seregon, „krwawy kamień”, był rośliną przypominającą rozchodnik i miał ciemnoczerwone kwiaty.

spojrzawszy na bok, dostrzec można było jedynie mroczne wąwozy i parowy lub też strome zbocza zbiegające do rumowisk wielkich głazów porośniętych jeżynami i głógami skutecznie kryjącymi wszelkie pułapki. Bez przewodnika prawdopodobnie całymi dniami bląkaliby się po tych ostępach, nim dotarliby gdziekolwiek.

Teren zrobił się jeszcze bardziej stromy, za to mniej nierówny. Przeszli w cieniu wiekowych drzew jarzębiny i wkroczyli pomiędzy wysokopienne aeglosy. W półmroku rozeszła się słodka woń⁴⁹. Potem w poprzek drogi wyrosła nagle skalna ściana, stroma i gładka, niknąca gdzieś w ciemności nad ich głowami.

- Czy to są wrota do twojego domu? - spytał Turin. - Podobno krasnoludy uwielbiają kamień. - Przysunął się do Mima, na wypadek, gdyby przewodnik planował jednak jakiś podstęp.

- Nie wrota do domostwa, tylko brama prowadząca na dziedziniec - odparł Mim i skręcił w prawo, a po przejściu około dwudziestu kroków u stóp urwiska przystanął nagle i Turin ujrzał szczelinę wiodącego na lewo przejścia pomiędzy dwoma zachodzącymi na siebie fragmentami skalnej ściany. Nie potrafił powiedzieć, czy było to dzieło czyichś rąk, czy też sił przyrody, ale za otworem spowitym ukorzenionymi powyżej powojami otwierała się kamienista ścieżka biegnąca ku górze i znikająca w ciemności. Wokół panowała wilgoć. Dnem spływał strumyk. Jeden po drugim, wszyscy zanurkowali w mrok. Na szczycie droga skręcała znów w prawo, na południe, by przez gąszcz kolczastych zarośli wybiec na zieloną równinę i znów zatonać w cieniach. Tak dotarli do siedziby Mima, Bar-en-Nibin-noeg⁵⁰, miejsca opisywanego tylko w najstarszych opowieściach Doriathu i Nargothrondy i nigdy nie oglądanego przez człowieka. Jednak noc już zapadła i gwiazdy zabłyśły na wschodzie, skrywając osobiwy zakątek przed oczami wędrowców.

Amon Rudh wieńczyła wielka kamienna czapa o stromych zboczach i ściętym wierzchołku, z którego po północnej stronie wystawała płaska i niemal kwadratowa półka, niewidoczna z dołu. Z tyłu miała pionową skalną ścianę, z boków opadały strome urwiska. Dojść do mej można było tylko z północy, o ile znało się drogę⁵¹. Mająca swój początek w

⁴⁹ Tyczy to również okrytych żółtymi kwiatami kolczastych krzewów [kolczoliści] napotkanych przez Froda, Sama i Golluma w Ithilien, „u dołu nagich i wątlých, lecz w górze rozrośniętych bujnie”, tak że mogli wyprostowani przejść pod nimi, jak przez długie galerie, „jak i obsypanych kwiatami, które jaśniały wśród ciemności i rozsiewały delikatną, słodką woń” (Dwie wieże, str. 396).

⁵⁰ W innym miejscu sindarińska nazwa Poślednich Krasnoludów podana została jako Noegyth Nibin (por. *Silmarillion*, str. 248) i Nibin-Nogrim. „Leżące pomiędzy Amon Rudh a dolinami Sirionu i Narogu wyniosłe wrzosowisko” na północny wschód od Nargothrondy pojawia się wielokrotnie jako Wrzosowisko Nibin-noeg (w tym lub zbliżonym brzmieniu nazwy).

⁵¹ Wysokie urwisko, przez które Mim przeprowadził ich szczeliną zwaną przezeń „bramą wiodącą na dziedziniec”, stanowiło zapewne północną krawędź półki. Zbocza na zachodzie i na wschodzie były o wiele bardziej strome.

szczelinie ścieżka wiodła przez mały zagajnik karłowatych brzoź otaczający lśniące w skalnym zbiorniku jezioro, zasilane przez tryskający u stóp urwiska strumień. Dalej woda spływała rynną ku krawędzi półki, by białą nitką runąć w dół z zachodniej strony góry. Za osłoną drzew w pobliżu źródła kryło się pomiędzy dwiema kamiennymi przyporami wejście do jaskini wyglądającej z pozoru ledwie na wnękę w skale, z niskim i popękanym nadprożem. Wnętrze jednak było obszerne. Sięgało daleko w głąb góry, wydrążone powolną pracą Poślednich Krasnoludów od lat chroniących się tu przed Szarymi Elfami z lasów.

W mroku Mim poprowadził banitów obok jeziora, w którym poprzez cienie brzoźowych gałęzi odbijały się teraz gwiazdy. U wejścia do jaskini odwrócił się, pokłonił Turinowi i powiedział:

- Wejść do Bar-en-Danwedh, Domu Okupu, gdyż tak się będzie teraz nazywał.

- W porządku - odparł Turin. - Obejrzymy go zatem.

I wszedł do środka z Mimem, a skoro inni ujrzeni, że się nie boi, ruszyli w ślad za dowódcą. Nawet Androg, który najbardziej spośród nich nie ufał krasnoludom. Szybko spowił ich nieprzenikniony mrok, ale Mim klasnął w dłonie i za zakrętem zabłysło małe światełko - to inny krasnolud wyłonił się z korytarza na tyłach zewnętrznej groty. W ręce niósł niewielką pochodnię.

- Ha! Więc jednak chybiłem! Tego się obawiałem - zauważył Androg. Mim zamienił z przybyszem kilka zdań w chrapliwym języku i zdało się, usłyszane wieści mocno zatroskały go i zaniepokoiły, pospieszył bowiem gdzieś korytarzem i zniknął. Androg zaś zaczął nalegać, by podążyć za nim.

- Uderzmy pierwsi! - powiedział. - Może nawet jest ich tu wielu, ale to pokurcze.

- Najpewniej tylko trzech - odparł Turin i poprowadził dalej. Banici szli wodząc po szorstkich ścianach rękoma. Korytarz skręcał wielokrotnie pod ostrym kątem, aż w końcu błysnęło przed nimi wątłe światełko i dotarli do niewielkiej, ale wysokiej groty rozjaśnianej przez umocowane na łańcuchach lampy zwisające z mrocznego sklepienia. Mima tu nie było, ale idąc za jego głosem, Turin dotarł do komnaty na tyłach groty, gdy ujrzał klęczącego na podłodze Mima. Obok niego stał w milczeniu krasnolud z pochodnią. Na kamiennym łożu pod przeciwległą ścianą leżała jakaś postać.

- *Khim, Khim, Khim* - zawodził stary krasnolud, targając swą brodę.

- Jedną strzałą trafiłeś celnie - powiedział Turin Androgowi - ale i tak był to chybiony ruch. Nazbyt prędko jesteś w zwalnianiu cięciwy i życia ci nie starczy, by nabrać rozumu. - Turin wszedł cicho i przybliżył się do Mima. - Co się stało? - spytał. - Znam nieco sztukę uzdrawiania. Czy mogę wam pomóc?

Mim odwrócił głowę i spojrzał na Turina, a w jego oczach płonął czerwony blask.

- Nie, chyba że potrafisz cofnąć czas i odrąbać dłonie tym twoim okrutnikom - odparł. - Mój syn został śmiertelnie ugodzony. Teraz już słowa nie powie. Umarł o zachodzie słońca. Twe więzy powstrzymały mnie przed przywróceniem go do zdrowia.

I znów smutek wezbrał w sercu Turina niczym tryskające ze skały źródło.

- Niestety! - rzekł. - Cofnąłbym tę strzałę, gdybym tylko mógł. Teraz Bar-en-Danwedh, Dom Okupu, prawdziwie będzie się nazywał. Niezależnie bowiem od tego, czy zamieszkamy tu czy nie, jestem odtąd twoim dłużnikiem i jeśli kiedykolwiek dojdę do jakiegoś bogactwa, czystym złotem zapłacę ci okup za syna. Uczynię to na znak mego smutku, chociaż wiem, że twe serce nie znajdzie w nim pociechy. - Wówczas Mim wstał i długo przyglądał się Turinowi.

- Przyjmuję, co powiedziałaś - odrzekł. - Zachowałeś się jak dawny władca krasnoludów, i to podziwiam. Ukoileś mój żal, chociaż nie mam się z czego cieszyć. Spłacę niemniej swój okup. Możecie tu zamieszkać, jeśli chcecie. Jedno tylko dodam, niech ten, który wypuścił strzałę, złamie swój łuk i pełen kołczan, niech położy je u stóp mego syna i nigdy już nie tknie strzały ni łuku. Gdyby to uczynił, umrze za ich sprawą. Takie rzucam nań przekleństwo.

Androg przestraszył się wielce i chociaż niechętnie, wypełnił, co krasnolud rzekł. Wychodząc jednak z komnaty, spojrzał ze złością na Mima i mruknął:

- Powiadają, że klątwa krasnoluda nigdy nie traci mocy, ale ludzka też czasem może się spełnić. Umrzyj tu z gardłem przeszytym strzałą!⁵²

Tej nocy ułożyli się w grocie, ale zasnąć nie mogli za sprawą lamentów Mima i jego drugiego syna, Ibuna. Kiedy wszystko ucichło, trudno powiedzieć, ale gdy banici obudzili się w końcu, krasnoludów nie było, a w wejściu do komnaty tkwił potężny kamień. Dzień znów nastał pogodny i w blasku porannego słońca ludzie umyli się w jezioru i sięgnęli po to, co mieli do jedzenia. Posilali się właśnie, gdy Mim stanął przed nimi i skłonił się Turinowi.

- Odszedł już i uczyniliśmy, co do nas należało - powiedział. - Spoczywa obok swoich ojców. Pora zwrócić się ku zwykłemu życiu, chociaż może niewiele nam go już pozostało. Czy podoba wam się dom Mima? Czy okup został przyjęty?

- Tak - odparł Turin.

- A zatem do was należy i możecie urządzić go, jak wam wygodnie, z jednym tylko wyjątkiem: nikt prócz mnie nie może otworzyć tej zamkniętej komnaty.

- Zgoda. Zamieszkamy tu, zakątek jest bowiem bezpieczny lub przynajmniej na taki

⁵² Klątwa rzucona na Androga pojawia się również w innej postaci: „Oby zabrakło mu łuku w ostatecznej potrzebie”. Mim zginął w końcu za sprawą miecza Hurina pod Bramą Nargothrondy (*Silmarillion*, str. 282).

wygląda, ale potrzeba nam jeszcze jedzenia i innych rzeczy. Jak mamy stąd wychodzić, a co ważniejsze, jak będziemy wracali?

Mim roześmiał się na całe gardło, co zaniepokoiło banitów.

- Czyżbyście obawiali się, że oto pająk schwytał was w swe sieci? - spytał. - Mim nie jada ludzi! Nawet pająk nie łowiłby trzydziestu szerszeni naraz. Sami widzicie, wy jesteście uzbrojeni, a ja stoję przed wami z pustymi rękoma. Pora nam dzielić się mieszkaniem, jedzeniem, ogniem, a może i innymi zdobyczami. Myślę, że nawet, gdy poznacie już dobrze drogę, to dla własnego dobra strzec będziecie tajemnicy tego miejsca. Z czasem zapamiętacie szlaki, na razie jednak Mim albo syn jego, Ibun, będzie musiał was przeprowadzać.

Turin przystał na to i podziękował Mimowi, a większość ludzi przyklasnęła jego słowom, bo w słońcu środka lata siedziba prezentowała się zaiste wspaniale. Jeden tylko Androg był niezadowolony.

- Im wcześniej poznamy wszystkie ścieżki, tym lepiej - powiedział. - Nigdy jeszcze żaden więzień nie ograniczał tak naszej swobody.

Tego dnia odpoczywali, czyścili broń i naprawiali oporządzenie, jedzenia mieli bowiem dość na jakie dwa dni, a i Mim dołożył swoje, pożyczając im trzy wielkie garnki i opał. Potem przyniósł worek.

- Same śmiecie - powiedział. - Niewarte kradzieży dzikie korzonki.

Wszakóż ugotowane, owe leśne zdobycze okazały się nie tylko jadalne, ale i bardzo dobre, w smaku przypominały bowiem chleb, który banici kosztowali ostatnimi laty tylko wtedy, gdy udało się ukraść jakiś bochenek.

- Dzikie elfy ich nie znają, Elfy Szare nie wypatrzyły. Zbyt dumni są przybysze zza Morza, by ryc w ziemi - powiedział Mim.

- A jak się te przysmaki nazywają? - spytał Turin, Mim spojrzał nań z ukosa.

- Nie mają innej nazwy prócz tej w języku krasnoludzkim, a jego sekretów nikomu nie zdradzamy. Nie mówimy też ludziom, jak szukać tych korzonków, bo oni chciwi są i rozrzutni, szybko wybraliby wszystkie, do ostatniego, kładąc kres ich istnieniu, chociaż teraz mijają je obojętnie w głuszy. Niczego więcej nie dowiecie się ode mnie, ale jak długo będziecie uprzejmi, nie zaczniecie kraść ni szpiegować, nie poskąpie wam poczęstunku, zawsze też możecie liczyć na mą pomoc. - I znów roześmiał się bardzo głośno. - Są naprawdę cenne. Głodną zimą więcej warte są od złota, bo można przechowywać je niczym orzeszki w wiewiórczej spiżarni. Już z pierwszego zbioru zaczęliśmy odkładać zapasy, ale tylko głupiec mógłby sądzić, że nawet za cenę życia nie byłbym skłonny porzucić jednego worka.

- Słuchając tak ciebie - powiedział Ulrad, który zajrzał do worka przy pojmaniu Mima -

wspominam, że faktycznie nie chciałeś rozstać się ze swym bagażem, i niczego już nie rozumiem.

Mim obrócił się i zmierzył go ponurym spojrzeniem.

- Jesteś jednym z tych głupców, których nie żal wiośnie, gdy zima ich zabierze - powiedział. - Dałem słowo, a zatem chcąc, nie chcąc, z workiem czy bez, i tak musiałbym wrócić, a niech sobie praw ani honoru nie znający człowiek myśli, co chce! Nie lubię jednak, gdy jakiś niegodziwiec odbiera mi siłą moją własność, choćby to był tylko rzemień od buta. Myślisz, że zapomniałem, że byłeś między tymi, którzy mnie związali, przez co nawet nie zdążyłem porozmawiać z synem? Gdy znów przyniosę ziemny chleb ze spiżarni, ciebie nim nie obdzielę, i zjesz go wówczas tylko, gdy zostaniesz poczęstowany przez kamratów.

Potem Mim odszedł, ale Ulrad, który kulił się pod gniewnym spojrzeniem krasnoluda, teraz powiedział:

- Dumne słowa! Jednakże ten stary łotr miał jeszcze inne rzeczy w swym worku. Podobne z kształtu do korzonków, ale twardsze i cięższe. Może oprócz ziemnego chleba jest w głuszy coś jeszcze, czego elfy nie wyszukały i czego ludziom poznać nie wolno⁵³!

- To możliwe - odparł Turin. - Niemniej krasnolud miał rację, nazywając cię głupcem. Czy musisz gadać, co ślina na język przyniesie? Jeśli uprzejme słowa więzną ci w gardle, to już lepiej siedź cicho, a wszyscy na tym skorzystamy.

Dzień minął spokojnie i nikt z banitów nie zapragnął opuścić schronienia. Turin pokrażył od krańca do krańca po zielonej murawie półki, spojrzał na wschód, na zachód i na północ, zdumiony, jak przy czystym powietrzu rozległy roztacza się stąd widok. Na północy sięgnął wzrokiem Lasu Brethil, wspinającego się zamgloną zielenią na zbocza Amon Obel, i miejsce to przyciągało wciąż jego oczy, choć sam nie wiedział czemu, serce bowiem skłaniało się ku północnemu zachodowi. Gdy patrzył w tamtym kierunku, zdawało mu się, że odległe o wiele staj, zawieszone jakby na krawędzi nieba, majaczyły Góry Cienia, granica ojczystej krainy. Wieczorem jednak śledził zachodzące słońce, jak czerwieniało i niknęło w mgłach nad dalekim wybrzeżem, cienistym mrokiem spowijając Dolinę Narogu leżącą na drodze do Morza.

Tak zaczął się pobyt Tirana, syna Hurina, w Bar-en-Danwedh, Domu Okupu, siedzibie Mima.

Opis dziejów Turina od chwili zamieszkania w Bar-en-Danwedh do upadku

⁵³ Tajemnica worka krasnoluda Mima nie została wyjaśniona. Niemniej pewną wskazówką może być pospiesznie skreślona notatka sugerująca, że zamaskowane były tam bryłki złota, Mim zaś miał poszukiwać „dawnych skarbów w krasnoludzkim domu w pobliżu płaskich kamieni”. To ostatnie bez wątpienia odnosi się do owych skupisk wielkich głazów, przy których banici schwyтали Mima. Nie wiadomo jednak, jaką rolę miały owe skarby odegrać w historii Bar-en-Danwedh.

Nargothrond znajduje się w *Silmarillionie*, strony 248-262, patrz także Dodatek do Narn i Hin Hurin.

Powrót Turina do Dorlominu

Zmęczony w końcu długą drogą i pośpiechem (ponad czterdzieści staj przebył bez odpoczynku), wraz z pierwszymi lodami zimy wykwitłymi na rozlewiskach Ivryn, dotarł Turin tam, gdzie niegdyś został uzdrowiony. Teraz jednak było to tylko zamrożone bagnisko, z którego nie dało się już pić.

Potem doszedł do przełęczy wiodących do Dorlominu⁵⁴ i tutaj zaskoczyły go śnieżyce z północy, czyniąc ścieżki jeszcze bardziej niebezpiecznymi. Chociaż dwadzieścia i trzy lata minęły, gdy po raz ostatni przemierzał ten szlak, to głęboko wryła mu się w serce pamięć owej drogi, kiedy bolał nad każdym krokiem oddalającym go od Morweny. Wreszcie znalazł się w krainie swego dzieciństwa, teraz ponurej i ogołoconej, z rzadka zamieszkałej przez nieokrzesanych ludzi władających szorstkim narzeczem Easterlingów. Dawna mowa stała się tu językiem niewolników i wrogów.

Niemniej Turin wędrował czujnie, skryty milcząco pod kapturem, aż odnalazł dom, którego tak szukał. Budynek stał jednak ciemny i pusty. Nikt nie mieszkał w pobliżu.

Morwena bowiem odeszła, a Brodda (tenże przybysz, który wziął siłą za żonę Aerinę, krewną Hurina), splądrował rodową posiadłość i zabrał wszystko, nawet służących. Dom Broddy stał najbliżej siedziby Hurina, tak i Turin poszedł tam, pełen zdumienia i żalu, i poprosił o schronienie. Otrzymał je, ponieważ Aerin dbała, żeby ocalić w swoim domu chociaż cień dawnych, dobrych zwyczajów. Posadzono go przy ogniu między służącymi oraz kilkoma podobnie zdrożonymi i ponurymi wagabundami, a wtedy spytał o wieści dotyczące okolicy. Cisza zapadła, a niektórzy aż się odsunęli, spoglądając spode łba na obcego. Jeden jednak włóczęga, stary mężczyzna z kulą, powiedział:

- Jeśli już musisz posługiwać się dawną mową, panie, to ciszej mów i nie pytaj o wieści. Chcesz zostać obity jako rzezimieszek lub powieszony jako szpieg? Wyglądasz i na jedno, i na drugie. A to znaczy - przysunął usta bliżej ucha Turina - że wywodzisz się, panie, z tego dawnego szlachetnego ludu, który przybył z Hadorem w złotych czasach, nim w tej krainie łby porosły wilczą sierścią. Są tu jeszcze podobni tobie, chociaż teraz to niewolnicy lub żebracy. Tylko pani Aerin zawdzięczają miejsce przy ogniu i strawę. Skąd przybywasz i jakie nowiny przynosisz?

- Żył nie opodal kobieta zwana Morweną - odparł Turin. - Dawno temu mieszkałem w jej domu. Ale gdy dotarłem tam zdrożony, nie zastałem ni ognia, ni mieszkańców.

- Wszyscy opuścili to miejsce ponad rok temu - odpowiedział starzec. - A i przedtem

⁵⁴ Przełęcz na Amon Darthir była jedynym przejściem przez góry „od Serech aż po daleki zachód, gdzie Dorlomin

rzadko płonął tam ogień i niewielu się przy nim grzało od czasu strasznej wojny. Ona należała do dawnego ludu, jak wiesz na pewno. Została wdową po naszym panie, Hurinie, synu Galdora. Nie śmieli jej tknąć, bali się, bo dumna i piękna była jak królowa, nim smutek ją naznaczył. Mówili, że to wiedźma, co po nowemu znaczy „przyjaciółka elfów”.

Unikali Morweny, ale i tak okradli. Często wraz z córką chodziłaby głodna, gdyby nie pani Aerin. Pomagała im potajemnie i często bił ją za to ten prostak Brodda, mąż z przymusu.

- A potem? Nie żyją czy dostały się w niewolę? A może Orkowie je napadli?

- Nie wiadomo na pewno - powiedział starzec. - Odeszła z córką, a Brodda splądrował dom i wziął, co tylko było. Nawet psa nie zostawił, a wszystkich jej poddanych zrobił swoimi niewolnikami. Poza paroma, którzy wybrali los żebraczy, jak ja, Sador Jednostopy. Służyłem Morwenie wiele lat, a przedtem naszemu panu. Gdyby nie ten topór przeklęty, kiedyś, dawno, to pewnie leżałbym teraz pod Wielkim Kurhanem. Nigdy nie zapomnę dnia, gdy odesłano stąd syna Hurina, pamiętam jak płakał przy tym i jak ona łkała, gdy już odszedł. Podobno do Ukrytego Królestwa.

W tym miejscu stary powściągnął język i przyjrzał się nieufnie Turinowi.

- Wiekowy jestem i różne rzeczy plotę - dodał pospiesznie. - Nie zważaj na mnie! Ale chociaż przyjemnie jest pogadać znów w starej mowie z kimś, kto włada nią jak w dawnych czasach, to teraz dni chmurnie nam płyną i trzeba uważać. Piękne słowa nie świadczą jeszcze o czystym sercu.

- Szczera prawda - odrzekł Turin - bo serce me mroczne i ponure. Ale jeśli obawiasz się, że jestem szpiegiem Północy lub Wschodu, znaczy, że umysł osłabł ci z latami, Sadorze Labadalu.

Starzec spojrział nań bezbrzeżnie zdumiony.

- Wyjdźmy - powiedział drżącym głosem. - Tam jest chłodniej, ale i bezpieczniej. Za głośno i za wiele mówisz, jak na dom Easterlinga.

Na podwórku Sador wczepił się w płaszcz Turina.

- Powiadasz, że przemieszkiwałeś niegdyś w tym domu. Turinie, synu Hurina, po co wróciłeś? Poznaje twarz, a teraz i głos, bo podobny masz do ojcowego. Tylko młody Turin nazywał mnie Labadalem. Nie przez złośliwość, bo byliśmy wówczas dobrymi przyjaciółmi. Ale czego szukasz tu teraz? Niewielu nas już zostało. Starzy jesteśmy i bezbronni. Lepszy los spotkał tych, którzy zlegli pod kurhanem.

- Nie przybyłem walczyć, chociaż gdy tak cię słucham, Labadalu, to też przychodzi mi do głowy. Ale jeszcze nie nadszedł odpowiedni czas. Szukam Morweny i Nienor. Co możesz

mi o nich zwięźle powiedzieć?

- Niewiele, panie. Odeszły w tajemnicy. Szeptano, że na wezwanie Turina, bo nie wątpiliśmy, że wyrósł wielce z latami i jest królem czy władcą w jakimś kraju na południu. Wygląda jednak, że spotkał cię inny los.

- Owszem. Byłem niegdyś kimś na Południu, ale zostałem wagabundą. I nie ja je wezwałem.

- W takim razie proszę pytać panią Aerinę. Na pewno będzie wiedziała. Znała wszystkie zamiary pana matki.

- Jak mogę do niej dotrzeć?

- Nie mam pojęcia. Gdyby nawet dało się ją wywołać, to przyłapana, drogo zapłaciłaby za szeptanie w drzwiach z włóczęgą. A podobny tobie żebrak nie zajdzie daleko, dostawszy się do domu Easterlinga, bo pochwycą go, pobiją albo i zrobią coś jeszcze gorszego.

- Czy naprawdę nie dam rady wejść na pokoje Broddy? - zawołał Turin w gniewie. - Pobiją mnie, mówisz? Zaraz się przekonamy!

Wszedł wówczas do środka i odsuwając wszystkich z drogi, torował sobie przejście do pomieszczenia, w którym przy stole siedział gospodarz wraz z żoną i innymi możnymi Easterlingami. Paru rzuciło się, by go pochwycić, ale powalił ich na ziemię i stanąwszy w drzwiach krzyknął:

- Czy nikt nie rządzi w tym domu? A może to orkowa nora? Gdzie gospodarz? Zagniewany Brodda podniósł się z miejsca.

- Ja tu jestem panem - powiedział.

Ale zanim zdążył dodać cokolwiek więcej, Turin rzekł:

- A więc nic nie przyswoiłeś sobie ze zwyczajów, z których słynęła niegdyś ta kraina. Czy to normalne pośród was, by nasyłać lokajów na krewnych waszych żon? Czyli na mnie. Mam pytanie do pani Aeriny. Wpuścisz mnie, czy sam mam się wpuścić?

- Wejdz! - powiedział Brodda i spojrzał wilkiem, Aerina zaś pobladła. Wówczas Turin podszedł do stołu, zatrzymał się i skłonił.

- Wybacz, pani, że tak wtargnąłem niespodzianie, ale pilna jest moja sprawa i z daleka mnie przywiodła. Szukam Morweny, pani Dorlominu, i Nienor, jej córki. Jej dom pusty stoi i splądrowany. Co możesz mi powiedzieć?

- Nic - odparła Aerina w wielkim strachu, Brodda bowiem przyglądał się żonie pilnie. - Odeszła i nic więcej nie wiem.

- W to nie uwierzę - odrzekł Turin. Wtedy Brodda skoczył ku niemu, aż czerwony z podpicia i gniewu.

- Dość tego! - krzyknął. - Nie pozwolę, aby jakiś żebrak zarzucał w gwarze niewolników kłamstwo mojej żonie, gdy ja jestem obok? Nie ma pani Dorlominu. A co do Morweny, z niewolników pochodziła i zbiegła jak niewolnik. Jeśli nie zrobisz zaraz tego samego, to zawiśniesz na drzewie!

Wtedy Turin rzucił się ku Broddzie, wyciągnął swój Czarny Miecz, schwycił barbarzyńcę za włosy i odgiął mu głowę do tyłu.

- Jeden ruch - powiedział - a strącę ten łeb z karku! Pani Aerin, raz jeszcze błagam o wybaczenie, ale myślę, że nie zaznałaś niczego dobrego od tego gbura. Teraz mów jednak i nie odmawiaj mi! Czy ja, Turin, jako pan Dorlominu mam ci to nakazać?

- Tak, panie - odparła.

- Żądam zatem, byś natychmiast odpowiedziała, kto splądrował dom Morweny?

- Brodda.

- Kiedy matka moja odeszła i dokąd?

- Rok i trzy miesiące temu. Pan Brodda i inni przybysze ze Wschodu mocno jej dokuczali. Z dawna już wzywano ją do Ukrytego Królestwa i w końcu poszła tam, gdy tylko ziemie po drodze uwolniły się od złych sił, a to za sprawą męstwa Czarnego Miecza z kraju na południu. Wypatrywała spotkania z synem, miał tam na nią czekać. Ale skoro to ty nim jesteś, znaczy, że wszystko poszło na opak.

Turin zaniósł się pełnym gorzki śmiechem.

- Na opak? - krzyknął. - Tak, zawsze na opak, na modłę Morgotha! - I nagle gwałtowny gniew nim zatrzęsł, uwolnił się bowiem ostatecznie z pęt czaru Glaurunga i łuski spadły mu z oczu. Wyraźnie ujrzał wszystkie kłamstwa, którymi został omamiony. - Czy oszustwo przywiodło mnie w to miejsce, by zginąć niesławnie ten, kto polec mógł z honorem u Wrót Nargothrondy? - I zdało mu się, że z mroku pod powalą dobiegają krzyki Finduilasy.

- Nie ja pierwszy tu umrę! - krzyknął i chwyciwszy Broddę, niby psem potrząsnął nim we wścieklej pasji. - Powiadasz, że z niewolników Morwena pochodziła? Ty złodzieju, synu szubrawców, sługo niewolników! - I cisnął gospodarzem przez jego własny stół, siedzący zaś tam Easterlingowie zerwali się, by zabić Turina.

Rzucony głową naprzód, Brodda skrzył kark przy upadku, Turin zaś skoczył ku biesiadnikom i zabił trzech kulących się w przerażeniu, jako że zaskoczył ich bez broni. Potem powstało zamieszanie. Easterlingowie chcieli ruszyć na Turina, ale w sali było też wielu dawnych mieszkańców Dorlominu, niewolników od lat czekających na podobną okazję. Rzucili się teraz z krzykiem na ciemżycieli, chociaż ich broń, noże do mięsa i podobne domowe narzędzia, nie mogły się równać z mieczami i sztyletami. Wielu padło z obu stron, aż

Turin wbiegł z impetem pomiędzy walczących i zabił ostatnich w sali Easterlingów.

W końcu wypalił się w nim ogień gniewu. Odpoczywał, oparty o kolumnę, gdy podpełzł doń śmiertelnie ranny stary Sador i objął go pod kolana.

- Po trzykroć siedem lat i jeszcze dłużej czekałem na tę godzinę - powiedział. - Ale teraz odejdz już, panie. Odejdz! Idź i nie wracaj, chyba że z wielką siłą. Cały kraj podniosą przeciwko tobie. Wielu stąd umknęło. Uchodź, albo koniec cię tu spotka. Żegnaj! - I osunął się martwy na podłogę.

- Prawdę mówił w obliczu śmierci - odezwała się Aerina. - Wiesz już, co chciałeś wiedzieć. Teraz ruszaj żwawo! Najpierw do Morweny, uspokoić ją, bo inaczej trudno będzie mi wybaczyć ci gwałt, który tu uczyniłeś. Podle mi tu życie płynęło, ale dopiero twoja złość skazała mnie na śmierć. Barbarzyńcy pomszczą tę noc, zabijając wszystkich, którzy byli w tym miejscu. Wciąż jesteś porywczy, synu Hurina, zupełnie jak ten chłopiec, którego niegdyś znałam.

- A ty wciąż strachliwa, Aerino, córko Indora, zupełnie jak wtedy, kiedy ciotką cię zwałem i byle pies wywoływał w tobie przerażenie - powiedział Turin. - Do lepszego życia zostałaś stworzona. Ale ruszaj ze mną, pójdziemy do Morweny!

- Więcej bieli na moich skroniach niż śniegu wokoło - odparła. - Czy z tobą na pustkowiach, czy pośród brutalnych Easterlingów, i tak wkrótce umrę. Co się stało, już się nie odstanie. Idź! Zostając, tylko pogorszysz sprawę, bez potrzeby przysparzając trosk matce. Błagam cię, odejdz prędko!

Turin skłonił się jej więc nisko i wyszedł z domu Broddy, a wszyscy buntownicy, którzy mieli dość siły, powędrowali za nim. Byli wśród nich i tacy, co dobrze znali ścieżki przez pustkowia. Umknęli zatem ku górą, błogosławiąc padający śnieg, który skrywał ich ślady. Skrzyknięci rychło do pościgu ludzie z końmi i psami nie odnaleźli zbiegów. Ci zaś po długotrwałej ucieczce schronili się w końcu między wzgórz na południu. Wtedy to, spoglądając za siebie, ujrzeli w oddali czerwony blask płomienia.

- Podpalili dom - powiedział Turin. - Ale po co?

- Oni? Nie, panie, sądzę, że to Aerina uczyniła - odparł jeden z towarzyszy imieniem Asgon. - Zbrojni mężowie często myślą cierpliwość ze strachem. Wiele dobrego dla nas zrobiła, dużym kosztem. Nie była słabego serca, ale każda cierpliwość kiedyś się kończy.

Najwytrwalsi, zdolni znieść trudy zimy zostali wówczas z Turinem i poprowadzili go zapomnianymi ścieżkami pośród gór do jaskini znanej tylko banitom i odszczepieńcom, gdzie zgromadzono pewne zapasy żywności. Poczekali, aż śnieg przestanie sypać tak gęsto, po czym zaopatrzyli Turina w prowiant i zaprowadzili na mało uczęszczaną przełęcz wiodącą na

południe, do Doliny Sirionu. Tam śnieg nie dotarł. Gdy szlak zaczął zbiegać z gór, rozstali się z Turinem.

- Żegnaj teraz, panie Dorlominu - powiedział Asgon. - Ale nie zapomnij o swych poddanych. Teraz, gdy się pojawiłeś, to wilcze plemię stanie się jeszcze bardziej okrutne, a nas czeka los ściganej zwierzyny. Toteż idź i nie wracaj, chyba że z siłą dość wielką, by nas wyzwolić. Żegnaj!

Przybycie Turina do Brethilu

Z rozdartym sercem skierował się Turin ku Sirionowi. Przedtem sądził, że czeka go wybór między dwoma fatalnymi możliwościami, teraz jednak stały przed nim otworem trzy drogi, jego zaś lud, któremu dopiero co tylko nieszczęście przyczynił, oczekiwał odeń pomocy. Jedyną kojącą myślą była świadomość, że Morwena i Nienor dawno już musiały dojść do Doriathu i że to właśnie męstwo Czarnego Miecza z Nargothrundu uczyniło ich drogę bezpieczną. „Bo i gdzież indziej mógłbym je skierować, nawet gdybym przybył wcześniej?” - pomyślał sobie. - Jeśli Obręcz Meliany pęknie, wówczas i tak wszystko dobiegnie kresu. Tak już jest lepiej, bo gdziekolwiek się pojawię, zaraz gniew mój i porywczność cień rzucają na to miejsce. Niech Meliana je chroni! Na razie nie będę ich niepokoił.

Za późno zaczął jednak Turin szukać Finduilasy i rozglądać się po kniejach u stóp Ered Wethrin, niczym czujne i dzikie zwierzę buszując w ostępach. Przemierzył wszystkie drogi wiodące na północ, ku Przełomowi Sirionu, ale deszcze i śniegi zatarły już ślady. Podążając z biegiem Teiglinu spotkał jednak niegdysiejszych mieszkańców lasu Brethilu, zdziesiątkowany przez wojnę lud Halethy. Większość ocalałych skryła się w otoczonej palisadą leśnej osadzie u stóp Amon Obel. Zwali to miejsce Ephel Brandir, od czasu bowiem śmierci Handira władał nimi syn jego, Brandir. Nie był on zapalonym wojownikiem, chromy od dzieciństwa, kiedy to przypadkiem złamał nogę. Za sprawą łagodnego charakteru lubował się raczej w drewnie niż w żelazie i najbardziej interesował się tym wszystkim, co rośnie w ziemi.

Niektórzy jednak z mieszkańców lasu zasadzali się wciąż u granic swych włości na Orków i stało się tak, że przyszedłszy w te okolice, Turin dosłyszał pewnego dnia odgłosy walki. Co sił pospieszył między drzewami, aż ujrzał grupkę ludzi otoczoną przez Orków. Bronili się rozpaczliwie, przyparci do rosnącej na polanie kępy drzew, wrogowie jednak znacznie ich przewyższali liczbą i nikła była nadzieja na ucieczkę, o ile nie pojawi się jakaś pomoc. Skrywszy się w zaroślach, Turin czynić zaczął wielki hałas, stąpając głośno i tratując krzaki, a potem zakrzyknął gromko, jakby prowadząc duży oddział:

- Ha! Mamy ich! Wszyscy za mną! Bij, zabij!

Wielu Orków obejrzało się, zaskoczonych, a wówczas Turin wyskoczył na polanę machając, jakby wzywał biegnących za nim, a ostrze Gurthanga rozgorzało w jego dłoni niczym płomień. Orkowie znali ten miecz aż za dobrze i niejeden uciekł ze strachu, nim jeszcze Turin dobiegł do gromady. Natenczas ludzie z lasu przyłączyli się do pościgu, przypierając Orków do rzeki. Niewielu z nieprzyjaciół zdołało ująć na drugi brzeg.

W końcu pogoń zatrzymała się nad wodą, a Dorlas, dowódca leśnych, powiedział:

- Szybki jesteś, ale twoi ludzie jakoś dziwnie się ociągają.

- Nie - odparł Turin. - Wszyscy razem biegliśmy i nikt nie zwłóczył. - Wtedy roześmiali się ludzie z lasu Brethil.

- Jeden taki wart jest całej drużyny - powiedzieli. - Winniśmy ci podziękowanie. Ale kim jesteś i co tu robisz?

- To, co zawsze, czyli zabijam Orków - odrzekł Turin. - Tym się trudnię i mieszkam tam, gdzie widzę dla siebie zajęcie. Jestem Dzikim Człowiekiem z Lasu.

- Chodź i zostań z nami - powiedzieli. - Bo i my żyjemy w lesie i potrzeba nam biegłych w wojennym rzemiośle. Chętnie cię przyjmiemy!

Turin spojrzał na nich osobliwie.

- A więc są jeszcze tacy, którzy ścierpią, bym ciemność wniósł pod ich dachy? Nie, przyjaciele, inne przede mną zadanie. Szukam Finduilasy, córki Orodretha z Nargothrondy, lub przynajmniej jakichś o niej wieści. Niestety, wiele tygodni już minęło, odkąd zabrano ją z Nargothrondy, ale nie wolno mi spocząć.

Popatrzyli na niego ze współczuciem, a Dorlas powiedział:

- Próżne twe trudy. Ostrzegano nas przed bandą Orków nadciągającą z Nargothrondy ku brodom na Teiglinie. Szli powoli, gdyż wielu jeńców wiodli. Przyszło nam do głowy, żeby na miarę naszych skromnych możliwości też wziąć udział w tej wojnie, tak i zasadziliśmy się na nich ze wszystkimi łucznikami, których dało się znaleźć. Mieliśmy nadzieję ocalić przynajmniej niektórych więźniów. Niestety! Gdy tylko zaatakowaliśmy, plugawi Orkowie zaczęli ich zabijać, poczynając od kobiet. Córkę Orodretha przyszpili włócznią do drzewa. Turin stanął nieruchomo, jak śmiercią rażony.

- Skąd to wiesz? - spytał.

- Bo przemówiła do mnie, nim umarła - odparł Dorlas. - Spojrzała na nas, jakby kogoś wypatrywała, a potem powiedziała: „Mormegil. Przekażcie Mormegilowi, że Finduilasa jest tutaj”. I nic więcej. Jej ostatnie słowa sprawiły, że złożyliśmy ją tam, gdzie umarła. Spoczywa pod kurhanem nad brzegiem Teiglinu. Od tamtej pory minął już miesiąc.

- Zaprowadźcie mnie w to miejsce - poprosił Turin, a oni zawiedli go na stok wzgórza przy brodach na Teiglinie. Turin padł na ziemię zamroczony, i pomyśleli nawet, że nie żyje. Dorlas spojrzał nań uważnie i odwrócił się do swych ludzi ze słowami:

- Za późno! Smutne to zrządzenie losu. Patrzcie jednak: oto leży tu sam Mormegil, wielki wódz z Nargothrondy. Po mieczu winniśmy go poznać, jak uczynili to Orkowie. - Sława Czarnego Miecza z Południa dotarła do wielu i daleko, nawet w leśne ostępy.

Dźwignęli go zatem z szacunkiem i ponieśli do Ephel Brandir, a ich przywódca wyszedł

na powitanie zdumiony, któż to wraca na marach. Odchylił przykrycie i zerknął na twarz Turina, a mrok spowił jego serce.

- O okrutny ludu Halethy! - zakrzyknął. - Czemuście nie pozwolili umrzeć temu mężowi? Trudząc się wielce przywiedliście tu człowieka, który ostateczną zgubę ściągnie na nasze plemię.

- Ale to Mormegil z Nargothrondy⁵⁵, sławny zabójca Orków. Jeśli przeżyje, będzie nam wielką pomocą. A gdyby nawet śmierć go już zabrała, to czy mieliśmy zostawić nieszczęściem rażonego człowieka niczym padlinę na poboczu?

- Zaiste, nie mogliście - odparł Brandir. - Los tak nie chciał. - I zabrał nieprzytomnego do swego domu, gdzie pielęgnował go troskliwie.

Gdy nareszcie mroki odstały Turina, wiosna właśnie rozkwitła i obudziwszy się, ujrzał skąpane w słońcu zielone pąki. Wówczas ocknęła się w nim również i odwaga właściwa rodowi Hadora, wstał zatem i powiedział sobie z przekonaniem:

- Wszystkie me czyny minionych lat mroczne były i złem naznaczone. Ale oto nadchodzi nowa doba. Zostanę tu w pokoju, imienia się wyrzekając i dziedzictwa. Tak i Cień mnie porzuci, a przynajmniej nie ogarnie tych, których kocham.

Przyjął tedy nowe imię, zwąc się Turambarem, co w szlachetnej mowie elfów znaczy Pan Losu, i zamieszkał pomiędzy leśnym ludem otoczony miłością. Zobowiązał wszystkich, by zapomnieli, kim był, i traktowali go tak, jakby urodził się w Brethilu. Jednakże, choć inne nosił miano, temperament został mu podobny, nie zapomniawszy też całkowicie o dawnych krzywdach zaznanych od sług Morgotha. Zebrawszy kilku podobnie żądnych zemsty, wypuszczał się czasem z nimi na Orków. Brandir nie był z tego zadowolony, wołałby raczej siedzieć wraz ze swym ludem cicho w ukryciu, mając nadzieję, że w ten sposób uda im się przetrwać.

- Nie ma już Mormegila - rzekł mu pewnego razu - ale strzeż się, by męstwo Turambara tak samo nie sprowadziło nieszczęścia na Brethil!

Tak i Turambar odłożył Czarny Miecz i nie brał go już do boju, sięgając raczej po łuk i włócznię. Wciąż jednak nie mógł ścierpieć, że Orkowie korzystają z brodu na Teiglinie, podchodząc pod kurhan, gdzie pogrzebano Finduilasę. Zwał się on teraz Haudh-en-Elleth, Wzgórze Księżniczki Elfów i Orkowie rychło zaczęli bać się tego miejsca i raczej omijali je z daleka. W końcu Dorlas spytał Turambara:

- Zmieniłeś imię, ale wciąż jesteś Czarnym Mieczem. Czy nie powiada prawdy

⁵⁵ W wersji pomieszczonej w *Silmarillionie* (str. 264) złe przeczucia ogarnęły Brandira po usłyszeniu „wiadomości przyniesionych mu przez Dorlasa”, a zatem (jak się wydaje) wiedział już, że mężczyzna na noszach to Czarny Miecz z Nargothrondy, o którym wieść gminna niosła, że był synem Hurina z Dorlominu.

pogłoska, że Czarny Miecz to syn Hurina z Dorlominu, władca z rodu Hadora?

- Tak słyszałem - odparł Turin. - Ale skoroś mój przyjaciel, to błagam cię, nie rozpowiadaj tego.

Podróż Morweny i Nienory do Nargothrondy

Wraz z końcem zimy, nowe wieści o Nargothrondzie dotarły do Doriathu. Niektórzy umknąć zdołali bowiem z oblężenia i przetrwawszy zimę na pustkowiach, ruszyli do królestwa Thingola, a straż graniczna przyprowadziła ich przed oblicze władcy. Jedni mówili, że przeciwnik wycofał się z całą siłą ku północy, inni, że Glaurung okupuje wciąż zamek Felagunda. Słyszało się też, jakoby Mormegil został zabity lub ogarnięty smoczym zaklęciem, i że stoi tam wciąż w kamiennej postaci. Wszyscy jednak zgodnie stwierdzali, jak to znane stało się pod koniec w Nargothrondzie, iż Czarny Miecz nikim innym nie jest, jak tylko Turinem, synem Hurina z Dorlominu.

Żal i lęk ogarnęły zatem Morwenę i Nienor, a Morwena powiedziała:

- Bez wątpienia sam Morgoth stoi za tym! Czy nie ma sposobu, by dowiedzieć się prawdy, choćby i gorzkiej, lepszej jednak od niepewności?

Thingol też pragnął nade wszystko poznać szczegóły upadku Nargothrondy i zamierzał nawet wysłać tam cichcem kilku posłańców. Skłonny był jednak liczyć Turina między poległych lub straconych dla świata. Wzdrygał się wszakże przed potwierdzeniem owych domysłów, bojąc się o Morwenę. Tak i rzekł jej:

- Niełatwa to sprawa i wymaga rozważenia. Istnieje ryzyko, że to Morgoth zasiewa w nas owe wątpliwości, mając nadzieję, że skłoni nas tym do nierozważnych i pochopnych czynów.

- Nierozważnych i pochopnych? Ależ, panie! - krzyknęła wzburzona Morwena. - Jeśli mój syn błąka się gdzieś głodny po lasach, jeśli cierpi w więzach lub też ciało jego poniewiera się nie pogrzebane, gotowa jestem na wszelką nierozwagę. W tej godzinie ruszyłabym w drogę, by go odszukać.

- Pani Dorlominu - odparł Thingol - tego akurat syn Hurina z pewnością by nie pragnął. Uważałby, że pod opieką Meliany bezpieczniejsza jesteś niż w każdym innym zakątku świata. Przez wzgląd na Hurina i Turina nie pozwolę ci w tych mrocznych czasach oddalać się z mego królestwa.

- Turina od niebezpieczeństwa nie ustrzegłeś, a mnie zabronisz, bym mu pomogła! - krzyknęła Morwena. - Pod opieką Meliany! Powiedz raczej, że będę więźniem Obręczy! Długo się wahałam, jednak przekroczyłam twe granice, czego szczerze żałuję.

- Skoro tak mówisz, pani Dorlominu, to wiedz, że Obręcz stoi przed tobą otworem. Wolno ci tu przyjść, wolno zostać, ale możesz też odejść.

Wówczas odezwała się milcząca do tej pory Meliana:

- Nie odchodź, Morweno. Prawdę powiadasz, że to Morgoth rozsiewa owe sprzeczne pogłoski. Wyruszając w drogę, wypełnisz jego wolę.

- Lęk przed Morgothem nie powstrzyma mnie przed odpowiedzią na zew krwi - odparła Morwena. - A jeśli boisz się o mnie, panie, to użyj mi paru swoich ludzi.

- Tobie niczego rozkazać nie mogę - powiedział Thingol. - Moi poddani jednak muszą mnie słuchać. Sam zdecyduję, czy ich wysłać.

Morwena nic już nie odpowiedziała, tylko odeszła z płaczem, Thingol zaś pogrążył się w zadumie nad stanem umysłu matki Turina. Wydała mu się bliska obłędu, więc spytał Melianę, czy ta swoimi mocami nie mogłaby powstrzymać Morweny.

- Wiele potrafię zdziałać przeciwko złu, gdy chce tu wtargnąć - stwierdziła Meliana - ale bezradna jestem wobec tych, którzy pragną stąd odejść. To twoje zadanie. Jednak tylko siłą udałoby ci się jej przeszkodzić. A wówczas może się zdarzyć, że ze szczętem oszaleje.

Morwena zaś poszła do Nienor i powiedziała jej:

- Żegnaj, córko Hurina. Idę szukać mego syna lub prawdziwych wieści o nim, skoro tutaj nikt nic nie chce dlań zrobić, a tylko wszyscy zwlekać są gotowi, aż będzie za późno. Czekaj tu na mnie, aż wrócę szczęśliwie.

Przerażona i strapiona Nienor próbowała powstrzymać matkę, ale Morwena nie rzekła już ani słowa, tylko wyszła z komnaty, a wraz z nadejściem poranka wzięła konia i odjechała.

Thingol rozkazał, by nikt nie próbował jej zatrzymać ani skłaniać do powrotu, ale gdy tylko zniknęła za horyzontem, zebrał kompanię najlepszych i najwytrwalszych strażników pogranicza i oddał ich pod dowództwo Mablunga.

- Ruszajcie żywo za Morweną - polecił - ale niech was nie spostrzeże. Gdyby jednak jakieś niebezpieczeństwo zagroziło jej w głuszy, wówczas ujawnicie swą obecność.

- Jeśli nie zechce zawrócić, strzeżcie jej ze wszystkich sił, a kilku niech wysforuje się do przodu i sprawdzi szlak.

Tak oto wysłał Thingol drużynę większą niż pierwotnie zamierzał, a jeźdźcy wiedli ze sobą aż dziesięć luzaków. W ślad za Morweną podążyli na południe, przez Region, aż dotarli do brzegów Sirionu powyżej Stawów Zmierzchu. Tam Morwena przystanęła, nie znając drogi przez szeroką i bystrą rzekę, i strażnicy musieli w tej potrzebie wychynąć z ukrycia.

- Czy Thingol zamierza mnie zatrzymać? - spytała. - Czy też może jednak wysłał tę pomoc, której z początku mi odmówił?

- I jedno, i drugie - odparł Mablung. - Zawrócisz, pani?

- Nie!

- Zatem muszę ci pomóc, chociaż wcale tego nie pragnę. Szeroki i głęboki jest Sirion,

niebezpieczny zarówno dla człowieka, jak i dla zwierzęcia.

- No to przenieście mnie na drugi brzeg elfim sposobem, jakkolwiek to czynicie. W przeciwnym razie spróbuję przepłynąć rzekę.

Wobec takich słów Mablung zaprowadził ją do Stawów Zmierzchu, gdzie na południowym brzegu, skryte pośród strug i strumyków, czekały pod strażą promy służące zwykle posłańcom krążącym pomiędzy Thingolem a jego krewniakom w Nargothrondzie⁵⁶. Poczekawszy, aż zapadnie głęboka, gwiazdzista noc, przeprawili się pod osłoną zwiastującej świt mgły. Gdy słońce weszło czerwienią ponad Górami Błękitnymi i silny podmuch wiatru rozpędził opary, strażnicy wspięli się na zachodni brzeg, opuszczając Obręcz Meliany. Byli wszyscy wysokimi elfami z Doriathu. Pod szarymi płaszczami nosili kolczugi. Morwena przyglądała im się z promu, gdy milcząco przechodzili obok, nagle jednak krzyknęła, wskazując na ostatnią postać w szeregu.

- A on tu skąd? - spytała. - Gdy przybyliście, było was trzykroć po dziesięciu, a na brzeg wysiadło trzykroć po dziesięciu i jeden!

Na co wszyscy odwrócili się i w blasku słońca ujrzeli złote włosy wyglądające spod odrzuconego wiatrem kaptura: to była Nienor, która, jak się okazało, podążyła skrycie za kompanią i przyłączyła się do niej w mroku na chwilę przed przeprawą. Zapanowała ogólna konsternacja, najżywiej jednak zareagowała Morwena.

- Wracaj! Rozkazuję ci, wracaj! - krzyknęła.

- Jeśli żona Hurina może wbrew wszelkim radom odpowiedzieć na zew krwi - odparła Nienor - to i córce Hurina wolno to uczynić. Nazwałaś mnie Żalobą, jednak nie zamierzam samotnie opłakiwać ojca, brata, a także matki, chociaż ciebie tylko dane mi było poznać. I ciebie kocham ponad wszystko. Nic, co nie przeraża Morweny, nie natchnie strachem i Nienor.

Oblicze jej mówiło po prawdzie coś innego, zdradzając niejaki lęk, była to jednak dziewczyna wysoka i silna na oko, podobna okazałą postawą do wszystkich potomków rodu Hadora. Niewiele odbiegała przez to wyglądem od strażników, ustępując tylko najroślejszym.

- Co zamierzasz? - spytała Morwena.

- Iść tam, gdzie ty - odrzekła Nienor. - Możesz odprowadzić mnie i oddać pod opiekę Melianie, bo niemądrze jest odrzucać jej radę. W przeciwnym jednak razie wiedz, że pójdę za tobą, bez względu na niebezpieczeństwa. Taki oto wybór ci daję. - W skrytości ducha Nienor liczyła przede wszystkim na to, że matka wiedziona miłością i strachem o córkę, jednak zawróci. Morwena zaś była rzeczywiście rozdarta wewnątrz.

- Odrzucać radę to jedno - powiedziała - a okazać nieposłuszeństwo matce, to co innego.

Wracaj zaraz!

- Nie. Dawno już nie jestem dzieckiem i sama potrafię o sobie decydować, chociaż nigdy dotąd ci się nie sprzeciwiałam. Idę z tobą. Przez wzgląd na władców tej krainy, wolałabym zawrócić do Doriathu, ale jeśli przyjdzie ruszyć na zachód, też sama się nie cofnę. Prawdę mówiąc, jeśli któraś z nas winna już tam iść, to ja raczej, będąc w pełni sił. - Wówczas Morwena ujrzała w jej szarych oczach tę samą nieugiętość, która cechowała Hurina, i zawahała się. Wciąż jednak była zbyt dumna i nie chciała, by ktokolwiek odniósł wrażenie, że wygłosivszy deklarację, Morwena pozwala jednak córce odprowadzić się do domu niczym zdziecinniała staruszka.

- Pójdę dalej, jak zamierzyłam - powiedziała. - Chodź i ty, chociaż wbrew mojej woli.

- Niech będzie i tak - odrzekła Nienor.

- Zaprawdę, nie odwagi, ale rozwagi brakuje potomkom Hurina i przez to właśnie ściągają nieszczęścia na innych! Turin nie jest inny. Odmienni byli jego ojcowie. Teraz jednak ród Hurina oszalał i wcale mi się to nie podoba. Bardziej obawiam się tej misji, którą powierzył nam Król, niż polowania na wilka. Co czynić?

Morwena, który wyszła już na brzeg i zbliżyła się do kompanii, usłyszała tylko ostatnie jego słowa.

- Czyń, jak ci Król nakazał - powiedziała. - Nasłuchuj wieści o Nargothrondzie i o Turinie. Po to właśnie wszyscy wyruszyliśmy.

- Długa jednak i niebezpieczna przed nami droga - odparł Mablung. - Przyjdzie wam obu dosiąść koni, jechać pomiędzy wojownikami i nie oddalać się ani na krok od drużyny.

W pełni dnia ruszyli dalej, powoli i czujnie przemierzając kraj porośnięty trzcinami i niskimi wierzbami, aż dotarli do szarych lasów okrywających większą część południowej równiny na drodze do Nargothrondu. Cały dzień kierowali się ku zachodowi, nie spotykając nikogo pośród martwych i milczących ruin. Zdało się Mablungowi, że strach czai się pośród ciszy. Gdy wiele lat temu Beren przemierzał tę drogę, odprowadzały go skrycie oczy licznych myśliwych, teraz jednak ludzie odeszli znad Narogu, a Orkowie, jak się zdawało, nie zapuszczali się aż tak daleko na południe. Noc drużyna spędziła w lasach, nie paląc lamp ni ogniska. Minęły jeszcze dwa dni. Trzeciego wieczora zbliżyli się do miejsca, gdzie równina kończyła się wschodnim brzegiem Narogu. Mablunga ogarnął wówczas taki niepokój, iż błagać zaczął Morwenę, by nie ruszała dalej. Ta jednak roześmiała się w głos.

- Niedługo już się nas pozbędziesz, najpewniej z radością - powiedziała. - Ale wytrzymaj jeszcze trochę. Za blisko już podeszliśmy, by zawracać ze strachu.

⁵⁶ Por. Dodatek, gdzie mowa jest o tym, jak to Orodreth „tajemnie” wymieniał wieści z Thingolem.

- Obieście zmysły postradały, śmiejąc się z niebezpieczeństwa. Nie tylko nie pomagacie nam w zbieraniu wieści, ale jeszcze rzecz utrudniacie. Słuchajcie! Nie kazano mi powstrzymywać was siłą, ale chronić, jak tylko potrafię, i zamierzam wypełnić to zadanie. Jutro ruszamy na Amon Ethir, Wzgórze Czatów, które wznosi się niedaleko stąd. Tam zostaniecie pod strażą i dopóki ja dowodzę, nigdzie dalej nie pójdziecie.

Amon Ethir był to kopiec wielki jak góra, który Felagund kazał usypać niegdyś na równinie przed Bramą Nargothrundu, o milę na wschód od koryta Narogu. Całe to, wiele pracy kosztujące, wzniesienie porastały drzewa i tylko wierzchołek pozostawał nagi. Było zeń widać dobrze wszystkie drogi wiodące z wielu stron do wielkiego mostu Nargothrundu. Drużyna dotarła tam późnym rankiem, wspinając się od wschodu aż na sam szczyt. Stamtąd spojrzeli na Wysoki Faroth, nagi i brunatny kraj rozciągający się za rzeką⁵⁷, a Mablung, jako że elfie miał oczy, dojrzał nawet Nargothrond wznoszący się tarasami na stromym zachodnim brzegu oraz mały, czarny otwór Bramy Felagunda w ścianie wzgórza. Nie słyszał jednak nic, nie widział też ani śladu nieprzyjaciela ni smoka, tylko wokół wrót czerniło się wciąż spalenizną dzieło zniszczenia uczynione przez bestię w dniu napaści. Krajobraz trwał cichy i nieruchomy w bladym blasku słońca.

Zgodnie z zapowiedzią, Mablung rozkazał dziesięciu jeźdźcom strzec Morweny i Nienor na wierzchołku wzgórza i nie ruszać się stamtąd, chyba że w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa, a wtedy, nie czekając na jego powrót, strażnicy mieli wziąć obie niewiasty pomiędzy siebie i uciekać ile sił w kierunku Doriathu, jednego wysyłając przodem, by zaniósł wieści i wezwał pomoc.

Potem zebrał pozostałych i ruszył z nimi ku polom na zachodzie. Niewiele rośło tu drzew, toteż przekradać się musieli w pojedynkę, by dotrzeć ostatecznie na brzeg rzeki. Mablung przemykał pośrodku, kierując się do mostu, ale gdy tam dotarł, dostrzegł jedynie kamienie leżące w płytkim nurcie, spienionym i bystrym po obfitych deszczach na dalekiej północy.

Glaurung jednak był na miejscu. Przyczał się w cieniu tunelu za zniszczoną Bramą i od dawna już wiedział o pojawieniu się szpiegów. Mało kto w Śródziemiu mógłby ich wypatrzeć, jednak smok lepiej od orłów widział swoimi kaprawymi ślepiami i dalej wzrokiem sięgał niż elfy. Wiedziała też bestia o gromadce pozostawionej na szczycie Amon Ethir.

I gdy tak Mablung ostrożnie posuwał się pomiędzy głazami, wypatrując, czy nie dałoby

⁵⁷ W *Silmarillionie* (str. 146) Wysoki Faroth lub Taur-en-Faroth, określane są jako „wielkie lesiste pagóry”. Pojawiające się w tym tekście stwierdzenie, iż był to: „nagi i brunatny kraj” odnosi się zapewne do braku liści na drzewach u progu wiosny.

się jednak przejść po ruinach mostu na drugi brzeg, Glaurung runął do rzeki, zionąc ogniem z pyska. Rozległ się ogłuszający syk i kłęby straszliwie smrodliwej pary ogarnęły Mablunga i jego podwładnych. Ci próbowali uciekać, na wyczucie kierując się ku Wzgórzom Czat. Mablung jednak wpełzł pod wielki kamień i trwał w schronieniu, aż Glaurung przeszedł rzekę. Elf uznał, że jeszcze do końca nie wykonał swego zadania. Wiedział już teraz wprawdzie, że smok zaległ w Nargothrondzie, nieznany wszakże pozostawał wciąż los syna Hurina. Dzielne mając serce, Mablung zamierzył odczekać, aż Glaurung odleci, a potem dostać się na drugi brzeg i przeszukać zamek Felagunda. Uważał, że uczynił wszystko, co możliwe, aby ochronić Morwenę i Nienor, boć smok musiał być dobrze widoczny ze wzgórza i oddział winien już od dłuższej chwili galopować w stronę Doriathu.

We mgle zarysowała się wielka sylwetka chyżo pomykającego smoka, bo choć bestia była rośła, to jednak zwinna. Zaraz też, nie bacząc na niebezpieczeństwo, Mablung przeszedł rzekę. Tymczasem strażnicy na szczycie Amon Ether, gdy tylko dostrzegli wynurzającego się z mroku gada, choć sami zaskoczeni, bez zbędnego gadania kazali Morwenie i Nienor dosiąść wierzchowców i wedle umowy, ruszyli z nimi na wschód. Gdy jednak dotarli na równinę u stóp wzgórza, ogarnęły ich tumany oparów tak smrodliwych, że oślepienie mgłą i przerażone smoczym odorem konie wpadły w panikę. Ganiały w tę i nazad, aż grupa się rozproszyła, a część strażników poraniła się dotkliwie, wpadając na drzewa. Pozostali szukali się daremnie, aż rzenie koni i krzyki jeźdźców dotarły w końcu do uszu Glaurunga, który wielce się tymi odgłosami uradował.

Jeden z błądzących we mgle elfów dostrzegł jeszcze Morwenę, mijającą go niczym szara zjawą na oszalałym rumaku, ale zniknęła szybko z okrzykiem „Nienor!” i więcej już jej nie ujrzał.

Koń Nienor potknął się na samym początku, gdy tylko chaos zapanował wśród szeregów, i zrzucił dziewczynę z grzbietu. Spadła na trawę, na szczęście nie doznając poważniejszych obrażeń, jednak gdy podniosła się wreszcie, była sama, zagubiona we mgle, bez wierzchowca i towarzyszy. Nie zlekła się, tylko pomyślała, że nie ma sensu błądzić za rozlegającymi się wszędzie wkoło, coraz słabiej zresztą, krzykami. Stwierdziła, że o wiele mądrzej będzie zawrócić ku wzgórzom. Przecież Mablung nie odjedzie stąd nie sprawdzwszy pierwej, czy nikt nie pozostał na wierzchołku.

Idąc na oślep, znalazła drogę do bliskiego zaiste wzniesienia i zaczęła wspinaczkę wschodnią ścieżką. Im wyżej, tym mniej gęsty był opar. W końcu wyszła na zalany słońcem nagi szczyt. Postąpiła krok i spojrzała ku zachodowi, gdy nagle ujrzała przed sobą wielki łeb Glaurunga, który wdrapał się na Amon Ethir z przeciwnej strony. Zanim zdążyła uczynić

cokolwiek, spojrzała mu w ślepie, straszne od wszystkiego zła, które wsączył w potwora jego pan, Morgoth.

Nienor miała dość siły, by stawić opór smokowi, za mało jednak, by nie ulec.

- Czego tu szukasz? - spytał.

- Jednego tylko Turina - odparła, zmuszona do odpowiedzi. - Mieszkał tu czas jakiś. Ale chyba nie żyje.

- Tego nie wiem - odrzekł Glaurung. - Został, by bronić kobiet i wszelkiej mizeroty, ale gdy przybyłem, porzucił ich i uciekł. Mocny w gębie, ale tchórz. Czemu właśnie jego poszukujesz?

- Kłamiesz - stwierdziła Nienor. - Dzieciom Hurina w żadnym razie nie brak odwagi. Nie boimy się ciebie.

Wtedy Glaurung roześmiał się, mówiąc bowiem te słowa, Nienor odsłoniła się przed nim niebacznie.

- Obojeście głupi, ty i twój brat. Zwykle, próżne przechwałki. Ja jestem Glaurung!

Potem wpił w nią ślepie i narzucił jej swą wolę, a Nienor zdało się, że słońce zbladło i wszystko wkoło poszarzało.

Zaczął ogarniać ją wielki mrok, ciemna pustka, w której dziewczyna niczego już nie wiedziała, niczego nie słyszała, niczego nie pamiętała.

Długo krążył Mablung po salach Nargothrondu, nie znajdując ani jednej żywej duszy. Nic, tylko feter i cienie. Nawet najmniejszy ruch nie powstał pośród martwych kości, nikt nie odpowiadał na jego krzyki. Wreszcie, przerażony panującą na tej przestrzeni grozą i obawiając się nadejścia Glaurunga, podążył ku Bramie. Słońce tonęło już na zachodzie i cień Faroth mrokiem spowijał terasy i rwącą rzekę, ale zdało się Mablungowi, że dostrzega u stóp Amon Ethir złowrogą sylwetkę smoka. Droga powrotna była o wiele cięższa i bardziej niebezpieczna, a to przez pośpiech i targający elfem lęk. Ledwo zdołał Mablung przepawić się przez rzekę i schronić pod przeciwległym brzegiem, gdy Glaurung ruszył do legowiska. Teraz jednak szedł powoli i ociężale. Ognie w nim ledwie się tliły, moc zeń uszła i jedynym zamiarem bestii było ułożyć się do snu w ciemności. Wykonując skręty cielska, smok przepłynął rzekę i niczym wielki, popielatoszary wąż poszorował brzuchem po ziemi w kierunku Bramy.

Zanim jednak zniknął we wnętrzu, odwrócił się jeszcze, spojrzał na wschód i roześmiał się śmiechem Morgotha, a był to rechot cichy, ale straszny, przesycony złem płynącym z najgłębszych czarnych otchłani. Potem zaś rozległ się zimny i niski głos:

- Jako mysz kryjesz się pod skarpą, potężny Mablungu! Żle wypełniasz polecenia Thingola. Pospieszaj na górę, a ujrzysz, co stało się z twoją podopieczną!

I zniknął w legowisku. Słońce zaszło i wraz z szarym wieczorem zapanował przenikliwy chłód. Mablung jednak podążył na Amon Ethir. Nim dotarł na samą górę, gwiazdy zaśniły na niebie i w ich to blasku ujrzał postać mroczną i nieruchomą, jakby z kamienia wyciosaną. To była Nienor, głucha na jego słowa i milcząca. Gdy jednak ujął jej rękę, drgnęła i poszła za nim. Wystarczyło wszakże rozluźnić uchwyt, a przystawała.

Pełen wielkiego żalu i zakłopotania, Mablung, sam i bez pomocy, nic nie mógł uczynić innego, jak tylko poprowadzić Nienor na wschód, choć daleką drogę musieli pokonać. Całą noc maszerowali przez otuloną mrokiem równinę niczym lunatycy, a gdy ranek nastał, Nienor potknęła się i upadła, a zrozpaczony elf przysiadł na ziemi obok nieruchomej postaci.

- Nie bez racji bałem się tej wyprawy - powiedział. - To chyba będzie moja ostatnia. Przepadnę na pustkowiach z tą pechową córką człowieczego rodu, a jeśli dotrą kiedy do Doriathu wieści o naszym losie, to jeszcze imię me okryje się hańbą. Reszta pewnie nie żyje, ją jedną bestia oszczędziła, ale nie z miłosierdzia.

Tak natknęło się na nich trzech jeszcze strażników, którzy umknęli od Narogu, jak tylko smok się pojawił, a gdy mgła opadła, dotarli wreszcie na szczyt wzgórza. Nie znajdując tam nikogo, zaczęli rozglądać się za drogą powrotną. Nadzieja wróciła Mablungowi i razem ruszyli dalej, kierując się na północny wschód, nie było bowiem wstępu do Doriathu od południa. Od czasu upadku Nargothrondy strażnicy promów wzbronione mieli przewozić kogokolwiek z tamtego brzegu i służyli wyłącznie opuszczającemu królestwo.

Grupa podróżowała powoli, jako że prowadzono utrudzoną dziewczynę. W miarę jednak, jak oddalali się od Nargothrondy i zbliżali do Doriathu, Nienor zdawała się odzyskiwać siły. Potrafiła maszerować posłusznie całymi godzinami, jeśli tylko wiodło się ją za rękę, chociaż szeroko otwarte oczy niczego wciąż nie dostrzegały. Nieszczęsna nie reagowała też na głosy i nie powiedziała wciąż ani słowa.

Nareszcie po wielu dniach wędrowcy zbliżyli się do zachodnich kresów Doriathu, nieco na południe od Teiglinu. Zamierzali przekroczyć granicę niewielkiego kraju Thingola za Sirionem i dotrzeć do strzeżonego mostu w pobliżu dopływu Esgalduiny. Tam zatrzymali się na krótki popas i ułożyli Nienor na posłaniu z trawy. Po raz pierwszy od fatalnego spotkania zamknęła wówczas oczy i zdało się, że śpi, elfy tedy również ułożyły się na spoczynek, ze zmęczenia zapominając o wystawieniu straży. Toteż zaskoczyła ich napaść bandy Orków, jednej z wielu, jakie odważały się wówczas zapuszczać aż pod same granice Doriathu. Pośród bitewnego zamieszania Nienor zerwała się nagle z posłania i niczym ktoś obudzony nagle śródnocnym alarmem, z krzykiem rzuciła się do ucieczki. Orkowie natychmiast pogonili za nią do lasu, elfy pobięły ich śladem. Nienor jednak ocknęła się jak nie ta sama i niczym łania

umknęła wszystkim, i tylko jej włosy powiewały na wietrze między drzewami. Mablung z kompanami dogonili szybko Orków, zabijając ich po kolei, ale Nienor zniknęła im do tego czasu z oczu i nigdzie nie pozostał po niej najmniejszy ślad. Daremnie szukali dziewczyny przez wiele dni.

W końcu, przytłoczony brzemieniem żalu i zawstydzony Mablung wrócił do Doriathu.

- Wybierz nowego łowczego, panie - powiedział Królowi. - Ja okryłem się hańbą.

- Nie masz racji, Mablungu - odparła wszakże Meliana. - Uczyniłeś, co było w twojej mocy i nikt z królewskich sług nie sprawiłby się lepiej. Los zrządził jednak, że z nazbyt wielkim przeciwnikiem przyszło ci się mierzyć. Nie ma obecnie w Śródziemni nikogo, kto temu wrogowi stawiałby czoło.

- Wysłałem cię, byś zebrał wieści i to zadanie wykonałeś - powiedział Thingol. - Nie twoja wina, że osoby, które najpilniej owych nowin wypatrywały, nie mogą ich teraz wysłuchać. Smutny koniec spotkał ród Hurina, ale nie rzuca to cienia na twe imię.

Nie tylko Nienor bowiem zaginęła w głuszy, ale i Morwena gdzieś przepadła i ani wtedy, ani potem, żadne pewne wieści o jej losie nie dotarły do Doriathu czy do Dorlominu. Na darmo Mablung zrezygnował z odpoczynku, by z nieliczną drużyną wyprawić się w dzikie ostępy, na próżno przemierzał je przez trzy lata, docierając od Ered Wethrin aż do ujścia Sirionu, bezskutecznie wypatrywał zaginionych i nastawiał ucha.

Nienor w Brethilu

Słyszając za plecami krzyki pogoni, Nienor pobiegła w las. Po drodze zdarła z siebie ubranie i naga umykała potem przez cały dzień, niczym zwierzę ścigane aż do wyczerpania, nie odważając się nawet przystanąć dla zaczerpnięcia oddechu. Wieczorem jednak szaleństwo przeszło nagle i zamarła, jakby zdumiona, po czym zmęczenie wzięło górę i niczym gromem rażona padła bezwładnie pomiędzy wysokie paprocie. Na nic nie zważając, zasnęła pośród liści starych orlic i młodych, wiosennych pędów.

Obudziła się nad ranem, a blask dnia uradował ją, jakby pierwszy raz ujrzała go na oczy. Wszystko było dla niej nowe i dziwne, i nie знаła nazwy żadnej rzeczy, jako że ciemność pochłonięła wszystkie przeszłe chwile i nie docierało z mroków ani żadne wspomnienie, ani echo znajomego słowa. Zostało jej tylko ulotne wrażenie strachu, nakazujące szukać schronienia w konarach drzew i nocować w największym gąszczu. Czułnie rozglądała się wkoło, reagując ucieczką na najlżejszy szelest czy poruszenie, niczym wiewiórka albo lis popatrując potem z ukrycia, nim znowu odważyła się wyjść.

Podążając wciąż w kierunku wytyczonym przez pierwszy, paniczny zryw, dotarła do Teiglinu, gdzie tylko ugasiła pragnienie, szukać bowiem pożywienia w lesie nie potrafiła, a przypadkiem nic nie znalazła, pozostała więc głodna i zziębnięta. Ponieważ wydało się jej, że drzewa na drugim brzegu gęściej rosną i bardziej cienisty jest tam las (co było prawdą, gdyż patrzyła na skraj Brethilu), przepłynęła rzekę i dotarła do zielonego pagórka, gdzie padła na murawę. Skrajnie wyczerpanej dziewczynie zdawało się, że zalegająca w przeszłości ciemność znów ją ogarnia, przyćmiewając słońce.

Naprawdę to burza mroczniała od południa, niosąc zwały czarnych chmur brzemiennych deszczem i błyskawicami. Nienor kulila się, przerażona hukami gromów, a ulewa smagała jej nagie ciało.

Zdarzyło się jednak w tej godzinie, że kilku leśnych ludzi z Brethilu zapuściło się aż tutaj w pogoni za Orkami. Banda umykała ku brodom na rzece, niewiele dalej mając swą kryjówkę, gdy nagle piorun uderzył potężnie w ziemię, aż kurhan Haudh-en-Elleth rozgorzał białym płomieniem. Prowadzący oddział Turambar obejrzał się, zatrzęsł i zakrył oczy, zdało mu się bowiem, że na grobie Finduilasy spoczywa ciało zabitej kobiety.

Jeden z ludzi podbiegł do wzgórza i krzyknął:

- Tutaj, panie! To młoda dziewczyna. Jeszcze żyje!

Turambar podszedł i uniósł dziewczę, które zadrżało i zamknęło oczy, ale nie próbowało się uwolnić. Woda pociekła z jasnych włosów. Zdumiony nagością obcej, Turambar

okrył ją swoim płaszczem i zaniósł do skrytej w lesie chaty myśliwych. Tam rozpalili ogień i okryli ciepło nieszczęsną, aż uniosła powieki i spojrzała na zgromadzonych. Gdy dostrzegła Turambara, twarz jej się rozjaśniła i wyciągnęła ku niemu rękę, odniosła bowiem wrażenie, że trafiła na coś, czego szukała, błędząc w ciemnościach.

Spokój spłynął na nią, gdy Turambar ujął delikatną dłoń, uśmiechnął się i powiedział:

- A teraz, pani, czy wyjawisz nam swoje imię i opowiesz, jakie to nieszczęście cię spotkało?

Ona jednak potrząsnęła tylko głową i załkała w odpowiedzi, zatem nie indagowali jej więcej. Zjadła łapczywie wszystko, co tylko dla niej znaleźli. Gdy nareszcie nasyciła się i odetchnęła, ujęła dłoń Turambara, a ten stwierdził:

- Z nami jesteś bezpieczna. Możesz odpocząć tu przez noc, a nad ranem zaprowadzimy cię do naszej osady w głębi lasu. Chcielibyśmy jednak wiedzieć, jak się nazywasz i skąd pochodzisz, byśmy mogli spróbować odszukać twoich krewnych i zawiadomić ich o twym losie. Niczego nam nie rzekniesz?

Dziewczyna znów się rozpłakała.

- Nie przejmuj się! - powiedział Turambar. - Może zaiste jest to historia zbyt smutna, by ją wypowiedzieć. Ja jednak nadam ci imię, a brzmiało ono będzie Niniel, Dziewczyna we Łzach. - Słyszac nowe imię, złotowłosa spojrzała na Turambara i potrząsnęła głową, ale powtórzyła: Niniel. Tak oto odezwała się po raz pierwszy od nadejścia ciemności i pod tym imieniem już zawsze znana była pomiędzy ludźmi lasu.

Nad ranem poprowadzili ją do Ephel Brandir. Droga wiodła stromo pod górę ku Amon Obel. W końcu dotarli do miejsca, gdzie przekroczyć trzeba było pienisty strumień Kelebos. Stał tam drewniany most, pod którym woda przemykała wygładzonym, kamiennym korytem, by runąć licznymi progami do skalnej misy daleko w dole. Powietrze pełne było wodnej mgiełki, wokół trawiastej polany przy progu wodospadu rosły brzozy, z samego jednak mostu roztaczał się widok na odległe o dwie mile jary nad brzegami Teiglinu. W gorący letni dzień wędrowcy zwykli przystawać tu, by zimną wodą ugasić pragnienie. Wodospad zwano Dimrost, Deszczowe Schody, tamtego jednak dnia zmienił nazwę na Nen Girith, Drżąca Woda. Turambar zatrzymał się tam z towarzyszami, gdy tylko jednak Niniel dotarła do tego zakątka, chłód ją ogarnął i dostała dreszczy. Żadnym sposobem nie mogli jej ani ogrzać, ani uspokoić, czym prędzej ruszyli więc w dalszą drogę, ale zanim dotarli do Ephel Brandir, Niniel zagorączkowała.

Długo leżała chora, a Brandir leczył ją, jak umiał najlepiej, i żony leśnych ludzi czuwały przy dziewczynie w dzień i w nocy, jednak uspokajała się tylko w obecności Turambara, wtedy

też zasypiała mocno, bez jęków. Wszyscy, którzy się nią opiekowali, na jedno zwrócili uwagę: nawet w gorączce nie wyszeptała ni słowa, ani w języku elfów, ani w żadnej innej mowie. Gdy niepewnie, ale jednak wstała i znów mogła jeść, kobiety z Brethilu zaczęły uczyć ją mówić. Niczym dziecko opanowywała tę sztukę słowo po słowie, szybko czyniąc postępy i radując się tym niczym ktoś, kto odzyskuje odebrane mu niegdyś skarby. Gdy umiała już dość, by rozmawiać z przyjaciółmi, nieraz pytała:

- Jak to się nazywa? Zagineła mi ta nazwa w mrokach.

Ozdrowiała na tyle, by wyjść za próg, często zachodziła do domu Brandira, najchętniej bowiem poznawała nazwy wszystkiego, co żyje, a on był biegły w tej materii. Niejednokrotnie spacerowali razem po ogrodach i polanach.

W końcu Brandir pokochał ją, a ona, odzyskawszy siły, podsuwała chromemu ramię i zwała go bratem. Serce jednak oddała Turambarowi i tylko na jego widok się uśmiechała, nierzadko nawet chichotem mu odpowiadając.

Pewnego wieczoru złotej jesieni, gdy siedzieli na cichym i zalanym słońcem stoku wzgórza ponad domami Ephel Brandir, Niniel rzekła:

- O wszystko już pytałam i tylko twojego imienia jeszcze nie znam. Jak się nazywasz?

- Turambar.

Zamyśliła się, jakby wsłuchana w dobiegające z oddali echo, w końcu powiedziała:

- A czy to coś znaczy, czy też jest tylko imieniem?

- To znaczy Pan Mrocznego Cienia. Bo i ja, Niniel, znam mroki, w których ginie niejedno bliskie sercu wspomnienie. Jednak zwyciężyłem już chyba Ciebie.

- Ty także uciekłeś przed nim aż do samego środka tych lasów? Kiedy to było, Turambarze?

- Wiele lat umykałem. Długo ciemność zalegała wkoło mnie i nie zaznałem spoczynku, aż do chwili, gdy cię spotkałem. Jednak od tamtej pory znam światło, bo wciąż zdaje mi się, że oto znalazłem coś, czego długo na próżno szukałem.

A gdy wracał o zmierzchu do domu, powiedział sobie:

- Haudh-en-Elleth! Ten zielony kurhan, na którym ją ujrzałem. Jeśli to jest znak, jak go mam odczytać?

Złocista jesień przeszła w łagodną zimą, po czym znów zawitała pogodna wiosna. Spokój panował w Brethilu, mieszkańcy osady przyczaili się w lasach i nie wychodzili spomiędzy drzew, więc nie dobiegały ich żadne wieści z sąsiednich krain. Tymczasem Orkowie dotarli w marszu na południe aż do ponurego królestwa Glaurunga, zapuszczali się też na przespiegi pod granice Doriathu. Przechodząc przez brody na Teiglinie, coraz częściej i

dalej nawiedzali tereny na zachód od rzeki.

Niniel wyzdrowiała już całkowicie. Była silna i piękna, toteż Turambar nie wstrzymywał się już dłużej, tylko zaproponował jej małżeństwo. Niniel przyjęła oświadczyń z radością, ale gdy Brandir się o tym dowiedział, zasmucił się wielce i powiedział dziewczynie:

- Tylko nie pośpieszajcie zbytnio! Nie myśl o mnie źle, ale radzę wam jeszcze poczekać.

- Każde twe słowo przyjmę z wdzięcznością - odparła. - Ale czemu sugerujesz, by odwlec zaślubiny, mądry bracie?

- Mądry bracie? Kulawy raczej, niekochany i niemiły. A niezbyt wiem, czemu. Chyba obawiam się Cienia, który otula wciąż tego męża.

- Cień już przeminął. Turambar sam mi to wyjawiał. Tak jak ja, uciekł niegdyś przed nim. Czy nie jest wart miłości? Chociaż spokojny teraz, niegdyś był wielkim wodzem. Umykali wszyscy wrogowie, ledwie go ujrzeli.

- Skąd o tym wiesz?

- Od Dorlasa. Czyżby skłamał?

- Nie, prawdę rzekł - odrzekł Brandir, wielce niezadowolony, Dorlas bowiem właśnie przewodził tym, którzy domagali się wydania Orkom wojny. - Ale nie powiedział wszystkiego - dodał po chwili, szukając sposobu, by skłonić Niniel do zwłoki. - Turambar był bowiem wodzem w Nargothrondzie, przedtem zaś przybył z Północy. Powiadają, że to syn Hurina z Dorlominu, dziedzic wojowniczego rodu Hadora. - Przy tych słowach cień przeniknął przez twarz dziewczyny, ale Brandir odczytał to po swojemu i ciągnął dalej. - Tak, Niniel. Łatwo sobie wyobrazić, jak wyruszy pewnego dnia na wojnę, może gdzieś daleko, a jak ty to wówczas zniesiesz? Rozważ me słowa, czuję bowiem wyraźnie, że jeśli Turambar raz jeszcze stanie do boju, wówczas nie on, tylko Cień wygra ten pojedynek.

- Poradzę sobie - odparła. - I wszystko jedno, czy przyjdzie nam się rozstać przed czy po ślubie. Może zresztą ożenek nieco go utemperuje i odsunie Cień. - Niemniej Brandir zasiał ziarno zwątpienia i Niniel poprosiła Turambara, by poczekał jeszcze trochę. Zdumiał się Turambar tą nagłą przemianą, ale gdy dowiedział się od dziewczyny, że to Brandir doradził jej odsunąć wesele, wówczas wpadł w złość.

Następnej wiosny powiedział Niniel:

- Czas mija. Dość już zwlekaliśmy. Czyń, jak ci serce nakazuje, Niniel ukochana, ale zważ, że i mnie czeka wybór. Albo znowu ruszę na wojnę, albo cię poślubię i nigdy już nie stanę do walki, chyba żeby w twojej obronie, gdyby zło jakieś zagroziło naszemu domowi.

Ucieszyła się szczerze, dała słowo i pobrał się w środku lata, a mieszkańcy lasu

urządzili wielką ucztę i ofiarowali im piękny dom wzniesiony specjalnie dla nich na stoku Amon Obel. Tam zamieszkali w szczęściu, Cień jednak rzucając na serce Brandira, który posepniał coraz bardziej.

Nadejście Glaurunga

Szybko rosła potęga Glaurunga i coraz większa złość go przepełniała, aż utywszy niepomrotnie, zebrał wokół siebie gromady Orków i zaczął panować nad nimi jako Smoczy Król, cały obszar Nargothrondy uznając za swoje lenno. Zanim dobiegł końca trzeci rok pobytu Turambara między leśnymi ludźmi, smok zaczął najeżdżać okolice lasu Brethilu, dotąd zostawianego w spokoju. Jednak to, że między drzewami żyją jeszcze wolni ludzie, ostatni spośród Trzech Rodów, gotowi przeciwstawić się potędze Północy, nie było tajemnicą ani dla Glaurunga, ani dla jego pana, którzy takiego stanu rzeczy dłużej cierpieć już nie mogli. Pragnący bowiem całego Beleriandu Morgoth zamierzał przetrząsnąć starannie wszystkie zakątki krainy, tak by nie ostał się w jakiejś kryjówce czy norze nikt żywy, kto mógłby mu zagrozić. Nie miało zatem większego znaczenia, czy Glaurung znał schronienie Turina, czy też, jak utrzymują niektórzy, stracił go wówczas z oczu. Prędzej czy później Turambar i tak musiałby wybierać pomiędzy beczynnym oczekiwaniem, aż go wykryją i pogonią jak szczura, a jawnym staniem do walki. W takiej sytuacji nie zwracał najmniejszej uwagi na rady Brandira.

Gdy dotarły do Ephel Brandir pierwsze wieści o pochodzie Orków, Turambar nie wyruszył jednak, ulegając namowom Niniel, która powiedziała:

- Wspomnij swe słowa. Nic nie zagraża jeszcze naszemu domowi. Powiadają, że Orków jest niewielu, a Dorlas twierdzi, że i przed twoim przybyciem zdarzały się takie najazdy i leśni ludzie je odpierali.

Tym razem jednak położenie mieszkańców osady było o wiele gorsze, nowi Orkowie bowiem pochodzili z paskudniejszego chowu niż poprzedni. Bardziej zajadli i przebiegli, nie zamierzali przemaszerować jedynie skrajem puszczy ku dalszym obszarom, nie interesowało ich też polowanie na małe oddziały. Chcieli podbić las Brethilu. Dorlas i jego ludzie ponieśli straty i zmuszeni zostali do odwrotu, a Orkowie przeprawili się przez Teiglin i rozpanoszyli między drzewami. Dorlas stanął przed Turambarem, pokazał swe rany i powiedział:

- Sam widzisz, panie, że przyszła na nas pora. Jak przewidywałem, złudny był czas spokoju. Czy nie prosiłeś, byśmy policzyli cię między siebie, a nie traktowali jak obcego? Czy i nad tobą groźba nie zawisła? Jeśli Orkowie posuną się jeszcze dalej, miejsce naszej siedziby przestanie być tajemnicą.

Powstał zatem Turambar, raz jeszcze przypasał miecz Gurthang i ruszył do walki. Gdy leśni ludzie się o tym dowiedzieli, radość wstąpiła w ich serca i pociągnęli do niego, aż miał pod swoimi rozkazami wiele setek wojowników. Przemierzali całą puszcę, uśmiercając

wszystkich Orków, którzy się w niej kryli, a ciała powiesili na drzewach w pobliżu brodów na Teiglinie. Gdy wysłano przeciwko nim nowy oddział, zasadzili nań pułapkę, zdumieni zaś liczebnością leśnych ludzi i przerażeni powrotem Czarnego Miecza Orkowie zostali rozgromieni i w większości zabici. Osadnicy ułożyli wielkie stosy i spalili ciała żołnierzy Morgotha, a świadczący o zemście czarny dym sięgnął wysoko w niebiosa, gdzie wiatr poniosł go na zachód. Niewielu żywych wróciło do Nargothrond, by o tym wszystkim opowiedzieć.

Glaurung wpadł w prawdziwy gniew, przez czas jakiś leżał jednak jeszcze spokojnie i rozważał to, co usłyszał. Zima minęła więc bez walk, a ludzie powiadali:

- Wielkim jest Czarny Miecz z Brethilu, bo do ostatniego pokonał naszych wrogów.

Niniel też była pogodniejsza i cieszyła się sławą Turambara, on jednak rozmyślał długo, aż rzekł sobie:

- Kości zostały rzucone. Oto nadchodzi próba, w której albo potwierdzę mą reputację, albo przegram z kretelem. Skończył się czas ucieczki. Turambarem będę, ale po swojemu, pokonam wreszcie fatum lub zginę. Z tarczą czy na tarczy wrócę, zabiję przynajmniej Glaurunga.

Targał nim jednak niepokój, więc wysłał ludzi na zwiady jak daleko się dało. Bo chociaż niby nic się nie zmieniło, to on naprawdę dowodził teraz wszystkim, jakby był władcą Brethilu. Nikt nie zwracał uwagi na Brandira.

Wiosna przyniosła nadzieję i ludzie śpiewali przy pracy. Tejże również wiosny Niniel okazała się brzemienna, zmizerniała przez to i przybladła, a radość jej przygasła. Zwiadowcy, którzy wyprawili się aż za Teiglin, wrócili wkrótce, przynosząc dziwne wieści o wielkim pożarze lasów na równinie po stronie Nargothrond i wszyscy dziwowali się temu zjawisku.

Nie trwało długo, a przyszło więcej nowin: że ogień kieruje się na północ i że to sam Glaurung go rozniecił. Smok opuścił Nargothrond i udał się gdzieś w sobie tylko znanym celu.

- Armia mu przepadła, toteż poszedł wreszcie po rozum do głowy i wrócił, skąd przybył - powiadali naiwnie co mniej rozgarnięci mieszkańcy lasu. Inni zaś dodawali: - Miejmy nadzieję, że nas ominie.

Turambar jednak nie łudził się, wiedział, że Glaurung jego właśnie szuka. Nie zdradzając się z niczym przed Niniel, rozmyślał całymi dniami, co by tu zaradzić, aż wiosna przeszła w lato.

Pewnego dnia ludzie wrócili przerażeni do Ephel Brandir i donieśli, że widzieli smoczy pomiot na własne oczy.

- Po prawdzie, panie - zdawali sprawę - Turambarowi - zbliża się teraz do Teiglinu i nigdzie nie skręca. Zleął pośrodku wielkiej pożogi, drzewa płoną wkoło niego. Cuchnie

potępieńczo. Taranując wszystko, brnie jedną linią, która ciągnie się od Nargothrondy. Nijak nie kluczy, tylko mierzy prosto w naszą osadę. Cóż możemy uczynić?

- Niewiele - odparł Turambar. - Ale i to już przewidziałem. Wieści, które przynosicie, nadzieją raczej napawają niż strachem, bo jeśli rzeczywiście, jak powiadacie, zmierza prosto i nie skręci, to daje to pewną szansę mężom o dzielnych sercach.

Zdumiali się ludzie, Turambar bowiem nie dodał już nic więcej, ale jego nieugiętość podniosła wszystkich na duchu⁵⁸.

Rzeka Teiglin wypływała spod Ered Wethrin i bystra była jak Narog, ale z początku płynęła pomiędzy niskimi brzegami, dopiero minąwszy brody i zebrawszy nurty innych strumieni, wpadała w wąwozy wyrzeźbione u stóp tej wyżyny, na której wyrastał las Brethilu. Stłoczone na dnie wody gnały tu z wielkim łoskotem, a jedna z takich kipieli leżała wprost na drodze Glaurunga. Nie było to nijak miejsce najgłębsze, ale za to wąskie jak żadne inne. Znajdowało się zaraz na północ od dopływu Kelebrosa. Turambar wysłał trzech odważnych ludzi, by z brzegu wypatrywali śladu smoka, a sam pojechał nad wodospad Nen Girith, skąd obserwować mógł sporą połąć kraju i gdzie wieści miały doń łatwy dostęp.

Najpierw jednak zebrał leśnych ludzi w Ephel Brandir i przemówił do nich:

- Mieszkańcy Brethilu, zawisło nad nami wielkie niebezpieczeństwo, które tylko największym męstwem można pokonać. Samą siłą i liczbą niewiele tu jednak wskóramy, sięgnąć nam trzeba po fortel. Gdybyśmy ruszyli wszyscy przeciwko smokowi niby na spotkanie armii Orków, to śmierć jeno znajdziemy, żony nasze i dzieci zostawiając bezbronne. Wam tedy mówię, byście zostali i gotowali się do ucieczki. Gdy Glaurung nadejdzie, porzucicie to miejsce i umkniecie jak najdalej w rozproszeniu, a wówczas może przeżyjecie. Jeśli tylko będzie mógł, przyjdzie tu na pewno, by zniszczyć naszą siedzibę i wszystko, co wypatrzy. Nie zamieszka tu jednak. Zostawił w Nargothrondzie swój skarb, tam też są rozległe komnaty, w których może spać i wzrastać bezpiecznie.

Ludzie poczuli się rozczarowani i przygnębieni, nie takich bowiem słów oczekiwali po Turambarze, któremu wierzyli bezgranicznie. I usłyszeli:

- To najgorsza możliwość. Jeśli jednak powiedzie się, co zamyśliłem, i szczęście nam dopisze, wówczas do tego nie dojdzie. Nie wierzę bowiem, aby smok ten był niezwycięzony, chociaż wyrósł i nabrał sił z latami. Wiem o nim co nieco. Jego potęga płynie raczej z przewrotnej i złośliwej natury, cechującej to wielkie, ale nie tak znów mocarne cielsko.

⁵⁸ Można by przypuszczać, że dopiero po dokonaniu się wszystkiego i po śmierci Turina i Nienor, przypomniano sobie jej ataki dreszczy i zrozumiano, skąd się brały, przez to właśnie przemianowano Dimrost na Nen Girith, jednak nazwa Nen Girith pojawia się w legendzie przez cały czas.

Posłuchajcie tego, co usłyszałem od kogoś, kto walczył w Nirnaeth, kiedy to ja i większość z was dziećmi ledwie byliśmy. Wówczas to krasnoludy osaczyły Glaurunga i Azaghal z Belegostu zranił go tak głęboko, że bestia uciekła do Angbadu. Oto jednak jest cień dłuższy i bardziej ostry niż sztylet Azaghal. I wyciągnął Gurthanga z pochwy, i uniósł żelazo nad głowę, a patrzącym zdało się, że wielopalczyste płomienie strzelają wysoko z rąk Turambara.

- Czarny Cień Brethilu! - krzyknęli rozgłośnie.

- Czarny Cień Brethilu - powtórzył Turambar. - Niech lepiej się go strzeże. Jedno wiem: jakkolwiek potężnie obrastałby twardszą od stali rogową powłoką, zawsze zachowa miękkie brzuch węża. To jego słabe miejsce, właściwe pono wszystkim smokom. Otóż, mieszkańcy Brethilu, zamierzam wszelkim sposobem razić go w brzuch. Kto wyruszy ze mną? Potrzebuję tylko garstki, za to silnych i najodważniejszych.

- Pójdę z tobą, panie - powiedział stojący tuż przed Turambarem Dorlas. - Uważam, że należy zawsze atakować, a nie czekać na wroga.

Inni jednak nie tak szybko decydowali. Lęk przed Glaurungiem był silniejszy niż kiedykolwiek, opowieści zwiadowców bowiem zdążyły już wrócić wołem. W końcu Dorlas wykrzyknął:

- Słuchajcie, mężowie Brethilu, dobrze widać teraz niestosowność pomysłów Brandira w tych burzliwych czasach. Nic nam po kryjówkach. Czy nikt spośród was nie zajmie miejsca syna Handira, nie uchroni rodu Halethy przed niesławą?

Brandir, który zasiadał wprawdzie podczas tego zgromadzenia na należnym mu miejscu wodza, lecz niczyjej uwagi nie przyciągał, poczuł się boleśnie dotknięty, tym bardziej że Turambar nie zganił Dorlasa. Jeden tylko Hunthor, krewny Brandira, wstał i powiedział:

- Źle czynisz, Dorlasie, powiadając o niesławie władcy, którego nogi, zrządzeniem losu, nie słuchają dzielnego serca. Uważaj lepiej, by nie zrozumiano twych słów na opak! I jak możesz twierdzić, że niestosowne były pomysły Brandira, skoro nigdy go nie posłuchano? Ty, jego poddany, odrzucałeś je z pogardą. Powiadam ci, że Glaurung ciągnie na nas, jak przedtem napadł na Nargothrond, bo sam swymi uczynkami wskazałeś mu drogę. Tego właśnie obawiał się Brandir. Skoro jednak wróg już przybył, to za twoją zgodą, synu Handira, ruszę z tymi śmiałkami w imieniu rodu Halethy.

- Trzech nas starczy! - odezwał się Turambar. - Ciebie jednak, panie, nijak wziąć ze sobą nie mogę, ale nie z pogardy to wynika. Zrozum! Ruszać musimy w pośpiechu i tylko silne nogi podołają drogę. Twe miejsce jest z twoim ludem. Mądry jesteś i potrafisz uzdrawiać, a może się zdarzyć, że i wiedza, i sztuka leczenia będą niedługo potrzebne bardziej niż dotąd.

Słowa te, chociaż uprzejme, tylko zwiększyły gorzki żal Brandira, który zwrócił się do

Hunthora:

- Idź zatem, ale bez mojego upoważnienia. Cień spowija tego człowieka i jeszcze do złego końca cię przywiedzie.

Turambar pragnął wymaszerować czym prędzej, ale gdy przyszedł, by pożegnać się z Niniel, ta wczepiła się weń, cała zapłakana.

- Nie odchodź, Turambarze, błagam cię! - prosiła. - Nie rzucaj wyzwania temu Cieniowi, przed którym umknąłeś! Ucieknij jeszcze dalej, i zabierz mnie ze sobą!

- Niniel, kochana, ani dla ciebie, ani dla mnie nie ma już dalszej drogi ucieczki. Otoczono nas w tym kraju. Gdyby przyszło opuścić tych ludzi, którzy nas przygarnęli, to tylko na pustkowia mógłbym cię poprowadzić, w dzicz bez schronienia. Pewna to śmierć dla kobiety i dziecka. Sto mil dzieli nas od najbliższego kraju, gdzie Cień jeszcze nie zaległ. Odwagi, Niniel. Powiadam ci, nie zginiemy za sprawą smoka, nie dopadnie nas też wróg z północy.

Niniel ucichła, ale chłodny był jej pocałunek, gdy się rozstawali.

Turambar, Dorlas i Hunthor ruszyli szparko ku Nen Girith i dotarli tam o zachodzie, w porze długich cieni. Na miejscu oczekiwali ich dwaj ostatni zwiadowcy.

- Ani trochę za wcześnie nie przybywasz, panie - powiedzieli. - Smok nadciąga. Gdy odchodziliśmy, pojawił się właśnie na brzegu Teiglinu i spoglądał przez rzekę. Wędruje tylko nocą, a zatem możemy się spodziewać, że rychło ruszy.

Turambar spojrzał sponad wodospadu Kelebrosa i prócz zachodzącego słońca ujrzał słupy dymu, wznoszące się przy brzegach rzeki.

- Nie ma czasu do stracenia - powiedział. - Wieści są jednak dobre. Najbardziej obawiałem się, że zacznie buszować po okolicy. Gdyby skierował się na północ i znalazł bród, a dalej starą drogę w głąb kraju, byłoby po nas, lecz wściekłość, duma i złość nie pozwalają mu zboczyć. - Mówiąc to jednak, zadumał się i zaniepokoił. - A może jest tak złem przesiąknięty, że jak Orkowie, woli unikać brodu? Haudh-en-Elleth! Czyżby Finduilasa wciąż trwała między mną a przeznaczeniem?

Po czym zwrócił się do towarzyszy:

- Wszystko już gotowe, musimy tylko poczekać jeszcze chwilkę, bo w tej potrzebie zbyt wczesny atak byłby tak samo szkodliwy, jak opóźnienie. Gdy zapadnie zmrok, przekradniemy się cicho nad rzekę. Zachowajcie ostrożność, Glaurung bowiem ma uszy równie czułe jak oczy, a te są śmiertelnie niebezpieczne. Jeśli zdołamy dotrzeć niepostrzeżenie nad rzekę, trzeba nam będzie zejść do wąwozu, przepawić się na drugi brzeg i przyczaić na drodze potwora.

- Ale jakim sposobem smok zdoła tam przejść? - spytał Dorlas. - Może i jest zwinny, ale to wielka bestia! Jak niby opuści się po jednej skalnej ścianie, a potem da radę wspiąć się na

następną, skoro jego przednie łapy będą musiały wdrapywać się pod górę, gdy ogon będzie zjeżdżał ze stoku? A jeśli nawet, co nam przyjdzie z oczekiwania go na samym dole?

- Może potrafi dokonać takiej przeprawy - odparł Turambar. - Jeśli tak, to źle z nami. Trochę jednak go znam i mam nadzieję, że miejsce, w którym obecnie się usadził, inny zamiar zwiastuje. Jest blisko krawędzi Kaped-en-Aras, a sam kiedyś mi opowiadałeś, jak ścigany przez myśliwych Halethy jelen przeskokczył tu kiedyś rozpadlinę i umknął. Smok jest teraz tak wielki, że najpewniej spróbuje tego samego. Na to liczymy i musimy ufać, że tak postąpi.

Dorlas stropił się na te słowa, znał bowiem Brathil lepiej niż ktokolwiek inny, a Kaped-en-Aras było zaiste ponurym miejscem. Po wschodniej stronie wznosiła się na jakie dwanaście metrów stroma ściana, tylko u szczytu zwieńczona roślinnością, drugi brzeg zaś, chociaż niższy i mniej spadzisty, porosły krzakami i przekrzywionymi drzewami, trudny był do osiągnięcia za sprawą wartkiego nurtu i kamienistego dna. Odważny i silny mężczyzna mógł pokonać w tym miejscu rzekę za dnia, w nocy jednak ryzyko wzrastało niepomniernie. Tak jednak postanowił Turambar i sprzeciw nie miał nijakiego sensu.

Ruszyli o zmroku, ale nie poszli prosto w kierunku smoka, tylko najpierw podążyli drogą ku brodom. Potem, nim zdolali oddalić się zbyt, skęcili na południe i ruszyli wąską ścieżką do lasu nad samą wodą⁵⁹. Wokół panowała już prawie całkowita ciemność, gdy krok po kroku, przystając często i nasłuchując, skradali się ku Kaped-en-Aras. W nozdrza uderzyła mężczyzn woń spalenizny i mdlący smród. Było jednak cicho i spokojnie, nawet wiatr ustał. Na wschodzie za ich plecami rozbłysły pierwsze gwiazdy, a na tle zachodniego nieba pięły się wciąż ku górze proste słupy rzadkiego dymu.

Po odejściu Turambara, Ninieł zastygła w kamiennym milczeniu. Zjawił się jednak Brandir i powiedział:

- Nie obawiaj się za wczasu najgorszego, Ninieł. Ale czy nie doradzałem ci poczekać?

- Owszem - odparła. - Ale co by mi z tego teraz przyszło? Miłość i cierpienie niezależne są od małżeństwa.

- To wiem - stwierdził. - Ale ślub jednak wiele zmienia.

- Od dwóch miesięcy noszę jego dziecko. I nie wydaje mi się, by lęk mój był przez to cięższy do zniesienia. Nie potrafię cię zrozumieć.

⁵⁹ Jeśli Glaurung rzeczywiście zamierzał wrócić do Angbadu, to wybrałby raczej (zapewne) starą drogę do Przeprawy na Teiglinie, trasę niezbyt różniącą się od tej, która przywiodła go do Kaped-en-Aras. Istniało tu być może milczące założenie, iż wrócić miał do Angbadu drogą, którą przybył uprzednio na południe do Nargothrundu, podążając w górę Narogu do Ivrin. Por. także słowa Mablunga: „Widziałem nadejście Glaurunga i myślałem, że... wróci do swego pana. Ale on skierował się ku Brethilowi...” Gdy Turambar wyrażał nadzieję, że Glaurung pójdzie prosto, nie klucząc, chciał powiedzieć, że jeśli smok ruszy wzdłuż Teiglinu i dotrze do Przeprawy, wówczas wejdzie do Brethilu omijając wąwóz rzeki, jedyne miejsce, gdzie choć przez chwilę może

- I ja sam też siebie nie rozumiem. Ale strach przepełnia me serce.

- Nie ma co, potrafisz pocieszyć! - krzyknęła. - Brandirze, przyjacielu, zamężna czy nie, matka czy panna, lękam się niepomrotnie. Skoro Pan Losu poszedł rzucić wyzwanie swemu przeznaczeniu, to jak mogę czekać tu spokojnie, aż dojdą mnie spóźnione wieści, dobre czy złe? Być może tej nocy spotka się ze smokiem, a co ja mam zrobić? Jak znieść te straszne godziny?

- Nie wiem - odpowiedział - ale jakoś przetrwać je musisz, ty i żony tych, którzy z nim poszli.

- Niech robią, jak serca im dyktują! Ja jednak pójdę za ukochanym. Wyruszę na spotkanie wieściom. Nie chcę, by całe mile dzieliły mnie od najdroższego, gdy głowy nadstawia.

Brandir wzburzył się wielce i przeraził, słysząc te słowa.

- Przeszkodzę ci w tym, jeśli tylko zdołam. Narazisz na szwank całe przedsięwzięcie. I nie będziesz miała czasu uciec, jeśli im się nie powiedzie.

- Jeśli im się nie powiedzie, to nie będę chciała uciekać - odrzekła. - Nie powstrzymasz mnie i na nic twe mądrości. - I wystąpiła przed ludzi zebranych wciąż na placu w Ephel. - Mężowie Brethilu! Nie zostanę tu dłużej. Jeśli mój pan zginie, wówczas legnie wszelka nadzieja. Wasze ziemie i lasy zostaną spalone ze szczętem, domy w popiół się obrócą i nikt, ale to nikt nie umknie. I po co czekać? Idę na spotkanie przeznaczeniu, jakiegokolwiek by ono było. Niech wszyscy, którzy myślą podobnie, przyłączą się do mnie!

Wielu stanęło u jej boku. Żony Dorlasa i Hunthora z niepokoju o mężów, część zaś dlatego, że żał im było Niniei i pragnęli podtrzymać kobietę na duchu. Inni też ze zwykłej głupoty i beztroski, bo choć słyszeli plotki o smoku, to niewiele wiedzieli o naturze zła i na własne oczy chcieli ujrzeć, jak Czarny Miecz dokona tego wspaniałego i rzadkiego czynu. Taki wielki wyrósł ów wojownik w ich oczach, że mało kto skłonny był sądzić, aby Glaurung zdołał pokonać Turambara. Podążyli więc spiesznie całym tłumem na spotkanie niebezpieczeństwu, którego nie pojmowali. Odpoczywając nieco po drodze dotarli wieczorem do Nen Girith, ale Turambara już tam nie było. Noc ostudziła nieco zapąły i niejeden zastanowił się, po co właściwie tu przyszedł, a gdy jeszcze usłyszeli od zwiadowców, jak blisko zległ Glaurung i jak trudne zadanie czeka Turambara, duch opuścił ich zupełnie i nie poważyli się iść dalej. Niektórzy spoglądali trwożnie na Kaped-en-Aras, ale nic nie ujrzeli. Nadstawiali uszu, ale słyszeć było jedynie nie milkący huk wodospadu. Niniei zaś siadła z dala od grupy i zatrząsła nią dreszcze.

być bezbronny. Por. też rozmowę Turina z Dorlasem i Hunthorem nad Nen Girith.

Gdy Niniel i inni odeszli, Brandir zwrócił się to tych, którzy pozostali:

- Widzicie, jak się mną gardzi, jak lekceważy się moje słowo! Niech Turambar wami rządzi, skoro i tak przejął cały mój autorytet. Wyrzekam się władzy i ludu. Niech nikt nigdy nie prosi mnie już o radę czy uzdrowienie! - I złamał swą łaskę, myśląc w duchu: „Nic mi już nie zostało, prócz miłości do Niniel. Miejsce moje przy niej jest, gdziekolwiek pójdzie, i nieważne, czy na oślepie wędruje czy rozważa każdy krok. Nic nie da się przewidzieć w tej mrocznej godzinie, może jednak zdarzyć się i tak, że obronię ją jeszcze przed jakimś złem, jeśli będę obok.

Uzbroił się zatem w krótki miecz, po który przedtem rzadko sięgał, wziął kulę i jak mógł najszybciej minął bramę Ephel, po czym pokuśtykał drogą na zachód ku skrajowi Brethilu.

Śmierć Glaurunga

Noc już zapadła, gdy Turambar doszedł z towarzyszami do Kaped-en-Aras. Z radością powitali huk wody, która choć groźna, skutecznie przecież tłumiła wszelkie inne dźwięki. Dorlas poprowadził nieco ku południu, gdzie spuścili się po ścianie aż do stóp urwiska. Tam jednak odwaga go odeszła, gdy ujrzał usiane wielkimi głazami i bezlikiem drobnych kamieni koryto spienionej rzeki.

- To pewna śmierć - powiedział.

- Ku śmierci lub ku życiu, jedyna to droga - odparł Turambar. - Zwłoka nic nam nie pomoże. Za mną! - I ruszył pierwszy. Dzięki wprawie oraz męstwu, a może także i szczęściu, dotarł na drugi brzeg. Obejrzał się, by sprawdzić, kto idzie za nim. Obok mroczniała jakaś postać.

- Dorlas? - spytał.

- Nie, to ja - odpowiedział Hunthor. - Dorlas stchórzył. Nawet dobry wojownik niejednego się boi. Siedzi pewnie na brzegu i trzęsie się cały. Może powstydy się teraz słów wypowiedzianych o moim krewnym.

Odpoczęli chwilę, ale rychło zrobiło im się zimno, bo obaj przemoczeni byli od stóp do głów, skierowali się zatem na północ, szukając legowiska Glaurunga. Wąwóz stawał się coraz węższy i mroczniejszy, aż w końcu ujrzeni w górze, na brzegu, poblask jakby tłącego się ognia i do ich uszu doleciało chrapanie czujnie śpiącej bestii. Zaczęli szukać drogi na górę, by dotrzeć pod samą krawędź brzegu, gdyż stamtąd tylko mogli mieć szansę osiągnięcia czułego miejsca smoka. Od potężnego smrodu mąciło im się w głowach i wspinaczka szła opornie. Ześlizgiwali się, czepiali pni drzew. Targani mdłościami zapomnieli o wszystkim, prócz obawy, by nie runąć w spienioną paszczę rzeki.

- Marnujemy siły - powiedział w pewnej chwili Turambar. - Przecież nie wiemy na pewno, czy ten właśnie szlak smok wybierze.

- Ale gdy już się dowiemy, to za późno będzie na wspinaczkę - odparł Hunthor.

- To prawda. Skoro inaczej nie można, pozostaje zdać się na przypadek.

Zatrzymali się, oczekując nieznanego i spoglądając na jasną gwiazdę, która lśniła na wąskim skrawku nieba ponad rozpadliną. Śmiertelnie zmęczony Turambar zasnął niepostrzeżenie, jednak nie rozluźnił uchwytu.

Nagle rozległ się donośny łoskot, a ściany wąwozu zadrżały i zanosły się echem. Turambar ocknął się i powiedział:

- Budzi się. Wybiła nasza godzina. Tnij głęboko, bo dwóch musi wystarczyć teraz za

trzech!

Glaurung rozpoczął napaść na Brethil. Niemal wszystko poszło tak, jak Turambar przewidział. Smok podpełzł do skraju przepaści i nie skręcił nigdzie, tylko przygotował się do skoku. Chciał wybić się mocno tylnymi łapami, by z pomocą przednich wciągnąć się potem na górę po drugiej stronie. Wraz z bestią nadszedł strach, nie zaczęła ona bowiem przeprawy wprost nad nimi, ale nieco na północ. Dobrze widzieli na tle gwiazd olbrzymi łeb i otwartą paszczę z siedmioma ognistymi językami. Nagle smok omiótł płomieniem przeciwległy brzeg i cały wąwóz wypełnił się czerwonym blaskiem, a cienie zatańczyły między skałami. Drzewa zatliły się i zapłonęły, sypnął się w przepaść grad kamieni. Potem Glaurung rzucił się naprzód, wczepił potężnymi pazurami w drugi skraj urwiska i zaczął przeciągać cielsko nad przepaścią.

Pora była atakować, i to szybko, bo chociaż udało się Turambarowi i Hunthorowi uniknąć ognia, jako że nie stali bezpośrednio pod bestią, to teraz musieli jednak zbliżyć się do niej, zanim zniknie jedyna szansa. Nie bacząc na niebezpieczeństwo, Turambar rzucił się naprzód, ale tak było gorąco i smrodliwie, że potknął się i spadłby, gdyby podążający pewnie z tyłu Hunthor nie chwycił go za ramię.

- Wielkie dzięki! - rzekł Turambar. - Szczęśliwy wybór uczyniłem, biorąc cię ze sobą!

Ale ledwo to powiedział, wielki kamień stoczył się z góry i trafił Hunthora w głowę, strącając go do wody. Tak zginął mąż, nie ostatni jednak pośród wojowników rodu Halethy.

- Niestety! - zakrzyknął Turambar. - Niebezpiecznie jest wstąpić w mój Cień! Czemuż szukałem u innych pomocy? Teraz sam zostałeś, Panie Losu, a przecież od początku powinieneś wiedzieć, że inaczej być nie może! Sam teraz zwyciężaj!

Zebrał całą wolę, wspomniawszy swą nienawiść do smoka oraz jego pana, i nagle zdało mu się, że nowe siły go wypełniają i z nie znaną mu dotąd odwagą ruszył z kamienia na kamień, z korzenia na korzeń, aż zdołał uchwycić się smukłego drzewa rosnącego poniżej skraju przepaści, które choć opalony miało wierzchołek, mocno tkwiło korzeniami w ziemi. Usadował się pewnie w rozwidleniu gałęzi, gdy tuż nad nim, dotykając niemal głowy Turambara, pojawił się tułów bestii i zawisł ciężko na chwilę, nim smok zaczął wciągać swe cielsko na górę. Brzuch jasny był i pomarszczony, ociekał szarym śluzem, do którego przyczepiały się wszelkie śmiecie. Potwór cuchnął śmiercią. Wtedy to Turambar dobył Czarny Miecz Belega i pchnął nim w górę najsilniej jak potrafił, całą swą wściekłość wkładając w ten jeden cios. Długie ostrze chciwie zanurzyło się w smoczym brzuchu aż po rękojeść.

Czuąc śmiertelne ukłucie, Glaurung ryknął przepotężnie, aż zatrzęsły się okoliczne lasy, a lica ciekawskich nad Nen Girith okryły się bladością. Turambar zachwiał się, jak trafiony i ześliznął w dół, zostawiając miecz w brzuchu bestii. Glaurung zadrżał cały i jednym

rzutem wydobył się na drugi brzeg, gdzie legł, rycząc i wijąc się z bólu, trując wszystko wokół. Uczyniwszy olbrzymie zniszczenia, znieruchomiał w końcu, otoczony dymem, pośrodku rumowiska.

Ogłuszony i przytłoczony tym wszystkim Turambar wczepił się w korzenie drzewa, a potem na wpół spelzając, na wpół schodząc, dotarł do rzeki. Raz jeszcze zaryzykował niebezpieczną przeprawę, tym razem na czworakach, aż oślepiiony pianą wyszedł na brzeg. Potem wspiął się tą samą ścieżką, którą wcześniej zszedł z towarzyszami. W końcu dobrnął do zdychającego smoka i spojrzał na powalonego przeciwnika z radością, bez śladu współczucia.

Glaurung leżał wyciągnięty na jednym boku. Wypalił się już ogień w otwartej paszczy. Złowrogie ślepia miał zamknięte. Rękojeść Gurthanga sterczała mu z brzucha. Smok dyszał jeszcze, ale mocno podniesiony na duchu Turambar postanowił niezwłocznie odzyskać oręż, który - choć przedtem już cenny - teraz przerastał wartością wszystkie skarby Nargothrondy. Prawdą okazały się słowa wypowiedziane w chwili jego wykucia, że dość jednego ukąszenia tego ostrza, by pozbawić życia wszelkie stworzenie, duże czy małe.

Turambar ujął rękojeść i zaparł się stopą o brzuch potwora, by dobyć miecz z jego trzewi.

- Witaj, robaku Morgotha! - zawołał, szydząc ze słów wypowiedzianych przez Glaurunga w Nargothrondzie. - Miło znów cię widzieć! Zdychaj i niech ciemność cię pochłonie! Pomszczony został Turin, syn Hurina. - I szarpnął miecz, a z rany trysnęła czarna krew, paląc jadem dłoń Turambara, aż ten krzyknął głośno z bólu. Wtedy Glaurung poruszył się, otworzył zgubne ślepia i popatrzył na swego pogromcę. Tyle było w spojrzeniu bestii nienawiści, że Turambarowi zdało się, jakby strzała go przeszła i omdlał, porażony i tym, i bólem dłoni. Niczym martwy runął u boku smoka, nakrywając sobą miecz.

Ryki Glaurunga dotarły też do ludzi zgromadzonych nad Nen Girith, mocno ich przerażając, a kiedy zwiadowcy zameldowali, że smok pustoszy i pali kawał lasu, wszyscy byli przekonani, że potwór morduje tych, którzy poważyli się go zaatakować. W owej chwili rzeczywiście pożałowali, że nie są gdzieś o wiele staj dalej. Nie odważyli się jednak ruszyć z miejsca, pamiętali bowiem słowa Turambara, iż jeśli Glaurung zwycięży, najpierw podąży zniszczyć Ephel Brandir. Wypatrywali więc, zaleknieni, jakiegoś znaku, ale nie znalazł się wśród nikt na tyle odważny, by zejść na dół i poszukać wieści u źródła, na polu walki. Ninie siedziała bez ruchu, targana dreszczami, których nie mogła powstrzymać. Serce zamarło w niej, gdy usłyszała głos Glaurunga, i poczuła, jak ciemność znów ją ogarnia.

Taką znalazł ją Brandir, który doszedł w końcu do mostu nad Kelebrosem. Długa i męcząca była to droga dla kogoś kulawego, kto sam musiał przekuśtykać o lasce całe pięć staj.

Lęk o Niniel gnał go naprzód, a wieści, które usłyszał, nie były wcale gorsze od tych, których się obawiał.

- Smok przeszedł rzekę - powiedziano mu. - Czarny Miecz i jego towarzysze najpewniej nie żyją.

Stanął wówczas Brandir w milczeniu obok Niniel, wbijając oczy w mrok i nasłuchując. Niczego jednak nie dojrzał i tylko huk wodospadu rozlegał się wokoło. Pomyślał wtenczas: „Glaurung poszedł już pewnie w głąb lasu”. Nie żałował już jednak swych ludzi, głupców, którzy wzgardzili nim i jego radami. „Niech smok idzie sobie na Amon Obel, dość jest jeszcze czasu na ucieczkę oraz na ocalenie Niniel”. Dokąd mieliby się udać, nie miał pojęcia, sam bowiem nigdy nie opuszczał granic lasu Brethilu.

Pochylił się i ujął kobietę pod ramię.

- Czas ucieka, Niniel! - powiedział. - Chodź! Pora ruszać. Poprowadzę cię, jeśli pozwolisz.

Wstała w milczeniu i dała mu dłoń. Przeszli przez most i skierowali się ku brodom na Teiglinie. Ci, którzy widzieli ich sylwetki niczym cienie przesuwane się w ciemności, nie mieli pojęcia, kto ich mija, nikogo też to nie obchodziło. Po pewnym czasie księżyc wyłonił się zza Amon Obel i szary blask zalał puszcę. Nagle Niniel przystanęła i spytała:

- Czy to właściwa droga?

- Jaka droga może być jeszcze właściwa? - odparł. - Kresu dobiegła nasza nadzieja w Brethilu. Tylko ucieczka nam została, jak najdalej od smoka, póki jeszcze jest na to czas.

Niniel spojrzała na Brandira zdumiona.

- Czy nie mówiłeś, że zaprowadzisz mnie do Turambara? A może skłamałeś? Czarny Miecz był moim ukochanym i mężem, i tylko dla niego ruszyłam się z miejsca. Co ty sobie pomyślałeś? Rób teraz, jak mówię, ale szybko!

Zdumiony Brandir zamarł w miejscu, zerwała się zatem do biegu.

- Czekaj, Niniel! Nie idź sama! - krzyknął. - Nie wiesz, co cię tam czeka! Pójdę z tobą!

Ona jednak nie zwracała już na Brandira uwagi, tylko gnała, czując ogień zimnej dotąd krwi. Chociaż pokuśtykał za nią, rychło stracił dziewczynę z oczu. Przeklął wówczas swój los i swą słabość, ale nie zawrócił.

Bliski pełni księżyc białł już wyżej na niebie, gdy Niniel zeszła z wyżyny nad brzeg rzeki. Zdało się jej, że poznaje to miejsce i złękła się owej pamięci. Dotarła bowiem do brodów, a przed nią jaśniał blado Haudh-en-Elleth, na pół skryty w czarnym cieniu. Groza tchnęła z tego miejsca.

Niniel cofnęła się z krzykiem i pobiegła wzdłuż rzeki, gubiąc po drodze płaszczy, jakby

chciała zrzucić z siebie uczepiony jej ciała cień. Strój miała pod spodem biały i dobrze było ją widać w blasku księżyca, gdy pędziła między drzewami. Tak i dojrzał ją Brandir ze zbocza wzgórza i skręcił, by przeciąć jej szlak. Szczęśliwie trafił na tę samą, stromo zbiegającą ku południu ścieżkę, którą wcześniej wybrał Turambar, zatem grunt był tam bardziej wydeptany. Chociaż Brandir znalazł się teraz tuż za Ninielem, chociaż wołał ją głośno, nie słyszała go czy słyszeć nie chciała i szybko znów wysforowała się daleko do przodu. W ten sposób dobiegli w pobliże Kaped-en-Aras i miejsca agonii Glaurunga.

Księżyc płynął po bezchmurnym niebie, zalewając ziemię czystą, zimną poświatą. Docierając do skraju spustoszonego przez smoka placu, Ninielem ujrzała ciało bestii. Obok pobłyskującego szarawo brzucha potwora leżał człowiek. Zapomniawszy o strachu, dziewczyna pobiegła po tłącym się wciąż rumowisku. Poznała Turambarę. Twarz miał śmiertelnie bladą, spoczywał na boku, z mieczem pod sobą. Rzuciła się na ukochanego z łkaniem i ucałowała. Nagle zdawało się jej, że odetchnął słabo, ale uznała to za złudzenie lub wytwór udręczonej wyobraźni, zimny był bowiem, w bezruchu pogrążony i nie odpowiadał na jej wołania. Wodząc palcami po jego ciele odkryła pocerniałą, niby przypieczoną dłoń i obmywszy ją łzami, owinęła paskiem wydartym z własnej szaty. A gdy wciąż nie reagował, ucałowała go znowu i krzyknęła:

- Turambarze, Turambarze, wracaj! Usłysz mnie! Obudź się! To ja, Ninielem. Smok nie żyje, zdechł i sama jestem tu z tobą.

Nie odpowiedział.

Jej krzyk dotarł za to do Brandira, który doszedł już do skraju rumowiska, zatrzymał się jednak w ostatniej chwili i nie podążył dalej. Glaurung także usłyszał rozpaczliwe wołanie Ninielem. Zdobył się na ostatni wysiłek i drgawki przebiegły przez jego cielsko. Złowrogie ślepie uchyliły się, odbijając blask księżyca, bestia zaś przemówiła z wysiłkiem:

- Witaj, Nienor, córko Hurina. Znowu się spotkaliśmy. Dzięki mnie znalazłaś w końcu brata. Winnaś poznać go wreszcie, to wróg zdradliwy, niewierny przyjaciel, po nocy sztylet milczkiem wbijający, przekleństwo dla bliskich. Oto Turin, syn Hurina! Ale najgorszy z jego czynów jeszcze poczujesz w sobie!

Nienor przysiadła porażona. Glaurung wyzionął ducha, a z jego śmiercią uleciały wszelkie knowania i pamięć wróciła dziewczynie. Przypomniała już sobie każdy dzień z przeszłości, niezmiennie trwał też obraz wszystkiego, co zdarzyło się od czasu, gdy padła na Haudh-en-Elleth. Zatrzęsła się z przerażenia i bóleści. Brandir, który wszystko słyszał, zachwiał się na nogach i musiał poszukać oparcia w najbliższym drzewie.

Nagle Nienor zerwała się na równe nogi i wyprostowała, w blasku księżyca blada jak

upiór. Spojrzała na Turina i rzekła:

- Żegnaj, dwakroć ukochany! *A Turĭn Turambar turim' ambartanen*: panie losu przez los pokonany! Jak miła jest teraz śmierć! - I przytłoczona nieszczęściem i przerażeniem zerwała się do ucieczki, a Brandir pokuśtykał za nią, głośno błagając, by poczekała.

Przystanąła na chwilę i zwróciła na niego lśniące oczy.

- Czekać? - wrzasnęła. - Czekać? Zawsze to jedynie radziłeś. Gdybym cię posłuchała... Ale już za późno. Kresu dobiegł mój żywot w Śródziemni.

I umknęła Brandirowi⁶⁰.

Chyżo dobiegła nad urwisko Kaped-en-Aras i stanęła tam, wpatrzona w grzmiącą wodę.

- Wodo, wodo! - zawołała. - Zabierz Niniel Nienor, córkę Hurina. W żałobie pograżoną Żalobę, córkę Morweny. Weź mnie i zanieś do Morza!

Z tymi słowami rzuciła się ze skarpy. Przepaść pochłonęła biel szat, krzyk zginął w huku rzeki.

Teiglin dalej toczył swe wody, ale Kaped-en-Aras zmienił za sprawą ludzi nazwę na Kaped Naeramarth i nikt nie považył się odtąd stapać po brzegu w tym miejscu. Ostatnim, który spojrział w czeluść, był Brandir, syn Handira. Zawrócił przerażony, z zamarłym sercem i chociaż nienawidził od tej pory życia, to nie považył się wyjść upragnionej śmierci naprzeciw⁶¹. Pomyślał za to o Turinie Turambarze.

- Nienawidzę cię, czy też ci współczuję? - zawołał. - Ale już nie żyjesz. Zabrałeś mi wszystko, co miałem lub mieć mogłem. Jednak mój lud winien ci wdzięczność. Dobrze się składa, że ode mnie właśnie o wszystkim usłyszą.

Powoli ruszył z powrotem do Nen Girith, z drżeniem omijając cielsko smoka, a gdy wspinał się ścieżką, ujrzał mężczyznę wyglądającego zza drzewa. Choć tamten schował się szybko, ledwie dostrzeżony, blask księżyca pozwolił rozpoznać jego twarz.

- Ha, Dorlas! - krzyknął Brandir. - Co masz do powiedzenia? Jak przeżyłeś? I co z moim pobratymcem?

- Nie wiem - odparł ponuro Dorlas.

⁶⁰ Nie znalazłem żadnej mapy, która wiernie oddawałaby zamyśloną przez ojca rzeźbę terenu, ale poniższy szkic zdaje się pasować do tekstu: [mapka ze strony 149 oryginału, przekład napisów według klucza:

Crossings of Teiglin = Przeprawa na Teiglinie

To Nargothrond = Do Nargothrundu

Ravines of Teiglin = Parowy Teiglinu

R. Celebros = Rzeka Kelebros

Nen Girith = Nen Girith

To Amon Obel = Na Amon Obel

⁶¹ Stwierdzenia, że dziewczyna zerwała się do ucieczki i umknęła Brandirowi, sugerują, że miejsce, gdzie Turin leżał obok truchła Glaurunga, było dość odległe od wąwozu rzeki. Możliwe, że szamoczący się przed zgonem smok odsunął się nieco od krawędzi parowu.

- A to dziwne.

- Gdybym ci powiedział, że Czarny Miecz kazał nam przeprowadzać się po nocy w bród przez progi Teiglinu, to czy dalej widziałbyś coś dziwnego w tym, że się cofnąłem? Lepiej od innych władam toporem, ale nie jestem kozicą.

- Tak więc bez ciebie ruszyli na smoka? Jak zatem dokonali swego, skoro smok przeszedł na drugą stronę? Mogłeś przynajmniej zostać w pobliżu i śledzić bieg wypadków.

Dorlas jednak nie odpowiedział, tylko popatrzył z nienawiścią na Brandira, który zrozumiał wówczas, że człowiek ten po prostu opuścił swych towarzyszy, a zawstydzony ucieczką szukał potem kryjóWKi między drzewami.

- Hańbą okryłeś się, Dorlasie - powiedział Brandir. - Ty sprowadziłeś na mieszkańców lasu Brethilu wszystkie nieszczęścia. Namawiałeś Turambara do wojaczki, ściągnąłeś nam na kark smoka, przez ciebie zaczęto mną gardzić, ty w końcu ponosisz odpowiedzialność za śmierć Hunthora, a teraz ukrywasz się tchórzliwie w lesie! - Nagle o jednym jeszcze pomyślał i gniew rozpałił się weń mocniej. - Czemu nie wróciłeś z nowinami? To przynajmniej mogłeś zrobić. Gdybyś tak uczynił, pani Niniel nie poszłaby sama sprawdzić, co się dzieje. Nigdy nie ujrzałaby smoka. Żyłaby dalej. Nienawidzę cię, Dorlasie!

- Nie dbam o twą łaskę! Mizerna to nienawiść, bez wartości rady. Gdyby nie ja, Orkowie by nas napadli i powiesili cię w ogrodzie niczym stracha na wróble. To z ciebie nie ma żadnego pożytku!

Zlekceważony, ze szczętem ogarnięty wstydem, dał się ponieść wściekłości i zamierzał uderzyć Brandira pięścią jak bochen, wtedy jednak właśnie, zdumiony niepomierne, zakończył życie przeszyty mieczem, który przeciwnik zdążył na czas wydobyć. Brandir stał jeszcze przez chwilę nieruchomo, walcząc z wywołanymi krwawym widokiem mdłościami, aż upuścił broń i przygięty pokuśtykał o kuli swoją drogą.

Gdy dotarł do Nen Girith, jasny księżyc zaszedł już i noc miała się ku końcowi. Na wschodzie pojawiły się pierwsze znaki poranka. Kulący się wciąż przy moście, przestraszeni ludzie ujrzeni go, jak niczym szary cień podchodził coraz bliżej, a kilku zawołało w zdumieniu:

- Gdzie się podziewałeś? Widziałeś ją może? Pani Niniel zniknęła.

- Tak, zniknęła - odparł. - Odeszła i nigdy już nie wróci! Ale inne jeszcze niosę wieści. Nadstawcie uszu, ludzie z Brethilu, i sami osądźcie, czy dane wam było kiedy poznać opowieść podobną do tej, którą ja mam dla was! Smok nie żyje, a Turambar leży przy jego boku. Dobre to nowiny. Tak, zaiste, obie są dobre.

Szmer się podniósł. Ludzi zdumiała jego słowa, a niektórzy sądzili wręcz, że wódz oszalał, Brandir jednak krzyknął:

- Wysłuchajcie mnie do końca! Śmierć również zabrała Ninieł, piękną kobietę, którą kochaliśmy, którą ja ukochałem najbardziej. Rzuciła się w przepaść przy Jelenim Skoku⁶² i Teiglin ją pochłoniął. Nie mogła bowiem ścierpieć blasku dnia oraz nader gorzkiej i bolesnej prawdy. Oto, czego się dowiedziała: oboje byli dziećmi Hurina, siostrą i bratem. Jego zwano Monnegil, sam nadał sobie imię Turambar, ukrywając przeszłość, kiedy żył jako Turin, syn Hurina. Ją zwaliśmy Ninieł, nic o niej nie wiedząc, a była to Nienor, córka Hurina. Mroczny cień nie odstąpił ich w Brethilu i tutaj też dopełniło się ich przeznaczenie, przez co tę krainę na zawsze ogarnie smutek. Nie zwijcie jej więcej Brethilem, nie jest to już Halethrim, ale *Sarch nia Hin Hurin*, Grób Dzieci Hurina!

Chociaż nikt nie pojmował, jak mogło dojść do owego szeregu nieszczęść, ludzie zapłakali, a ktoś powiedział:

- Grobem stał się Teiglin dla Ninieł ukochanej, grób winien mieć i Turambar, najdzielniejszy z ludzi. Nie godzi się zostawiać wybawcy pod gołym niebem. Chodźmy i urządzimy pochówek, na jaki zasłużył.

⁶² Nieco dalej sam Turin przed śmiercią nazwał to miejsce Kaped Naeramarth i można przypuszczać, że miano to wywodzi się z przekazu o jego ostatnich słowach.

Zarówno tutaj, jak i w *Silmarillionie*, powiada się, że Brandir był ostatnim człowiekiem, który zajrzał w Kaped-en-Aras, a przecież potem zjawił się tam jeszcze i Turin, i elfy, i wszyscy ci, którzy usypali kurhan. Pozorna ta niezgodność może być wyjaśniona, jeśli uzna się określenie „czeluść” (w którą spojrział Brandir) za przenośnię. Ojciec miał zamiar przerobić ten fragment tak, by Turin zabił się nie przy Kaped-en-Aras, ale na kurhanie Finduilas przy Przeprawie, jednak ta wersja nie została nigdy spisana.

Śmierć Turina

Gdy Ninieł odbiegła, Turin drgnął. Zdało mu się, że ktoś woła go spoza zasłony gęstej ciemności. Gdy Glaurung wydał ostatnie tchnienie, mrok opuścił także Turina. Odetchnął głęboko, westchnął, po czym zasnął z wielkiego wyczerpania. Ze świtem wszakże nadeszło przenikliwe zimno i Turin wiercić zaczął się przez sen, aż rękojeść Gurthanga przeszkadzała mu na tyle, że obudził się nagle. Noc ustępowała, powietrze pachniało już porankiem. Zerwał się na równe nogi, przypominając sobie i niedawną wiktoryę, i dłoń spaloną jadem. Spojrzawszy na rękę zdziwił się, że obwiązana jest paskiem białej tkaniny, wciąż jeszcze wilgotnym i uśmierającym ból.

- Czemu ktoś zaczął mnie kurować, ale zostawił potem na pogorzelisku, w smoczym smrodzie? Cóż dziwnego się tu zdarzyło? - zdumiał się głośno.

Zawołał, ale nikt nie odpowiedział. Wokół zalegał odór śmierci, posępna czerń znaczyła okolicę. Schylił się i podniósł niczym nie naruszony miecz. Ostrze lśniło jak przedtem.

- Ohydny był jad Glaurunga - powiedział - lecz ty mocniejszy jesteś ode mnie, Gurthangu! Wszelką krew wypijesz. To twoje zwycięstwo. Ale chodź! Musimy poszukać pomocy. Ciało mam obolałe i przemarzłem do szpiku kości. Odwrócił się plecami do truchła Glaurunga i zostawił je, by zgniło. Im dalej jednak szedł, tym z większym trudem stawiał stopy, aż pomyślał: „Może przy Nen Girith znajdę czekających na mnie zwiadowców. Obym jak najszybciej dotarł do domu, gdzie dzięki czułym dłoniom Ninieł i kuracjom Brandira odzyskani siły!

Tak, wlokąc się powoli i podpierając mieczem, o szarym świetle dotarł do Nen Girith właśnie w chwili, gdy zebrani tam chcieli wyruszyć po jego zwłoki.

Stanął przed nimi, oni zaś cofnęli się przerażeni, że to niespokojny duch męża powrócił. Kobiety zapiszczały i zakryły oczy. On jednak powiedział:

- Nie płaczcie, tylko się radujcie! Widzicie? Przecież żyję! Czyż nie zabiłem smoka, którego tak się obawialiście? - Wówczas ludzie rzucili się z krzykiem na Brandira.

- Głupi jesteś ze swoim bajaniem, że legł tam martwy! Rację mieliśmy mówiąc, żeś oszalał!

Brandir jednak, blady jak ściana, patrzył na Turina ze strachem w oczach i słowa nie mógł wydobyć.

- Czy to ty przyszedłeś i opatrzyłeś mi dłoń? - spytał Turin. - Dziękuję. Jednak słabnie twoja siła, jeśli nie potrafisz odróżnić omdlenia od śmierci. - I zwrócił się do zgromadzonych. -

Nie mówcie tak do niego, sami głupcami jesteście. Kto spośród was zrobił coś więcej? On miał przynajmniej tyle odwagi, by zejść tam na dół, podczas gdy wyście tylko jęczeli! Ale mów teraz, synu Handira. Ciekawym, skąd się tu wzięliście, skoro nakazałem wam zostać w Ephel? Liczyłem na posłuch, dla was przecież poszedłem nadstawiać karku? I gdzie jest Ninieł? Mam nadzieję, że jej ze sobą nie przywiedliście, ale została w domu, pod dobrą strażą?

Kiedy nikt mu nie odpowiadał, krzyknął:

- Mówcie, gdzie Ninieł? Ją pierwszą chcę ujrzeć, jej najpierw opowiem, co zdarzyło się tej nocy.

Oni jednak kryli przed nim twarze, aż Brandir odezwał się wreszcie:

- Ninieł tu nie ma.

- No to i dobrze. Wracam zatem do domu. Czy znajdzie się dla mnie jakiś koń? Albo i nosze. Czuję wielkie zmęczenie.

- Nie, nie! - wyrzuca z siebie Brandir. - Pusty jest twój dom, Ninieł odeszła. Nie żyje.

Ale jedna z kobiet, żona Dorlasa, która niezbyt lubiła Brandira, zawołała przenikliwym głosem:

- Nie słuchaj tego, panie! Oszalał. Przyszedł tu z wieścią, żeś legł martwy i powiedział, że to dobrze. Ale jesteś. Czemu zatem mielibyśmy uwierzyć, w jego historię o Ninieł, że nie żyje, a nawet gorzej?

Turin podskoczył do Brandira.

- A więc ucieszyłeś się moją śmiercią? Tak, zawsze zrażałeś Ninieł do mnie, to wiedziałem. A teraz wygadujesz takie okropne rzeczy. Jakież kłamstwo wylęzło się z twojej przewrotności, kuternego? Czyżbyś chciał nas zabić oszukańczym słowem, skoro nie władasz inną bronią?

Gniew wyparł wszelki żal i współczucie z serca Brandira.

- Oszalałem? Nie, to ty postradałeś zmysły, Czarny Mieczu, wieszczu zguby! Swojej i tego skarłałego ludu. Nie lżę! Ninieł nie żyje, martwa jest, martwa, martwa, martwa! Szukaj jej w Teiglinie!

Turin znieruchomiał.

- Skąd o tym wiesz? - spytał cicho.

- Widziałem, jak skoczyła - odparł Brandir. - Ale tyś to sprawił. Przed tobą uciekała, Turinie, synu Hurina. Rzuciła się w Kabad-en-Aras, by nigdy już więcej cię nie oglądać. Ninieł! Ninieł? Nie, Nienor, córka Hurina.

Turin chwycił go i potrząsnął, czując przytłaczający go ciężar fatum. Przerażony i wściekły, wciąż jednak nie wierzył Brandirowi, gotów jak śmiertelnie ranne zwierzę kąsać

wszystko wkoło.

- Tak, jam Turin, syn Hurina - wrzasnął. - Dawno już to odgadłeś. Ale nic nie wiesz o Nienor, mojej siostrze. Nic! Mieszka w Ukrytym Królestwie i jest tam bezpieczna. Sam wymyśliłeś to podle kłamstwo, by mą żonę pograć w szaleństwie, a teraz dobrałeś się do mnie. Ty kulawy parszywcu, oboje chcesz nas zaszczuć na śmierć?

Brandir jednak wyzwoił się z uścisku.

- Precz! - powiedział. - Przestań bredzić. Ta, którą zwiesz żoną, znalazła i opatrzyła cię, ale nie odpowiadała na jej wołania. Ktoś odezwał się jednak za ciebie. Glaurung. Sądzę, że to on przywiódł was do tego losu. Przemówił, nim zdechł: „Nienor, córko Hurina. Oto twój brat: skrytobójca, zdradliwy wobec wrogów, niewierny dla przyjaciół. Przeklęty on i ród jego. Turin, syn Hurina!” - Po czym nagły śmiech ogarnął Brandira. - Powiadają, że na łożu śmierci człowiek zawsze mówi prawdę - chichotał. - Ze smokami jest pewnie tak samo! Turinie, synu Hurina, przeklęty ród twój i zgubieni wszyscy, którzy cię przygarną!

Turin porwał się do miecza i zły blask rozgorzał w jego oczach.

- A co o tobie mam powiedzieć, kulawcu? - spytał powoli. - Kto przywiódł Ninieł do smoka? Kto stał beczynn timer pozwolił jej umrzeć? Kto przybiegł tu, ile sił w kulasach, by czym prędzej ogłosić te straszne wieści? Kto teraz napawa się mym nieszczęściem? Powiadasz, że ludzie prawdę mówią przed zgonem. No to masz okazję do prawdomówności, tylko się pośpiesz.

Odczytując z twarzy Turina zapowiedź rychłej śmierci, Brandir nie zląkł się jednak, chociaż za całą broń miał jedynie laskę. Wyprostował się i rzekł hardo:

- Długa byłaby opowieść o wszystkim, co się zdarzyło, a ja zbyt jestem już tobą znużony. Dlaczego zarzucasz mi oszczerstwo, synu Hurina? Czy Glaurung kłamał? Jeśli mnie zabijesz, wówczas wszyscy przekonają się, że nie. Ale nie boję się śmierci, bo wyruszę wówczas do Ninieł, którą kochałem i być może znajdę ją znów za Morzem.

- Ninieł chcesz szukać?! - krzyknął Turin. - Nie, Glaurunga raczej tam znajdziesz, razem będziecie płodzili kłamstwa. Ze smoczym robactwem się połączysz, tworząc dobraną parę, w jednej ciemności pleśń was stoczy! - Po czym uniósł miecz i usiekł Brandira. Ludzie zaś zakrywali oczy, nie chcąc patrzeć na taką jatkę, a gdy Turin odwrócił się, by odejść z Nen Girith, wszyscy uciekli przed nim przerażeni.

Jak błędny tułał się potem po lasach, przeklinając Śródziemie i całe życie człowiecze, głośno wzywając Ninieł. Gdy jednak opuściło go szaleństwo smutku, przysiadł na chwilę, zadumał się nad swymi czynami i usłyszał własny krzyk: „Mieszka w Ukrytym Królestwie i jest bezpieczna!” Wtedy pomyślał, że chociaż życie jego legło w gruzach, to jednak tam

właśnie powinien jeszcze pójść. Ostatecznie Glaurung nigdy nie powiedział mu prawdy, zawsze zwodząc kłamstwami z dobrej drogi. Wstał i ruszył ku brodom na Teiglinie, a gdy mijał Haudh-en-Elleth, zawołał:

- O Finduilaso, gorzką cenę zapłaciłem, żem usłuchał smoka! Ześlij mi teraz jakąś radę!

Ujrzał wówczas dwunastu zbrojnych, którzy w pełnym rynsztunku przeprawiali się przez rzekę. Były to elfy, a gdy bliżej podeszli, Turin poznał jednego z nich, Mablunga, wodza armii Thingola.

- Turinie! Jakże szczęśliwe to spotkanie! - powitał go Mablung. - Szukałem cię i rad jestem wielce, że żyjesz, chociaż ciężkie miałeś przeżycia minionymi czasami.

- Ciężkie! - sarknął Turin. - Tak, ciężkie niczym stopa Morgotha. Ale wyście chyba ostatnimi istotami w Śródziemni, które cieszy mój widok. Czemu właściwie?

- Bo darzymy się szacunkiem - odparł Mablung. - Wiele niebezpieczeństw pokonałeś, bardzo się też o ciebie martwiliśmy. Widziałem nadejście Glaurunga i myślałem, że zrobi, co w podłości swej zamierza, i wróci do swego pana. Ale on skierował się ku Brethilowi, równocześnie zaś przyszła wieść, że Czarny Miecz z Nargothrondy znów się pojawił i że Orkowie unikać zaczęli tych okolic jak samej śmierci. Przeraziłem się i pomyślałem, że oto smok wyrusza tam, gdzie Orkowie nie mogą, i że szuka Turina. Tak i pospieszyłem, ile sił w nogach, by ostrzec cię i wesprzeć.

- Bystro ruszyłeś, ale nie dość szybko - powiedział Turin. - Glaurung nie żyje. Elfy spojrzały nań ze zdumieniem i rzekły:

- Zabiłeś wielką bestię?! Po wsze czasy ludzie i elfy chwalać będą twoje imię!

- Mało o to dbam - odparł Turin. - Mrok zaległ w moim sercu. Ale skoro przychodzicie z Doriathu, powiedzcie, co dzieje się z moimi bliskimi. Usłyszałem w Dorlominie, że uciekli właśnie do Ukrytego Królestwa.

Elfy zamilkły.

- W rzeczy samej - odezwał się po dłuższej chwili Mablung. - Rok przed nadejściem smoka. Ale, niestety, nie ma ich tam teraz!

Turin zdrętwiał, czując, że oto wielkimi krokami zbliża się doń ostateczny nieuchronny wyrok losu.

- Mów dalej! - krzyknął. - Byle zwięźle!

- Poszły obie na pustkowia, by cię szukać - powiedział Mablung. - Wszyscy im to odradzali, ale uparli się dotrzeć do Nargothrondy. Wiadomo już było, że to ty kryłeś się pod imieniem Czarnego Miecza. Ale Glaurung nadciągnął i rozgonił drużynę. Od tamtego dnia nie widziałem już więcej Morweny. Nienor zaś oniemiała i ogłuchła za sprawą smoczego czaru i

niczym łania pobiegła na północ, w lasy, gdzie zaginęła. - Ku zdumieniu elfów Turin roześmiał się głośno i chrapliwie.

- Czy to nie zabawne? - krzyknął. - O, piękna Nienor! Uciekła więc z Doriathu do smoka, a od smoka do mnie. Jaka łaskawość losu! Ciemną miała cerę i czarne włosy, niewysoka i szczupła jak dziecko elfów, każdy by ją poznał!

- Coś się tu nie zgadza - stwierdził zaskoczony Mablung. - Nie tak wyglądała twa siostra. Wysoka była, o błękitnych oczach i złotych włosach, na kobiecy sposób podobna do swego ojca, Hurina. Jej widzieć nie mogłeś!

- Nie mogłem? Naprawdę nie mogłem, Mablungu? Czemu niby? Czemu? Bo ślepy jestem! Nie wiedzieliście? Ślepy, ślepy od dzieciństwa, po omacku wędruję w mrocznej mgle Morgotha! Zostawcie mnie! Idźcie! Wracajcie do Doriathu i niech zima go zmrozi. Przekłety niech będzie Menegroth! I wasza misja! Miara się przepełniła. Nadchodzi noc!

Rzekłszy to, umknął niczym wiatr, zostawiając ich zdumionych i przerażonych.

- Stało się coś dziwnego, o czym nie wiemy. Chodźmy za nim i spróbujmy mu pomóc, jak oszalały pogonił, bez zmysłów.

Turin jednak był już daleko. Dotarł do Kated-en-Aras, gdzie przystanął. Usłyszał huk wody i ujrzał liście opadające z pomizerniałych w całej okolicy drzew, jakby zimowa żaloba nadeszła w pierwszych dniach lata.

- Kated-en-Aras, Kated Nearamarth!⁶³ - krzyknął. - Nie pokalam wód, które Niniel obmyły. Wszystkie bowiem moje uczynki chore się zrodziły, a ostatni był najgorszy.

Wyciągnął miecz i powiedział:

- Pozdrowiony bądź, Gurthangu, śmierci żelazna! Ty jeden mi pozostałeś! Ale czy znasz innego pana, niż ten, który tobą włada? Komu jesteś posłuszny, prócz dłoni, która cię ściska? Nie wzdragasz się przed żadną krwią! Czy zabierzesz Turina Turambara? Czy szybką śmierć mi zadasz? Ostrze zadźwięczało chłodną odpowiedzią:

- Tak, wypiję twą krew, by zapomnieć o krwi Belega, mego pana, i krwi Brandira, niesprawiedliwie ubitego. Gładko się z tobą uporam.

Oparł więc Turin rękojeść miecza o ziemię i rzucił się na klingę, a czarne ostrze pozbawiło go życia.

Gdy Mablung dotarł na to miejsce, ujrzał ohydne ścierwo smoka, zauważył też Turina i zasmucił się wielce. Przypomniawszy sobie syna Hurina takiego, jakiego widział podczas Nirnaeth Arnoediad, zadumał się na strasznym losie jego bliskich.

Elfy stały tam jeszcze, gdy z Nen Girith nadciągnęli ciekawi widoku bestii ludzie. Gdy

zobaczyli, do jakiego końca przywiodło życie Turina Turambara, zapłakali, elfy zaś z przerażeniem poznały sens jego ostatnich słów.

- I mnie też objęła klątwa ciężąca na dzieciach Hurina, słowami zgładziłem tego, którego kochałem - rzekł z goryczą Mablung.

Unieśli Turina i ujrzeni, że miecz jego rozpadł się na kawałki. Tak odeszła ze świata ostatnia jego własność.

Wysiłkiem wielu rąk ułożono potem wysokie stopy drewna. Spalono trupa smoka, aż tylko popiół po nim pozostał i skruszały kości. Miejsce, w którym to uczyniono, nagie pozostało na zawsze i jałowe. Turina zaś pochowano tam, gdzie legł. Obok ciała złożono szczątki Gurthanga, po czym usypano wysoki kopiec nad mogiłą. Potem, gdy minstrele elfów oraz ludzi jęli opiewać męstwo Turambara i urodę Niniei, wielki, szary głaz przydźwigano na szczyt kopca. Elfy wykuły na nim runami Doriathu:

TURIN TURAMBAR DAGNIR GLAURUNGA

Poniżej zaś dopisały jeszcze: Nienor Niniei

Ale jej ciała tam nie było i nie wiadomo, gdzie poniosły je zimne wody Teiglinu.

Tak kończy się Opowieść o Dzieciach Hurina, najdłuższa ze wszystkich pieśni Beleriandu.

⁶³ Wydaje się, że „Jeleni Skok” było pierwotną nazwą tego miejsca i znaczyło to samo, co Kabad-en-Aras.

Dodatek

Od momentu, kiedy Turin zamieszkał wraz ze swoimi ludźmi w pradawnej siedzibie Poślednich Krasnoludów na Amon Rudh, opowieść zaczyna się rwać i pełna jest luk i wariacji aż do chwili, kiedy to „Narn” podejmuje wątek podróży Turina na północ po upadku Nargothrundu. Jednakże liczne szkice, próby i notatki pozwalają dojrzeć pewien zarys opowieści o wiele obszerniejszej, niż skromna relacja pomieszczona w *Silmarillionie*, a nawet przymiarki do kilku powiązanych ze sobą tekstów na skalę „Narn”.

Osobny fragment opisuje życie banitów na Amon Rudh w czasie tuż po osiedleniu, dokładniej odmalowuje też Bar-en-Danwedh.

Z początku banici zadowoleni byli z życia w kryjówce i stan taki utrzymał się dość długo. Jedzenia mieli dostatek, a miejsca więcej, niżby potrzebowali, odkryli bowiem, że suche i ciepłe jaskinie pomieścić mogłyby w razie potrzeby nawet setkę lub więcej mieszkańców. Głębiej znajdowała się mniejsza komora z paleniskiem pod jedną ścianą i kominem z wylotem zmyślnie ukrytym w szczelinie zbocza. Były jeszcze i inne sale, połączone z główną jaskinią lub bocznymi korytarzami, spośród których jedne służyły za mieszkania, inne za warsztaty lub magazyny. Mim od lat gromadził w nich wszelkie piękne przedmioty, w tym i naczynia oraz skrzynie z kamienia i drewna, na oko bardzo stare. Większość komór stała jednak obecnie praktycznie nie wykorzystywana: rdza i kurz okrywały wiszące w zbrojowniach topory i rozmaity oręż, półki i schowki świeciły pustkami, w kuźniach panowała martwa cisza. Tylko jedna mała komnata wyposażona była w palenisko mające komin wspólny z tym wiodącym z wielkiej sali. Mim pracował tam czasami, nie pozwalał jednak, by ktokolwiek mu przy tym towarzyszył.

Przez resztę roku nie wyruszali na żadne zbrojne wyprawy, co najwyżej polowali lub zbierali zapasy, małymi grupkami wymykając się z kryjówki. Z początku jednak mieli kłopoty ze znalezieniem drogi powrotnej i poza Turinem tylko sześciu ludzi zdołało kiedykolwiek zapamiętać szlak. Niemniej przekonawszy się, że ktoś wprawny w tropieniu śladów może dostać się na górę i bez Mima, zaczęli trzymać dniem i nocą straż przy szczelinie na północnej ścianie. Z południa wroga nie oczekiwali, bezpodstawną byłaby też obawa, że ktoś zaryzykuje wspinaczkę od tej strony, niemniej za dnia wartownik siadał zwykle na szczycie korony, skąd roztaczał się rozległy widok. Zbocze u samego szczytu było bardzo strome, ale pokonanie go ułatwiały stopnie wykute w skale na wschód od wejścia do jaskini.

Rok mijał spokojnie, nie dostarczając okazji do sięgania po broń. Gdy jednak dni zrobiły się krótsze, pełen coraz zimniejszej wody staw poszarzał, brzozy straciły liście i wróciły deszcze, wtedy przyszło banitom więcej czasu spędzać w kryjówce. Mrok i mdła poświata

panująca w salach dopiekle im wkrótce i wielu zaczęło szemrać, że o wiele lepiej żyłoby się im bez pomocy Mima. Zbyt często zdarzało się, że wyglądał z jakiegoś ciemnego kąta czy pustych drzwi, chociaż nikt się go tam nie spodziewał zastać. Tak i cichnąć zaczęły rozmowy w obecności krasnoluda, aż banici nabrali zwyczaju, by cały czas porozumiewać się szeptem.

Ku ich wielkiemu zdziwieniu, Turin zachowywał się odmiennie, coraz bardziej zaprzyjaźniając się ze starym krasnoludem i wciąż pilniej nastawiając ucha jego radom. Gdy przyszła zima, mógł godzinami siadywać obok Mima, słuchając jego opowieści i mądrości. Nie ganił przy tym gospodarza, gdy zdarzało mu się mówić źle o Eldarach. Ujęty najpewniej takim traktowaniem, krasnolud okazywał Turinowi coraz więcej względów, pozwalając nawet niekiedy, by ten jeden człowiek towarzyszył mu w kuźni, gdzie rozmawiali z cicha. Ludziom podobano się to o wiele mniej, a Androg popatrywał nawet zazdrośnie.

Tekst przedstawiony w *Silmarillionie* nie informuje, jakim sposobem Beleg znalazł drogę do Bar-en-Danwedh, po prostu „pewnego zimowego dnia w mętnym świetle zjawił się między nimi” (str. 249). Inne szkice wspominają, że za przyczyną braku zapobiegliwości zaczęła się zimą kończyć banitom żywność, a Mim poskapił im jadalnych korzonków ze swych zapasów, tak i z początkiem roku wyprawili się ostatecznie na polowanie. Zbliżając się do Amon Rudh, Beleg trafił na ich ślad i albo poszedł potem za nimi do obozu, który musieli rozbić, by schronić się przed nagłą śnieżycą, albo depcząc im po piętach, wemknął się za wracającą grupą do Bar-en-Danwedh.

W tymże czasie, usiłujący wytropić tajny magazyn Mimowej żywności Androg zagubił się w jaskiniach. W końcu trafił na ukryte schody wiodące na płaski wierzchołek Amon Rudh (to tymi schodami niektórzy z banitów zdołali zbiec, gdy Orkowie zaatakowali Bar-en-Danwedh: *Silmarillion*, str. 251). Albo przy okazji wspomnianego wcześniej wypadu, albo kiedyś później, Androg znów zaczął, mimo klątwy Mima, używać łuku i strzał, co skończyło się zranieniem go zatrutym grotem. Jedną spośród kilku wzmianek o tym zdarzeniu dopowiada, że była to strzała Orka.

Beleg wyleczył Androga, ale nieufność i niechęć tego drugiego do elfów nie zmaląła przez to ani o jotę; Mim nienawidził Belega tym bardziej, w tenże bowiem sposób klątwa została „odczyniona”. Tak i rzekł krasnolud: „Ukaś cię raz jeszcze”, ale dotarło do Mima, że lembasy Meliany mogłyby przywrócić mu siłę i młodość. Nie mogąc ich wykraść, udał chorobę i poprosił przeciwnika o poczęstowanie. Gdy Beleg odmówił, Mim zamknął się w swej nienawiści wzmaganej jeszcze przez serdeczne uczucia okazywane elfowi przez Turina.

Ponadto można nadmienić, że gdy Beleg wyciągnął lembasy z torby (*Silmarillion*, str. 246, 249), Turin nie chciał ich przyjąć.

Srebrzyste liście lśniły czerwienią w blasku ognia. Gdy Turin ujrzał pieczęć, oczy mu pociemniały.

- Co tu masz? - spytał.

- Największy dar, jakiego nie otrzymałeś dotąd od kogoś, kto cię kocha - odparł Beleg. - To lembasy, chleb elfów, którego nie próbował dotąd żaden człowiek.

- Hełm ojca wezmę - powiedział Turin - z wdzięcznością, że go przechowalesz, ale nie przyjmę niczego, co pochodzi z Doriathu.

- Jeśli tak, to oddaj miecz i wszelką broń. Zwróć to, czegoś się nauczył w młodości. Dla zachcianki czystej pozwól, by twoi ludzie pomarli na pustyni. Tak czy inaczej, ja otrzymałem ten chleb w darze i mogę rozporządzać nim wedle życzenia. Nie jedz, skoro ma ci stawać kością w gardle, ale inni mogą być mniej pyszni i bardziej przy tym głodni.

Wówczas Turin zmieszał się i poskromił dumę na takie dictum.

Istnieją też dalsze wskazówki dotyczące Dor-Kuartholu, Kraju Łuku i Hełmu, gdzie Beleg i Turin przewodzili przez czas jakiś z warowni na Amon Rudh silnemu hufcowi działającemu w krainach na południe od Teiglinu (*Silmarillion*, str. 250).

Turin chętnie przyjmował wszystkich, którzy się doń zgłosili, ale za radą Belega nie wpuszczał nikogo z nowo przybyłych do swego schroniska na Amon Rudh (które zwane było teraz Echad i Sedryn, Obozowisko Wiernych). Drogę tutaj znali tylko członkowie dawnej kompanii. Wokoło założono jednak inne strzeżone obozowiska i umocnienia: w lasach na wschodzie, na płaskowyżu, na południowych moczarach, od Methed-en-glas („Końca Lasu”) po Barerib kilka staj na południe od Amon Rudh, a ze wszystkich tych miejsc widać było wierzchołek Amon Rudh, z którego sygnałami przekazywano wieści i rozkazy.

W ten oto sposób, nim lato minęło, rzesza zwolenników Turina urosła w siłę i oddziały Angbadu zostały odparte. Wieści o tym dotarły nawet do Nargothrundu i wielu tamtejszych zaczęło rozglądać się za orężem, powiadając, że skoro byle banita może tak napsuć wojska Nieprzyjacielowi, to co dopiero Władca Narogu. Orodreth jednak nie zmienił decyzji. We wszystkim słuchał Thingola, z którym potajemnie wymieniał posłańców, a że był mądrym władcą, tak i przede wszystkim pragnął ocalić życie i majątek własnego ludu przed zakusami Północy. Nie dozwolił zatem nikomu ze swoich poddanych dołączyć do Turina, tylko wysłał mu gońców z wiadomością, że cokolwiek przedsięwzięcie w ramach wojny, nie powinien postawić stopy na ziemiach Nargothrundu ni wpędzać na nie Orków. Zaoferował jednak Dwóm Wodzom wszelką inną pomoc, prócz zbrojnej, gdyby zaszła taka potrzeba (jak się uważa, uczynił to za namową Thingola i Meliany).

Kilkakrotnie zostało podkreślone, że Beleg wspierał wprawdzie Turina, jednak

sprzeciwiał się jego wielkim planom, twierdząc, iż inaczej Smoczy Hełm podział na przyjaciela, niż było to zamierzone. Belega ogarniał niepokój, przewidywał bowiem, co przyniesie przyszłość. Zachowały się fragmenty ich rozmów na tenże temat. Podczas jednej z nich siedzą obaj w Echad i Sedryn, a Turin powiada do Belega:

- Czemu jesteś smutny i zamyślony? Czy wszystko nie obróciło się na lepsze, odkąd do mnie wróciłeś? Czy moje dążenia nie dowiodły swych racji?

- Wszystko idzie dobrze - odparł Beleg. - Wrogowie nie mogą otrząsnąć się ze zdumienia i strachu. Przez pewien czas pomyślność będzie nam jeszcze sprzyjała.

- A potem?

- Nadejdzie zima. A następnie nowy rok. Przynajmniej dla tych, którzy dożyją tej chwili.

- A jeszcze potem?

- Gniew Angbada. Czarna Ręka sparzyła się na nas, ale tyle tylko. Nie wycofa się.

- Ale czy właśnie nie o rozgniewanie Angbada nam chodziło? - spytał Turin. - Czegóż innego się po mnie spodziewałeś?

- Sam wiesz najlepiej, ale nie wolno mi o tym wspominać. Niemniej posłuchaj mnie teraz. Władca wielkiej siły ma równie wielkie potrzeby. Musi szukać schronienia, musi być bogaty i musi mieć też takich poddanych, którzy bezpośredniego udziału w wojnie nie biorą. Im więcej owych sług będzie, tym więcej trzeba żywności, a na pustkowiach aż tyle jej nie ma. Coraz trudniej też utrzymać niektóre sprawy w tajemnicy. Amon Rudh jest dobrym miejscem, ale dla garstki ledwie. Udana to warownia, ale stoi na uboczu, zewsząd widoczna. Nie trzeba wielkiej siły, by ją otoczyć.

- Tak czy inaczej, będę wodzem mych własnych wojsk - powiedział Turin - a jeśli padnę, to padnę. Stałem Morgothowi na drodze i póki trwam tutaj, nie może skorzystać z południowego traktu. Za takie działanie Nargothrond winien mi choć trochę wdzięczności. Mógłby też pomóc, dostarczając potrzebnych rzeczy.

W innym krótkim urywku rozmowy Turin takimi słowami odpowiedział Belegowi, gdy ten ostrzegł go przed mizernością stworzonej armii:

- Pragnę władać jakąś krainą, ale nie tą. Tutaj chcę jedynie zebrać siły. Serce moje zwraca się do ojcowizny w Dorlominie i tam podążę, gdy tylko będę mógł.

Stwierdza się tam także, że Morgoth wycofał się na pewien czas, pozorując jedynie ataki, „tak aby przez łatwe zwycięstwo nabrali buntownicy przesadnego mniemania o swej potędze, co istotnie się stało”.

Androg pojawia się ponownie w szkicu dotyczącym napaści na Amon Rudh. Dopiero

wówczas ujawnił przed Turinem fakt istnienia wewnętrznych schodów. Sam też wydostał się nimi na szczyt. Miał walczyć najdzielniej ze wszystkich, ale padł w końcu, zraniony śmiertelnie strzałą i tak wypełniła się klątwa Mima.

Nie da się nic dodać do pomieszczonej w *Silmarillionie* opowieści dotyczącej poszukiwania Turina przez Belega, jego spotkania z Gwindorem w Taur-nu-Fuin, uratowania Turina i śmierci Belega z ręki Turina. O posiadaniu przez Gwindora jednej z „feanoryjskich lamp” wspomniałem wcześniej w przypisie 2. do rozdziału pierwszego.

Można jednak dodać, że ojciec zamierzał rozwinąć historię Smoczego Hełmu Dorlominu, sięgając aż do okresu pobytu Turina w Nargothrondzie, a nawet dalej, nigdy jednak nie przerodził się ów zamiar w opowieść. W istniejących wersjach hełm znika ze sceny wraz z końcem Dor-Kuartholu i zniszczeniem warowni banitów na Amon Rudh, niemniej jakimś sposobem nadal znajduje się w posiadaniu Turina w czasach Nargothrundu. Musiałby zatem zostać wzięty przez tych Orków, którzy zawiedli Turina do Angbadu, jednak uznanie, że Turin odzyskał go przy okazji ratowania Belega i Gwindora, wymagałoby niejakich uzupełnień w tekście.

Osobny urywek powiada, że podczas pobytu w Nargothrondzie Turin nie chciał już przywdziewać hełmu, „żeby nie zdradzić, kim jest”, jednak założył go idąc do Bitwy o Tumhalad (*Silmarillion*, str. 259, kiedy to osłonił oblicze krasnoludzką maską znaną w zbrojowniach Nargothrundu). A oto ciąg dalszy tego fragmentu:

Złęknieni owym hełmem nieprzyjaciele omijali Turina, tak że nie tknięty wyszedł z największego zamętu bitewnego. Wrócił ze Smoczym Hełmem na głowie do Nargothrundu, a Glaurung, pragnąc pozbawić Turina wsparcia i osłony (Glaurung też bał się hełmu), szydził z syna Hurina, że wasalem jest smoczym i poddanym Glaurunga, skoro nosi na hełmie podobiznę swego pana.

Turin odparł jednak:

- Kłamiesz i świadomie to czynisz. Wizerunek ten zrodził się z pogardy wobec ciebie. Jak długo ktoś będzie wciąż nosił ten hełm, tak długo i ty spokoju nie zaznasz, pewności nie mając, czy tenże mąż zagłady na cię nie sprowadzi.

- Tak i trzeba będzie hełmowi nowego pana - stwierdził Glaurung - Turina, syna Hurina, bowiem nijak się nie lękam. Wręcz przeciwnie, to on nie ma śmiałości spojrzeć mi otwarcie w oczy.

I rzeczywiście tak wielką grozę smok roztaczał, że Turin nie považał się unieść przyłbicy hełmu, by popatrzeć jawnie na bestię i przez cały czas rozmowy nie odrywał oczu od stóp smoka. Ostatecznie jednak duma i porywczosć przeważały i pod wpływem owych

szyderstw Turin podniósł przyłbicę i spojrzał Glaurungowi w ślepie.

Gdzie indziej pojawia się wzmianka, że gdy do mieszkającej w krainie Doriathu Morweny dobiegły wieści o pojawieniu się Smoczego Hełmu w Bitwie o Tumhalad, od razu poznała, że prawdziwa to nowina i że Mormegil jest właśnie jej synem.

Odnalazłem również sugestię, by Turin nosił Smoczy Hełm w trakcie zabicia Glaurunga. Miałby wówczas szydzić z konającej bestii, przypominając wypowiedziane w Nargothrondzie słowa o konieczności znalezienia dla hełmu nowego pana. Nie ma wszakże żadnych wskazówek dotyczących takich przekształceń fabuły, aby pomysł ów urzeczywistnić.

Istnieje fragment traktujący o istocie i przedmiocie sprzeciwu Gwindora wobec polityki prowadzonej przez Turina w Nargothrondzie, która to sprawa została w *Silmarillionie* potraktowana nader pobieżnie (str. 258). Ustęp ten nie ma postaci opowieści, ale można go przedstawić następująco:

Na naradach u Króla Gwindor przemawiał zawsze przeciwko Turinowi, powiadając, że był sam w Angbadzie i wie nieco o potędze i zamysłach Morgotha.

- Takie mizerne zwycięstwa niczego nam w ostatecznym rachunku nie przyniosą - powiedział - dowie się bowiem dzięki nim Morgoth, gdzie kryją się najdzielniejsi spośród jego przeciwników i zbierze siły dość wielkie, by ich zniszczyć. Cała potęga elfów i Edainów starczyła ledwo, by go powstrzymać i zapewnić pokój. Rozejm trwał długo, ale tylko do chwili, kiedy Morgoth gotów był już do unicestwienia tego przymierza. Nigdy już nie dojdzie do podobnego sojuszu. Zostało nam już tylko przeczekać, nie ujawniając się, aż przybędą Valarowie.

- Valarowie! - wykrzyknął Turin. - Zapomnieli oni już o was, ludźmi zaś pogardzają. Co przyjdzie z wpatrywania się w zachodni horyzont? Tutaj dość nam jednego Valara, z którym musimy się uporać, to Morgoth, a jeśli nie możemy go ostatecznie pokonać, pozostaje dokuczyć mu i powstrzymać jego pochód. Zwycięstwo, nawet małe, zawsze pozostaje zwycięstwem i to niezależnie od tego, co dalej z owej wiktarii ma wynikać. Ale znaczy też więcej, jeśli bowiem niczego nie zrobicie, by przeszkodzić Morgothowi, jego cień zalegnie rychło nad całym Beleriandem, a potem was, jednego po drugim, z wolna wykurzy z siedzib. A co dalej? Żałosne grupy niedobitków uciekną na południe i na zachód, by szukać schronienia nad brzegiem Morza, schwytani w pułapkę między Morgothem a Ossem. Lepiej już zatem wywalczyć sobie nieco chwały, choćby nawet i krótkotrwałej, bo koniec nasz gorszym już i tak być nie może. Mówisz o tajemnym przeczekiwaniu, mówisz, że jedyna to nadzieja, ale czy jesteś w stanie przechwycić każdego, najmarniejszego nawet szpiega Morgotha, aby nikt ani słowa o nas nie poniósł do Angbadu. Ale i to by wystarczyło, by Nieprzyjaciel zorientował się,

gdzie czai się jego wróg. I to jeszcze powiem: chociaż życie człowiecze krótkim jest wobec trwania elfów, to jednak śmiertelnicy wolą raczej spędzić je w walce, niż uciekać czy oddawać się w niewolę. Opór stawiony przez Hurina Thaliona to wielki wyczyn, którego nawet Morgoth, choć bardzo by chciał, nie może wymazać z pamięci. Czyż nie zapisał się on w dziejach Ardy w historii, której ani Morgoth ani Manwe nie mogą unicestwić?

- O wielkich sprawach mówisz - odparł Gwindor - i widowym jest, że żyłeś między Eldarami. Ale chyba mrok zaległ w twoich myślach, skoro jednym tchem wymieniasz imiona Morgotha i Manwego czy też uznajesz Valarów za wrogów elfów i ludzi. Valarowie nie znają pogardy, równo traktują najlichsze nawet z dzieci Iluvatara. Nie wiesz też wszystkiego o nadziejach Eldarów. Z dawna przekazywane jest wśród nas proroctwo, że pewnego dnia wysłannik ze Śródziemia przeniknie cienie skrywające Valinor i Manwe wysłucha go, a Mandos da się przebłagać. Czy nie winniśmy przechować nasienia Noldorów, a także i Edainów, w oczekiwaniu owego czasu? Kirdan zamieszkał na Południu i znów buduje okręty, ale co ty wiesz o nich czy o Morzu? Siebie tylko dostrzegasz i własną chwałę, od nas zaś żądasz, byśmy tak samo czynili. Ale naszą powinnością jest myśleć także o innych, nie każdy bowiem może walczyć, nie wszystkim trzeba ginąć i tych właśnie musimy jak najdłużej zachować od wojennej pożogi.

- Załadujcie ich zatem na statki, póki jeszcze pora - powiedział Turin.

- Nie zechcą od nas odejść - stwierdził Gwindor - nawet gdyby Kirdan zdołał ich wyżywić. Musimy trzymać się razem, jak długo będzie nam to dane, i nie kusić śmierci.

- Na to wszystko dałem już odpowiedź - powiedział Turin. - Mężna obrona granic i miazdzące wypadki na wroga, nim ten zbierze siły - oto najlepszy sposób, aby dalej wspólnie przemieszkiwać. Czy ci, o których mówisz, bardziej miłują kryjących się w lasach i polujących jako te wilki, czy też takich, co hełm przywdziewają, biorą tarczę i ruszają na wroga, choćby nawet i o wiele liczniejszego? Nawet kobiety Edainów nie powstrzymywały swych mężów, gdy ci wyruszali na Nirnaeth Arnoediad.

- I cierpiały potem większą niedolę, niż gdyby bitwa owa nigdy się nie odbyła - stwierdził Gwindor.

Wątek miłości Turina do Finduilasy również miał zostać jeszcze rozwinięty:

Finduilas, córka Orodretha, miała złote włosy, jak wszyscy w rodzie Finarfina i widok jej oraz towarzystwo zaczęły być Turinowi miłe, jako że przypominała mu pokrewne kobiety z domu jego ojca w Dorlominie. Z początku spotykał ją tylko w obecności Gwindora, potem jednak i ona zaczęła wypatrywać okazji i widywali się czasami na osobności, niby to przypadkiem. Potem jeszcze wypytywała go o Edainów, o których do tej pory prawie nic nie

wiedziała, oraz o kraj jego i pobratymców.

Turin odpowiadał jej chętnie, chociaż nie wymieniał nazwy miejsca swoich narodzin ani imion bliskich, w końcu zaś powiedział:

- Miałem niegdyś siostrę, Lalaith ją zwałem. Przypominasz mi ją. Ale ona dzieckiem tylko była, żółtym kwiatem na zielonych łąkach wiosny, a gdyby żyła dzisiaj, zapewne smutek odebrałby jej radość życia. Lecz ty nosisz się jak królowa, jesteś jak złociste drzewo. Pragnąłbym mieć tak piękną siostrę.

- Ale i ty wyglądasz jak król - odparła - a nawet jak wódz spośród ludu Fingolfina. Chciałabym mieć tak dzielnego brata. Sądzę, że nie nazywasz się wcale Agarwaen, bo imię to do ciebie nie pasuje. Nazwę cię Thurin, Tajemnica.

Wzdrygnął się Turin, lecz powiedział:

- Nie tak brzmi moje imię i nie jestem królem, nasi władcy bowiem wywodzą się od Eldarów, ja zaś nie.

Turin zauważył, że przyjaźń łącząca go z Gwindorem ostygła. Zdumiał się ponadto, o ile bowiem z początku pamięć upiorności Angbadu zdawała się nie nękać Gwindora, to teraz przygnębienie i smutek znów go dopadły. Snuł domysły: „Może dlatego chodzi smutny, bo pokonałem go i pogardziłem radami; tego bym nie chciał”. Kochał bowiem Gwindora jako mędrca i uzdrowiacza. Bardzo mu współczuł. W owych dniach jednak zbladła również radość Finduilasy. Twarz się jej zachmurzyła, krok utracił sprężystość. Turin przypuszczał, że to słowa Gwindora zasiały w jej sercu lęk przed tym, co mogła przynieść przyszłość.

W istocie Finduilas popadła w rozterkę. Owszem, ceniła Gwindora i współczuła mu, nie chciała przydać mu smutków ni łez, ale mimo woli pokochała Turina i z każdym dniem uczucie stawało się coraz silniejsze. Pomyślała nawet o historii Berena i Luthien. Ale Turin nie przypominał Berena! Nie pogardzał nią i mile witał jej towarzystwo, ale wiedziała też, że nie darzy jej miłością taką, jakiej by oczekiwała. Gdzie indziej był i sercem, i myślami, wciąż wspominając dawne wiosny. Wówczas Turin przemówił do Finduilasy:

- Nie pozwól, aby słowa Gwindora napełniły cię strachem. Wiele przecierpiał w mrokach Angbadu, a jako że dzielny jest mężem, ciężko mu znosić takie okaleczenie i przymusową bezczynność. Pocieszenia potrzebuje i długo potrwa, nim wyzdrowieje.

- Dobrze o tym wiem.

- Ale my wywalczymy dla niego ten czas! - powiedział Turin. - Nargothrond wytrwa! Nigdy już Morgoth Nikczemny nie wyrzuci z Angbadu, polegać mu przyjdzie tylko na swych sługach, tak powiada Meliana z Doriathu. Oni są jako palce czarnych dłoni, a my przytrzaśniemy je, a potem odetniemy, aż Nieprzyjaciół cofnie łapę. Nargothrond wytrwa!

- Może - powiedziała Finduilas. - Jeśli dopniecie swego, to tak się stanie. Ale uważaj, Adanedhelu, z ciężkim sercem żegnam cię, gdy wyruszasz do walki. Boję się, by Nargothrond nie został bez wodza.

Potem Turin poszukał Gwindora i tak mu rzekł:

- Gwindorze, drogi przyjacielu, znów pogrążasz się w smutku, nie czyń tego! Pobyt wśród krewnych i blask Finduilasy przywróci ci jeszcze zdrowie.

Gwindor spojrzał na Turina i chociaż nie odpowiedział, to oblicze miał chmurne.

- Czemu tak na mnie patrzysz? - spytał Turin. - Często ostatnimi czasy dziwnie wodzisz za mną wzrokiem. Czym cię zasmuciłem? Sprzeciwiłem się twym radom, ale mężczyzna winien mówić, co myśli, miast dla prywaty skrywać prawdę. Wolałbym, żebyśmy byli jednego zdania. Nie zapomnę, że jestem twoim dłużnikiem.

- Zaprawdę? Niemniej swoimi czynami i słowami odmieniłeś mój dom i moich bliskich. Rzuciłeś na nich cień. Czemu miałbym się cieszyć, gdy tracę wszystko na twoją korzyść?

Turin jednak nie pojął tych słów, przypuszczając, że Gwindor zazdrości mu posłuchu u Króla i monarszej serdeczności.

W następnym urywku Gwindor ostrzega Finduilas, czym grozi miłość do Turina, i ujawnia, kim jest ów człowiek. Tekst ten jest dość zbieżny z fragmentem przedstawionym w *Silmarillionie* (str. 257), jednak pod koniec natykamy się na odpowiedź Finduilas, dłuższą niż w innych wersjach:

- Chyba wzrok ci przyćmiło, Gwindorze - powiedziała. - Nie widzisz lubo nie rozumiesz, co nadchodzi. Czy muszę po dwakroć wstyd przecierpieć, by prawdę ci uświadomić? Bo kocham cię, Gwindorze, i wstyd mi, że nie bardziej, ale uległam uczuciu potężniejszemu, przed którym nie ucieknę. Nie szukałam go i długo odpychałam. Ale skoro ja szczerze boleję nad twoimi ranami, to i ty miej dla mnie litość. Turin nie kocha mnie i tak już pozostanie.

- Mówisz to, aby uwolnić ukochanego od winy. Czemu zatem szuka twej obecności, przesiaduje z tobą i coraz mu to milsze?

- Bo i on potrzebuje pocieszenia. Sam został, bez swoich. Obaj jesteście w potrzebie. A co z Finduilas? Nie dość, że przychodzi mi, niekochanej, wyznać tą okrutną prawdę, to jeszcze sądzisz, że chcę cię oszukać?

- Nie. Niewiele kobiet przyzna się, że nie są kochane, jeśli tak jest w istocie.

- Jeśli ktokolwiek winę tu ponosi, to ja, ale odstępstwo poczyniłam mimowolnie. A twe przeznaczenie i plotki o Angbadzie? A śmierć i zniszczenie? Adanedhel wciąż ważne miejsce

zajmuje w księdze świata i sięgnie on jeszcze kiedyś Morgotha.

- Jest dumny.

- Ale i miłosierny - powiedziała Finduilas. - Nie przebudził się jeszcze, ale litość zawsze znajdzie drogę do jego serca, a on nigdy jej nie odtrąci. Może tylko to pozostanie. Ale ty nie lituj się nade mną. Traktuj mnie z czcią, jakbym zarazem matką i królową mu była!

Może Finduilas prawdę powiadała, więcej widząc bystrymi oczami Eldarów. Turin zaś, nie mając pojęcia o tej rozmowie, odnosił się do Finduilas jeszcze łagodniej, widząc jej smutek. W końcu jednak dziewczyna rzekła:

- Thirinie Adanedhelu, czemu skrywasz przede mną swe prawdziwe imię? Gdybym wiedziała, kim jesteś, wcale bym przez to mniej cię nie szanowała, za to lepiej rozumiałabym twój ból.

- Co chcesz powiedzieć? Kogo we mnie dostrzegasz?

- Turina, syna Hurina Thaloiona, wodza Północy.

Wówczas Turin zganił Gwindora za ujawnienie jego prawdziwego imienia, jak podaje to *Silmarillion* (str. 257).

Istnieje jeszcze jeden fragment tej opowieści, pełniejszy niż wersja przytoczona w *Silmarillionie* (o bitwie o Tumhalad i napaści na Nargothrond nie ma więcej wzmianek, rozmowy zaś Turina ze smokiem zostały tak obszernie przedstawione w *Silmarillionie*, iż wątpliwym się wydaje, by zostały jeszcze rozwinięte). Fragment ów jest o wiele pełniejszą relacją dotyczącą przybycia elfów Gelmira i Arminasa do Nargothrondy w roku jego upadku (*Silmarillion*, str. 258-259). Kwestia ich wcześniejszego spotkania z Tuorem w Dorlominie, do której znajdujemy tu odniesienia, została poruszona w pierwszej opowieści niniejszej książki.

Wiosną przybyło dwóch elfów, którzy zwali się Gelmir i Arminas i pochodzili z ludu Finarfina. Powiedzieli, że mają sprawę do Władcy Nargothrondy, zostali zatem zaprowadzeni przed Turina, Gelmir jednak zaprotestował:

- To przed obliczem Orodretha, syna Finarfina, winniśmy stanąć. A gdy przyszedł Orodreth, Gelmir rzekł mu:

- Panie, wywodzimy się z ludu Angroda i długą drogę przebyliśmy od Dagor Bragollach, ale ostatnio mieszkamy pośród zwolenników Kirdana przy Ujściu Sirionu. Pewnego dnia wezwał nas Kirdan i kazał udać się do ciebie, sam bowiem Ulmo, Pan Wód, pojawił się i ostrzegł go przed wielkim niebezpieczeństwem, które zawisło nad Nargothrondem i jest coraz bliższe.

Orodreth jednak był ostrożny i spytał:

- Czemu zatem przybywacie z północy? A może macie jeszcze inną misję do

wypełnienia?

- Panie, od dni Nirnaeth szukamy bez powodzenia Ukrytego Królestwa Turgona. Obawiam się, że opóźniłem przez to nasze posłanie ponad miarę. Kirdan wysłał nas statkiem wzdłuż wybrzeża, by w sekrecie naszą misję utrzymać i przyspieszyć dotarcie do Nargothrondy. Na brzeg wysiedliśmy w Drengist. Jednak wśród ludzi morza było kilku mężów z południa, którzy przybyli tam jako wysłannicy Turgona i z ich oszczędnych słów wywnioskowałem, że Turgon żyje wciąż na Północy, a nie na Południu, jak sądzi się powszechnie. Nie znaleźliśmy jednak ani jednego znaku, nie dotarła do nas jakakolwiek pogłoska, która by naprowadziła nas na jego ślad.

- Czemu szukacie Turgona? - spytał Orodreth.

- Bo powiada się, że jego królestwo najdłużej wytrzyma napór Morgotha - odrzekł Arminas i słowa te wydały się Orodrethowi złą wróżbą, przez co nie krył niezadowolenia.

- Jeśli tak, to nie marnujcie czasu w Nargothrondzie. Nie usłyszycie tu żadnych wieści o Turgonie. Nie trzeba mi mówić, że Nargothrond znalazł się w niebezpieczeństwie.

- Nie miej nam za złe, panie - rzekł Gelmir - że szczerze ci odpowiadamy. Zboczyliśmy z prostego szlaku ku tobie wiodącego, ale nie na darmo, dotarliśmy bowiem dalej niż twoi zwiadowcy. Przeszliśmy przez Dorlomin i kraje u stóp Ered Wethrin, zapuściliśmy się w dolinę Przełomu Sirionu, szpiegując zamysły Nieprzyjaciela. Zbiera się obecnie w tamtych stronach wielka siła Orków i złowrogich istot, armia zaś gromadzi się w rejonie Wyspy Saurona.

- O tym wiem - powiedział Turin. - Wczorajsze to wieści. Jeśli posłanie od Kirdana miało posłużyć czemukolwiek, winno dotrzeć do nas wcześniej.

- Niemniej choć z opóźnieniem, to jednak przekazemy ci, co nam kazano, panie - zwrócił się Gelmir do Orodretha. - Wysłuchaj słów Pana Wód! Tak oto przemówił do Kirdana, Budowniczego Statków: „Zło z Północy splugawiło źródła Sirionu i władza moja zaniknęła w rozwidleniach tych wód. Najgorsze jednak dopiero nadchodzi. Powiedz zatem Władcy Nargothrondy: Zamknij bramy fortecy i nie wychodź na zewnątrz. Wrzuć kamienie swej dumy do grzmiącej rzeki, by zło pełzające nie znalazło bramy”.

Niejasno słowa te zabrzmiały Orodrethowi, toteż zwrócił się do Turina o radę, jak zwykł to czynić. Turin jednak nie dowierzał posłańcom, rzekł zatem pogardliwie:

- Co Kirdan wiedzieć może o naszych wojnach z Nieprzyjacielem, którego mamy pod bokiem? Niech żeglarz pilnuje swoich statków. Jeśli Pan Wód chce nas ostrzec, musi wyrażać się bardziej przejrzyście. W przeciwnym bowiem razie lepiej byśmy chyba uczynili zbierając wojska i ruszając śmiało na spotkanie wrogów, zanim ci podejną pod nasze drzwie.

Z pilnym posłaniem Gelmir i Arminas zdążyli do Nargothrondy dłuższym szlakiem

wokół wybrzeża do zatoki Drengist. Arminas zaznaczył, że uczyniono to, by utrzymać ich misję w sekrecie i dla pośpiechu, ale temu celowi bardziej posłużyłoby obranie drogi w górę Narogu, by dotrzeć do celu od południa. Można przypuszczać, że Kirdan uczynił tak, wypełniając wolę Ulma (który chciał, by posłańcy spotkali w Dorlominie Tuora i przeprowadzili go przez Bramę Noldorów), ale nigdzie nie znajdujemy potwierdzenia tego domysłu.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

J.R.R. TOLKIEN

Niedokończone opowieści

Tom II

(Przełożył Radosław Kot)

NOTKI O UTWORACH

I. Opis wyspy Numenor

Chociaż jest to opis raczej niż opowieść, zdecydowałem się włączyć wybrane fragmenty tekstu ojca, szczególnie że są to wycinki dotyczące ukształtowania Numenoru, współbrzmiące z opowieścią o „Aldarionie i Erendis”. Opis ten istniał z całą pewnością już w roku 1965 i prawdopodobnie powstał niewiele wcześniej.

Mapkę przerysowałem z małego, pospiesznie wykonanego szkicu, wedle wszelkich znaków jedyne przedstawienia Numenoru, kiedykolwiek sporządzonego przez ojca. Zamieściłem na mapce tylko te nazwy i oznaczenia, które znalazłem na oryginale. Dodatkowo była tam jeszcze ukazana przystań nad Zatoką Andunie, nieco na zachód od samego miasta. Jej nazwa, nader trudna do odczytania, niemal na pewno brzmi: Almaida. Z tego, co wiem, nie pojawia się ona nigdzie indziej.

II. Aldarion i Erendis

Opowieść ta była najmniej dopracowaną spośród wszystkich pomieszczonych w tym zbiorze i wymagała miejscami tak daleko idących interwencji redakcyjnych, że aż wahałem się, czy włączenie jej do książki jest celowe. Jest to jednak tekst nader interesujący, jedyny zachowany (w odróżnieniu od kronik i roczników) z całej długiej historii Numenoru, wieków poprzedzających zagładę wyspy, zrelacjonowaną w *Akallabeth*. Jest to także tekst o tematyce niespotykanej zgoła w twórczości ojca, tak zatem zdecydowałem ostatecznie, że błędem byłoby wykluczenie tej historii spośród *Niedokończonych opowieści*.

Konieczność wspomnianych interwencji dyktował fakt, że przy tworzeniu opowieści mój ojciec posługiwał się zwykle konspektami, szczególną uwagę zwracając na datowanie poszczególnych wydarzeń, tak zatem owe konspekty przypominały nieco kroniki. W tym konkretnym przypadku podobnych „drabinek” było co najmniej pięć, różniły się przy tym stopniem rozwinięcia rozmaitych wątków, nierzadko też przeczyły jedna drugiej, tak w sprawach ogólnych, jak i w szczegółach. Niezmienną jednak cechą jest to, że wszystkie owe szkice zawierają fragmenty narracji (w tym i dialogów). Piąty i ostatni szkic opowieści o Aldarionie i Erendis został w ten sposób tak znacznie rozbudowany, że liczy aż około sześćdziesięciu stron rękopisu.

Jednakże przechodzenie od nader skrótowego, analitycznego wywodu (pisanego w czasie teraźniejszym) do opowieści następowało stopniowo, w miarę postępu prac nad zarysem historii. Początkowe partie musiałem wręcz przerobić, aby uzyskać w miarę jednorodną stylistycznie całość. Zmiany dotyczyły wyłącznie sposobu formułowania zdań, a nie ich sensu, niczego też do pierwotnego przekazu nie dodawałem.

Najpóźniejszy ze szkiców, będący podstawą mojej pracy, nosił tytuł „Cień Cienia”: opowieść o żonie marynarza oraz historia Królowej-pasterki. Rękopis ten urywa się nagle i nie potrafię wyjaśnić, czemu ojciec zaniechał nad nim pracy. Doprowadzony do tego samego miejsca maszynopis tekstu został ukończony w roku 1965, ale istnieją jeszcze dwie dopisane strony, według mnie teksty te powstały później od wszystkich innych materiałów. Bez wątplenia zawierają one początek ostatecznej wersji całej historii, zatytułowanej „Indis i Kiryamo”. Żona marynarza. Jest to opowieść z pradawnego Numenoru, zdająca sprawę z pierwszych pogłosek o nadejściu Cienia. Wykorzystałem ją jako otwarcie rozdziału o Aldarionie i Erendis (gdzie szkice szczególnie skąpiły danych).

Pod koniec przytoczonej legendy podaję wszystkie, nieliczne wszakże, wskazówki dotyczące zamierzonego dalszego ciągu.

III. Dynastia Elrosa: królowie Numenoru

Chociaż tekst ten ma formę typowej kroniki dynastycznej, włączyłem go jako dokument istotny dla historii Drugiej Ery, szczególnie że w niniejszej książce znalazła się znaczna część istniejących materiałów dotyczących tego właśnie okresu. Oryginał sporządzony został maczkiem, poprawiane zaś wielokrotnie daty dotyczące życia i panowania Królów i Królowych Numenoru nie zawsze są dziś czytelne. Starałem się niemniej uwzględnić ostatnie ich wersje. Znajdujemy tu parę chronologicznych łamigłówek, jednakże spis pozwala również na sprostowanie kilku ewidentnych błędów występujących w Dodatkach do *Władcy Pierścieni*.

Genealogia wcześniejszych pokoleń w linii Elrosa zaczerpnięta została z kilku ściśle powiązanych ze sobą rodowodów datowanych podobnie jak dysputa o prawach sukcesji w Numenorze. Imiona pomniejszych postaci występują tu wprawdzie lekko odmienione (jak Vardilme i Vardilye, Yavien i Yavie), jednak formy podane przeze mnie skłonny jestem uważać za późniejsze.

IV. Historia Galadrieli i Keleborna

Rozdział ten różni się od innych (pomijając te pomieszczone w Części Czwartej), nie zawiera bowiem jednego tekstu, a raczej rozprawę złożoną z cytatów. Wynika to z postaci dostępnych materiałów; jak staje się to jasne w trakcie lektury, dzieje Galadrieli i Keleborna mogą zostać przedstawione jedynie jako historia kolejnych, zmieniających się koncepcji tej opowieści. „Niedokończoność” nie jest w tym przypadku cechą jednego tylko fragmentu, ale całości. Ograniczyłem się wyłącznie do prezentacji nie publikowanych pism dotyczących zagadnienia, zaniechawszy jakichkolwiek rozważań na istotniejsze, u podstaw sprawy leżące tematy. W przeciwnym bowiem razie należałoby zająć się związkami pomiędzy Valarami i Elfami poczynając od (opisanej w *Silmarillionie*) decyzji, by wezwać Eldarów do Valinoru, jak i innymi zagadnieniami, którym mój ojciec poświęcił wiele pism, wychodzących jednak poza ramy tematyczne niniejszej książki.

Historia Galadrieli i Keleborna jest tak silnie spleciona z pozostałymi legendami i opowieściami - o Lothlorien i Leśnych Elfach, o Amrocie i Nimrodel, o Kelebrimborze i stworzeniu Pierścieni Władzy, o wojnie z Sauronem i interwencji Numenoryczyków - że nijak nie da się jej od nich oddzielić, tak zatem ów rozdział, wraz z pięcioma Dodatkami, zawiera praktycznie wszystkie nie publikowane dotąd materiały dotyczące Drugiej Ery Śródziemia (w nieunikniony sposób sięgając także miejscami do Trzeciej Ery). „Kronika Lat” w Dodatku B do *Władcy Pierścieni* głosi: „Były to dla ludzi ze Śródziemia złe czasy, ale dla Numenoru dni chwały. O zdarzeniach w Śródziemiu mamy z tej epoki nieliczne tylko i krótkie wzmianki, a daty są przeważnie niepewne”. Nawet jednak te rzadko występujące uwagi, ocalałe ze „złych czasów”, ulegały zmianom w miarę, jak dojrzewała i rozrastała się wizja mojego ojca, nie próbowałem zatem wygładzać chropowatości narracji, czy prostować niekonsekwencji, raczej eksponowałem je, zwracając na nie uwagę.

Istnienie odmiennych wersji nie musi zawsze prowadzić do prób przyznawania którejś z nich pierwszeństwa. Podobnie też nie zawsze daje się odróżnić mego ojca jako „autora” czy „kreatora” od postaci „kronikarza” jedynie spisującego dawne historie w takiej postaci, w jakiej przetrwały pośród różnych ludów przez stulecia (przecież kiedy Frodo spotkał Galadrielę w Lorien, ponad sześćdziesiąt stuleci już minęło od chwili, gdy pani elfów przekroczyła Góry Błękitne, odchodząc na wschód ze zniszczonego Beleriandu). „Różnie się o tym mówi, a jak było naprawdę, mogliby rzec jedynie dawno już nieżyjący Mędrcy”.

W ostatnich latach życia ojciec pisał dużo na temat etymologii nazw Śródziemia. Chaotyczne te rozprawy zawierają sporo na temat historii i legend, dobranych jednak wedle

filologicznego klucza i prezentowanych jakby mimochodem. Fragmenty takie wymagały zatem wyizolowania i dlatego właśnie pojawiają się w tekście rozdziału w formie krótkich cytatów, dalsze zaś urywki o tym samym charakterze umieszczone zostały w Dodatkach.

CZEŚĆ DRUGA

DRUGA ERA

I. OPIS WYSPY NUMENOR

Przytoczone tutaj informacje o Numenorze pochodzą z zapisów i prostych map przechowywanych od dawna w archiwach królów Gondoru. Tekst ten jest jedynie małą częścią pism niegdyś istniejących - wiele sekretów natury zostało niegdyś opisanych przez ludzi z Numenoru, poznali oni liczne krainy i niejedno odkryli - jednak wszystko niemal, podobnie jak dorobek nauki i sztuki Numenoru z okresu jego rozkwitu, przepadło wraz z Upadkiem.

Nawet takie dokumenty, jak te przechowywane w Gondorze czy w Imladris (gdzie pod opieką Elronda złożono ocalałe skarby numenoryjskich królów Północy), były tracone lub zaniedbywane. Wprawdzie uchodźcy w Śródziemiu „tęsknili”, jak powiadali, za Akallabeth-Upadłym, mimo to nigdy, nawet po upływie długich stuleci, nie przestali uznawać siebie za wygnańców. Kiedy zaś stało się jasnym, że Kraina Daru została im odebrana i że Numenor zniknął na zawsze, garstka ledwie kontynuowała badania nad zamierzchlą historią, podczas gdy większość uznawała takie zajęcia za bezużyteczne, przynoszące jedynie daremny smutek. W późniejszych wiekach powszechnie znano już tylko opowieść o Ar-Farazonie i jego świętokradczej armadzie.

Wyspa Numenor przypominała zarysem pięcioramienną gwiazdę, której część centralna miała średnicę około czterystu kilometrów. Od tej to części odchodziło pięć wielkich półwyspów uznawanych za osobne krainy: Forostar (Ziemie Północne), Andustar (Ziemie Zachodnie), Hyarnustar (Ziemie Południowo-Zachodnie), Hyarrostar (Ziemie Południowo-Wschodnie) i Orrostar (Ziemie Wschodnie). Krainę centralną zwano Mittahnar (Ziemie Wewnętrzne). Nie graniczyła ona z morzem, prócz okolic Romenny u krańca zatoki. Z Mittabnaru wydzielony został pewien obszar o nazwie Arandor (Ziemia Królewska). W tym obrębie leżała właśnie przystań Romenny, Meneltarma oraz Armenelos (Miasto Królów). Centrum zawsze stanowiło najludniejszy region Numenoru.

Mittahnar położony był znacznie wyżej niż półwyspy (o ile nie brać pod uwagę rozciągających się na nich wzgórz i pasm górskich). W krainie tej rozciągały się łąki, wznosiły pagórki, drzew rosnęło niewiele. W pobliżu środka wyspy wypiętrzała się wysoka góra zwana Meneltarma (Kolumna Niebios), miejsce oddawania czci Eru Iluvtarowi. Chociaż niższe, łagodne stoki porastała trawa, to powyżej wznosiła się stromizna i sam wierzchołek pozostawałby niedostępny, gdyby nie droga, która mając swój początek u stóp góry od południa, biegła spiralą tuż pod sam szczyt, podchodząc doń od północy. Sam wierzchołek stanowił płaski teren, a w niecce pośrodku pomieścić mogło się prawdziwe ludzkie mrowie,

jednak przez cały czas trwania Numenoru pozostał nie zmieniony przez człowieka. Nie wzniesiono tam ani żadnej budowli, ani ołtarza, nie usypano nawet kopca z nie ciosanych kamieni, chociaż było to jedyne miejsce świątynne na całej wyspie w dniach jej chwały, to znaczy do nadejścia Saurona. Nigdy nie wniesiono tu narzędzia ni broni i nikt inny prócz Królów nie miał prawa wypowiedzieć tu słowa. Każdego roku na szczycie Król tylko trzykrotnie przemawiał: witając nowy rok w *Erukyereme* w pierwszych dniach wiosny, zanosząc modły do Eru Iluvatara w *Erulaitale* w połowie lata i czyniąc mu dziękczynienie w *Eruhantale* z końcem jesieni. W owych czasach królowie wspinali się na górę pieszo, ubrani na biało i przystrojeni, ale milczący, a w ślad za nimi maszerowała wielka rzesza. W innych chwilach wstęp na wierzchołek dozwolony był każdemu, w pojedynkę czy w grupie, ale powiadano, że cisza panowała tam tak wielka, że nawet przybysz, nie znający zwyczajów wyspy i jej historii, nie ważył się odezwać, zaprowadzony w owo miejsce. Żaden ptak, prócz orłów jeno, nigdy tam nie wlatywał, i ilekroć ktoś pojawiał się na szczycie, zaraz na skałach nad zachodnią krawędzią przysiadły trzy orły. Natomiast w czasie każdego z trzech świąt nie lądowały, tylko krążyły nad ludzką cizbą. Zwano je Świadcami Manwego i wierzono, że to on wysyła je z Amanu, by trzymały straż nad Świętą Górą i całą krainą.

Stoki przechodziły łagodnie w równię, jednak niczym korzenie Meneltarma wysyłała w pięć stron świata pięć długich grzbietów zwanych Tarmasundar (Korzenie Filaru). Droga ku górze wiodła granią południowo-zachodniego grzbietu, a pomiędzy tą a południowo-wschodnią odnogą leżała płytka dolina Noirinan (Dolina Grobów), gdzie w skale u podnóża wykuto grobowce Królów i Królowych Numenoru.

Przede wszystkim jednak Mittalmar uchodził za krainę pasterską. Pośród łąk na południowym zachodzie, w Emerie, mieścił się główny ośrodek Pasterzy.

Forostar to obszar najmniej urodzajny, kamienisty, z nielicznymi drzewami wyrastającymi bujniej jedynie na zachodnich stokach wyżynnych, podmokłych wrzosowisk, gdzie spotkać można było jodły i modrzewie. Ku Przylądkowi Północnemu kraina wznosiła się przechodząc w skaliste góry, gdzie wysoki szczyt Sorontilu wyrastał pionową ścianą wprost z morza. Tu miało swą siedzibę wiele orłów. W tejże również okolicy Tar-Meneldur Elentirmo wybudował okazałą wieżę, by obserwować z niej ruchy gwiazd.

Andustar też był kamienisty na północy, gdzie lasy wysokich jodeł spoglądały ku morzu. Trzy, ku zachodowi skierowane, niewielkie zatoczki głęboko wżynały się w ląd, pasmo plaży odgradzało strome zbocza od brzegu. Położona najbardziej na północ zatoka zwana była Zatoką Andunie, tam bowiem mieściła się wielka przystań Andunie (Zachodu Słońca) z miastem tuż nad brzegiem morza i wieloma innymi osiedlami rozłożonymi na stromych

stokach powyżej. Większość jednak południowych okolic Andustaru była urodzajna, gdzieśgdy porosła wielkimi lasami brzozowo-bukowymi w rejonach wyżynnych oraz dębowo-wiązowymi w dolinach. Pomiedzy wyniosłościami Andustaru i Hyarnustaru leżała ogromna zatoka zwana Eldanna, jako że otwierała się wprost na Eresseę, a krainy wokół osłonięte były od północy i otwarte na zachodnie morza, skąd wiatr przynosił ciepłe powietrze i liczne deszcze. Pośrodku zatoki rozłożył się najpiękniejszy z portów Numenoru, Eldalonde Zielony. Tutaj właśnie w dawniejszych czasach zawijały najczęściej śmigłe, białe statki Eldarów z Eressei.

Nad zatoką i dalej w głąb lądu bujnie rozrastały się wiecznie zielone, wonne drzewa sprowadzone z Zachodu. Eldarowie powiadali nawet, iż te okolice niemal dorównują pięknnością przystani na Eressei. Wspomniane drzewa zaś bardo ceniono na wyspie. Pamięć o nich trwała w pieśniach na długo jeszcze po tym, jak zniknęły na zawsze, bowiem *oiolaire*, *lairelosse*, *nessamelda*, *vardarianna*, *taniquelasse* i *yavannamire* o krągłych i szkarłatnych owocach tylko nielicznie występowały na wschód od Krainy Lasu. Kwiaty, liście i kora tych drzew rozgłaszały słodki zapach, który wypełniał krainę, dlatego nazwano ją Nisimaldar (Wonne Drzewa). Wiele z nich zasadzono też w innych częściach Numenoru, gdzie przyjęły się, jednak nie rozwinęły tak wspaniale, jedynie zaś tutaj ujrzyć można było potężne, złociste drzewo *malinorne*, po pięciu stuleciach wzrostu niewiele ustępujące roślinom tego gatunku na Eressei. Korę miało srebrzystą i gładką, konary wygięte lekko ku górze na podobieństwo buka, rozrastało się zaś wyłącznie ku górze, wydłużając strzelisty pień. Liście jego też przypominały bukowe, z tym że większe były i bladozielone z góry, a srebrzyste od dołu. Lśniły jasno w słońcu, a jesienią nie opadały, tylko okrywały się barwą jasnego złota. Wiosną, na całe lato pojawiało się żółte kwiecie, rosnące gęsto niczym na wiśni. Gdy tylko rozchylały się pączki kwiatów, liście opadały z gałęzi, zatem wiosną i latem zagajniki *malionorni* złościły się górą i dołem, zaś pnie drzew pozostawały szarosrebrzyste¹. Owocem drzewa był orzech o srebrzystej łupinie. Tar-Aldarion, szósty Król Numenoru, podarował kilka takich Królowi Gilgaladowi z Lindonu, gdzie wszakże drzewa nie zapuściły korzeni, jednak Gilgalad odstąpił część orzechów swej krewnej, Galadrieli. Pod jej troskliwym okiem *malinorne* rozkwitły w strzeżonej krainie Lothlorien nad rzeką Anduiną i rosły tam, aż Elfy Wysokiego Rodu opuściły Śródziemie. Nigdy jednak nie wybujały tak wysoko ni urodziwie jak drzewa z Numenoru.

Rzeka Nunduine wpadała do morza w Eldalonde, po drodze jednak tworząc niewielkie jezioro Nisinen, nazwane tak od porastających jego brzegi słodko pachnących kwiatów i

¹ Ten opis mallorna przypomina słowa Legolasa, które elf wypowiedział do swych kompanów, gdy drużyna zbliżała się do Lothlorien (*Wyprawa*, str. 451-452).

krzewów.

Hyarnustar był w zachodniej części górzysty, z nader wysokimi, klifowymi brzegami na zachodzie i południu, wschodnią jednak, ciepłą i urodzajną część krainy zajmowały winnice. Odnogi Hyarnustaru u Hyarrostaru rozbiegały się szeroko, a pomiędzy nimi rozciągało się długie, łagodnie obniżające się ku morzu wybrzeże, jakiego próżno by szukać gdzie indziej na całej wyspie. Tutaj właśnie znajdowało się ujście Siril, największej rzeki Numenoru (wszystkie inne bowiem, wyjąwszy Nunduine na zachodzie, były krótkie i bystrym nurtem dążyły ku morzu). Źródła Siril tryskały spod Meneltarmy w dolinie Noirinan. Płynąc dalej wartko ku południowi przez Mittalmar, w dolnym biegu rzeka rozlewała się leniwie licznymi zakolami. Ostatecznie pośród rozległych moczarów i porośniętych szuwarami płycizn wpadała do morza, a jej liczne odnogi rzeźbiły nieustannie nowe koryta w piaskach, cała delta bowiem otoczona była białymi plażami, poprzetykanymi gdzieniegdzie szarymi placami kamienistych łąch. U ujścia rzeki zamieszkiwali głównie rybacy. Najważniejsza z wiosek, wzniesionych na pagórkach wśród moczarów i rozlewisk, to Nindamas.

W Hyarrostarze rosło wiele gatunków drzew, a między nimi i *laurinque*, cenione przez wzgląd na piękne kwiaty i żadnego innego zastosowania nie mające. Nazwę drzewa te otrzymały od zwisających, długich kiści żółtych kwiatów. Ci, którzy słyszeli od Eldarów o Laurelin (Złotym Drzewie Valinoru), mylnie uważali, że widzą odrośle wielkiego Drzewa, zasadzone tu przez Eldarów. Za czasów Tar-Aldariona rozpoczęto w Hyarrostarze wielkie zalesianie terenu, by zyskać drewno do budowy statków.

Orrostar był krainą chłodniejszą. Jednak wznoszące się na krańcach cypla góry chroniły tę krainę od zimnych, północno-wschodnich wiatrów, zatem w głębi lądu, a szczególnie w okolicach graniczących z Arandorem, uprawiano zboże.

Cała wyspa Numenor robiła wrażenie lądu olbrzymią siłą wydzwigniętego z morza. Lekko pochylała się ku południu i wschodowi, jej brzegi zaś, prócz południowych, w całości niemal miały postać stromych klifów. Ptaki morskie zasiedlały nadbrzeżne rejony całymi stadami i mnożyły się bez miary. Marynarze powiadali, że nawet straciwszy wzrok poznaliby, że statek ich zbliża się do Numenoru, a to po ptasim jazgocie, ile razy bowiem jakaś jednostka podpływała do wyspy, ptaki całą chmurą wylatywały jej na spotkanie. Krążyły przyjaźnie nad pokładem, jako że nikt ich tutaj nie prześladował ani rozmyślnie nie zabijał. Czasem zdarzało się, że pierzaści kompani towarzyszyli statkom w podróży nawet do Śródziemia. Podobnie i w głębi lądu spotykało się nieprzeliczone wielogatunkowe stada ptactwa, poczynając od *kirinki*, nie większych od strzyżyka, ale szkarłatnych i popiskujących głosem ledwo słyszalnym dla ludzkiego ucha, na wielkich orłach, świętych ptakach Manwego, kończąc. Orły żyły

spokojnie na wyspie aż do chwili, gdy pojawiło się zło i nienawiść do Valarów. Przez dwa tysiące lat, od dni Elrosa Tar-Minyatura do czasów Tar-Atanamira, na szczycie wieży królewskiego pałacu w Armenelos znajdowało się orle gniazdo, w którym zawsze przemieszkiwała para ptaków korzystających z gościnności Króla.

W Numenorze ludzie zwykli podróżować wierzchem, i mężczyźni, i kobiety bowiem z radością dosiadali konie, które kochali ponad zwykłą miarę i otaczali niecodzienną troską. Zwierzęta tak nauczono, że rozpoznawały z daleka dobiegające wołanie i przybiegały w potrzebie. Stare opowieści mówiły nawet, iż ludzie szczerze kochający i siebie wzajem, i swoje wierzchowce, potrafili przyzywać rumaki samą myślą. Drogi zatem, specjalnie przystosowane dla jeźdźców, w większości nie miały utwardzonej nawierzchni. Powozów i karet rzadko używano we wcześniejszych stuleciach, a cięższe ładunki przewożono morzem. Najważniejsza i najdawniejsza droga, po której mogły się poruszać pojazdy kołowe, prowadziła z największego portu, Romenny na wschodzie, do królewskiego miasta Armenelos, a dalej do Doliny Grobów do Meneltarmy. Stosunkowo wcześniej przedłużono ten gościniec do Ondosto w granicach Forostaru, a stamtąd do Andunie na zachodzie. Ciągnęły tędy wozy wiozące z Północnych Ziem kamień, najlepszy budulec na wyspie, i drewno, będące głównym bogactwem Ziem Zachodnich.

Wśród Edainów na Numenor przybyło wielu mistrzów różnego rzemiosła, którzy pobierali nauki u Eldarów, pielęgnując ponadto własną wiedzę i tradycje. Niewiele jednak mogli zabrać ze sobą surowców, tak i przez długi czas na Numenorze używano jedynie metali szlachetnych. Edainowie przywieźli sporo złotych i srebrnych skarbów oraz drogocennych kamieni, nie trafili jednak na wyspie na podobne kopaliny. Umiłowali owe skarby dla ich urody, aż zrodziła się z tego chciwość, a później, w czasach Cienia, nawet pogarda dla pomniejszego ludu Śródziemia, który oszukiwać zaczęli przy handlu. W dniach przyjaźni z Elfami z Eressei otrzymywali od nich czasem podarunki w postaci złota, srebra i klejnotów, rzadkimi były jednak takie rzeczy (i wyżej przez to cenionymi) we wcześniejszych stuleciach, dopóki władza Królów nie rozciągnęła się na wybrzeża Wschodu.

Nabywszy wprawy w sztuce kopalnianej Numenoryjczycy znaleźli na wyspie kilka rodzajów metali. Nauczyli się je wytapiać i obrabiać, aż rychło powszechnie dostępne stały się przedmioty z żelaza i miedzi. Wśród kowali Edainów byli także tacy, którzy dzięki Noldorom umieli robić miecze, żeleźce toporów, groty włóczni i noże. Cech płatnerzy wciąż wykuwał oręż, aby sztuka ta nie zaginęła, jednakże większość czasu poświęcano na wytwarzanie narzędzi o pokojowym zastosowaniu. Król i wielcy wodzowie posiadali miecze otrzymane

wraz z dziedzictwem ojców², ale czasem zdarzało się, że obdarowywali nimi swoich spadkobierców. Nowy miecz wykuwano zawsze dla następcy tronu, by wręczyć mu go w dniu koronacji, ale w Numenorze nie noszono miecza u boku i przez długie lata nie dobywano tu broni. Nikt też nie przejawiał żadnej wojowniczości. Numenoryjczycy mieli topory i włócznie, a przede wszystkim łuki, łucznictwo bowiem, tak z postawy stojącej, jak i siodła było ulubionym sportem i rozrywką mieszkańców wyspy. W późniejszych czasach, gdy wojny rozgorzały w Śródziemiu, to właśnie numenoryjskie łuki budziły największą grozę. Powiadano, że: „Ludzie Morza wysyłali przed siebie ogromną chmurę przynoszącą deszcz węży lub grad ze stalowymi ostrzami”. W owych dniach liczne oddziały Królewskich Łuczników używały łuków z profilowanej stali i długich na łokieć strzał o brzechwach z czarnych piór.

Przez długi jednak czas załogi wielkich, numenoryjskich statków wyprawiały się do Śródziemia nie uzbrojone i chociaż na pokładzie znajdowały się topory potrzebne do obróbki drewna i łuki do polowań na dzikich wybrzeżach, to nikt nie brał ze sobą oręża, ruszając na spotkanie z mieszkańcami stałego lądu. Potem, gdy Cień ogarnął wybrzeża i ludzie, niegdyś przyjaźni, stali się bojaźliwie lub wrogo nastawieni, tym większy był żal Numenoryjczyków, że żelaza używać zaczęli przeciwko nim ci, którzy przedtem od wyspiarzy właśnie posiadli sekret obróbki tego metalu.

Ponad wszystko jednak silni, dobrze zbudowani Numenoryjczycy radowali się Morzem. Pływali, nurkowali, ścigali się małymi łódkami o wiosłach lub żaglach. Największą tężyzną wykazywali się rybacy. Łowili wokół wybrzeży, nigdy nie wyciągając pustych sieci, ryby zatem stanowiły na Numenorze główne pożywienie. Wszystkie co bardziej ludne miasta skupiały się na wybrzeżach i spośród rybaków właśnie wywodziła się większość marynarzy, którzy z latami zaczęli cieszyć się szczególną estymą. Powiadano, że gdy Edainowie po raz pierwszy wyruszyli na Wielkie Morze, szlakiem Gwiazdy kierując się do Numenoru, wiozące ich statki elfów dowodzone były i sterowane przez Eldarów wyznaczonych do tej misji przez Kirdana. Kiedy zaś załogi elfów odpłynęły, zabierając znaczną część statków, wiele czasu

² Miecz Królów to w istocie Aranruth, miecz Elu Thingola z Doriathu w Beleriandzie. Prawem spadku Elros otrzymał go od Elwingi, swej matki. W skład dziedzictwa wchodziły ponadto: Pierścień Barahira, wielki Topór Tuora, ojca Earendila i łuk Bregora z rodu Beora. Jedynie pierścień Barahira, ojca Berena Jednorękiego, przetrwał Upadek, jako że Tar-Elendil podarował go swej córce, Silmarien. Przechowywał go potem ród władców Anduinie, spośród których ostatnim był Elendil Wierny. On zaś umknął przed zagładą, salwując się ucieczką do Śródziemia [Przypis autora]. - Historię Pierścienia Barahira przedstawiono w *Silmarillionie* (rozdział 19), jego zaś późniejsze losy odtworzone zostały we *Władcy Pierścieni* (Dodatek A). O „wielkim Toporze Tuora” nie ma w *Silmarillionie* ani wzmianki, pojawia się jednak ów oręż w oryginalnym tekście „Upadku Gondolinu” (lata 1916-17, zob. notka wprowadzająca w pierwszym tomie *Niedokończonych opowieści*), gdzie mowa jest o tym, iż Tuor nosił topór chętniej niż miecz i że nazywał ową broń w mowie Gondolinu *Dramborleg*. W dołączonym do opowieści spisie imion własnych, *Dramborleg* przetłumaczono jako „Grzmiające Ostrze”: „Topór Tuora, który potrafił zarówno miażdżyć niczym maczuga, jak i rozszepiać niczym ostry miecz”.

musiało upłynąć, nim Numenoryjczycy odważyli się samodzielnie przemierzać morskie przestrzenie. Byli jednak wśród nich mistrzowie pobierający nauki od Eldarów, tak i udoskonaliwszy swój kunszt własną pracą, zaczęli się w końcu zapuszczać daleko w morze. Po upływie sześciu stuleci od początku Drugiej Ery Veantur, kapitan królewskiej floty za panowania Tar-Elendila, pierwszy dobił do brzegów Śródziemia. Korzystając z zachodnich wiatrów, dotarł swym statkiem „Entulesse” (co znaczy „Powrót”) do Mithlondy, po czym wrócił jesienią roku następnego. Od tamtej pory żegluga stała się wyzwaniem najczęściej podejmowanym przez najśmielszych i najwytrwalszych mieszkańców Numenoru, a Aldarion, syn Meneldura, którego żona była córką Veantura, założył Gildię Podróżników, zrzeszającą wszystkich wypróbowanych matrosów Numenoru, o których opowiada następna opowieść.

II. ALDARION I ERENDIS³

ŻONA MARYNARZA

Meneldur był synem Tar-Elendila, czwartego Króla Numenoru. Miał dwie siostry imionami Silmarien i Isilme. Starsza z nich poślubiła Elatana z Andunie. Ich syn Valandil, został władcą Andunie, od którego wywodzi się późniejsza dynastia Królów Gondoru i Arnoru w Śródziemiu.

Meneldur był człowiekiem łagodnego usposobienia, pozbawionym fałszywej dumy i wyżej cenił sobie wysiłek umysłu niż ciała. Ukochał wyspę Numenor całym sercem, ale nie zwracał uwagi na oblewające ją morze, jako że zwykł patrzeć dalej niż tylko na Śródziemie: urzekły go gwiazdy i nieboskłon. Przestudiował wszystko, co tylko udało mu się odnaleźć w zapiskach Eldarów i Edainów na temat Ea i otaczających Królestwo Ardy otchłaniach, najbardziej jednak uwielbiał obserwować odległe ciała niebieskie. Zbudował w Forostarze (najbardziej na północ wysuniętej części wyspy, gdzie powietrze było najczystsze) wieżę, z której mógł nocą podziwiać niebo, śledząc ruchy świetlnych punktów na firmamencie⁴.

Otrzymałszy Berło, porzucić musiał Forostar i zamieszkał wówczas w wielkim pałacu królewskim w Armenelos. Okazał się królem dobrym i mądrym, chociaż nigdy nie przestała go nękać tęsknota za dniami, kiedy zgłębiał tajemnice nieba. Piękna żona Meneldura miała na imię Almarian. Była córką Veantura, kapitana królewskich statków za czasów Tar-Elendila, i chociaż jak większość kobiet Numenoru nie wykazywała szczególnego zainteresowania morzem i okrętami, jej syn podążył śladem dziadka raczej niż ojca.

Ze związku Melendura i Almarian urodził się Anardil, wymieniany później z czcią wśród Królów Numenoru jako Tar-Aldarion. Miał dwie siostry, obie młodsze: Ailinel i Almiel. Starsza z nich poślubiła Orchaldora, dziedzica rodu Hadora, syna Hatholdira, który pozostawał w bliskiej przyjaźni z Meneldurem, syn zaś Orchaldora i Ailinel zwał się Soronto i pojawia się

³ Anardil (Aldarion) urodził się w roku 700 Drugiej Ery. Pierwszą podróż do Śródziemia odbył w latach 725-7. Jego ojciec, Meneldur, został Królem Numenoru w 740 roku. Gildia Podróżników powstała w roku 750, a Aldariona ogłoszono Następcą Króla w 800 roku. Erendis przyszła na świat w 771 roku. Siedmioletnia wyprawa Aldariona trwała od 806 do 813 roku, pierwszy rejs „Palarrana” odbył się w latach 816-20; podróż siedmiu statków, obraza dla Tar-Meneldura, w latach 824-9, a żegluga czternastoletnia, następująca zaraz potem, zajęła lata 829-43.

Aldarion i Erendis zaręczyli się w 858 roku. W latach 863-9 Aldarion znów wybrał się w podróż, a tuż po powrocie poślubił córkę Beregera w 879 roku. Ankalime urodziła się wiosną 873 roku. „Hirikmde” wypłynął dokładnie cztery później. Powrót jak i poróżnienie Aldariona z Erendis datuje się na rok 882. Berło Numenoru otrzymał w 883 roku.

⁴ W „Opisie wyspy Numenor” zwie się go Tar-Meneldur Elentirmo (Obserwator Gwiazd). Por. także wstęp do „Dynastii Elrosa”.

później w tej historii⁵.

Aldarion, tak bowiem nazywa się go we wszystkich opowieściach, wyrósł rychło na mężczyznę postawnego, silnego, o bystrym umyśle i sprawnym ciele. Po matce odziedziczył złociste włosy, podobnie jak ona cechował się radosnym i wielkodusznym usposobieniem, dumniejszy jednak okazał się niżli ojciec, własnymi woląc chodzić drogami. Szybko ukochał morze i bez reszty pochłonęła go sztuka budowania statków. Północne krainy nie pociągały Aldariona, cały czas, jaki ojciec mógł mu poświęcić, spędzał na wybrzeżu, szczególnie w pobliżu Romenny, gdzie znajdował się główny port Numenoru, największe stocznie i najbieglejsi skutnicy. Ojciec przez lata całe nie powstrzymywał jego zapędów, rad, że Aldarion zmęźnie dzięki ciężkiej pracy, ćwicząc i dłonie, i umysł.

Szczególnie upodobał sobie Aldariona Veantur, ojciec matki. Często używał wnukowi gościny w swym domu na południu zatoki Romenny. Dom ten miał własną przystań, w której cumowało zawsze wiele niedużych łodzi, Veantur bowiem nigdy nie podróżował lądem, jeśli zachodziła taka konieczność. Tam, dzieckiem jeszcze będąc, Aldarion nauczył się wiosłować, a potem i panować nad żaglem. nim jeszcze osiągnął dojrzałość, mógł dowodzić wieloosobową załogą, żeglując wzdłuż wybrzeża. Pewnego razu Veantur powiedział wnukowi:

- Anardilya, wiosna coraz bliżej, niedługo więc wejdiesz w wiek męski. - W kwietniu Aldarion kończył dwadzieścia pięć lat. - Chciałbym uczcić godnie ten dzień. Nieporównanie starszy jestem od ciebie i chyba już nieczęsto będę miał ochotę opuścić ten piękny dom i błogosławione brzegi Numenoru, ale przynajmniej raz jeszcze wyruszę na Wielkie Morze, by stawić czoło północnym i wschodnim wiatrom. W tym roku zabiorę cię ze sobą. Popłyniemy do Mithlondy, gdzie ujrzysz wysokie i błękitne góry Śródziemia, wyrastające pośród zieleni kraju Eldarów. Serdecznie powitają cię i Kirdan, Budowniczy Okrętów, i Gilgalad. Spytaj tylko ojca o zgodę⁶.

⁵ Udział Soronta w całej historii został ledwo zarysowany.

⁶ W „Opisie wyspy Numenor” powiada się, że to Veantur pierwszy dotarł do Śródziemia w roku 600 Drugiej Ery (urodził się w 451 roku). W „Kronice Królestw Zachodnich” w Dodatku B do *Władcy Pierścieni*, pod datą roku 600 czytamy: „Pierwsze okręty Numenoryjczyków pojawiają się u wybrzeży”.

W późniejszej rozprawie filologicznej odnajdujemy opis pierwszego spotkania Numenoryjczyków z mieszkańcami Eriadoru:

„Sześćset lat po odpłynięciu ocalałych Atani (Edainów) do Numenoru, po raz pierwszy statek z Zachodu przybył znów do Śródziemia i zawinął do portu w Zatoce Lhun. Gilgalad serdecznie powitał kapitana owego statku oraz marynarzy. W ten sposób zaczęła się przyjaźń i sojusz Numenoru z Eldarami z Lindonu. Nowiny szybko się rozeszły, zdumieniem napelniając ludzi z Eriadoru. Wprawdzie podczas Pierwszej Ery mieszkali oni na Wschodzie i dotarły do nich pogłoski o strasznej wojnie „za Górą Zachodnią” [czyli Ered Luin], jednak niewiele przekazów na ten temat przetrwało próbę czasu i ludzie ci żyli w przekonaniu, że wszyscy mieszkańcy odległych krain zostali wymordowani lub utonęli podczas burz ogniowych i za sprawą wtargnięcia Morza. W Eriadorze powiadano, że w niepamiętnych czasach ludzie z obu krain byli spokrewnieni, więc poproszono Gilgalada o zgodę na spotkanie z żeglarzami, „którzy powrócili, uchodząc śmierci w głębinach”. Tak doszło do spotkania na Wieżowych Wzgórzach. Z Eriadoru przybyło tylko dwunastu mężczyzn, wszyscy odważni i

Gdy Aldarion powiedział ojcu o planowanej podróży i poprosił o zgodę na wyruszenie, wraz ze sprzyjającymi wiosennymi wiatrami, Meneldur wahał się z podjęciem decyzji. Dreszcz go przeszedł, jakby domyślał się, że od jego dyspensy więcej będzie zależało, niż człowiek może przewidzieć. Kiedy jednak spojrzał w pełną wyczekiwania twarz syna, nie dał poznać po sobie troski.

- Czyń, jak ci serce każe, *onya* - powiedział. - Będę okrutnie tęsknił za tobą, ale wiedząc, że płyniesz z Veanturem i że Valarowie wam sprzyjają, z nadzieją pozostanę, wypatrując, waszego powrotu. Nie pozwól tylko, by kontynent cię zauroczył, pisane ci jest bowiem zostać Królem i Ojcem tej wyspy!

Tak i pewnego słonecznego ranka, kiedy wiatr zelżał wiosną w siedemsetnym i dwudziestym piątym roku Drugiej Ery, Następca Tronu Numenoru⁷ pożeglował z wyspy; nim dzień się ten skończył, łódź zniknęła za horyzontem. Tylko szczyt Meneltarmy niczym samotny palec czerniał na tle wieczornego nieba.

Powiadają, że Aldarion sam spisał kronikę swej podróży do Śródziemia, które to notatki długo przechowywano potem w Romennie, chociaż ostatecznie i tak wszystkie przepadły. O tej pierwszej wyprawie niewiele dziś wiadomo, tyle tylko, że młodzieniec zawarł wówczas przyjaźń z Kirdanem i Gilgaladem, dotarł w głąb Lindonu i daleko na zachód od Eriadoru, podziwiając cuda tamtego świata. Nie wracał przez dwa lata, niepokojem napełniając Meneldura. Powiadają też, że opóźnienie nastąpiło za sprawą wielkiej ochoty pobrania nauk u Kirdana, poznania tajników budowy statków i sterowania nimi, jak i zaznajomienia się ze sztuką wznoszenia falochronów zdolnych wytrzymać napór zachłannego morza.

Radość zapanowała w Romennie i Armenelos, gdy ujrzano płynący ku przystani wielki

szlachetni, pozostali bowiem lękali się, że podróżnicy są groźnymi duchami umarłych. Kiedy jednak spojrzeli na żeglarzy, strach ich opuścił, mimo iż zamarli z początku, wpatrzeni i milczący. Chociaż między swymi uchodzili za mocarnych, to jednak przybysze jak ocenili, postawą i strojem przypominają bardziej elfich władców niż śmiertelnych ludzi. Niemniej nie zrodziła się w ich głowach żadna wątpliwość, że faktycznie byli niegdyś spokrewnieni. Podobnie i żeglarze spoglądali z miłym zdumieniem na ludzi ze Śródziemia, wierzone bowiem w Numenorze, że wszyscy pozostali przedstawiciele rodzaju ludzkiego, zostawieni poza wyspą, to potomkowie złu hołdujących plemion wezwanych przez Morgotha ze Wschodu w ostatnich dniach wojny. Teraz jednak ujrzeli twarze wolne od Cienia, oblicza ludzi, którzy mogliby stąpać po ziemi Numenoru i nie uchodzić tam za obcych, jeśli nie liczyć ich strojów i oręża. Nagle, po chwili ciszy, zarówno Numenoryjczycy, jak i mieszkańcy Eriadoru, wypowiedzieli słowa powitania i radości, każdy w swojej mowie, jakby powitać chcieli przyjaciół i krewnych po długiej rozłące. Z początku nie kryli rozczarowania, że nie rozumieją się wzajemnie, ale gdy obie grupy się wymieszały, stwierdzili wówczas, że ich języki zawierają wiele podobnych, rozpoznawalnych słów, inne zaś zwroty dają się pojąć, gdy wyteżyc uwagę. Wkrótce mogli też rozmawiać ze sobą, chociaż z trudem i tylko o prostych sprawach”. W innym miejscu owej rozprawy wyjaśnione zostało, że owi ludzie zajmowali tereny wokół jeziora Evendim, od Północnych Dolinek po Wichrowe Wzgórze i ku zachodowi, do koryta Brandywiny, za którą często się zapuszczali, chociaż nie zakładali tam siedzib. Lękali się elfów, jednak żyli z nimi w przyjaźni. Czuli strach przed Morzem i nie odważali się nawet spojrzeć na fale. Można sadzić, że pochodzili z tego samego pnia, co plemiona Beora i Hadora, nie przepawili się jednak w trakcie Pierwszej Ery przez Góry Błękitne do Beleriandu.

⁷ Syn Następcy Króla: Aldarion, syn Meneldura. Tar-Elendil przekazał berło Meneldurowi dopiero po dalszych piętnastu latach.

statek „Numerramar” (co wykłada się jako „Zachodnie skrzydła”) z poczerwieniałymi od zachodzącego słońca, złotymi żaglami. Lato miało się już ku końcowi i blisko było *Eruhantale*⁸.

Gdy Meneldur witał syna w domu Veantura, odniósł wrażenie, że młodzieniec zmęźniał i oczy mu pojaśniały, wydawał się jednak jakiś nieobecny.

- Cóż ujrzałeś, *onya*, w swych dalekich podróżach, że nie możesz tego zapomnieć?

Aldarion spojrzał bez słowa na wschód, gdzie noc już zaległa. W końcu zdobył się na odpowiedź cichą, jakby do siebie mówił:

- Piękny lud elfów? Zielone brzegi? Góry, których wierzchołki giną w chmurach? Wyobraźni umykające krainy mgieł i cienia? Nie wiem.

Umilkł, ale Meneldur wiedział, że nie wszystkie swe myśli syn jego wyjawiał. Uległ on bowiem czarowi Wielkiego Morza, urokowi żeglugi po otwartym oceanie, skąd nie widać lądu, gdzie piana fal i wiatr niosą ku nowym brzegom i przystaniom nieznanym. Ta miłość i tęsknota miały z nim pozostać aż do śmierci.

Veantur nie ważył się już więcej opuścić Numenoru, oddał więc swój statek Aldarionowi. Po pewnym czasie młodzieniec znów poprosił o zgodę na kolejną wyprawę i pożegłował do Lindonu. Nie było go trzy lata, a ledwie wrócił, znów zniknął na wiele, wiele miesięcy. Powiada się, że nie wystarczały mu już rejsy do Mithlondy i zaczął badać wybrzeża leżące bardziej na południu. Minął ujścia Baranduiny, Gwathlo i Angren, okrążył mroczny przylądek Ras Morthil i ujrzał wielką zatokę Belfalas i góry krainy Amrotha, gdzie wciąż przemieszkwały Nadmorskie Elfy⁹.

W trzydziestym dziewiątym roku swego życia Aldarion zawinął do Numenoru, przywożąc ojcu dary od Gilgalada, a w roku następnym, zgodnie z zapowiedzią, Tar-Elendil przekazał Berło synowi i Tar-Meneldur został królem. Aldarion powstrzymał wówczas nieco swe zapędy, wedle woli ojca czas jakiś spędzając w domu. Zrobił wówczas użytek ze zdobytej u Kirdana wiedzy skutniczej, sam też dodał niejedno do owej sztuki, aż zaczął modernizację przystani i portów, marzył bowiem od dawna o budowie większych statków. W końcu jednak na nowo ogarnęła go tęsknota za morzem i wypływał raz za razem, ale myśl jego zwracała się z wolna ku wyprawom, których samotny statek nie zdołałby podjąć. Tak i powołał do życia

⁸ Eruhantale: „Dziękczynienie Eru”, jesienne święto Numenoru, por. „Opis wyspy Numenor”.

⁹ (Sir) Angren było nazwą nadaną przez elfy rzece Isenie. Ras Morthil, nazwa gdzie indziej nie spotykana, musi dotyczyć wielkiego cypla na krańcu północnego ramienia Zatoki Belfalas, zwanego również Andrast (Długi Przylądek).

Nawiązanie do „krainy Amrotha, gdzie wciąż przemieszkowały nadmorskie elfy” może sugerować, że opowieść o Aldarionie i Erendis została spisana w Gondorze, zanim jeszcze ostatni statek opuścił przystań Leśnych Elfów w pobliżu Dol Amrothu w roku 1981 Trzeciej Ery (por. „Historia Galadrieli i Keleborna”).

Gildię Podróżników, sławne w późniejszych latach bractwo zrzeszające najtwardszych i najbardziej zapalonych do żeglugi marynarzy. Młodzieńcy ścigali doń nawet z głębi wyspy. Aldarion zyskał miano Wielkiego Kapitana. W owym czasie, dość mając domu na lądzie, opuścił on Armenelos i zamieszkał na pokładzie specjalnie zbudowanego dlań statku, zwanego przez to „Eambar”¹⁰. Od czasu do czasu przepływał nim z jednego portu Numenoru do innego, jednak większość czasu jednostka ta stała na kotwicy przy Tol Uinen, niewielkiej wyspie w zatoce Romenny, skrawku lądu umieszczonym w tym miejscu przez Uinenę, Panią Mórz.

Na „Eambarze” mieściła się też siedziba gildii, tam przechowywano zapiski dotyczące ich wielkich wypraw¹¹. Tar-Meneldur chłodnym okiem spoglądał na poczynania syna i nie interesowały go żadne opowieści o dalekich podróżach. Uważał, że zasiać mogą one jedynie nasienie tęsknoty i wzbudzić pragnienie podboju innych krain.

Aldarion zniechęcił się wówczas do ojca, nie rozmawiał z nim otwarcie o swych planach ni marzeniach. Natomiast Almarian, Królowa, wspierała syna we wszystkim i Meneldur musiał z konieczności pozwolić sprawom toczyć się swoim torem. Żeglarze tworzyli już liczne grono i cieszyli się w Numenorze szacunkiem. Zwano ich *Uinendili*, umiłowanymi Uineny. Kapitana bardzo trudno było powstrzymać przed realizacją nowych pomysłów. W Numenorze budowano już ogromne statki. Rosła ich wyporność, coraz dalej się wyprawiały i woziły sporo pasażerów i ładunków. Aldarion często znikał na długie miesiące z Numenoru. Tar-Meneldur, niezmiennie przeciwny poczynaniom syna, w końcu zabronił nadmiernego przerzedzania lasów, ograniczając w ten sposób dostęp do materiału niezbędnego przy budowie okrętów. Pomyślał wówczas Aldarion, że przecież drewno znaleźć można w Śródziemiu i tam też da się remontować statki. W swoich podróżach wzdłuż wybrzeża z podziwem spoglądał na olbrzymie puszcze. Ostatecznie u ujścia rzeki, zwanej przez Numenoryjczyków Gwathir, Rzeka Cienia, założył Vinyalonde, Nową Przystań¹².

Kiedy jednak blisko osiem setek lat upłynęło od początków Drugiej Ery, Tar-Meneldur zażądał od syna, by ten pozostał w Numenorze i zaniechał na czas jakiś swych podróży na wschód. Zamierzał bowiem ogłosić Aldariona Następcą Tronu, jak czynić to zwykli poprzedni Królowie, gdy ich potomstwo osiągało stosowny wiek. Na ten okres Meneldur pojednał się z synem i zapanowała między nimi zgoda. Podczas wspaniałej, radosnej uroczystości Aldarion został w setnym roku swego żywota ogłoszony Następcą i otrzymał godność Władcy Okrętów i

¹⁰ O Uinenie, małżonce Ossego (Majara Morza) mowa jest w *Silmarillionie*, na stronie 29, gdzie czytamy: „Numenoryjczycy długo żyli pod jej opieką i czcili ją nie mniej niż Valarów”.

¹¹ Powiada się, że siedziba Gildii Podróżników „została przejęta przez Królów i usunięta do zachodniej przystani Andunie, a całe jej archiwa przepadły” (w Upadku), w tym i wszystkie szczegółowe mapy wyspy. Nie wiadomo jednak, kiedy miała miejsce konfiskata „Eambara”.

Przystani Numenoru. Na ucztę w Armenelos przybył także niejaki Beregar, mieszkaniec zachodniej części wyspy, a wraz z nim pojawiła się córka jego, Erendis. Królowa zwróciła uwagę na jej piękno w typie rzadko spotykanym w Numenorze. Beregar pochodził bowiem z pradawnego rodu Beora, chociaż nie był spowinowacony z królewską linią Elrosa, a Erendis miała ciemne włosy, smukłą sylwetkę i szare oczy charakterystyczne dla jej przodków¹³.

Gdy Erendis spojrzała na nadjeżdżającego Aldariona, zauważyła jedynie dumną postawę i cudne lico. Ostatecznie Erendis zamieszkała w monarszym domu u boku Królowej, ciesząc się też łaskami samego Króla. Aldariona jednak widywała z rzadka, pilnował bowiem sadzenia nowych lasów, by w Numenorze nie brakło już nigdy tarcicy. Tam czasem żeglarze z Gildii Podróżników szum poczęli podnosić, gdyż w ogóle nie cieszyły ich coraz radsze, skromne wycieczki pod dowództwem pośledniejszych kapitanów i ledwo sześć lat minęło od dnia proklamowania Następcy, Aldarion postanowił znowu ruszyć do Śródziemia. Wcześniej odmówił usilnym prośbom ojca, by na stałe osiąść w Numenorze i poszukać sobie żony. Król niechętnie więc wyraził zgodę na kolejną wyprawę. Aldarion wypłynąć miał wczesną wiosną, ale gdy przyszedł pożegnać się z matką, ujrzał Erendis pośród jej świty. Podziwiając urodę dziewczyny, dostrzegł też drzemiacą w niej siłę.

- Musisz nas znów opuszczać, Aldarionie, mój synu? - spytała Almarian. - Czy nic nie zatrzyma cię w najpiękniejszej spośród krain śmiertelników?

- Jeszcze nie - odparł - ale widzę, że można w Armenelos ujrzyć to, czego próżno by szukać gdzie indziej, nawet w krainach Eldarów. Jednakże żeglarze to ludzie w dwóch światach na raz żyjący, mężowie sami ze sobą toczący wojnę nieustanną, a we mnie tęsknota za morzem wciąż jeszcze zwycięża.

Erendis uznała, że słowa te przeznaczone były także dla jej uszu i od tego czasu całym sercem poczuła się oddana Aldarionowi, chociaż nadziei nie miała żadnej. Nie było wprawdzie w owych czasach ani prawa, ani zwyczaju, by członkowie rodu królewskiego, nawet następcy tronu, szukali żony tylko pośród cór rodu Elrosa Tar-Minyatura, Erendis jednak mniemała, że zbyt wysokie to dla niej progi. Niemniej nie spojrzała od tego dnia na jakiegokolwiek innego mężczyznę, odprawiając wszystkich zalotników.

Siedem lat minęło, nim Aldarion wrócił, przywożąc rudy srebra, złota i wiele cudownych opowiadań o przebiegu swej podróży. Meneldur odparł jednak:

- Twa obecność u mego boku milsza mi niż wieści czy podarunki z Mrocznych Krajów.

¹² Potem rzekę tę zwano Gwathlo lub Szarą Wodą, a przystań Lond Daer.

¹³ Por. *Silmarillion*, str. 179: „Potomkowie Beora mieli bowiem prawie wszyscy włosy ciemne lub kasztanowate, oczy zaś szare”. Według drzewa genealogicznego rodu Beora, Erendis wywodziła się od Bereth, która była siostrą Baragunda i Belegunda, i tym samym ciotką Morweny, matki Turina Turambara i Rian, matki Tuora.

Zwożenie takich nowinek to zadanie dla kupców i odkrywców, a nie dla Następcy. Po cóż nam więcej srebra czy złota? Chyba żebyśmy w pychę wbici, chcieli stosować kruszce tam, gdzie i inne materiały się nadają. Nade wszystko dom monarszy potrzebuje męża, znającego ten kraj i kochającego lud, którym będzie rządził.

- Czy nie zgłębiam nieustannie tajników sztuki rządzenia ludźmi? - spytał Aldarion. - Umiem władać nimi wedle mej woli.

- Panujesz tylko nad tobie podobnymi mężami - odparł Król. - Ale w Numenorze są też kobiety, chociaż w znacznie mniejszej liczbie niż mężczyźni, a powiedz mi, która prócz matki ulegnie twej woli? Co ty o nich wiesz? A przecież pewnego dnia musisz sobie wziąć żonę.

- Pewnego dnia! - krzyknął Aldarion. - Ale ani chwili wcześniej, niż to okaże się konieczne, a jeśli będziesz przymuszał mnie do żeniaczki, to nawet później. Wokół ważniejszych spraw krąży moje myśli. Powiadają, że gorzki jest żywot żony marynarza, a żeglarz, który nie musi przejmować się, że coś wiąże go z lądem, dalej wypływa i lepiej radzi sobie z morzem.

- Przemierza odleglejsze morskie przestrzenie, ale żadnego więcej z tego pożytku - powiedział Meneldur. - I nie mów, że radzisz sobie z morzem, Aldarionie, mój synu. Czyżbyś zapomniał, że Edainowie mieszkają tutaj dzięki łasce Władców Zachodu, że Uinena nam sprzyja, że chronią nas przed Ossem? Statki nasze są strzeżone, lecz przez innych. Unikaj zatem nadmiernej dumy, inaczej stracimy łaski, nie oczekuj też, że rozciągnie się ta opieka i na tych, którzy bez potrzeby ryzykują u obcych, skalistych wybrzeży lub w krainach ludzi żyjących w mroku.

- Jeśli tak, to czemu niby służy sprawowanie pieczy nad naszymi okrętami, jeśli nie mają przybijać do żadnych wybrzeży, jeśli nie jest im pisane szukać tego, czego nikt jeszcze nie widział?

Nigdy już z ojcem o tych sprawach nie rozmawiał, spędzając dni na pokładzie „Eambara” w towarzystwie podróżników jak i w stoczni, gdzie budowano statek większy niż jakikolwiek dotąd. Nazywał się „Palarran” („Wędrowiec, który daleko dociera”). Częściej teraz jednak spotykał Erendis (w dyskretny sposób przyczyniła się do tego Królowa), a gdy Król dowiedział się o tej znajomości, okazał lekkie zaniepokojenie, chociaż ani śladu niezadowolenia.

- Lepiej byłoby pierwiej wyleczyć Aldariona z jego tęsknoty, a potem niech zdobywa serce kobiety - powiedział.

- A jak niby chcesz go wyleczyć, jeśli nie poprzez miłość? - spytała Królowa.

- Erendis wydaje się jeszcze zbyt młoda - rzekł Meneldur, ale Almarian mu przerwała:

- Ród Erengis nie jest równie długowieczny jak potomkowie Elrosa, a jej serce dokonało już wyboru¹⁴.

Wszakże kiedy wielki statek „Palarran” był gotów, Aldarion znów miał wyruszyć. Meneldur wpadł w złość, jednak Królowa wyperswadowała mu pomysł wykorzystania władzy królewskiej do zatrzymania syna. Tutaj trzeba wspomnieć o zwyczaju, że kiedy statek odbijał od brzegów Numenoru, wypływając na Wielkie Morze ku Śródziemiu, wówczas kobieta, zwykle z rodziny kapitana, winna zawiesić na dziobie jednostki Zieloną Gałąź Powrotu ściętą z drzewa *oiolaire* (co znaczy „wieczne kto”), podarowanego Numenoryczykom przez Eldarów¹⁵ wraz ze słowami, że i oni zwykli umieszczać ten znak na swoich okrętach jako symbol przyjaźni z Ossem i Uineną. Drzewo to nigdy nie zrzucało liści, które lśniące były i wonne, a morskie powietrze służyło mu najlepiej. Meneldur zaś zakazał Królowej i siostrze Aldariona brać rzeczoną gałąź do Romenny, gdzie cumował „Palarran”. Powiedział też, że nie pozwala na błogosławienie syna, wbrew jego woli podejmującego wyprawę. Słyszając to, Aldarion rzekł:

- Trudno, wyruszę bez błogosławieństwa i gałęzi. Żal ogarnął Królową, ale Erengis stwierdziła:

- *Tarinya*, jeśli zetniesz gałąź z drzewa elfów, to ja wezmę ją do przystani, za twym pozwoleniem, Król bowiem uczynić tego mi nie zabronił.

Marynarze uznali za zły omen, że tak właśnie przychodzi wypływać ich kapitanowi, ale gdy wszystko było już przygotowane i załoga szykowała się do podniesienia kotwicy, przybyła Erengis, chociaż nie przepadała ona za gwarem i zamieszaniem wielkiego portu ni krzykiem mew. Zdumiony Aldarion przywitał ją radośnie.

- Przyniosłam ci Gałąź Powrotu, panie. Przychodzę od Królowej - powiedziała dziewczyna.

- Od Królowej? - spytał zmienionym głosem Aldarion.

- Tak, panie, ale spytałam ją wprzód o pozwolenie. Nie tylko rodzinę ucieszy twój, oby jak najszybszy, powrót.

W tejże chwili Aldarion po raz pierwszy spojrzał na Erengis z miłością. Długo potem stał na rufie, wpatrzony w łód, gdy „Palarran” wychodził w morze. Powiadają, że przyspieszył swój powrót, spędzając na wyprawie mniej czasu, niż zamierzył, a przybywszy, przywiozł podarunki dla Królowej i dam dworu, jednak najpiękniejszy prezent - diament - dostała Erengis. Przywitanie syna z ojcem było oziębłe, a Meneldur zbeształ go, mówiąc, że nie

¹⁴ Kwestii różnej długości nici żywota Numenoryczyków poświęcony jest przypis 1. do rozdziału „Dynastia Elrosa”.

¹⁵ O drzewie *oiolaire* wspomina się w „Opisie wyspy Numenor”.

przystoi, aby Następca wręczał takie upominki, chyba że jest to dar zaręczynowy, i zażądał od Aldariona jasnej deklaracji.

- Przywiozłem jej to z wdzięczności - powiedział tenże - za serce gorące pośród chłodu serc innych.

- Chłodne serca nie pobudzają otoczenia do okazywania ciepła przy rozstaniach i powitaniach - stwierdził Meneldur i raz jeszcze ponaglił Aldariona w kwestii małżeństwa, chociaż nie wspomniał przy tym o Erendis. Aldarion jednak zlekceważył napomnienia, był bowiem we wszystkim coraz bardziej skłonny przeciwstawiać się ojcu i nawet Erendis traktować zaczął teraz z większą rezerwą, aż postanowił opuścić Numenor i zająć się realizacją własnych planów w Vinyalonde. Życie na lądzie mierziło go, na pokładzie statku bowiem był panem samego siebie i do niczyjej woli nie musiał się naginać, otaczający zaś go Podróżnicy darzyli swego Wielkiego Kapitana miłością i podziwem. Meneldur kategorycznie zabronił synowi wypływać, ale Aldarion, nie czekając nawet końca zimy, i tak wyruszył z flotą siedmiu statków niosących na pokładach większość Podróżników, rzucając tym wyzwanie Królowi. Almarian nie ważyła się narażać na gniew Meneldura, mimo to nocą jakaś okryta szczelnie płaszczem kobieta przysłała do przystani i wręczyła Aldarionowi gałąź.

- Przynoszę to od Pani z Zachodnich Ziem (tak nazywano wówczas Erendis) - powiedziała i zniknęła w ciemności.

Wobec otwartego buntu syna, Król odebrał Aldarionowi godność Władcy Statków i Przystani Numenoru i rozkazał zamknąć siedzibę Gildii Podróżników na pokładzie „Eambara”. Unieruchomiono też stocznice w Romennie i zakazano wyrębu drzew. Tak minęło pięć lat, aż Aldarion wrócił z dziewięcioma statkami, z których dwa zbudowane zostały w Vinyalonde, z pięknego drewna pochodzącego z puszczy na wybrzeżu Śródziemia. Wielki był gniew Aldariona, gdy dotarło doń, co Król uczynił. Powiedział wówczas ojcu:

- Jeśli źle jestem widziany w Numenorze i nie ma tu dla mnie zajęcia, a okręty nie mogą doczekać się reperacji w stocznicach wyspy, to nieza długo znów wypłynę. Nieprzyjazne wiatry¹⁶ napotkaliśmy i nasze jednostki wymagają remontu. Czy syn Króla ma tylko niewiasty oglądać, żony pośród nich wypatrując? Dobrze się sprawilem, dbając o lasy i do końca dni moich będzie w Numenorze więcej drewna niż za twego panowania.

Zgodnie ze swymi słowami, Aldarion jeszcze tego samego roku znów wypłynął, biorąc trzy statki i najwytrwalszych spośród Podróżników. Wyruszył bez błogosławieństwa ni gałęzi. Wszystkim kobietom z domu monarszego jak i niewiastom z rodzin Podróżników, Meneldur zabronił wychodzić do portu. Ponadto otoczył Romennę kordonem straży.

Ta podróż Aldariona trwała tak długo, że lud Numenoru zaczął się aż niepokoić. Trwoga też ogarniała samego Meneldura niezależnie od tego, iż miał on świadomość łaski Valarów którzy zawsze chronili statki Numenoru¹⁶.

Gdy minęło dziesięć lat, zrozpaczona Erendis nabrała przekonania, że Aldariona spotkać musiało jakieś nieszczęście lub też postanowił zamieszkać w Śródziemiu. Tak zatem, chcąc ponadto umknąć natrętnym zalotnikom, dziewczyna poprosiła Królową o zgodę i odeszła z Armenelos, wracając do swoich na Zachodnie Ziemie. Po kolejnych czterech latach Aldarion przybił wreszcie do Romenny, a statki jego nosiły liczne ślady walki z żywiołem. Okazało się, że najpierw popłynął do Vinyalonde, a potem wyruszył wzdłuż wybrzeża daleko na południe, docierając tam, gdzie nigdzie dotąd nie zbłądziły okręty z Numenoru. Wracając ku północy, napotkał przeciwne wiatry i silne sztormy, a gdy ledwo unikając zagłady w Haradzie zawinął do Vinyalonde, znalazł przystań zniszczoną przez żywioł morza i splądrowaną przez wrogich ludzi. Trzy razy zachodnie wiatry cofały go z drogi do rodzinnej przystani, a jego własny statek trafiony został przez piorun i stracił maszt. Tylko ciężka praca i wytrwałość nie dały mu zginąć na pełnym morzu i pozwoliły wrócić ostatecznie do Numenoru. Meneldur odetchnął wreszcie, zganił jednak syna za nieposłuszeństwo. Przeciwwstawienie się woli ojca pozbawiło okręty opieki Valarów, a Aldarion naraził na gniew Ossego nie tylko siebie, ale też swoich wiernych towarzyszy. Utemperowany nieco Aldarion uzyskał ostatecznie przebaczenie Króla, który przywrócił mu tytuł Władcy Statków i Przystani, dodając jeszcze do tego miano Pana Lasów.

Aldarion ze smutkiem odkrył, że Erendis odeszła z Armenelos, był jednak zbyt dumny, by jej szukać, zresztą odnalazłszy dziewczynę, powinien poprosić ją o rękę, a wiązać jeszcze się nie chciał. Zajął się naprawą tego, co zaniedbał, wędrując po oceanie. Okazało się, że podczas jego prawie dwudziestoletniej nieobecności zostały wstrzymane wszystkie prace w przystaniach, szczególnie w Romennie. Wycinano też lasy dla celów budowlanych i na potrzeby różnych rzemiosł, a że czyniono to bez planu, niewiele młodych drzew posadzono, by wyrównać straty. Aldarion objechał cały Numenor, pragnąc osobiście zbadać stan puszczy.

Pewnego dnia, przemierzając lasy na zachodzie, ujrzał kobietę o ciemnych, unoszonych wiatrem włosach, w zielonym płaszczu spiętym pod szyją jasnym klejnotem. Wziął ją za jedną z Eldarów, którzy pojawiali się czasem w tej części wyspy, ale gdy podeszła bliżej, poznał Erendis. Klejnot na szacie był podarowanym jej wiele lat temu diamentem. Aldarion poczuł nagle, że kocha ją od dawna i pustymi zdały mu się wszystkie dni minione. Erendis zbladła na

¹⁶ Należy uznać to za znak.

¹⁷ Por. *Akallabeth (Silmarillion)*, str. 337), gdzie powiedziane jest, iż w dniach Ar-Farazdna „od czasu do czasu któryś z wielkich numenoryjskich okrętów tonął i nie wracał do przystani, chociaż od wzejścia gwiazdy takie nieszczęścia nigdy się nie zdarzały”.

jego widok i chciała uciekać, ale Aldarion szybko pochwycił dziewczynę.

- Aż nazbyt zasłużyłem sobie na to, byś mnie odbiegała - powiedział. - Ja, którym tak często umykał za horyzont! Ale wybac mi i zostań. - Potem razem pojechali do domu Beregara, jej ojca, a tam Aldarion jasnym uczynił swój zamiar poślubienia Erendis. Ona jednak wahała się teraz, chociaż zgodnie ze zwyczajami swego ludu rychło już powinna wychodzić za mąż. Miłość do Następcy nie zwiędła w niej, nie było też owo niezdecydowanie żadnym wybiegiem. W głębi serca dziewczyna obawiała się jedynie, że nie zdoła wygrać z Morzem walki o Aldariona i w ten sposób wszystko utraci. Tak i lękając się Morza, i obwiniając statki o śmierć umiłowanych drzew, postanowiła, że albo ze szczętem pokona Morze i okręty, albo sama legnie, bez miary przegrana.

Aldarion jednak szczerze miłował Erendis i podążał za nią wszędzie, dokądkolwiek się udała. Zaniedbywał i przystanie, i stocznie, i wszystkie sprawy Gildii Podróżników, sadząc nowe drzewa jedynie i żadnych nie ścinając, a dostarczyły mu owe dni więcej radości niż jakiegokolwiek dotąd, chociaż to akurat zrozumiał dużo później, gdy w starczych latach spojrzał na swoje życie. Pewnego razu Aldarion spróbował przekonać Erendis, by popłynęła z nim na „Eambarze” w podróż dookoła wyspy, setka lat bowiem już minęła, odkąd założył Gildię Podróżników i we wszystkich portach Numenoru szykowano z tej okazji biesiady. Erendis przystała na ten plan, tłumiąc w sobie niechęć i strach, tak i wypłynęli z Romenny i zawinęli do Andunie na zachodzie wyspy. Tam Valandil, Książę Andunie i bliski krewny Aldariona¹⁸ wyprawił wielką ucztę, podczas której wzniosł toast za Erendis, nazywając ją *Uineniel*, córką Uineny, nową Panią Morza. Wtedy Erendis siedząca obok żony Valandila, powiedziała głośno:

- Nie nazywaj mnie tak! Nie jestem córką Uineny. Raczej ją między nieprzyjacioły swoje liczę!

Potem na czas jakiś znów wątpliwości ogarnęły Erendis, Aldariona bowiem ponownie pochłoneły zajęcia w Romennie, szczególnie zaś dopilnowywał budowy olbrzymich falochronów oraz wysokiej wieży na Tol Uinen. Nazywała się *Calmindon*, Wieża Światła. Jednak gdy owe prace zostały ukończone, Aldarion wrócił do Erendis i poprosił ją o rękę, ona jednak nadal zwlekała, mówiąc:

- Podróżowałam na pokładzie twego statku, panie. Chciałabym teraz wiedzieć, czy podążysz wraz ze mną do tych miejsc na lądzie, które ja ukochałam szczególnie? Niewiele wiesz o tej wyspie, jak na kogoś, kto będzie jej Królem. - Tak i wybrali się na trawiaste stoki Emerie, największe pastwiska Numenoru. Tam ujrzeli białe chaty rolników oraz pasterzy i

¹⁸ Valandil to kuzyn Aldariona, syn Silmarien, córki Tar-Elendila a siostry Tar-Menddura. Valandil, pierwszy Książę Andunie był przodkiem Elendila Smukłego, ojca Isildura i Anariona.

usłyszeli beczenie stad.

- Tutaj mogę zaznać spokoju! - powiedziała Erendis do Aldariona.

- Jako żona Następcy możesz zamieszkać, gdziekolwiek zechcesz - stwierdził Aldarion.

- I mieć wiele pięknych domów.

- Zestarzę się, zanim ty zostaniesz Królem - rzekła Erendis. - A gdzie do tego czasu będzie mieszkał Następca?

- Tam, gdzie i żona jego, o ile tylko obowiązki pozwolą, a ona się doń nie przyłączy.

- Nie zamierzam dzielić się mężem z Panią Uineną - rzekła Erendis.

- Pokręte to słowa. Równie dobrze ja mógłbym rzec, że nie będę się dzielił mą żoną, która umiowała puszczańskie mateczniki, z Panem Lasów, Oromem.

- Zaiste tego byś nie uczynił - stwierdziła Erendis. - Prędzej już wyciąłbyś wszelki las, by złożyć go w darze Uinenie, gdy tylko przyjdzie ci na to ochota.

- Powiedz tylko, które drzewa kochasz szczególnie, a dotrwają nie tknięte do kresu swoich dni.

- Uwielbiam każdą roślinę na wyspie.

Przez chwilę jechali w ciszy, a gdy dzień minął, rozdzielili się i Erendis wróciła do domu ojca. Ani słowem nie wspomniała mu o rozmowie, matce jednak wyznała, co zaszło między nią i Aldarionem.

- Wszystko lub nic, Erendis - rzekła Nuneth. - Taka też byłaś w dzieciństwie. Ale kochasz tego mężczyznę, który wielkim jest, i to niezależnie od urodzenia. Nie wyrzucisz tej miłości ze swego serca łatwo ni bez krzywdy dla siebie samej. Kobieta musi żyć pasjami męża, inaczej miłość szczerze. Wątpię jednak, byś kiedykolwiek zechciała zrozumieć głęboki sens takiej porady, i boleję nad tym, bo pora już tobie iść za męża. Urodziłam cudne dziecko i miałam nadzieję ujrzeć równie piękne wnuki i wcale by mnie nie martwiło, gdyby zamieszkiwały w domu Króla.

W istocie, rada owa nie poruszyła nijak Erendis, mimo to dziewczyna odkryła, że nie jest już panią swego serca i pusto zaczęły mijać jej dni i gorszy był ten czas niż owe lata, kiedy Aldarion przebywał na wyprawach. On bowiem, chociaż przemieszkował wciąż w Numenorze, nie zaglądał już w zachodnie strony.

Gdy Królowa dowiedziała się od Nuneth, co zaszło, pełna obaw, by Aldarion nie poszukał znów ukojenia w żegludze, wysłała słowo do Erendis, prosząc ją, by przyjechała do królewskiej siedziby. Erendis ponaglana zarówno przez Nuneth, jak i przez własne serce, wróciła do Armenelos. Tam też pojednała się z Aldarionem i wiosną, gdy nadszedł czas *Erukyerme*, wspięli się wraz z królewskim orszakiem na szczyt Meneltarmy, Świętej Góry

Numenoryjczyków¹⁹. Gdy wszyscy zeszli już, tych dwoje zostało jeszcze, spoglądając na rozciągającą się w dole zieloną wyspę Westernesse i na zachodni horyzont, gdzie lśnił odległym blaskiem Avallone²⁰. Widzieli też cienie, które zaległy na Wschodzie nad Wielkim Morzem, a nad nimi Menel trwało błękitem. Nie zamienili ani słowa, ponieważ nikomu prócz Króla nie wolno było przemawiać na szczycie Meneltarmy. Jednak gdy opuścili święte miejsce, Erendis przystanęła na chwilę i obróciła wzrok na Emerie i dalej, ku jej rodzinnym lasom.

- Czy nie kochasz Vozayanu? - spytała.

- Kocham szczerze, chociaż ty chyba w to powątpiewasz. Myślę bowiem również o przyszłości, o dostatku tego ludu i sądzę, że taki dar nie powinien leżeć bezużytecznie w skarbcu.

- Dary od Valarów, a za ich pośrednictwem od Jedynego, winne w każdej chwili i zawsze być kochane takimi, jakie są - zaprzeczyła mu Erendis. - Nie dano nam ich, byśmy je wymieniali na coś więcej czy na coś lepszego. Edainowie, bez względu na swe osiągnięcia, zawsze pozostaną śmiertelni, Aldarionie. Nie nam sięgać w czas, który nadejdzie, jeśli nie chcemy stracić chwili teraźniejszej na rzecz mirażu przyszłych zamiarów. - Nagle wzięła w palce diament noszony na szyi. - Czy pragnąłbyś, abym zamieniła go na inne dobra przeze mnie pożądane?

- Nie! - wykrzyknął. - Ale ty nie zamykasz go w skarbcu. Myślę jednak, że zbyt wysoko go nosisz, blask twoich oczu bowiem przyćmiewa jego urodę. - Potem pocałował jej powieki i w tejże chwili Erendis pozbyła się obaw i przyjęła go, po czym wyznali sobie miłość na stromej ścieżce na stoku Meneltarmy.

Wrócili do Armenelos, gdzie Aldarion przedstawił Erendis Tar-Meneldurowi jako narzeczoną Następcy Tronu. Król uradował się i wesele zapanowało w mieście oraz na całej wyspie. W darze zaręczynowym Meneldur ofiarował Erendis spory płat ziemi w Emerie, gdzie wybudował dla niej biały dom. Aldarion jednak powiedział narzeczonej:

- Inne jeszcze klejnoty chowam w skarbcu. Statki Numenoru udzieliły niegdyś wsparcia królom z dalekich krain, którzy w podzięce ofiarowywali różne precjoza. Są wśród nich kamienie tak zielone, jak ogarnięte słońcem liście twych ukochanych drzew.

- Nie - odparła Erendis. - Otrzymałam już od ciebie dar zaręczynowy, chociaż nieco za

¹⁹ *Erukyerme*: „Modlitwa do Eru”, święto wiosny w Numenorze, por. „Opis wyspy Numenor”.

²⁰ Powiedziane jest w *Akallabeth* (*Silmarillion*, str. 319), że „niekiedy, gdy powietrze było czyste, a słońce świeciło na wschodzie, wyteżając wzrok dostrzegali na zachodzie lśniące bielą miasto na odległym brzegu, wielką przystań i wieże. Numenoryjczycy mieli wówczas oczy niezwykle daleko widzące, mimo to tamten brzeg mogli dojrzeć tylko ci obdarzeni najbystrzejszym wzrokiem, i tylko wtedy, gdy patrzyli ze szczytu Meneltarmy lub mostka wysokiego statku zatrzymanego na zachodniej granicy wód... [...] Najmędrsi wszakże z nich wiedzieli, że białe miasto, które widzą w oddali, nie leży w Błogosławionym Królestwie Valinoru, lecz że jest to Avallone, port

wcześniej trafił on w moje ręce. To jedyny klejnot, który chcę mieć, a będę go nosiła jeszcze wyżej. - Wówczas ujrzał Aldarion, że Erendis kazała umieścić kamień niczym gwiazdę pośrodku srebrnej przepaski. Na prośbę dziewczyny Następca nałożył przepaskę na jej głowę. Erendis nosiła potem ową ozdobę w ten sposób przez wiele lat i wszyscy znali ją jako Tar-Elestirne, Panią z Gwiazdą na Czołe²¹. Nastąpił tedy czas radości i pokoju w Armenelos, w domu Króla i na całej wyspie, a w dawnych księgach zapisano, że wielka była obfitość owoców latem owego złotego roku, osiemsetnego i pięćdziesiątego dziewiątego Drugiej Ery.

Jedynie wśród matrosów Gildii Podróżników pojawili się tacy, których nie radował podobny obrót spraw. I piętnaście lat Aldarion pozostawał w Numenorze, niej wiodąc żadnej wyprawy na dalekie morza i chociaż wielu wyszkolił wyśmienitych kapitanów, to jednak bez wsparcia szkatuły i autorytetu królewskiego syna rzadziej i na krócej wypływano, nieczęsto gdziekolwiek indziej się kierując, jak tylko do kraju Gilgalada. Co więcej, stoczniom zaczęło brakować drewna, Aldarion bowiem zaniedbał lasy i Podróżnicy zaklinali go, by wrócił do dawnych zajęć. Aldarion wysłuchiwał ich błagań. Z początku Erendis razem z nim odwiedzała puszcze, ale smutek ogarniał ją na widok dumnych drzew powalonych i obrabianych potem piłą i toporem, tak nie trwało długo, a Aldarion począł wyruszać samotnie, przez co spędzali ze sobą mniej czasu.

Nadszedł rok spodziewanych zaślubin Następcy Króla, zwyczaj bowiem nakazywał, by narzeczeństwo nie trwało dłużej niż trzy lata. Pewnego wiosennego ranka Aldarion opuścił przystań w Andunie i udał się w gościnę do domu Beregara, gdzie czekać już go miała Erendis, wcześniej podążająca drogami z Armenelos. Gdy Aldarion wspiął się na wielkie urwisko osłaniające zatokę od północy, odwrócił się i spojrzał na morze. Jak często o tej porze roku, wiał wiatr zachodni, sprzymierzeniec żeglarzy udających się do Śródziemia. Zwieńczone białymi grzebieniami fale atakowały brzeg. Nagle dopadła Aldariona tęsknota za morzem tak wielka, że aż tchu nie mógł złapać, a serce waliło mu jak młotem. Opanował się wszakże wielkim wysiłkiem i w końcu stanął plecami do wody i ruszył dalej. Rozmyślnie wybrał drogę przez te same lasy, w których niegdyś, piętnaście lat wcześniej, ujrzał Erendis podobną Eldarom. Myślał, że znów ją tam zobaczy, ale dziewczyny nie było, a pragnienie, by spojrzeć na jej oblicze, sprawiło, że przyspieszył kroku i tak dotarł do domu Beregara jeszcze przed wieczorem.

Erendis powitała go radośnie i Aldarion poczuł się szczęśliwy, nie podjął jednak

Eldarów na Eressei, najdalej wysuniętej ku wschodowi wyspie Krain Nieśmiertelnych”.

²¹ Stąd, jak powiadają, wziął się zwyczaj noszenia przez późniejszych monarchów na czole gwiazdy z białego klejnotu, a nie korony [przyp. autora].

rozmowy na temat zaślubin, chociaż wszyscy sądzili, że po to właśnie przybył w ich strony. W miarę jak dni mijały, Erendis coraz częściej widywała go milczącym pośród rozbawionego towarzystwa. Gdy spoglądała na narzeczonego i napotykała nagle jego wzrok, serce jej zamierało, błękitne bowiem oczy Aldariona zdawały się teraz szare i zimne. Czaił się w nich jakiś głód. Nazbyt dobrze uprzednio poznała już to spojrzenie i bała się tego, co oznaczało, nic jednak nie mówiła. Nuneth, dostrzegłszy sytuację, nie kryła zadowolenia z milczenia córki, jak bowiem stwierdziła, „słowa potrafią ranić”. W końcu Aldarion i Erendis odjechali, kierując się do Armenelos, a im dalej byli od morza, tym weselszy stawał się Aldarion. Wciąż nie zwierzał się Erendis ze swych kłopotów, choć raczej nie tyle one kłopotami były, co wojną wewnętrzną, toczoną ze zmiennym szczęściem.

Czas płynął, a Aldarion nie wspominał ani o morzu, ani o weselu, często za to przebywał w Romennie w towarzystwie Podróżników. W końcu, gdy nadszedł następny rok, Król wezwał Aldariona do swej komnaty. Pokój panował obecnie między nimi i nic nie mąciło ich wzajemnej miłości.

- Synu mój - powiedział Tar-Meneldur - kiedy wreszcie doczekam się upragnionej córy? Minęły już ponad trzy lata i starczy tego zwlekania. Zastanawiam się, jak ty to wytrzymujesz?

Aldarion milczał z początku, ostatecznie zdobył się na taką odpowiedź:

- Znów mnie naszła tęsknota za morzem, Atarinya. Osiemnaście lat to długi post. Z trudem mogę w łóżnicy spoczywać, ledwo na koniu usiedzę, a twarda, kamienista ziemia rani mi stopy.

Posmutniał Meneldur i żał mu się zrobiło syna, nie pojął jednak jego rozterki, sam bowiem nigdy nie miłował statków.

- Niestety, już jesteś zaręczony! Wedle praw Numenoru i zwyczajów Eldarów i Edainów mężczyźnie nie wolno mieć dwóch żon. Nie możesz poślubić morza, skoro przeznaczony jesteś Erendis.

Serce zhardziało Aldarionowi na te słowa, przypomniał sobie bowiem dawną rozmowę z Erendis, tę toczoną w lasach Emerie, mylnie podejrzewał też, że dziewczyna uzgodniła to wszystko z jego ojcem. Aldarion zawsze reagował nadwrażliwie za każdym razem, gdy zdawało mu się, że ktoś usiłuje nakłonić go do danego wyboru. Wtedy gotów był stawiać opór za wszelką cenę.

- Nikt nie zabrania kowalom pracować w kuźniach, jeźdźcom dosiadać koni, górnikom drążyć korytarzy ze względu na to, że są zaręczeni - powiedział. - Czemu zatem marynarzom nie pozwala się żeglować?

- Gdyby kowale przez pięć lat nieustannie tkwili przy kowadłach, mało która kobieta chciałaby zostać żoną kowala - odparł Król. - Tak i marynarze rzadko żony miewają, a i one cierpią niejedno, bo taki los już im pisany. Następcy Króla nic nie wiąże, by został marynarzem. Nie musi nim być.

- Nie tylko konieczności kierują poczynaniami człowieka - stwierdził Aldarion. - Poza tym zostało mi jeszcze wiele lat.

- Nie, nie - powiedział Meneldur. - Mierzysz innych swoją miarą. Erendis nie wytrwa tak długo, jej życie szybciej upływa niż twoje. Nie pochodzi z linii Elrosa, a kocha cię już od wielu lat.

- Ale wcześniej, gdy wykazywałem chęć *do* żeniaczki, przetrzymywała mnie lat dwanaście. A ja nie proszę teraz nawet o trzecią część tego czasu.

- Wtedy nie byliście zaręczeni - odparł Meneldur. - Obecnie żadne z was nie jest wolne. A jeśli odwlekała decyzję, to z obawy przed tym, co może się zdarzyć, gdybyś stracił panowanie nad swymi tęsknotami. A tej groźby wciąż jeszcze nie zażegnałeś. Musiałeś jednak jakoś uśmierzyć jej lęk i chociaż pewnie nie powiedziałeś tego wprost, to moim zdaniem, nałożyłeś na siebie pewne zobowiązanie.

- Lepiej będzie, jak sam porozmawiam z moją narzeczoną - odparł ze złością Aldarion. - Bez pośrednika. - I opuścił ojca. Wyznał Erendis, że pragnie raz jeszcze wyprawić się na dalekie morza i że ta tęsknota odbiera mu sen i wszelki spokój. Erendis siedziała blada i milcząca, aż w końcu powiedziała:

- Myślałam, że przybywasz, aby porozmawiać o naszym ślubie.

- Owszem. Nastąpi on po moim powrocie, jeśli zechcesz zaczekać. - Ujrzał jednak na twarzy dziewczyny nagły smutek, a wówczas przyszła mu do głowy pewna myśl. - Dobrze, pobierzemy się, zanim rok dobiegnie końca. A potem zbuduję statek, jakiego Podróżnicy nigdy jeszcze dotąd nie zwodowali, prawdziwy pływający pałac Królowej. Popłyniesz ze mną, Erendis, otoczona łaską Valarów, oraz umiłowanych przez ciebie: Yavanny i Oromego. W obcych krainach ujrzysz lasy, w których wciąż jeszcze rozlega się śpiew Eldarów, zobaczysz puszcze bardziej rozległe niż cały Numenor, mateczniki trwające niezmiennie od dni stworzenia, gdzie usłyszeć można dźwięk wielkiego rogu pana Oromego.

Erendis wszakże zapłakała gorzko.

- Nie, Aldarionie - powiedziała. - Cieszę się, że są na świecie wspomniane przez ciebie miejsca, ale ja ich nigdy nie ujrzę, tego bowiem nie pragnę. Moje serce należy do lasów Numenoru. Niestety! Gdybym z miłości do ciebie wsiadła na statek, już bym nie wróciła. Ponad moje siły taka wyprawa, zmarłabym, nie mogąc stąpać po naszej ziemi. Morze darzy

mnie nienawiścią, a teraz jeszcze ma powód do zemsty, to ja bowiem zatrzymałam cię na brzegu, jednocześnie umykając przed tobą. Ruszaj, mój panie! Miej jednak miłosierdzie i nie zabawiaj w podróży tyle lat, ile ja wiosen niegdyś zaprzepąciłam.

Aldarion zawstydział się, ponieważ tak jak on odezwał się przedtem do ojca w gniewie, tak teraz miłość przemawiała przez Erendis. Nie wypłynął w owym roku, ale mało zaznał radości czy spokoju.

- Umrze, straciwszy łąd z oczu! - powiedział do siebie. - A ja umrę, mając go wciąż przed oczyma. Jeśli pisane nam wspólne życie, to trzeba mi wyruszyć samemu, i to rychło. - Poczynił zatem przygotowania, by wypłynąć wiosną, a Podróżnicy bardzo się ucieszyli, chociaż nikt inny na wyspie nie podzielał ich zadowolenia. Uszykowano trzy statki, które odbiły w miesiącu Viresse. Erendis zawiesiła na dziobie „Palarrana” zieloną gałąź *oiolairei* i kryła łzy, patrząc jak statek mija nowy, wielki falochron portu.

Ponad sześć lat minęło, aż Aldarion wrócił w rodzinne strony. Wtedy nawet Królowa przyjęła go chłodno. Podróżnicy wypadli z łask, wielu bowiem mieszkańców Numenoru uważało, że Następca niegodnie obszedł się z Erendis. W rzeczy samej przebywał w obcych krajach dłużej, niż zamierzał, ale przybiwszy do przystani Vinyalonde, znalazł ją kompletnie zniszczoną, fale zaś wniwecz obracały wszystkie wysiłki odbudowy portu. Mieszkańcy wybrzeży bali się Numenoryjczyków lub też otwarcie uznawali ich za wrogów, a do uszu Aldariona dobiegły pogłoski o jakimś władcy ze Śródziemia, pałającym nienawiścią do ludzi ze statków. Gdy flotylla kierowała się już z powrotem do Numenoru, wielki wiatr nadszedł z południa i zagnał Aldariona daleko na północ. Zabawił on potem nieco w Mithlondzie, a kiedy wypłynął na pełne morze, wicher znów pogał okręty na północ, między niebezpieczne, lodowe pola, gdzie załogi wycierpiały wiele od srogiego zimna. W końcu wiatr osłabł i wygładziły się fale. Kiedy jednak stojący na dziobie „Palarrana” Aldarion wypatrzył wreszcie z dali wierzchołek Meneltarmy, wzrok jego padł także na zieloną gałąź *oiolaire*. Spostrzegł, że roślina zwiędła i obumarła. Było to niespotykane wcześniej zjawisko, gdyż *oiolaire* zachowywało świeżość, dopóki zraszały je bryzgi morskiej wody.

- Zamarzło, kapitanie - rzekł jeden z marynarzy. - Zbyt wielkie zimno panowało. Cieszę się, że widzę Kolumnę.

Gdy Aldarion odszukał Erendis, ta przyjęła go mile, ale nie kwapiła się z serdecznym powitaniem. Przez dłuższą chwilę stał, nie wiedząc, co powiedzieć, straciwszy kontenans.

- Siadaj, mój panie - odezwała się w końcu Erendis. - Przede wszystkim opowiedz mi, czego dokonałeś. Wiele musiałeś widzieć i niemało przeżyć podczas tylu długich lat!

Wówczas Aldarion zaczął niezborną relację, a choć przerywał co chwilę, ona słuchała

w milczeniu o wszystkich wysiłkach i przyczynach opóźnienia. Gdy skończył, stwierdziła:

- Wdzięczna jestem Valarom, że cało powróciłeś. Ale dziękuję im także za to, że nie popłynęłam z tobą, ja bowiem zwiędłabym wcześniej niż zielona gałąź.

- Nie z mojej woli zielona gałąź zbłądziła w lodowe krainy - odparł Aldarion. - Odpraw mnie teraz, jeśli chcesz, a najpewniej nikt nie będzie cię winił. Wszelako jednak śmiem żywić nadzieję, że miłość twa okaże trwalsza niż *oiolaire*.

- Bo i taką zaiste się okazała - rzekła Erendis. Jeszcze nie zamarzła na śmierć, Aldarionie! Niestety! Jak mogłabym cię odrzucić, gdy widzę, że powracasz piękny jako słońce po mrokach zimy!

- Zatem niech zacznie się teraz wiosna i lato żywota!

- I żeby zima już nie wracała - dodała Erendis.

Ku wielkiej radości Meneldura i Almarian ogłoszono, iż Następca weźmie ślub na wiosnę. I tak też się stało. W siedemsetnym i siedemdziesiątym roku Drugiej Ery Aldarion i Erendis pobrali się w Armenelos i we wszystkie domach rozbrzmiewała muzyka, na każdej ulicy słychać było śpiew. Potem Następca Króla i jego świeżo poślubiona żona pojechali w niespieszny objazd wyspy, w pełni lata docierając do Andunie, gdzie czekała ich ostatnia uczta przygotowana przez Valandila. Zebrali się na niej ludzie z całych Zachodnich Ziem, przywiezieni miłością Erendis i dumą, że wyrosła pośród nich kobieta Królowa Numenoru.

Rankiem przed ucztą Aldarion spoglądał ku morzu przez wychodzące na zachód okno sypialni, gdy krzyknął nagle:

- Erendis, patrz! Jakiś statek podąża do przystani i należy do flotylli Numenoru. Nigdy żadne z nas nie postawi stopy na jego pokładzie, nawet gdybyśmy mogli.

Erendis też zerknęła za okno i ujrzała biały, smukły okręt otoczony chmurą ptaków bielejących w promieniach słońca. W ten to sposób Eldarowie uczcili wesele Erendis, kochali bowiem mieszkańców Ziem Zachodnich i szczególnie cenili ich przyjaźń²². Statek pełen był

²² Na Ziemiach Zachodnich i w Andunie język elfów [sindariński] używany był przez ludzi wysokiego i niskiego urodzenia. Erendis znała tę mowę od dzieciństwa, Aldarion jednak posługiwał się numenoryjskim, chociaż jak wszyscy szlachetnego pochodzenia, znał też język Beleriandu [przyp. autora]. Gdzie indziej, w notatce dotyczącej języków Numenoru, jest mowa o tym, że rozpowszechnienie sindarińskiego na północnym zachodzie wyspy było związane z zasiedleniem tych ziem głównie przez ludzi o „beoriańskim” rodowodzie, lud Beora zaś porzucił w większości dość wcześnie swą mowę jeszcze w Beleriandzie i przyjął sindariński (Nie ma o tym wzmianki w *Silmarillionie*, chociaż znajdujemy tam na stronie 178 informację, że w dniach Fingolfinu w Dorlominie lud Hadora nie zapomniał własnej mowy, „z której narodził się potoczny język Numenoryjczyków”). W innych rejonach Numenoru dominował język adunaicki, chociaż niemal wszyscy władali również w jakimś stopniu sindarińskim, a na dworze królewskim, podobnie jak i w większości domów możnych i uczonych, sindariński uchodził aż do czasów Tar-Atanamira za język potoczny (dalej w opowieści mowa jest o tym, że Aldarion wołał posługiwać się numenoryjskim, możliwe że był pod tym względem wyjątkiem). Wspomniana już notka podaje także, że chociaż popularny przez dłuższy czas wśród ludzi śmiertelnych język sindariński ulegał zniekształceniom i rozbijał się na dialekty, to w Numenorze proces ów słabo się zaznaczał, przynajmniej wśród

zabranych na okazję kwiatów, tak zatem, gdy wieczorem wszyscy zasiedli do biesiady, we włosy wplecione mieli elanor²³ i wonne *lissuin* o zapachu przynoszącym ukojenie sercu. Eldarom towarzyszyli ich minstrele znający pieśni elfów i ludzi jeszcze z dni Nargothrundu i Gondolinu. Wielu roślących i pięknych Eldarów zasiadało przy stole, jednak mieszkańcy Andunie powiadali, że nikt z gości piękniejszy nie był od Erendis, której oczy lśniły niczym u żyjącej wieki temu Morweny Eledhwen²⁴ czy nawet u Avalloneańczyków.

Eldarowie przywieźli też wiele darów. Aldarion dostał młode, pozbawione jeszcze liści drzewko o śnieżnobiałej korze i prostym, twardym jak stal pniu.

- Dziękuję wam, Eldarowie. Drewno z takiego pnia zaiste musi być drogocenne. - rzekł Następca.

- Może, trudno nam powiedzieć, nie ścięto bowiem nigdy dotąd żadnego z tych drzew - odparły elfy. - Liście jego przynoszą ochłodę latem, kwitnie zaś w zimie i za to wyłącznie je cenimy.

Erendis dali parę ptaków o złotych dziobach i nóżkach. Podśpiewywały sobie, nigdy nie powtarzając kadencji i nie dawały się rozdzielić. Ledwo próbowano to zrobić, milkły i zaraz zlatywały się, jakby nie mogły dobyć głosu, będąc w pojedynkę.

- Jak je mam utrzymać? - spytała Erendis.

- Niech latają wolne - odparli Eldarowie. - Wskazaliśmy im ciebie i odtąd cię nie opuszczą, gdziekolwiek zamieszkaż. Kojarzą się w pary raz na całe swoje długie życie. Pewnie w ogrodach twoich dzieci śpiewało będzie wiele takich ptaków.

Tej nocy Erendis obudziła się niespodzianie, kiedy księżyc zawisł na zachodzie, i poczuła wkoło słodką woń. Wstała wówczas i wyjrzała za okno, gdzie srebrzyła się pograżona we śnie kraina. Dwa ptaki, nie spłoszone obecnością kobiety, siedziały obok siebie na

szlachetnie urodzonych i mędrców, a to dzięki ich częstym kontaktom z Eldarami z Eressei i Lindonu. Języka Quenya na wyspie nie używano, znany był tylko uczonym i członkom rodzin o wyjątkowo dawnym i szlachetnym rodowodzie, gdzie wpajano go dzieciom od wczesnej młodości. Nie wykorzystywano go w mowie, a tylko w piśmie, przy sporządzaniu oficjalnych dokumentów mających przetrwać wieki, takich jak: kodeksy, kroniki czy annały królewskie (por. *Silmarillion*, str. 326: „...do *Kroniki Królów* wpisano imię Herunumen, w języku elfów Wysokiego Rodu”), często też pisano w nim co bardziej zawile rozprawy naukowe. Był również wykorzystywany przy nadawaniu urzędowych nazw miejscom, krainom i punktom geograficznym (choć zazwyczaj istniały też równoległe miana lokalne, zwykle to samo znaczące, tyle że wywodzące się z sindarińskiego lub adunaickiego. Imiona, szczególnie te oficjalne, jak i tytuły wszystkich członków rodziny królewskiej, szczególnie w linii Elrosa, również tworzone w oparciu o quenajski).

Nieco inna pozycja sindarińskiego pośród języków Numenoru sugerowana jest we *Władcy Pierścieni* - Dodatku D, części zatytułowanej: „Ludzie”, (*Powrót Króla*, str. 512): „Spośród wszystkich plemion ludzkich jedynie Dunedainowie znali język elfów, ponieważ ich praojcowie nauczyli się sindarińskiego i przekazywali umiejętność posługiwania się nim z pokolenia potomstwu, jako część skarbu wiedzy, niewiele w tej mowie z biegiem wieków zmieniając”.

²³ *Elanor* był to mały, złocisty kwiatek przypominający gwiazdkę, rósł również na wzgórzu Kernin Amroth w Lothlorien (*Wyprawa*, str. 472). Imię tego kwiatu nadał Sam Gamgee swojej córce, ulegając sugestii Froda (*Powrót Króla*, str. 392).

parapecie.

Gdy czas uczyć się skończył, Aldarion i Erendis zajrzeli na czas jakiś do jej domostwa, a ptaki znów nadleciały za swą panią. W końcu jednak małżonkowie pożegnawszy Beregara i Nuneth wrócili do Armenelos, gdzie zgodnie z życzeniem Króla, zamieszkać miał jego Następca i gdzie w ogrodzie przygotowano dom dla nowożeńców. Tam też zasadzono podarowane drzewo, a ptaki elfów śpiewały w jego gałęziach.

Dwa lata później Erendis stała się brzemienną i z wiosną następnego roku powiła Aldarionowi córkę. Już od chwili narodzin dziecko wyróżniało się wielką urodą, później zaś wyrosło na piękność. Stare opowieści mówią, iż była to najcudniejsza kobieta zrodzona kiedykolwiek w linii Elrosa (jeśli nie liczyć ostatniej Ar-Zimrafel). Gdy przyszła pora, by nadać dziecku imię, wybrano dlań miano Ankalime. Erendis cieszyła się w głębi serca, ponieważ uważała, że teraz Aldarion oczekując syna, swojego następcy, dłużej zabawi z żoną. Po cichu bowiem wciąż lękała się Morza i jego władzy nad sercem męża. Starła się tego nie okazywać, rozmawiając z Aldarionem o dawnych wyprawach, nadziejach i planach, zerkając jednak zazdrośnie, ilekroć odwiedzał pływający dom czy spędzał więcej czasu z Podróżnikami. Raz zdarzyło się, że Aldarion zaprosił Erendis na „Eambar”, ale zaraz dojrzawszy w jej oczach niechęć, nie ponawiał propozycji. Obawy Erendis nie były bezpodstawne. Gdy minęło pięć lat spędzonych wyłącznie na lądzie, ponownie zajął się lasami, nierzadko wiele dni pozostając poza domem. W rzeczy samej, zwiększone zostały zasoby drewna w Numenorze (głównie dzięki roztropności Aldariona), jednak i ludzi przybyło, więc potrzebowano dużych ilości tego materiału do budowania domów i do wielu innych celów. W tych dawnych czasach, chociaż wiedziano sporo o obróbce kamienia i metalu (odkąd Edainowie nauczyli się tego od Noldorów), Numenoryjczycy jednak w drewnie się kochali, zarówno ze względu na jego funkcjonalność, jak i na piękno. Aldarion zaś raz jeszcze pomyślał o przyszłości, sadząc młodziaki wszędzie tam, gdzie powalono stare drzewa, i tworząc nowe lasy na każdym stosownym splachetku gruntu. Wtedy to stał się najszerzej znany jako Aldarion i pod tym właśnie imieniem zapisał się między berłodzierzami Numenoru. Wielu jednak (łącznie z Erendis) uważało, że Następca nie widzi w nich piękna a tylko surowiec mogący posłużyć do realizacji jego planów.

Nie inaczej rzecz się miała z Morzem. Prawdę powiedziała niegdyś Nuneth w rozmowie z Erendis: „Może i kocha on statki, bo są dziełami ludzkich rąk i umysłów, jednak ja sądzę, że to nie wiatry ni fale tak pociągają jego serce, ani też widoki odległych krain, ale że jest to jakaś gorączka myśli, jakieś marzenie, za którym goni”. Istotnie Aldarion był człowiekiem

²⁴ Por. przypis 10. powyżej, dotyczący pochodzenia Erendis od Bereth, siostry Morweny, ojca Baragunda.

dalekowzrocznym i dostrzegał obraz przyszłych dni, kiedy mieszkańcom Numenoru zabraknie miejsca na wyspie i sięgnąć zechcą po leżące poza granicami wyspy bogactwa. Najpewniej śniła mu się wielka chwała Numenoru i jego królów, dlatego próbował przecierać im drogę ku nowym lennom. Tak się i stało, że porzucił w końcu lasy i ponownie zajął się skutnictwem, mając przed oczami wizję statku wielkiego niczym zamek, z wysokimi masztami oraz żaglami jak chmury, okrętu mogącego unieść ludzi i dobra w ilości wystarczającej do założenia miasta. Żwawo chwycono potem w stocznich Romenny za piły i młotki, aż pomiędzy wieloma pomniejszymi jednostkami wyrosły wręgi szkieletu potężnego kadłuba. Ludzie patrzyli nań z podziwem i zwali „Turufanto”, „Drewniany Wieloryb”, inaczej jednak brzmiało imię statku.

Aldarion nie powiedział nic Erendis, ona jednak i tak dowiedziała się o jego przedsięwzięciu i ogarnęła ją bojaźń. Pewnego zaś dnia spytała spokojnie, z uśmiechem:

- Po co budujesz wciąż statki, Panie Przystani? Czyż nie mamy ich dość? Ileż to pięknych drzew zginęło przedwcześnie tylko w tym roku?

- Nawet u boku pięknej żony mężczyzna nie powinien siedzieć beczynnie. Drzewa rosną i drzewa padają. Sadzę więcej, niż ścinam - odparł Aldarion beztrósco, ale nie spojrzał przy tym w twarz małżonki. Nigdy nie poruszali już owego tematu.

Gdy Ankalime miała prawie cztery lata, Aldarion przyznał się wreszcie głośno do zamiaru ponownego opuszczenia Numenoru. Erendis przyjęła to milcząco. Z dawna spodziewała się podobnej decyzji i wiedziała, że słowami niczego tu nie zmieni. Aldarion odczekał do dnia urodzin Ankalime, kiedy to spędził z córką wiele czasu. Dziewczynka śmiała się, szczęśliwa, chociaż reszta domowników nie widziała żadnych powodów do radości. Idąc spać, spytała ojca:

- Czy weźmiesz mnie tego lata ze sobą, *tatanyal*. Chciałabym zobaczyć biały dom w krainie owiec, o której opowiada mamil.

Aldarion nic nie odrzekł, a następnego dnia opuścił domostwo na kilka dni. Gdy wszystko było już gotowe, zjawił się, by pożegnać Erendis. Niechciane łzy pojawiły się w oczach żony. Widok ten wzbudził w Aldarionie żal, ale też irytację, podjął już bowiem decyzję i serce znów mu zhardziało.

- Uspokój się, Erendis! - powiedział. - Osiem lat tkwiłem na wyspie. Nie możesz nijak uwiązać na zawsze w jednym miejscu królewskiego syna, skoro w żyłach jego płynie krew Tuora i Earendil! Poza tym, nie wyruszam jeszcze śmierci na spotkanie. Niebawem znów mnie ujrzysz.

- Niebawem? Nierówne są nasze lata, a ty nie wrócisz mi ich, gdy ponownie zawiniesz do portu. Krótsze mi życie pisane. Moja młodość ucieka, a gdzież są dzieci, gdzież twój

następca? Od nazbyt dawna i nazbyt często chłodnym pozostaje nasze łoże²⁵.

- Wydawało mi się, że to ci odpowiada. Nie sprzecajmy się jednak, nawet jeśli nie istnieje między nami zgoda. Spójrz w lustro, Erendis. Jesteś piękna i lata nie odcisnęły jeszcze na tobie swojego piętna. Masz dość czasu, by dozwolić mi na spełnienie pragnień. O dwa lata tylko proszę!

- Powiedz raczej, że dwa lata ci to zajmie i moja zgoda, czy jej brak, niczego tu nie zmieni - odparła Erendis. - Bierz je zatem! Ale nie więcej. Królewski syn, potomek Earendila, winien być również człowiekiem słownym.

Następnego ranka Aldarion pospiesznie opuścił dom. Przedtem wziął na ręce Ankalime i ucałował gorąco, ale chociaż wczepiała się weń rączkami, szybko odstawił córkę i odjechał. Niedługo potem wielki statek odbił od nabrzeża Romenny. Zwał się „Hirilonde”, „Zawsze Wracający do Przystani”, ale wypływał bez błogosławieństwa Tar-Meneldura, a Erendis nie przybyła do portu, by zawiesić na jego dziobie Zieloną Gałąź Powrotu, nikogo też nie przysłała w zastępstwie. Z mrocznym i zatroskanym obliczem stał Aldarion na pokładzie, blisko miejsca, gdzie tkwiła gałąź *oiolaire* zawieszona przez żonę kapitana, i nie obejrzał się, aż Meneltarma zniknęła niemal w szarym zmroku.

Przez cały dzień Erendis siedziała samotnie w swej komnacie, pogrążona w żalu, który przerodził się w końcu w zimny gniew. Jej miłość do Aldariona doznała uszczerbku. Erendis z dawna nie cierpiała Morza, a teraz znienawidziła również drzewa, niegdyś ukochane, przypominały jej bowiem maszty wielkich okrętów. Tak zatem nie trwało długo, a opuściła Armenelos i wybrała się do Emerie, krainy leżącej pośrodku wyspy. Tutaj, niesione wiatrem, rozlegało się nieustannie beczenie owiec.

- Milsze ono moim uszom niżli krzyk mew - powiedziała, stojąc w drzwiach swego białego domu, daru od Króla. Dom wzniesiono u stóp wzgórza, frontem na zachód, a ze wszystkich stron otaczały go łąki przechodzące swobodnie, bez jakiegokolwiek muru czy żywopłotu, w pastwiska. Erendis zabrała ze sobą Ankalime i nikogo więcej, a za całe towarzystwo miały służbę, wyłącznie kobiety. Od tej pory matka próbowała wszczepić córce swe zgorzknienie i niechęć do mężczyzn, kształtując dziewczynkę wedle swej woli. W rzeczy samej, Ankalime rzadko widywała płęć przeciwną, Erendis bowiem nie gościła nikogo. Nieliczni jej pasterze i rolnicy zamieszkiwali w odrębnych, odległych zabudowaniach. Czasem tylko zjawiał się posłaniec od Króla, a i on krótko zabawiał w domu, który wszystkim

²⁵ Jest wiadomym, że Numenoryjczycy, podobnie jak Eldarowie, unikali posiadania potomstwa, jeśli małżonkom groziło rozstanie obejmujące okres kilku lat następujących po narodzinach dziecka. Jeśli wziąć pod uwagę numenoryjskie spojrzenie na sprawę dorastania i wychowywania dzieci, to Aldarion nader rychło opuścił dom po przyjściu na świat córki.

mężczyznom wydawał się chłodny i aż tak wrogi, że ledwie szeptem odzywali się w jego ścianach.

Pewnego ranka wkrótce po sprowadzeniu się do Emerie, Erendis obudziły śpiewne trele ptaków. Na parapecie siedziały dary elfów. Przyleciały z ogrodu w Armenelos, gdzie przemieszkiwały, zapomniane przez opiekunkę.

- Odlatujcie, głuptaski! - powiedziała. - Nie ma tu miejsca na waszą radość.

Wówczas ucichł śpiew. Ptaki wzleciały ponad drzewa i zatoczywszy trzykrotnie krąg nad dachami, poszybowały na zachód. Jeszcze tego samego wieczoru dotarły do domu ojca Erendis i przysiadłszy na parapecie komnaty, gdzie dziewczyna spędziła z Aldarionem noc po uczcie w Anduinie. Tam też znaleźli je rankiem Nuneth i Beregar. Kiedy jednak Nuneth wyciągnęła do nich ręce, ptaki zerwały się do lotu, aż jako drobne plamki na słonecznym niebie skierowały się ponad morzem ku krainie, z której kiedyś przybyły.

- Zatem odpłynął i znów ją opuścił - powiedziała Nuneth.

- Zatem dlaczego nie mamy od niej żadnych wieści? - spytał Beregar. - Dlaczegoż nie wraca do domu?

- Wystarczająco dużo już się dowiedzieliśmy - odparła Nuneth. - Odprawiła ptaki elfów i źle uczyniła. Niczego dobrego to nie wróży. Czemu, czemu, córko moja, tak postępujesz? Przecież wiedziałaś chyba, na co się porywasz? Zostawmy ją w spokoju, Beregarze, gdziekolwiek przebywa. Nasz dom przestał już być domem Erendis, pobyt z nami nie uzdrowi zbolełego serca. A on wróci, a wtedy może Valarowie użyczą jej swej mądrości. Lub przynajmniej sprytu!

Gdy nadszedł drugi rok od wypłynięcia Aldariona, Król wyraził życzenie, aby Erendis nakazała uszykować stosownie dom w Armenelos, ona jednak nijakich przygotowań na powrót męża nie poczyniła. Królowi zaś wysłała odpowiedź: „Przybędę, jeśli mi rozkażesz, *atar aranya*, ale czemuż miałabym się spieszyć? Zdążę ze wszystkim, gdy jego statek ukaże się na Wschodzie”. Sama natomiast pomyślała: „Czyżby Król myślał, że będę niczym dziewczka marynarza wyczekiwać na nabrzeżu? Nie. Tę rolę mam już za sobą”.

Rok wszakże minął, a na horyzoncie nie pojawiły się żagle okrętów Aldariona. Gdy kolejna jesień nie przyniosła zmiany, Erendis pogrążyła się już w całkowitym milczeniu, ogarnięta okrutnym gniewem. Rozkazała zamknąć naглуcho dom w Armenelos i nigdy teraz nie oddalała się zbyt od domostwa w Emerie. Wszelką miłość przelewała na córkę przywiązując ją do siebie na wszelkie sposoby.

Nie pozwalała dziewczynce na nijakie wycieczki, nawet zakazała odwiedzać Nuneth i rodzinę w Zachodnich Ziemiach. Nauki pobierała Ankalime tylko od matki, aż posiadała

umiejętność czytania i pisanie. Rozmawiała z Erendis w mowie elfów, jak było to przyjęte między możnymi Numenoru. W domach Ziemi Zachodnich, na przykład u Beregara, używano tego języka na co dzień, a samej Erendis rzadko zdarzało się posługiwać numenoryjskim, mową ukochaną przez Aldariona. Ankalime zgłębiała wiedzę o historii Numenoru, korzystając z domowych ksiąg i zwojów, które mogła odczytać. Od kobiet w domostwie słyszała zaś opowieści innego jeszcze rodzaju, jednak o poznawaniu przez córkę tych „ludowych mądrości” Erendis nie miała pojęcia, jako że służące ostrożnie postępowały, kontaktując się z dzieckiem, nazbyt bowiem obawiały się swej pani. Tak i mało śmiechu zaznała Ankalime w białym domu w Emerie. Żałobna cisza tam panowała. Brakowało muzyki, ponieważ w owych czasach na instrumentach grali wyłącznie mężczyźni i jedynymi melodiami, czasem docierającymi do uszu dziewczynki, były śpiewy kobiet pracujących na polach, z dala od Białej Pani Emerie. Ankalime miała już siedem lat, więc kiedy tylko mogła, wymykała się w rozległe doliny, gdzie biegała do woli, niekiedy zaś dołączała do pasterek, dopatrując owiec i uczując pod gołym niebem.

Pewnego letniego dnia owego roku przybył do Białego Domu z odległej farmy pewien posłaniec, młody chłopak, starszy nieco od Ankalime. Dziewczynka spotkała go, gdy posilał się chlebem i popijał mleko na podwórku gospodarstwa za domem. Spojrzał na nią obojętnie i ponownie zajął się jedzeniem. Potem jednak odstawił kubek i powiedział:

- A gap się na mnie, wielkooka, jeśli już musisz! Piękna z ciebie dziewczynka, ale jakaś chuda. Może chcesz trochę? - Wyciągnął z torby bochen chleba.

- Precz stąd, Ibal! - krzyknęła starsza niewiasta, która wyszła akurat z mleczarni. - I wyciągaj dobrze swoje długie nogi, bo inaczej zapomnisz, co kazałam ci powtórzyć matce i z niczym wrócisz do domu!

- Nie trzeba psa łańcuchowego, gdzie ty jesteś, mateczko Zamin! - krzyknął chłopak, po czym, szczekając, wypadł przez furtkę i zbiegł ze wzgórza. Zamin była starą wieśniaczką o ciętym języku i rzadko traciła rezon, nawet w obliczu Białej Pani.

- Co to za hałaśliwe stworzenie? - spytała Ankalime.

- Chłopak - odparła Zamin. - O ile rozumiesz znaczenie tego słowa. Większość z nich to łobuzy i żarłoki. Ten akurat opycha się cały czas i nie bez powodu. Gdy jego ojciec powróci, zastanie w domu gładkiego młodzika. A jeżeli nie przybędzie wkrótce, nie pozna własnego dzieciaka. Nie on jeden zresztą zdziwi się na widok swojej pociechy.

- Ten chłopak też ma ojca? - spytała Ankalime.

- Oczywiście. Jest nim Ulbar, jeden z pasterzy wielkiego pana na południu, nazywanego przez nas „Owczym władcą”. Łączy go pokrewieństwo z samym Królem.

- Dlaczego zatem Ulbar opuścił stada i dom?

- Czemu, *herinke*? Bo usłyszawszy o tych całych Podróżnikach przystał do nich i popłynął z twoim ojcem, panem Aldarionem, ale Valarowie tylko wiedzą dokąd i po co ich poniosło.

Tego wieczoru Ankalime spytała nagle matkę:

- Czy mój ojciec zwany też bywa panem Aldarionem?

- Owszem - odparła Erendis głosem cichym i lodowatym, zdumiona wielce i zakłopotana, nigdy bowiem dotąd nie rozmawiała o Aldarionie. - Ale czemu pytasz?

Ankalime nie dała matce odpowiedzi, chciała za to dowiedzieć się czegoś więcej.

- A kiedy wróci?

- Nie wiem. Pewnie nigdy. Nie martw się jednak, masz matkę, a ona nie ucieknie, jak długo ją kochasz.

Ankalime nie wspomniała już o ojcu. Dni upływały, nadszedł kolejny rok i jeszcze jeden. Ankalime skończyła wiosną dziewięć lat. Jagnięta urodziły się i urosły, pora strzyżenia przyszła i minęła, gorące letnie słońce wypaliło trawy. Jesień przyniosła deszcze, a wówczas wschodni wiatr, pędzący ponad szarym morzem zwały chmur, przygnał wreszcie Aldariona do Romenny. Wysłano zaraz gońców do Emerie, ale Erendis nie zareagowała na wiadomość. Nikt nie witał Aldariona na przystani, a gdy po długiej drodze w deszczu dotarł do Armenelos, zastał drzwi zamknięte i dom pusty. Chociaż zasmucony, nikogo o nic nie pytał, tylko podążył do Króla, uznał bowiem, że ma ojcu wiele do powiedzenia.

Oczekiwał nieco cieplejszego przyjęcia niż to, z jakim się i spotkał. Meneldur rozmawiał z synem jak Król z podejrzanym o niegodne czyny kapitanem.

- Długo cię nie było - stwierdził chłodnym głosem. - Ponad trzy lata minęły od czasu twego planowanego powrotu.

- Niestety! - odparł Aldarion. - Nawet mnie morze znużyło i z dawna już tęskniłem za Numenorem. Musiałem jednak zostać w odległych krainach, bo wiele było do zrobienia, a bez mego udziału wszystko szło na opak.

- Nie wątpię - powiedział Meneldur. - Obawiam się jednak, że w twojej ojczyźnie sprawy mają się nader podobnie.

- Tutaj może jeszcze da się cokolwiek naprawić. Jednak świat się zmienia. Ponad tysiąc lat minęło, odkąd Władcy Zachodu stanęli do walki z potęgą Angbandu i ludzie w Śródziemiu zapomnieli już wszystko, lubo tylko w legendach przekazywali mgliste relacje o owych dniach. Obecnie znów są ogarnięci strachem. Niespokojne ich krainy. Zatem gorąco pragnę naradzić się z tobą, zdać sprawę z tego, co czyniłem, i zastanowić się, co jeszcze uczynić trzeba.

- Tak też się stanie - orzekł Meneldur. - W rzeczy samej, tyle przynajmniej spodziewam się po tobie. Ale czekają tu jeszcze inne sprawy, które oceniam jako pilniejsze. Powiada się, że Król winien doglądać najpierw własnego domostwa, potem dopiero poprawiać cudze błędy. Słuszna to zasada i na równi stosuje się do wszystkich ludzi. Dam ci teraz radę, synu Meneldura. Pomyśl o własnej osobie, o tej części swego życia, której istnienie zawsze dotąd negowałeś. Powiadam ci: jedź do domu.

Aldarion zamarł i grymas wykrzywił mu twarz.

- A nie wiesz przypadkiem, gdzie jest mój dom?

- Tam, gdzie przebywa twa żona - odparł Meneldur. - Jakkolwiek by patrzeć, złamałeś dane jej słowo. Mieszka teraz w Emerie, w swym domu z dala od morza.

- Gdyby zostawiła mi choć słowo, dokąd się udała, pojechałbym do niej wprost z przystani - powiedział Aldarion. - Ale przynajmniej nie muszę już pytać obcych ludzi o wieści.

- Odwrócił się, by odejść, ale przystanął jeszcze i dodał: - Kapitan Aldarion zapomniał o czymś, co w swej samowoli uznaje za pilne. Ma list, który polecono mu doręczyć Królowi w Armenelos. - Podał pismo Meneldurowi, skłonił się i opuścił komnatę. Nim minęła godzina, wziął konia i odjechał, chociaż noc zapadała. Wziął ze sobą tylko dwóch towarzyszy, członków załogi jego statku: Hendercha z Ziem Zachodnich i Ulbara z Emerie.

Galopowali bez odpoczynku, wszystkie siły wyciskając z siebie i wierzchowców. W końcu o zmierzchu następnego dnia dotarli do Emerie. Ostatnie promienie zachodu przedzierały się przez powłokę chmur i oświeślały emanujący chłodem biały dom na wzgórzu. Ledwo ujrawszy domostwo, Aldarion zadał w róg.

Zeskakując z konia na podjeździe, zobaczył Erendis. Spowita w biel stała na szczycie schodów wiodących do drzwi skrytych za kolumnadą. Trzymała dumnie podniesioną głowę, jednak gdy podszedł bliżej, dostrzegł bladość jej oblicza i błysk smutku w oczach.

- Spóźniłeś się, mój panie - powiedziała. - Przestałam już wyglądać twojego powrotu. Obawiam się, że nie zdołam przywitać cię tak, jakbym uczyniła to, gdybyś przybył o czasie.

- Marynarze nie są wymagający - odparł Aldarion.

- To i dobrze - stwierdziła krótko, po czym obróciła się i zniknęła we wnętrzu domu. Wówczas wyszły dwie kobiety w wieku średnim i jedna mocno posunięta w latach. Gdy Aldarion ruszył do środka, usłyszał, jak ta ostatnia przemawia do jego towarzyszy:

- Nie ma tu dla was miejsca! Idźcie do zabudowań u stóp wzgórza! - Mówiła to specjalnie na tyle głośno, by jej słowa dotarły także do uszu Następcy.

- Nie, Zamino - odparł Ulbar. - Za zgodą pana Aldariona udaję się do domu. Wszystko tam w porządku?!

- Nie najgorszym - mruknęła starucha. - Twój syn obżartuch tak urósł, że pewnie go nie poznasz. Ale jedź i sam zobacz! Ciepłej cię tam przyjmą niż tu twojego kapitana.

Erendis nie zasiadła wraz z Aldarionem do kolacji. Został on obsłużony w osobnym pokoju. Zanim jednak skończył jeść, stanęła w drzwiach i nie krępując się obecnością służących, powiedziała:

- Zmęczony musisz być, panie, po tak wyczerpującej podróży. Skorzystaj z pokoju gościnnego. Moje kobiety są na twe usługi. Jeśli będzie ci zimno, każ rozpaścić ogień.

Aldarion nie odpowiadał. Wcześniej udał się do sypialni, czując naprawdę wielkie znużenie. Runął na łożo i rychło zapadł w głęboki sen zapominając doszczętnie o cieniach gromadzących się w Śródziemiu i Numenorze. O pianiu koguta obudził się jednak zły i niezadowolony. Wstał natychmiast, zastanawiając się, czy by nie opuścić po cichu tego domu. Bez trudu mógłby odnaleźć Hendercha i konie, potem pojechać do swego krewniaka Hallatana, „Owczego władcy” z Hyarastorni. Następnie wezwałby Erendis, by przywiozła córkę do Armenelos. Nie chciał bowiem toczyć boju z małżonką na jej własnym gruncie. Kiedy jednak postąpił ku drzwiom, w progu stanęła Erendis. Nie spała wcale tej nocy.

- Szybciej wyjeżdżasz, niż przybyłeś, panie - rzekła. - Mam nadzieję, że widok wyłącznie kobiecego domu nie obrzydł ci jeszcze na tyle, by ruszać w drogę, niczego nie załatwiwszy? A właśnie, jaki to interes przywiódł cię tutaj? Czy mógłbyś mi zdradzić tę tajemnicę, nim się rozstaniemy.

- Powiedziano mi w Armenelos, że moja żona zamieszkała w tym domu i że zabrała tu córkę. Żony nie znalazłem, ale chyba miałem jeszcze dziecko?

- Owszem. Kilka lat temu - stwierdziła Erendis. - Ale moja córka jeszcze śpi.

- To niech się obudzi, a ja tymczasem pójdę po konia.

Erendis wolałaby nie dopuścić do spotkania Ankalime z ojcem, w każdym razie jeszcze nie teraz, obawiała się jednak gniewu Króla, na dodatek Rada²⁶ już dawno okazała niezadowolone z faktu, że dziecko wychowywane jest na wsi. Tak zatem, gdy Aldarion wrócił z Henderchem, Ankalime stała obok Erendis na progu domu. Była równie sztywna i wyniosła jak matka i nie dygnęła nawet, gdy Aldarion zsiadł z wierzchowca i wszedł na schody.

²⁶ Notatka dotycząca funkcjonowania w owym czasie „Rady Berła” podaje, że Rada nie miała prawa wpływać na decyzje Króla inaczej, jak tylko sugerując pewne rozwiązania. Nie uważano też, by szersze prerogatywy były pożądane. Radę tworzyli członkowie wszystkich krain Numenoru; Następca Króla, gdy już został oficjalnie wyznaczony, również do niej należał i brał udział w zgromadzeniach, a to w celu pobierania nauk o rządzeniu krajem. Król mógł powołać też do Rady inne osoby lub, poprosić o ich wybranie, jeśli dysponowali oni akurat wiedzą potrzebną podczas jakiejś debaty. W owym czasie tylko dwóch członków Rady (starszych od Aldariona) wywodziło się z rodu Elrosa: Valandil z Andunie reprezentujący Andustar i Hallatan z Hyarastorni przedstawiciel Mittalmaru. Zawdzięczali oni jednak swoje miejsca nie pochodzeniu czy bogactwu, ale szacunkowi i miłości, którymi darzono ich w rodzinnych krainach (W *Akallabeth* znajdujemy stwierdzenie, iż Księżę Andunie zawsze

- Kim jesteś? - spytała. - I czemu każesz budzić mnie wcześniej od pozostałych domowników?

Aldarion spojrzał na nią przenikliwie, a chociaż twarz jego zachowała surowy wyraz, to w głębi ducha uśmiechnął się, widząc, że dziecko jego raczej niż matki miało charakter, niezależnie od wszelkich starań Erendis.

- Kiedyś dobrze mnie znałaś, panno Ankalime - powiedział. - Ale nieważne. Dzisiaj przybywam jedynie jako posłaniec z Armenelos, by przypomnieć ci, że jesteś córką Następcy Króla i wszystko wskazuje obecnie na to, w stosownej chwili zostaniesz jego Następczynią. Nie zawsze będziesz tu mieszkała. Teraz jednak, jeśli chcesz, wracaj do łóżka, moja panno. Spieszę się, by stanąć przed Królem, Żegnaj! - Ucałował dłoń Ankalime i zszedł po schodach potem dosiadł konia i odjechał, pomachawszy jeszcze pożegnanie ręką.

Jedna Erendis patrzyła za oddalającym się Aldarionem i zauważyła, że podąża w stronę Hyarastorni, a nie Armenelos. Potem zapłakała, po trosze z żalu, przede wszystkim jednak ze złości. Oczekiwała pokornego powrotu małżonka, by uczyniwszy szereg gorzkich wyrzutów, móc w końcu mu wybaczyć, gdyby o to zaczął błagać, jednak potraktował żonę niczym winowajczynię i zignorował ją w obecności córki. Zbyt późno przypomniła sobie Erendis słowa wypowiedziane niegdyś przez Nuneth. Teraz Aldarion wydał jej się nieprzejednanym żywiołem, mężczyzną obdarzonym wolą tym bardziej nieugiętą, im silniejszy był jego gniew. Wstała i odeszła od okna rozpamiętując każdą krzywdę, którą jej wyrządził.

- Twardy jest! - powiedziała. - Ale mnie równie ciężko jak stał złamać. Przekona się o tym, choćby nawet został Królem Numenoru.

Aldarion pojechał do Hyarastorni, do domu swego kuzyna, Hallatana, chciał bowiem odpocząć tam nieco i pomyśleć. Gdy znalazł się już blisko, usłyszał muzykę. To pasterze cieszyli się z powrotu Ulbara, który przywiózł wiele cudownych podarunków i takichże opowieści. Przybrana w kwietne wieńce żona Ulbara tańczyła z nim przy wtórze piszczałkowego grania. W pierwszej chwili nikt nie zauważył Aldariona, on jednak tylko siedział na grzbiecie wierzchowca i przyglądał się zabawie z uśmiechem. Nagle dostrzegł go Ulbar i krzyknął:

- Kapitanie!

Ibal, jego syn, podbiegł do strzemienia Aldarionowego rumaka i zawołał z przejęciem:

- Wielki Kapitanie.

- Cóż jest? Spieszę się - rzucił Aldarion, ulegając gwałtownej zmianie nastroju. Pełen był teraz gniewu i gorzkości.

- Chciałbym się tylko dowiedzieć - odezwał się chłopak - ile lat musi liczyć mężczyzna, abyś wziął go, panie, na pokład?

- Musi być zmurszały jak wzgórze i wyprany ze wszelkiej nadziei w życiu - odparł Aldarion. - Starczy też, że zapragnie w dowolnej chwili, bym go zabrał! Ale, synu Ulbara, czy twoja matka mnie nie przywita?

Gdy żona Ulbara podeszła, Aldarion ujął jej dłoń.

- Czy przyjmiesz to ode mnie? - spytał. - Niewiele to w zamian za sześć lat pracy dzielnego męża, którego ci zabrałem. - Potem ze schowanego pod tuniką mieszka wyjął kamień czerwony jak płomień, osadzony w przepasce ze złota i wcisnął dar w dłoń kobiety. - Pochodzi od Króla elfów. Wszakże, gdy ów monarcha dowie się, komu przekazałem jego dar, uzna, że w godne ręce trafił ten drogocenny przedmiot.

Potem Aldarion pożegnał się z wszystkimi i odjechał, nie zamierzając skorzystać z gościny. Gdy Hallatan usłyszał o dziwnym przybyciu i zniknięciu gościa, zdumiał się i trwał w tym stanie, aż wieści o ostatnich wydarzeniach rozeszły się po okolicy.

Ledwie oddaliwszy się od Hyarastorni, Aldarion zatrzymał konia i spojrzał na Hendercha.

- Jeśli ktoś czeka na ciebie gdzieś na Zachodzie, ruszaj nie zwlekając. Przyjmij me podziękowanie i wracaj do domu. Nie chcę już towarzystwa w dalszej drodze.

- To nie przystoi, Kapitanie - odparł Henderch.

- Możliwe, ale tak właśnie będzie. Żegnaj! Potem odjechał samotnie do Armenelos i nigdy więcej noga jego nie postąpiła w Emerie.

Gdy Aldarion wyszedł z komnaty, Meneldur spojrzał na otrzymany od syna list i zdumiał się, poznając, że pismo pochodzi od Króla Gilgalada w Lindonie. Było zapieczętowane i opatrzone jego znakiem przedstawiającym białą gwiazdę na błękitnym okręgu²⁷. Na zewnętrznej stronie złożonego arkusza widniał napis:

„Powierzyć w Mithlondzie w ręce Pana Aldariona Następcy Króla Numenore dla samego Najwyższego Króla w Armenelos”.

Meneldur złamał pieczęć i odczytał następujący tekst:

„Ereinion Gilgalad, syn Fingona, pozdrawia Tar-Meneldura z rodu Earendila. Niech Valarowie cię wspierają i chronią Wyspę Królów od cienia. Z dawna winien jestem Waszej Wysokości podziękowania za to żeś tyle razy przysyłał mi syna swego, Anardila Aldariona.

²⁷ Zostało odnotowane, że Ereinion otrzymał imię Gilgalada, „Gwiazdy Światłości”, ponieważ nosił hełm, kolczugę i tarczę obłożone srebrem i ozdobione białymi gwiazdami... Zbroja lśniła z daleka, czy to w blasku słońca, czy w poświacie księżyca, a bystre oczy elfów dostrzegały Ereiniona z wielkiej odległości, o ile tylko stanął na wzniesieniu”.

Mniemam, że największy to obecnie pośród ludzi przyjaciel elfów. Tym razem proszę o wybaczenie, jeśli zbyt długo zatrzymałem go na swej służbie, ale nade wszystko była nam potrzebna jego znajomość ludzi i ich języków, którymi on jeden włada. Stawił czoło wielu niebezpieczeństwom, by służyć mi radą. Sam opowie, w jakiej znalazłem się potrzebie, chociaż nie odgadnie wielkości groźby, młody jest bowiem i pełen nadziei. Treść tego listu kieruję wyłącznie do Króla Numenore. Nowy cień zasnuwa krainy Wschodu. Nie jest to tyrania powstała za sprawą złych ludzi, jak mniema twój syn, ale dzieło sługi Morgotha, budzącego znów mroczne moce. Z każdym rokiem nabiera on sił, większość ludzi bowiem dojrzała już do jego zamysłów. Obawiam się, że nieodległy jest dzień, gdy wróg stanie się zbyt potężny dla pozbawionych wsparcia Eldarów. Tak zatem, ilekroć dojrzę smukły statek ludzkich królów, widok ten raduje moje serce. Teraz zaś ośmielam się szukać u Waszej Wysokości pomocy. Jeśli tylko zbywa Ci zbrojnych, błagam o ich użyczenie. Twój syn, jeśli zechcesz go wysłuchać, zda dokładnie sprawę z naszej sytuacji. W skrócie wszelako jego rada (jak zawsze mądra) do tego się sprowadza, by w godzinie ataku, a nastąpi on na pewno, spróbować utrzymać Krainy Zachodnie, wciąż zamieszkane przez Eldarów i ludzi twej rasy, których serca jeszcze nie okryły się mrokiem. W ostateczności zaś musimy walczyć o Eriador, wzdłuż naszej głównej Unii obronnej biegnącej brzegiem długich rzek na zachód od gór zwanych przez nas Hithaeglin. Jest jednak w łańcuchu tych gór wielka przerwa, rozciąga się na południu, w krainie Kalenardhon, tamtędy właśnie nadejdzie niechybnie napaść ze Wschodu. Już teraz wrogowie wyraźnie kierują się ku temu miejscu, zbliżając się szlakiem wybrzeża. Trzeba obsadzić ową lukę i odeprzeć atak, o ile mamy utrzymać w naszej władzy pobliski skrawek lądu graniczącego z morzem. Lord Aldarion dostrzegał to już dawno. W Vinyalonde przy ujściu Gwathlo próbował założyć przystań bezpieczną od morza i od lądowej napaści, ale wszelkie jego działania i ogrom pracy poszły na marne. Wielka jest jego wiedza o podobnych sprawach, sporo nauczył go Kirdan, lepiej też, niż ktokolwiek inny, pojmuję Aldarion, jak bardzo potrzebna jest flota, nigdy jednak nie miał dość ludzi, a Kirdan nie użyczył mu ni cieśli, ni murarzy, bo i jemu takowych brakuje. Król sam wszystko rozważy, a jeśli zechce wysłuchać z uwagą lorda Aldariona i wesprzeć go, o ile będzie taka możliwość, wówczas wzrośnie i nadzieja dla świata. Wiedza o Pierwszej Erze zanikła i chłód niepamięci ogarnia Śródziemie. Nie pozwólmy, aby pradawna przyjaźń pomiędzy Eldarami i Dunedainami także zanikła. Zapamiętaj! Ciemność, która nadejdzie, żywi się nienawiścią do nas, wam jednaki nie mniej jest wroga. Wielkie Morze też jej nie powstrzyma, gdy wzrosła w siłę skrzydła rozpostrze. Niech Manwe ma was w opiece z woli Jedynego i niech sprzyjającym wiatrem wypełnia wasze żagle”.

Meneldur upuścił list na kolana. Zwały chmur niesione wiatrem ze Wschodu przedwcześnie pociemniły nieboskłon, a stojące obok Króla smukłe świece jakby skarłały wobec inwazji mroku.

- Niechby Eru zabrał mnie, nim nadejdzie ten czas! - krzyknął głośno Król, a potem mruknął do siebie: - Niestety! Jego duma i mój chłód serca sprawiły, że niej stanowimy już jedności. Wcześniej niż zamyślałem, oddam mu Berło. Rozum podpowiada, by tak właśnie uczynić, przerasta mnie bowiem to wszystko. Kiedy Valarowie przekazali nam Krainę Daru, nie ustanowili nas swoimi namiestnikami, otrzymaliśmy królestwo Numenoru, a nie cały świat. To Oni nim rządzą. My zaś mieliśmy żyć tutaj bez nienawiści i wojen, zbrojnym konfliktom bowiem kres położono, wyrzucając Morgotha z Ardy. Tak zawsze sadiłem i tak mnie uczono.

Jednak jeśli mroki znów gęstnieją, to Oni muszą o tym wiedzieć, czemu zatem nie dali mi znaku? Chyba, że to jest znak. Cóż zatem czynić? Nasi ojcowie nagrodzeni zostali za pomoc w pokonaniu Wielkiego Cienia. Czy ich synowie ponownie winni powstać, skoro Zło podnosi znów głowę?

Zbyt wiele wątpliwości mną targa, bym mógł dalej rządzić. Podjąć przygotowania, czy pozwolić sprawom toczyć się swoim torem? Szykować się do wojny, która wciąż niepewna? W czasach pokoju uczyć rzemieślników i rolników przelewać krew i walczyć? Dać kapitanom żelazo do ręki, aby pokochali podboje i zaczęli licytować się, kto ma więcej istnień na sumieniu? Czy powiedzą oni Eru: „Wszak byli między nimi twoi wrogowie”? Albo założyć ręce, gdy przyjaciele umierali będą w obronnym boju, pozwolić nieświadomym zagrożenia ludziom bytować w pokoju, aż łupieżcy staną u bram? Co im wówczas zostanie? Z gołymi dłońmi rzucać się na żelazo i umierać daremnie lub uciekać, krzyk kobiet słysząc za plecami. Czy rzekną wówczas Eru: „Przynajmniej nie splamiła nas cudza krew”?

Cóż warta wolna wola, gdy wszelkie wybory do złego prowadzą? Niech Valarowie rządzą, Eru mając za władcę! Ja przekażę Berło Aldarionowi. Chociaż... to też oznacza wybór, wiem bowiem, jaką drogę on wybierze. Chyba żeby Erendis...

Wówczas Meneldur pomyślał z niepokojem o tkwiącej w Emerie żonie syna.

- Nikła nadzieja, o ile w ogóle jeszcze takowa istnieje. Erendis nie ugnie się nawet w wielkiej potrzebie. Wystarczająco dobrze ją znam. Jeśli zechce wysłuchać dość, by cokolwiek zrozumieć, to nie sięgnie myślą poza Numenor, nie pojmie, o jak wysoką stawkę idzie. Umrze godnie w swym własnym czasie, ale w jaki sposób spożytkuje swoje życie i coś uczyni z żywotami innych? Tego nie wiem ani ja, ani żaden z Valarów, więc czekać nam trzeba.

Aldarion wrócił do Romenny w czwartym dniu od przybicia „Hirilonde” do przystani. Zdrożony i zakurzony udał się od razu na „Eambar”, na którego pokładzie zamierzał teraz

zamieszkać. Z goryczą odkrył, że miasto huczy już od plotek. Następnego dnia zebrał ludzi i poprowadził ich do Armenelos. Tam nakazał ściąć wszystkie, prócz jednego, drzewa w ogrodzie i zabrać pnie do stoczni. Potem zrównano z ziemią dom. Gdy drwale już poszli, Aldarion spojrzał na białe drzewo elfów stojące samotnie na polu zniszczenia i po raz pierwszy dostrzegł jego piękno. Drzewo rosło powoli, po elfiemu i miało dopiero trzy i pół metra, proste przy tym było, smukłe i młode, z celującymi w niebo gałęziami, na których kwitły zimowe kwiaty. Pomyślał wówczas Aldarion o córce i powiedział, kierując swe słowa do daru elfów:

- Ciebie też nazwę Ankalime. Niechby udało się wam dotrzeć w dumnej postawie sędziwych lat swobody i oby nie przygięły was ani wichry, ani cudza wola!

Trzeciego dnia po powrocie z Emerie Aldarion udał się do Króla. Tar-Meneldur siedział wciąż na tronie i czekał, i z lękiem spojrzał na syna, Aldarion bowiem zjawił się odmieniony. Twarz miał poszarzałą, zimną i jakby wrogą, niczym morze pogrążone nagle w cieniu, gdy grube chmury skryją słońce. Stojąc przed ojcem, zaczął przemowę, a ton jego głosu niósł wzgardę raczej niż gniew.

- Sam wiesz najlepiej, jaką rolę w tym wszystkimi odegrałeś. Król jednak winien ważyć dobrze, ile znieść mogą jego poddani, nawet gdy rzecz tyczy Następcy. Jeśli zamierzałeś przykuć mnie do tej krainy, to źle wybrałeś więzy. Nie mam już żony, żadna miłość nie łączy mnie z Numenorem. Opuszczę tę opętaną złym czarem wyspę marzeń na jawie, zamieszkiwaną przez pełne wyniosłej buty kobiety, które pragną, by mężczyźni przed nimi się płaszczyli. Gdzie indziej wypełnię moje dni nową treścią. Popłynę tam, gdzie się mną nie pogardza, tylko wita z szacunkiem. Może jakiś inny Następca lepiej nada się na uniżonego sługę. Z całego mego dziedzictwa żądam tylko „Hirilonde” i tylu ludzi, ilu zmieści się na jego pokładzie. Córkę też bym zabrał, gdyby była starsza, ale teraz powierzam ją matce. Jeśli cenisz jeszcze cokolwiek prócz owiec, to nie ścierpisz dłużej, by dziecko wzrastało między niemymi kobietami w zimnej pysze i wzgardzie dla krewnych. Pochodzi z linii Elrosa, a twój syn nie da już żadnego więcej spadkobiercy, zamierza bowiem zająć się czymś bardziej pożytecznym.

Przez cały ten czas Meneldur trwał nieruchomo, słuchając cierpliwie ze spuszczonej oczami. Potem westchnął i spojrzał na syna.

- Aldarionie. - Król powiedziałby, że ty także okazujesz zimną butę oraz pogardę dla krewnych i sam potępiasz innych, nie wysłuchawszy ich pierw, ale kochający ojciec owo postępowanie wybaczy. Tym tylko zawiniłem, że aż do tej chwili nie rozumiałem, do czego dążysz. Natomiast jeśli chodzi o twoje cierpienia (zbyt wiele by o nich mówić!), to jestem bez winy. Kochałem Erendis, a ponieważ podobnie skłaniały się nasze serca, uważałem, że zbyt wielkie brzemie przypadło jej dźwigać. Teraz jednak widzę cel twej wędrówki. Jeśli wszakże

zdołasz wysłuchać czegokolwiek prócz pochwał, to dodam jeszcze, że moim zdaniem z początku kierowałeś się innymi pobudkami. Za przyjemnością i przygodą goniełeś. Może inaczej wszystko by się potoczyło, gdybyśmy już dawno temu pomówili otwarcie.

- Król może nad tym boleć - krzyknął Aldarion, coraz bardziej ożywiony - ale nie ta, o której wspominałeś! Z nią bowiem rozmawiałem długo i często, ale ona pozostawała głucha. Równie dobrze mógłby młody urwis opowiadać swej niańce o łażeniu po drzewach, a opiekunka i tak będzie myślała tylko o tym, by chłopak spodni nie podarł i wrócił w porę na obiad! Kocham Erendis, inaczej nie martwiłbym się tak bardzo. Przeszłość wycisnęła piętno na moim sercu i ślad pozostanie, przyszłość zaś jest martwa. Erendis albo mnie nie kocha, albo o coś innego jeszcze tu chodzi. Miłuje samą siebie, z Numenorem jako oprawą dla jej osoby i ze mną pod postacią oswojonego ogara, który drzemał będzie przy kominku, aż jego pani zapagnie przejść się po własnych polach. Odkąd jednak wierny pies zhardział nadto, przyszła pora, by zabrać mu wszystko. Zamknęła w klatce popiskującą cicho Ankalime. Ale dość. Czy Król pozwoli mi odpłynąć? Czy chce mi coś nakazać?

- Król rozważał tę sytuację - odparł Tar-Meneldur. - Myślał o tym przez cały długi czas, jaki upłynął od twojej ostatniej wizyty w Armenelos. Przeczytał list od Gilgalada, szczery i poważny w tonie. Niestety! Jego prośbom i twoim pragnieniom Król Numenoru powiedzieć musi: nie. Uznaje, że zarówno podjęcie przygotowań do wojny, jak i zaniechanie tychże wiąże się z pewnymi niebezpieczeństwami, zatem stwierdza, że inaczej uczynić nie może.

Aldarion wzruszył ramionami i odstąpił krok, jakby zamierzał odejść, Meneldur skinął jednak dłonią, żądając od syna posłuchu, i kontynuował:

- Niemniej, chociaż Król ten rządzi w Numenorze już od stu i czterdziestu dwóch lat, nie ma pewności, czy pojmuje całą materię dość dobrze, aby podjąć decyzję w sprawie na tyle istotnej.

Tutaj przerwał i uniósłszy do oczu trzymany w dłoni dokument, odczytał mocnym głosem:

- Tym samym, po pierwsze dla honoru ukochanego syna, po drugie zaś dla lepszych rządów w królestwie, którego problemy tenże rozumie lepiej, Król postanowił złożyć rezygnację, oddając Berło synowi, aby odtąd panował jako Król Tar-Aldarion.

- Gdy to ogłoszę, wszyscy dowiedzą się, że nie ja będę już wytyczał drogi państwa. Wyniesiony zostaniesz ponad ludzką wzgardę i otrzymasz władzę dość potężną, by łatwiej przeboleć wszystkie straty. Skoro zaś zasiądziesz na tronie, to przystoi, byś sam odpowiedział na list Gilgalada.

Aldarion zastygł, zdumiony. Oczekiwał, że przyjdzie mu stawić czoło ojcowskiemu

gniewowi, jako że świadomie go podsycił. Teraz czuł kontuzję. Nagle, niczym ktoś zwalony z nóg przez niespodziewany poryw wchru, runął na kolana przed Królem. Po chwili jednak uniósł głowę i roześmiał się, jak zawsze, gdy docierała doń wieść o szlachetnym czynie, takie bowiem porywy serca cenił najwyżej.

- Ojciec - powiedział - poproś Króla, by zechciał zapomnieć moje zniewagi. To wielki bowiem władca a jego pokora wyższej jest próby niż moja duma. Nie do pomyślenia, by mądry Król składał Berło, jak długo ciało i umysł mu dopisują.

- Niemniej to już postanowione - stwierdził Meneldur. - Natychmiast zwołam Radę.

Gdy po siedmiu dniach Rada zebrała się w komplecie, Tar-Meneldur przedstawił im swą decyzję i oddał dokument. Nie wiedząc jeszcze, o jakich to plagach właściwie wspomniał Król, wszyscy bardzo zdumieni poczęli błagać, by odwlekl odejście z urzędu, jeden tylko Hallatan z Hyarastorni postąpił inaczej. Darzył bowiem Aldariona wielkim szacunkiem, chociaż sam wiódł odmienne życie i obce mu były upodobania krewniaka. Uznał zatem, że Król postąpił szlachetnie i w dobrym momencie ogłosił rezygnację, skoro już tak postanowił.

Reszta członków Rady wysuwała rozmaite argumenty przeciwko abdykacji, lecz Meneldur powiedział:

- Nie podjąłem tej decyzji bez zastanowienia. Rozważyłem już wnikliwie kwestię, teraz mądrze przez was poruszane. Chwila obecna jest najstosowniejszą i nie ścierpię żadnej zwłoki w realizacji mego zamysłu, a to z powodów, które wszyscy już chyba odgadli, chociaż nikt głośno o nich nie wspomniał. Jeśli jednak chcecie, poczekam do *Erukyerme*. Zachowam Berło do wiosny.

Gdy dotarły do Emerie wieści o proklamowaniu królewskiego dekretu, Erendis przyjęła rzecz z przerażeniem, uznając, iż jest to znak utracenia poparcia Króla, a na jego pomoc bardzo liczyła. Dostrzeżenie czegokolwiek ze spraw większych, leżących u podstaw decyzji, przekraczało jej możliwości. Niedługo potem przybył od Tar-Meneldura posłaniec z prośbą, rozkazem właściwie, chociaż uprzejmie sformułowanym, aby Erendis wróciła z Ankalime do Armenelos i zamieszkała tam przynajmniej do koronacji nowego Króla.

- Szybko uderza - pomyślała. - Powinnam to przewidzieć. Odrze mnie teraz ze wszystkiego. Ale mojej osobie rozkazywać nie będzie, nawet poprzez usta swojego ojca.

Tak i ułożyła odpowiedź:

„Królu i ojciec, moja córka Ankalime musi zaiste posłuchać twego wezwania. Błagam jednak, byś miał wzgląd na jej młode lata i dopilnował, by dano dziewczynce spokojny kąt za mieszkanie. Ja zaś błagam wybaczenia, ale dowiedziałam się, że mój dom w Armenelos został zniszczony, a niechętnie już w tym wieku korzystam z gościny, szczególnie na statku pełnym

marynarzy. Pozwól mi zatem pozostać w mej samotni, chyba że nowy Król postanowi zabrać mi i to domostwo”.

Tar-Meneldur przeczytał list uważnie, jednak argumenty Erendis nie trafiły mu do serca. Pokazał pismo Aldarionowi, do którego zresztą było tak naprawdę adresowane. Aldarion długo wpatrywał się w te kilka zdań, a Król obserwował jego twarz.

- Bez wątpienia zmartwiła cię taka odpowiedź - rzekł do syna. - Ale chyba niczego innego nie oczekiwałaś?

- A jednak liczyłem, że zdobędzie się na coś więcej. Wyraźnie skarłał w niej duch. Zaiste ciężko zawiniłem, jeśli stało się to za moją sprawą. Czyżby nawet wielkich ludzi przeciwności losu skłaniały do małości? Przecież nawet nienawiść ni pragnienie zemsty nie czynią takich spustoszeń! Powinna zażądać, by postawiono dla niej wielki dom, jako Królowa upomnieć się o świętę i wrócić do Armenelos piękna i podziwiana, po monarszemu, z gwiazdą na czole. Wówczas bez trudu przeciągnęłaby na swoją stronę mieszkańców Numenoru, mnie przedstawiając jako szaleńca i gbura. Ludzie by jej uwierzyli i Valarowie mi świadkami, że pragnąłbym, aby tak właśnie się stało. Wolałbym znosić groźby i szyderstwa ze strony pięknej Królowej, niż władać niepodzielnie, wiedząc, że pani Elestirne pograża się coraz bardziej w mroku swego świata.

Potem roześmiał się gorzko i oddał list Królowi.

- Cóż, nie zmienię tego - powiedział. - Ale jeśli napawa kogoś wstrętem wizja gościny między marynarzami na pokładzie statku, to ktoś inny może wzdragać się przed gospodarstwem pełnym owiec i kobiet. Nie pozwolę jednak na tresurę mojej córki. Niech chociaż ona ma swobodę wyboru. Wstał i poprosił o pozwolenie odejścia. Dalszy przebieg opowieści od miejsca, w którym to Aldarion odczytuje list odmawiającej powrotu do Armenelos Erendis, przebieg opowieści można jedynie fragmentarycznie odtworzyć na podstawie strzępków zapisków i marginalnych wzmianek, notatek i uwag. Nie tworzą jednak one spójnej historii, jako że pisane były w różnych czasach i często zawarte w nich informacje są ze sobą sprzeczne.

Wedle wszelkich znaków, kiedy w roku 883 Aldarion został Królem Numenoru, bez zwłoki postanowił złożyć wizytę w Śródziemiu i tego samego roku (lubo następnego) wypłynął z Mithlondu. Zapisano wówczas, że gałąź *oiolaire* nie zdołała dziobu „Hirilonde”, miast tego pyszniła się w tym miejscu podobizna orła ze złotym dziobem i oczyma z klejnotów, dar Kirdana.

Przysiadł tam, a maestia jego twórcy sprawiła, że ptak zdawał się zrywać do lotu ku jakiemuś odległemu celowi, który właśnie był dostrzegł. - Dzięki temu znakowi doprowadzeni

zostaniemy do miejsca przeznaczenia - powiedział Aldarion. - O nasz powrót bowiem niech zatroszcza się Valarowie, o ile uznają, że godnie postępujemy.

Wiadomo również, że „nie pozostały już dzisiaj żadne zapiski na temat późniejszych podróży Aldariona”, niemniej „pewnym jest, iż równie wiele wędrował lądem, jak morzem. Dotarł rzeką Gwathlo aż do Tharbadu, gdzie spotkał Galadrielę”. Nigdzie więcej nie wspomina się o tym spotkaniu, w owym czasie jednak Galadriela i Keleborn mieszkali w Eregionie, czyli niezbyt daleko od Tharbadu.

Wszelkie jednak dzieła Aldariona obróciły się wniwecz. Wznowione przez niego prace w Vinyalonde nie zostały ukończone, a morze dopełniło dzieła zniszczenia²⁸. Niemniej położył on podwaliny pod o wiele późniejsze dokonania Tar-Minastira podczas pierwszej wojny z Sauronem. Gdyby nie dalekowzroczne dzieło Aldariona, flota Numenoru nigdy nie dotarłaby we właściwym czasie na miejsce. Wrogość narastała już i mroczne ludy z gór wdzierały się do Enedwaith. W dniach Aldariona wszelako Numenoryjczycy nie pragnęli jeszcze nowych ziem, a Podróżnicy pozostawiali nieliczną grupą, otoczoną podziwem, lecz rzadko uznawaną za wzór do naśladowania.

Nie wiadomo nic o dalszych losach sojuszu z Gilgaladem ni o ewentualnym wsparciu wysłanym w odpowiedzi na list do Tar-Meneldura, powiada się wszakże, iż:

„Aldarion pojawił się za późno i za wcześnie zarazem. Za późno, nie cierpiąca bowiem Numenoru moc już się przebudziła, za wcześnie zaś, gdyż nie nadszedł jeszcze czas, by Numenor okazał całą swą potęgę, włączając się do bitwy o przyszłość świata”.

W Numenorze zawrzało, gdy w roku 883 lub 884 Aldarion zdecydował się wybrać do Śródziemia. Nigdy jeszcze dotąd żaden Król nie opuszczał wyspy i Rada nie wiedziała, co czynić. Wydaje się, że zaproponowano wówczas namiestnikostwo Meneldurowi, a gdy ten odmówił, za zgodą Rady jak i Tar-Aldariona regentem został Hallatan z Hyarastorni.

O latach młodości Ankalime trudno orzec coś pewnego. Nie ulega wszakże wątpliwości fakt, iż charakter miała nieco rozchwiany i że matka wywarła na nią znaczny wpływ. Ankalime była bardziej naturalna w zachowaniu niż Erendis i uwielbiała przepych, klejnoty, muzykę, a także podziw oraz szacunek ze strony innych, nie zatracala się jednak w zabawie. Wyprawy do białego domu matki w Emerie traktowała jako wymówkę, by zmieniać czasem tryb życia. Wykazywała zrozumienie zarówno dla sposobu potraktowania przez Erendis Aldariona po spóźnionym powrocie, jak i dla gniewu ojca oraz jego braku skruchy. Znajdowała też usprawiedliwienie dla wymazania żony z serca i z myśli. Nie kryła przy tym niechęci do instytucji małżeństwa czy jakiegokolwiek, przez tego typu związek narzucanego, ograniczenia

wolnej woli. Erendis wciąż trwała przy swoim osądzie mężczyzn. Zachował się wymowny fragment nauk, które Erendis udzielała córce w tej materii:

„Mężczyźni w Numenorze są jak półelfy (stwierdziła Erendis), szczególnie ci wysoko urodzeni, nie należą bowiem ani do jednych, ani do drugich. Wizja długiego życia działa na nich zwodniczo, marnotrawią zatem czas, wciąż dziećmi w głębi duszy będąc, aż starczy wiek ich dopada, a i wówczas wielu zamienia jedynie hulanki na świeżym powietrzu w igrce pośród czterech ścian domu. Zabawy te traktują bardzo serio, lekceważą zaś rzeczy istotne. Chcieliby być jednocześnie rzemieślnikami, mędrkami i herosami. Kobiety postrzegane są przez nich jeno jako ogień w palenisku, niech ktoś inny go dogląda, póki wieczorem nie zmęczą ich igraszki. Wszystko na świecie widzą dla siebie stworzonym: góry zmieniają w kamieniołomy, rzeki w źródło wody lub moc poruszającą koła, drzewa w deski, niewiasty uznając za dodatek do własnych ciał, a te piękniejsze służą do ozdoby stołu i domu. Dzieci są po to, by im dokuczać, gdy nic innego już nie ma do roboty, wszelako niewielką różnicę czynią mężczyźni między własnymi malcami a szczeniętami ogarów. Dla otoczenia mili i serdeczni, radośni niczym skowronki o poranku (o ile słońce świeci), zawsze bowiem starają się nie dopuszczać do siebie złości. Mówi się, że mężczyźni winni być weseli, szczodrzy jak bogacze i rozdawać wszystko, co im niepotrzebne. Gniew okazują wówczas tylko, gdy dotrze do nich niespodzianym objawieniem, iż nie tylko ich wola liczy się w świecie. Okazują się równie bezlitośni jak wichry od morza, jeśli ktoś im się przeciwstawi.

Tak już jest, Ankalime, i nie zmienimy tego. Numenor urządzony został przez mężczyzn, tych dawnych bohaterów, o których śpiewają. Rzadziej słyszymy cokolwiek więcej o ich kobietach prócz wieści, że płakały rzewnymi łzami, gdy zabijano im mężów. Numenor miał być miejscem wytchnienia po zakończonej walce. Gdy jednak zmęczą się odpoczywaniem i znużą rozrywkami, wrócą rychło do swej najwspanialszej zabawy: zabijania i wojny. Tak już jest, a nam wyznaczono miejsce między mężczyznami. Nie musimy jednak zgadzać się na to wszystko w milczeniu. Jeśli też kochamy Numenor, to winniśmy nacieszyć się nim, póki jeszcze oni nie zniszczyli całej wyspy. Są wśród nas godne córki, mamy też dość silnej woli i odwagi. Nie poddawaj się zatem, Ankalime. Jeśli raz ugniesz się trochę, wówczas nie dadzą ci spokoju, aż zostawią do ziemi przygarbioną. Zapuść korzenie w skałę, twarz wystaw na wiatr, nawet jeśli porwie on wszystkie liście”.

Co więcej, Erendis przyzwyczaiła Ankalime do towarzystwa kobiet. Zimny chów pośród ciszy i monotonii Emerie zostawił swój ślad. Chłopcy, tacy jak Ibal, byli tylko krzykliwymi istotami. Mężczyźni dosiadali koni, dęli w rogi o dziwnych porach, posilali się,

²⁸ Zob. „Historia Galadrieli i Keleborna”.

mlaszcząc rozgłośnie. Płodzili dzieci, potem zostawiając je pod opieką kobiet, ledwie tylko coś innego ich zaabsorbowało. Choć porody w Numenorze przebiegały zwykle w miarę łagodnie i zdrowo się kończyły, to jednak wyspa ta nie była rajem na ziemi. Znano tu zmęczenie ciężką pracą i wszelkimi życiowymi trudami.

Podobnie jak ojciec, Ankalime cechowała się wytrwałością w dążeniu do celu i uporem. Postępowała też zawsze odwrotnie, niż jej radzono. Emanowała odrobiną tego samego chłodu co matka. Dawał się w niej zauważyć ślad cierpiętnictwa, w głębi serca bowiem tkwiło nikłe wspomnienie tej chwili, gdy Aldarion zdecydowanie odczepił dłoń córki od swego ubrania i odstawił dziecko na ziemię, by zaraz potem oddalić się pospiesznie. Ankalime kochała doliny otaczające dom w Emerie i twierdziła, że nie może zasnąć spokojnie, nie słysząc w pobliżu beczenia owiec. Nie odmówiła jednak godności Następczyni i postanowiła, że gdy nadejdzie jej dzień, zostanie Królową i zamieszka w dowolnie wybranym przez siebie miejscu.

Wydaje się, że w ciągu osiemnastu lat panowania, Aldarion często opuszczał Numenor. Ankalime zaś spędzała ten czas zarówno w Emerie, jak i w Armenelos, Królowa Almarian bowiem ukochała ją sobie i pobłażała dziewczynie, podobnie jak Aldarionowi w okresie jego młodości. W Armenelos szanowali dziewczynę wszyscy, nie tylko Aldarion, i chociaż z początku źle znosiła oderwanie od szerokich przestrzeni wokół białego domu, to stopniowo zwalczyła nieśmiałość i zaczęła zauważać, jakim okiem mężczyźni patrzą na jej rozkwitłą już w pełni urodę. W miarę upływu lat stawiała się coraz bardziej samodzielna i drażnić zaczęło ją towarzystwo Erendis, która zachowywała się niczym wdowa, nie chcąc być Królową. Wciąż jednak córka zaglądała do matki po to, by odpocząć od Armenelos, a także dlatego, by dokuczyć Aldarionowi. Była bystra, złośliwa i nader cieszyła się, że matka i ojciec walczą o jej względy.

W roku 892, gdy Ankalime miała dziewiętnaście lat, ogłoszono ją Następczynią Króla (znacznie wcześniej, niż przewidywał zwyczaj), a Tar-Aldarion zmienił wówczas obowiązujące w Numenorze prawo sukcesji. Podkreśla się, że Tar-Aldarion uczynił to bardziej „ze względów osobistych niż dla dobra państwa”, i że stało za tym „z dawna żywione pragnienie pokonania Erendis”. Na czym owa zmiana polegała, dowiadujemy się z Dodatku A do *Władcy Pierścieni*:

„Szósty Król zostawił tylko jednego potomka - córkę. Była pierwszą Królową Numenoru, stało się bowiem prawem dynastii królewskiej, że Berło przejmuje pierworodne dziecko króla bez względu na płeć”.

W innych miejscach ustalenia te sformułowano w sposób odmienny. Najpełniejsza i najbardziej przejrzysta wersja powiada, że tak zwane „nowe prawo” nie było w gruncie rzeczy

„prawem”, ale dawnym zwyczajem, tyle tylko, że dotąd okoliczności nie wymagały jego zastosowania. Zgodnie z ową tradycją, Berło dziedziczył najstarszy syn Króla. Przyjmowano, że jeśli władca nie miał potomka płci męskiej, wówczas Następcą winien zostać najbliższy spokrewniony z Królem młodzieniec z męskiej linii dziedziców Elrosa Tar-Minyatura. Zatem, gdyby Tar-Meneldur nie doczekał się syna, Następcą zostałby nie jego siostrzeniec, Valandil (zrodzony z Silmarien), ale kuzyn, Malantur (wnuk młodszego brata Tar-Elendila, Earendura). Jednak według „nowego prawa” Berło dziedziczyła (najstarsza) córka panującego, o ile nie miał on syna (co pozostaje w sprzeczności z wykładem poczynionym we *Władcy Pierścieni*). Zgodnie z opinią Rady dodano jeszcze, że Następczyni może odmówić przyjęcia tego honoru²⁹.

W takim wypadku, zgodnie z „nowym prawem”, Berło należało przekazać najbliższemu męskiemu potomkowi rodu królewskiego, niezależnie od tego, czy pochodził z męskiej czy z żeńskiej linii. Gdyby więc Ankalime zrzekła się tronu, następcą zostałby Soronto, syn siostry Tar-Aldariona, Ailinel, on też byłby sukcesorem, gdyby Ankalime zechciała w pewnym momencie oddać władzę lub umarłaby bezdzietnie.

Rada postanowiła także, że Następczyni musi złożyć rezygnację, jeżeli nie wyjdzie za mąż przed upływem określonego czasu, Tar-Aldarion zaś uzupełnił ów przepis, że Następcy (czy Następczyni) nie wolno poślubić nikogo spoza rodu Elrosa, a jeśli to uczyni, traci wówczas prawo do dziedziczenia władzy. Powiadano, iż to ostatnie obostrzenie wzięło się z rozmyślań Aldariona nad jego nieudanym małżeństwem z Erendis. Ona bowiem nie pochodziła z rodu Elrosa, krótszym była obdarzona żywotem i Aldarion mniemał, że to właśnie legło u podstaw wszelkich kłopotów.

Bez wątpienia przepisy „nowego prawa” zostały tak szczegółowo spisane, gdyż miały wywrzeć wpływ na rządy późniejszych panujących, o czym jednak niewiele da się powiedzieć.

Nieco później Tar-Aldarion uchylił zasadę dotyczącą zamążpójścia lub abdykacji Królowej (a z pewnością wiązało się to z niechęcią Ankalime do obu tych rozwiązań), jednak zakaz zawierania związków z partnerem spoza rodu Elrosa pozostał w mocy³⁰.

Niezależnie od rozporządzeń wkrótce zaczęli się pojawiać w Emerie kandydaci do ręki Ankalime, kuszeni nie tylko pozycją dziewczyny, ale także pogłoskami o jej urodzie oraz o dziwnym wychowaniu, które odebrała ta pełna rezerwy i pogardy dla innych kobieta. W owym

²⁹ Prawy męski potomek nie mógł natomiast odmówić, ale ponieważ Królowi zawsze wolno było abdykować, tak i męski potomek miał w istocie szansę natychmiast przekazać władzę swemu męskiemu następcy. Musiał jednak panować jeszcze przez co najmniej rok, co zdarzyło się (raz tylko) w przypadku Vardamira, syna Elrosa, który nie wstąpił na tron, tylko oddał Berło swemu synowi, Amandilowi.

³⁰ Zostało powiedziane gdzie indziej, że reguła „królewskiego małżeństwa” nigdy nie była określona prawem, a istniała jedynie tytułem honorowanego powszechnie zwyczaju. Ożywienie owej zasady stanowiło „symptom narastania Cienia, prawem bowiem stała się wówczas, gdy zanikać zaczęły, lub zniknęły zupełnie, różnice między

czasie zaczęto zwać ją Emerwen Aranel, Księżniczką Pasterek. By uciec przed ludzką natarczywością, Ankalime poszukała (z pomocą starej Zamin) schronienia w gospodarstwie na granicy ziem Hallatana z Hayrastorni, gdzie wiodła przez czas jakiś życie pasterki. Skąpe zapiski różnią się co do tego, jak jej rodzice przyjęli ów stan rzeczy. Według jednych źródeł Erendis знаła miejsce ukrycia Ankalime i uznawała ucieczkę córki za w pełni zasadną, Aldarion zaś powstrzymał Radę przed podjęciem poszukiwań, ponieważ popierał daleko idącą niezależność dziewczyny. Według innych notatek, Erendis poczuła się zbulwersowana uczynkiem Ankalime, Król zaś wpadł w gniew. Erendis próbowała przy tej okazji znaleźć z mężem wspólny język, przynajmniej w sprawach dotyczących Ankalime. Na Aldarionie starania te nie wywarły żadnego wrażenia i stwierdził tylko, że Król nie ma żony, a jedynie córkę będącą jednocześnie jego Następczynią. Nie dawał też wiary w zapewnienia Erendis, iż nie wie ona, gdzie skryła się Ankalime.

Pewnym jest tylko, że Ankalime nawiązała wtedy znajomość z pasterzem, który strzegł stad w tej samej okolicy i przedstawił się jako Mamandil. Nieprzywykła do takiego towarzystwa Ankalime z wielką przyjemnością słuchała jego śpiewu. Chłopak biegły był w tej sztuce, a intonował pieśni pochodzące jeszcze z dawnych dni, kiedy to Edainowie wypasali swoje trzody w Eriadorze, nie znając jeszcze Eldarów. Młodzi spotykali się coraz częściej na pastwiskach, a on zmieniał słowa pieśni, podstawiając imiona Emerweny i Mamandila w miejsce imion niegdysiejszych kochanków, ale Ankalime udawała, że nijak tych aluzji nie pojmuje. W końcu otwarcie wyznał dziewczynie miłość, ona zaś z miejsca zwiększyła dystans i powiedziała, że inne jest jej przeznaczenie, została bowiem Następczynią Króla. Mamandila wszakże to nie zraziło, wyjawiał tylko swe prawdziwe imię, a był ów pasterz Hallacarem, synem Hallatana z Hyarastorni, spadkobiercy rodu Elrosa Tar-Minyatura.

- A niby jak inaczej zalotnik miałby cię tu znaleźć? - spytał.

Ankalime wpadła w gniew, ponieważ poczuła się oszukana przez kogoś, kto od początku znał jej tożsamość, on wtedy odparł:

- Rzeczywiście, umyśliłem sobie, by podejść w ten sposób panią, na tyle niezwykłą, że z czystej ciekawości bardzo chciałem ją ujrzeć. Potem jednak pokochałem Emerwenę i przestało mnie obchodzić, kim ona jest. Nie pociągają mnie zaszczyty, wolałbym zwykłą Emerwenę bez królewskich tytułów. Cieszę się zaś z faktu, że też pochodzę z linii Elrosa, bo w przeciwnym razie nie moglibyśmy się pobrać.

- Małżeństwo w ogóle mnie nie pociąga - odparła Ankalime. - Gdybym zrezygnowała z dziedzictwa na rzecz wolności, wówczas według własnego uznania, wybrałabym za męża

potomkami Elrosa i innymi rodami, dotyczące długości życia, żywotności i zdolności”.

Unera (czyli „Żadnego z mężczyzn”), jego bowiem przedkładałam nad wszystkich innych.

Ostatecznie jednak Ankalime wyszła za Hallacara. Według jednej wersji nastąpiło to w wyniku nalegań zalotnika nie zrażonego odmową, jak i nacisków Rady, aby Królowa wybrała sobie wreszcie męża i spokój zapanował w państwie, przez co wesele odbyło się niewiele lat po spotkaniu obojga pośród rogaczyny w Emerie. Gdzie indziej jednak powiada się, że Ankalime pozostawała panną dopóty, dopóki jej kuzyn Sorontu, opierając się na nowym prawie, nie wezwał jej do abdykacji ze stanowiska Następczyni. Poślubiła zatem Hallacara na złość Sorontu. Jeszcze inna i krótka wzmianka sugeruje, iż wyszła za mąż już po tym, jak Aldarion uchylił warunek dotyczący konieczności zawarcia związku, a uczynić to miała dla ukrócenia nadziei Sorontu na zostanie Królem, gdyby umarła bezdzietnie.

Jakkolwiek było, przekazy jednoznacznie dowodzą, że Ankalime nie szukała miłości i wcale nie pragnęła zrodzić syna, powiedziała bowiem:

- Czy mam jak Królowa Almarian jedynie rozpieszczać go bezgranicznie?

Pożycie Ankalime z Hallacarem nie toczyło się szczęśliwie, a próba odizolowania od ojca syna ich, Anariona, spowodowała otwarty konflikt między małżonkami. Ankalime pragnęła podporządkować sobie Hallacara. Twierdząc, że jest właścicielką jego ziem, zakazała mu na nich zamieszkiwać, nie chciała bowiem, jak się wyraziła, mieć chłopca za męża. Z tego właśnie okresu pochodzą ostatnie zapiski streszczające owe niepomysłne wieści. Ankalime nie pozwalała żadnej ze swoich służek i dam do towarzystwa na zamażpójście i większość kobiet lęk przed gniewem pani skłaniał do posłuszeństwa, mimo iż miały one w różnych stronach narzeczonych, których pragnęły poślubić. Przeto Hallacar w tajemnicy zorganizował im wesele, wszem i wobec stwierdzając, że pragnie wydać jeszcze ostatnią ucztę w swym domu, nim go opuści. Zaprosił też Ankalime, mówiąc, że należące do rodziny domostwo należy dwornie pożegnać.

Ankalime przybyła z całą swą kobiecą świtą, ponieważ nie chciała, by mężczyźni usługiwali jej przy stole. Budynek ujrzała jasno oświetlony i przygotowany jak do wielkiej biesiady, domownicy zaś czekali przystrojeni w girlandy kwiatów, niczym na wesele, a każdy trzymał jeszcze drugą girlandę dla swej oblubienicy.

- Chodźcie! - zawołał Hallacar. - Wszystko już przyszykowane, nawet sypialnie dla nowożeńców. Skoro jednak nie możemy nijak zaproponować pani Ankalime, Następczyni Króla, by zległa z chłopem, tak i niestety! Ona spędzi tę noc sama.

Ankalime została z konieczności, za późno było bowiem, by odjechać, nie dałoby się też uczynić tego chyłkiem. Nikt, ani mężczyźni, ani kobiety, nie ukrywał radości, Ankalime jednak nie przyszła na ucztę, leżała tylko na łożu, słuchając dobiegających z dali śmiechów,

gotowa przysiąc, że to ona jest obiektem żartów. Następnego dnia opuściła dom wściekła, a Hallacar wysłał jeszcze za nią trzech ludzi w charakterze eskorty. Tak oto dokonał zemsty, Ankalime bowiem nigdy więcej nie zajrzała już do Emerie, bojąc się, że nawet owce zaczną z niej szydzić. Wszelako nienawiść Następczyni ścigała Hallacara przez długie lata.

O późniejszych latach życia Tar-Aldariona powiedzieć można tyle tylko, że nadal zapewne wyprawiał się do Śródziemia i niejednokrotnie zostawiał przy tym Ankalime jako regentkę. Ostatnia jego podróż odbyła się około końca pierwszego tysiąclecia Drugiej Ery, a w roku 1075 Ankalime wstąpiła na tron jako pierwsza Królowa Numenoru. Mówi się, że po śmierci Tar-Aldariona w 1098 roku Tar-Ankalime całkowicie zmieniła politykę i Numenor przestał wspierać Gilgalada. Jej syn, Anarion, który został później ósmym władcą Numenoru, miał najpierw dwie córki. Nie lubiły one Królowej, wręcz obawiały się matki i obie odmówiły godności Następczyni, pozostając niezamężnymi, jako że Królowa z zemsty nie pozwoliła im zawrzeć związków małżeńskich³¹. Ostatni urodził się jedyny syn Anariona, Surion, i on odziedziczył Berło.

O Erendis powiadają, że gdy zestarzała się, porzucona przez Ankalime i zgorzkniała w samotności, raz jeszcze zatęskniła za Aldarionem. Dowiedziawszy się, iż opuścił on Numenor w swojej pewnie już ostatniej podróży i rychło należy oczekiwać jego powrotu, wtedy opuściwszy w końcu Emerie, w tajemnicy, incognito, udała się do przystani Romenny. Tam zapewne dopełnił się jej los, ale tylko krótka notatka „Woda zabrała Erendis w 985 roku” sugeruje, jak zakończyła żywot.

³¹ Dość to dziwne, że za życia bowiem Ankalime Następcą był Anarion. W Dynastii Elrosa wzmiankuje się, że tylko córki Anariona „odmówiły Berła”.

III. DYNASTIA ELROSA: KRÓLOWIE NUMENORU OD ZAŁOŻENIA MIASTA ARMENELOS DO UPADKU

Uznaje się, że Królestwo Numenoru zostało założone w trzydziestym drugim roku Drugiej Ery, kiedy to Elros, syn Earendila, zasiadł w wieku lat dziewięćdziesięciu na tronie w Armenelos. W Zwojach Królewskich pojawia się jako Tar-Minyatur, ponieważ zgodnie ze zwyczajem Królowie przybierali imiona pochodzące z guenejskiego lub mowy Elfów Wysokiego Rodu, najszlachetniejszego języka świata. Postępowali tak wszyscy, aż do dni Ar-Adunakhora! (Tar-Herunumena). Elros Tar-Minyatur władał Numenoryjczykami przez czterysta dziesięć lat, dane było bowiem mieszkańcom wyspy długie życie, przy czym starzeli się po trzykroć później, niż ludzie w Śródziemiu. Jednak syn Earendila obdarzony został żywotem dłuższym niż jakikolwiek człowiek. Jego potomkowie zaś, chociaż już niej tak długowieczni, też wyróżniali się pod tym względem nawet między Numenoryjczykami. Dopiero wraz z nadejściem Cienia kurczyć zaczęły się lata życia Numenoryjczyków³².

³² Istnieje więcej wskazówek świadczących o tym, że potomkowie Elrosa obdarzeni byli żywotem dłuższym niż ktokolwiek inny spośród Numenoryjczyków. Tak i w *Akallabeth (Silmarillion)*, str. 318) powiada się, że wszyscy z linii Elrosa „żyli wyjątkowo długo, nawet według miary Numenoryjczyków”, dalej zaś szczegółowo podano, o jaki czas chodzi: dla potomków Elrosa (zanim ród skarłał) starość zaczynała się około czterechsetnego roku życia lub nieco wcześniej, podczas gdy pozostali wchodziłi w podeszły wiek, mając dwieście lub trochę więcej lat. Można zauważyć, że niemal wszyscy Królowie, od Vardamira po Tar-Ankalimona, dożyli lat czterystu albo nawet ten wiek trochę przekroczyli i tylko trzech spośród nich nie zmarło około daty czterechsetnych urodzin.

Jednak w późniejszych pismach (które pochodzą z tego samego mniej więcej czasu, co opowieść o „Aldarionie i Erendis”), kwestię wyróżniającą monarchów długowieczności potraktowano jako o wiele mniej istotną. Numenoryjczykom przypisano długość życia pięciokrotnie przewyższającą zwykły czas żywota człowieka (choć jest to sprzeczne z informacją pomieszczoną w Dodatku A do *Władcy Pierścieni [Powrót Króla]*, str. 402]. Tam bowiem mówi się, że Numenoryjczycy „początkowo żyli trzykroć dłużej, niż zwykli ludzie”, co powtórzono we wstępie do mniejszego tekstu), podobnie i długowieczność potomków Elrosa uznana została nie tyle za szczególne wyróżnienie rodu, ale za zwykłą w tej rodzinie skłonność do dożywiania późnej starości. Wprawdzie wspomina się tam o Erendis i nieco krótszym czasie życia „Beorian” na Zachodzie, to nie ma potwierdzenia wzmianki obecnej w opowieści o „Aldarionie i Erendis”, by spodziewana różnica danego im czasu życia miała być szczególnie duża czy związana jakoś z ich przeznaczeniem. Nie spotykamy też żadnej sugestii, by ktokolwiek z ówczesnych tak uważał.

W tej relacji tylko Elros obdarzony został szczególną długowiecznością i powiada się, że początkowo miał identyczne możliwości fizyczne co jego brat Elrond. Skoro jednak postanowił pozostać między plemieniem człowieczym, tak i zachował najważniejsze cechy różniące ludzi od Quendich. Chodziło tu głównie o pragnienie „nieustannego poszukiwania”, jak zwali to Eldarowie, oraz „znużenie”, lub pragnienie, by odejść z tego świata. Dalej przedstawione jest wyjaśnienie, że długie życie Numenoryjczyków wzięło się z przyjęcia trybu życia wzorowanego na bytowaniu Eldarów. Ostrzegano ich niemniej, że nie staną się jeszcze przez to Eldarami, zawsze bowiem będą śmiertelni, jedynie tylko wydłuży się okres pełnej sprawności ciała i umysłu. Zatem (podobnie jak Eldarowie) dorastali podobnie jak wszyscy ludzie, potem jednak wiek dojrzwały trwał dla nich o wiele dłużej, wolniej starzeli się czy „niszczeli”. Pierwsze oznaki „znużenia światem” stanowiły dla nich sygnał, że okres sprawności dobiega końca. Ktoś, kto ten próg osiągnął, a upierał się żyć dalej, wówczas grzybiał, a proces ten postępował równie szybko jak u innych ludzi. Tak i w ciągu dziesięciu lat Numenoryjczyk mógł zmienić się ze zdrowej i krzepkiej osoby w podeszłym wieku w niedołężnego i zdzieciniałego starca. Wcześniejsze pokolenia nie „czepiały się życia”, ale dobrowolnie odchodziły w stosownym czasie. Owo „czepianie się życia” i umieranie w chwili nie przez siebie wybranej, tylko wyznaczonej przez biologiczną konieczność, było jednym z objawów towarzyszących nadejściu Cienia i buntowi Numenoryjczyków. Równocześnie kurczyła się właściwa im,

I Elros Tar-Minyatur

Urodził się pięćdziesiąt osiem lat przed Drugą Erą i pozostawał sprawny na ciele i umyśle aż do wieku lat pięciuset, po czym odszedł na zawsze w roku 442, rządząc przez lat 410.

II Vardamir Nolimón

Urodził się w roku 61 Drugiej Ery i zmarł w roku 471. Zwano go Nolimónem, jako że miłował się w starodawnych mądrościach, które zdobywał od elfów i ludzi. Po ustąpieniu Elrosa, mając 381 lat, nie zasiadł na tronie, tylko przekazał Berło synowi. Niemniej liczy się go jako drugiego spośród Królów, wedle przekazów bowiem władał przez rok³³. Stało się potem zwyczajem, że Król winien przekazać przed śmiercią Berło swemu następcy, by samemu umrzeć w wybranej przez się chwili, mając jeszcze jasny umysł.

III Tar-Amandil

Był synem Varamira Nolimóna i urodził się w roku 192. Rządził przez 148 lat³⁴. Zrezygnował z Berła w 590 roku, a umarł trzynastu lat później.

IV Tar-Elendil

Był synem Tar-Amandila, urodził się w roku 350. Rządził przez lat 150. Berło przekazał w roku 740, umarł w 751. Nazywano go też Parmaite, jako że własnoręcznie spisał wiele ksiąg i legend, korzystając z mądrości zebranych przez dziadka. Ożenił się późno, a jego najstarszym dzieckiem była córka, Silmarien, urodzona w roku 521³⁵. Jej syn zaś, Valandil, dał początek rodowi książęcemu Andunie. Ostatnim z książąt był Amandil, ojciec Elendila Smukłego, który przybył po Upadku do Śródziemia. Za rządów Tar-Elendila po raz pierwszy statki Numenoryjczyków przybiły do brzegów Śródziemia.

V Tar-Meneldur

Był trzecim dzieckiem (i jedynym synem) Tar-Elendila, urodził się w roku 543, rządził lat 143, ustąpił w roku 883, zmarł w 942. Naprawdę na imię miał Frimon, jednak przez miłość do wiedzy o gwiazdach przybrał miano Meneldura.

naturalna długość życia.

³³ Por. przypis 2. do „Aldarion i Erendis”.

³⁴ Liczba 148 lat (zamiast 147) musi oznaczać czas faktycznego panowania Tar-Amandila, bez brania pod uwagę roku tytularnych rządów Vardamira.

³⁵ Nie ulega wątpliwości, że Silmarien była najstarszym dzieckiem Tar-Elendila, a data jej urodzin wymieniana jest wielokrotnie (521 rok Drugiej Ery), wszelako jej brat przyszedł na świat w roku 543. Natomiast w Dodatku B do *Władcy Pierścieni* urodziny Silmarien zapisane są pod datą 548, pojawiającą się również w pierwszych

Poślubił Almarian, córkę Veantura, Kapitana Statków za czasów Tar-Elendila. Cechowała go mądrość, cierpliwość i łagodność. Abdykował na rzecz syna, a uczynił to niespodzianie i przed czasem. Posunięcie to miało charakter czysto polityczny, stanowiło reakcję na niepokój wyrażony przez Gilgalada z Lindonu, kiedy tenże dostrzegł powstające w Śródziemiu niebezpieczeństwo odrodzenia się złego ducha wrogiego Eldarom i Dunedainom.

VI Tar-Aldarion

Był najstarszym dzieckiem i jedynym synem Tar-Meneldura, urodził się w roku 700. Rządził przez 192 lata i abdykował na rzecz swojej córki w roku 1075, zmarł w 1098. Właściwe jego imię brzmiało Anardil, wcześniej jednak zasłynął jako Aldarion, wiele uwagi bowiem poświęcał drzewom, sadząc wielkie lasy dla potrzeb wykorzystujących drewno stoczni. Był wielkim marynarzem i budowniczym statków, sam żeglował często do Śródziemia, a Gilgalad uznał go za przyjaciela i doradcę. Długie wyprawy do obcych krajów wywołały złość jego małżonki Erendis, przez co w roku 882 doszło między nimi do separacji. Mieli tylko jedno dziecko, piękną córkę imieniem Ankalime. Dla niej to Aldarion zmienił prawo sukcesji, tak by córka (najstarsza) mogła dziedziczyć władzę, o ile monarcha nie miał synów. Modyfikacja spotkała się z niechętnym przyjęciem ze strony potomków Elrosa, szczególnie, że według dotychczasowych praw na tronie miał zasiąść Soronto, krewniak Aldariona, syn jego starszej siostry Ailinel³⁶.

VII Tar-Ankalime

Była jedynym dzieckiem Tar-Aldariona i pierwszą panującą (nie tytułarną) Królową Numenoru. Urodziła się w roku 873, rządziła 205 lat, dłużej niż ktokolwiek po Elrosie, abdykowała w roku 1280, zmarła pięć lat później. Długo obywała się bez męża, kiedy jednak Soronto zaczął wywierać presję, by zrezygnowała z godności, wówczas jemu na złość wyszła w roku 1000 za mąż za Hallacara, syna Hallatana, potomka Vardamira³⁷. Po urodzeniu syna Anariona doszło do otwartego konfliktu między małżonkami, a to za sprawą dumy i przekornego uporu Królowej. Po śmierci Aldariona zmieniła politykę Numenoru, odmawiając dalszego wsparcia Gilgaladowi.

szkicach tego tekstu. Sądzę, że szczegół ten miał zostać skorygowany, ale umknął uwadze.

³⁶ Jest to niezgodne z opisem wcześniejszych i późniejszych praw sukcesji, pomieszczonym w tekście „Aldarion i Erendis”, gdzie czytamy, że Soronto mógłby zostać następcą Ankalime (gdyby umarła bezdzietnie) właśnie dzięki nowemu prawu, pochodził bowiem z linii żeńskiej. Sformułowanie: „starsza siostra” oznacza bez wątpienia „starszą z jego dwóch sióstr”.

VIII *Tar-Anarion*

Był synem Tar-Ankalime, urodził się w roku 1003. Rządził przez 114 lat, abdykował w roku 1394, zmarł w 1404.

IX *Tar-Surion*

Był trzecim dzieckiem Tar-Anariona. Obie jego siostry odmówiły przyjęcia Berła³⁸. Urodził się w roku 1174, rządził przez 162 lata, abdykował w roku 1556, zmarł w 1574.

X *Tar-Telperien*

Wstąpiła na tron jako druga Królowa Numenoru. Żyła długo (jako że numenoryjskie kobiety były bardziej długowieczne niż mężczyźni, czy też raczej, trudniej przychodziło im rozstać się z życiem) i nie wyszła za mąż. Tak zatem po jej śmierci Berło przeszło na Minastira, syna Isilmo, drugie dziecko Tar-Suriona³⁹. Tar-Telperien urodziła się w roku 1320, rządziła lat 175, do roku 1731, kiedy też zmarła⁴⁰.

XI *Tar-Minastir*

Takie zyskał miano, gdyż wznosił wieżę na wzgórzu Oromet blisko Andunie na zachodnim wybrzeżu, gdzie spędzał wiele czasu, wpatrując się w zachodni horyzont. W owych czasach coraz większa tęsknota narastała w sercach Numenoryjczyków. Tar-Minastir kochał Eldarów i zazdrościł im jednocześnie. To on wysłał flotę na pomoc Gilgaladowi podczas pierwszej wojny z Sauronem. Urodził się w roku 1474, władał przez lat 138, abdykował w roku 1869, a zmarł w 1873.

XII *Tar-Kiryatan*

Urodził się w roku 1634, rządził 160 lat, złożył Berło w roku 2029, zmarł sześć lat później. Był potężnym Królem, chciwym jednak bogactw. Stworzył własną, wielką flotę, a jego poddani uciskali mieszkańców Śródziemia, skąd zwozili na wyspę ogromne ilości metali i kamieni szlachetnych. Tar-Kiryatan pogardzał tęsknotami ojca i by ukoić niepokój własnego serca, podróżował sporo na wschód, północ i południe, przynajmniej do chwili przejęcia Berła.

³⁷ Por. zakończenie opowiadania „Aldarion i Erendis”.

³⁸ Por. jak wyżej, oraz przypis 28. do tegoż tekstu.

³⁹ Dziwnym jest, że władza przeszła na Tar-Telperien, skoro Tar-Surion miał syna, Insilma. Prawdopodobnie o tej sukcesji zdecydowało nowe prawo przytoczone we *Władcy Pierścieni*, mówiące, że następcą ma być najstarszy potomek, niezależnie od płci (miast wybierania córki wówczas tylko, gdy monarcha nie ma syna).

⁴⁰ Data 1731, podana jako rok końca panowania Tar-Telperien i intronizacji Tar-Minastira, kłóci się osobiście z ustaloną przez liczne odnośniki chronologią pierwszej wojny z Sauronem, gdyż wielka flota numenoryjska

Miał przymusić ojca do wcześniejszego niż planowano przekazania władzy synowi. W tym właśnie (jak powiadają) po raz pierwszy objawił się wpływ Cienia padającego na chwałę Numenoru.

XIII Tar-Atanamir Wielki

Urodził się w roku 1800, rządził 192 lata, do 2221 roku, w którym też nastąpiła jego śmierć. Wiele miejsca poświęcono temu władcy w annałach, (szczęśliwie przetrwały one Upadek). Był bowiem jak ojciec dumny i chciwy, a służący mu Numenoryjczycy bezlitośnie zdzierali haracz z ludzi zamieszkałych na wybrzeżu Śródziemia. Za jego czasów Cień padł na Numenor. Król wraz ze swymi poplecznikami otwarcie opowiedział się przeciwko Zakazowi Valarów, odwracając serce zarówno od nich, jak i od Eldarów, jednak zachował dawną wiedzę i bał się wciąż Władców Zachodu, nie występując przeciwko nim otwarcie. Atanamira często zwano także Niechętnym, był bowiem pierwszym Królem Numenoru, który nie chciał odejść dobrowolnie ni *przekazać* Berła. Żył tak długo, aż śmierć nie zabrała go w starczym dzieciństwie⁴¹.

XIV Tar-Ankalimon

Urodził się w roku 1986, rządził lat 156, aż do śmierci w roku 2386. Za jego czasów pogłębiła się przepaść dzieląca zwolenników Króla od tych ludzi, którzy kultywowali pradawną przyjaźń z Eldarami. Wielu podwładnych zarzuciło wówczas mowę elfów, przestając wpajać ją potomstwu. Jednak tytuły królewskie wciąż nadawano w języku quenejskim, co wynikało raczej z tradycji, niż z przywiązania do Eldarów. Obawiano się również, że naruszenie zwyczaju może przynieść nieszczęście.

XV Tar-Telemmaite

Urodził się w roku 2136, rządził 140 lat, aż do śmierci w roku 2526. Odtąd Królowie

wydana przez Tar-Minastira dotarła do Śródziemia w roku 1700. Nijak nie potrafię wyjaśnić tej rozbieżności.

⁴¹ W „Kronice Królestw Zachodnich” (Dodatek B do *Władcy Pierścieni*, str. 477) czytamy: „2251 - Tar-Atanamir obejmuje tron. Początki buntu i rozłamu wśród Numenoryjczyków”. Jest to niezgodne z niniejszym tekstem, według którego Tar-Atanamir zmarł w roku 2221. Data owa stanowi poprawkę wcześniej podawanej 2251; gdzie indziej ponadto tenże rok podaje się jako datę śmierci Króla. Tak zatem, w różnych tekstach ta sama data pojawia się raz jako rok intronizacji Tar-Atanamira, raz jako rok zgonu, całość zaś chronologii wskazuje jasno, że ta druga wersja musi być błędna. Co więcej, *Akattabeth (Silmarillion)*, str. 324) podaje, że właśnie za czasów Ankalimona, syna Atanamira, zarysował się podział pośród mieszkańców Numenoru. Jestem niemal pewny, że Kronika Królestw Zachodnich zawiera błąd i odnośny fragment winien brzmieć: „2251 - Śmierć Tar-Atanamira. Tar-Ankalion przejmuje tron. Początki buntu i rozłamu wśród Numenoryjczyków”. W takim razie jednak pozostaje nie wyjaśnione, czemu data śmierci Atanamira została zmieniona w „Dynastii Elrosa”, skoro w Kronice Królestw Zachodnich podano ją już w innym brzmieniu.

Numenoru władali oficjalnie od odejścia ojca aż po kres swoich dni, chociaż rzeczywista władza zwykle już wcześniej przechodziła w ręce synów lub kanclerzy. Lata życia potomków Elrosa kurczyły się pod wpływem Cienia. Imię Tar-Telemmaite zawdzięczał umiłowaniu srebra, sługom zaś nakazywał nieustannie poszukiwać *mithrilu*.

XVI Tar-Vinimelde

Była trzecią panującą Królową. Urodziła się w roku 2277 i rządziła 111 lat, do śmierci w roku 2637. Mało uwagi poświęcała obowiązkom monarszym, wyżej ceniąc sobie muzykę i tańce, władaniem zajmował się raczej jej mąż, Herukalmo, młodszy wprawdzie od niej, ale na równi spokrewniony z Tar-Atanamirem. Herukalmo przejął Berło po śmierci żony i obwołał się Tar-Andukalem, nie dopuszczając do tronu swego syna Alkarina. Wszelako niektórzy nie uznają go za siedemnastego Króla Numenoru, przyznając ten tytuł Alkarinowi. Tar-Andukał urodził się w roku 2286, zmarł w 2567.

XVII Tar-Alkarin

Urodził się w roku 2406, rządził 80 lat, do śmierci w roku 2737, chociaż prawowicie winien być Królem przez lat sto.

XVIII Tar-Kalmakil

Urodził się w roku 2516, panował 88 lat, aż zmarł w roku 2825. W młodości będąc wielkim kapitanem, zdobył dla Numenoru znaczną część wybrzeży Śródziemia. Wzbudził tym nienawiść Saurona, który wszelako wycofał się, by budować swą potęgę na Wschodzie i czekać stosownego czasu. W dniach Tar-Kalmakila po raz pierwszy zaczęto używać aduinackiej formy imienia królewskiego, tak i przez swoich zwany był Ar-Belzagar.

XIX Tar-Ardamin

Urodził się w roku 2618, rządził 74 lata do śmierci w roku 2899. W języku aduinackim imię jego brzmiało Ar-Abattarik”.

XX Ar-Adfaiakhdr (Tar-Heruntimen)

Urodził się w roku 2709, władał 63 lata, aż umarł w roku 2962. Był pierwszym Królem Numenoru, który objął tron pod imieniem w języku aduinackim, chociaż wspomniane już uprzednio lęki sprawiły, że imię jego zapisano w Zwojach po quenejsku. Wierni uznali wszakże oba te miana za błędne, nazwały bowiem tyle, co „Władca Zachodu”, który to

tytuł przynależał wyłącznie Valarom, szczególnie zaś Manwemu. Za panowania Ar-Adunakhora język elfów wyszedł ostatecznie z użycia, zakazano też jego nauki (Wierni dalej jednak kultywowali w sekrecie znajomość szlachetnej mowy), a statki z Eressei rzadko i ukradkiem przybijały do zachodnich wybrzeży Numenoru.

XXI *Ar-Zimrathdn (Tar-Hostamir)* Urodził się w 2798 roku, rządził 71 lat do śmierci w roku 3033.

XXII *Ar-Sakalthdr (Tar-Falassiori)* Urodził się w roku 2873, rządził przez 69 lat, aż zmarł w roku 3102.

XXIII *Ar-Gimilzdr (Tar-Telemnar)*

Urodził się w roku 2960, rządził 755 lat do śmierci w roku 3177. Był największym ze wszystkich nieprzyjacielem Wiernych, zabronił surowo posługiwania się mową Eldarów i nie zezwalał elfom na odwiedzanie Numenoru, karząc tych, którzy witali takich gości. Nie czcił niczego i nie odwiedził nigdy Świętego Miejsca Eru. Ożenił się z Inzilbeth, wywodzącą się od Tar-Kalmakila,⁴² która potajemnie przynależała do Wiernych, matką jej bowiem była Lindorie z rodu książąt Andunie. Małżonkowie niezbyt się kochali, a między ich synami panowała niezgoda. Inziladun⁴³, starszy z nich, szczególnie zżyty był z matką i szybko stał się jej

⁴² W liście Królów i Królowych Numenoru w Dodatku A do *Władcy Pierścieni* (Powrót Króla str. 403) znajdujemy informację, że po osiemnastym Królu Tar-Kalmakilu nastąpił Ar-Adunakhor (dziewiętnasty). Według Kroniki Królestw Zachodnich Ar-Adunakhor miał objąć tron w roku 1899 (*Powrót Króla*, str. 477), i na tej podstawie *The Complete Guide to Middle-Earth* pana Roberta Fostera podaje ten rok jako datę śmierci Tar-Kalmakila. Z drugiej jednak strony, dalej w Dodatku A do *Władcy Pierścieni* Ar-Adunakhor zwany jest dwudziestym Królem. W roku 1964 mój ojciec odpowiedział na list pewnego czytelnika, który o tę właśnie niezgodność zapytywał: „Według genealogii winno się go nazywać szesnastym Królem i dziewiętnastym Władcą. Miast dwudziestu winno zatem figurować dziewiętnaście, możliwe wszakże, iż jakieś imię zostało przeoczone”. Dalej wyjaśnił, że brak mu całkowitej pewności, jako że w chwili pisania owego listu nie miał dostępu do stosownych notatek.

Przygotowując *Akallabeth* do druku zmieniłem odpowiedni fragment, czy mianem: „Dwudziesty z Królów, objawszy Berło przodków, wstąpił na tron pod imieniem Adunakhora” wpisałem: „Dziewiętnasty z Królów...” (*Silmarillion*, str. 326), podobnie zmieniając „dwudziestu czterech” na „dwudziestu trzech” (tamże str. 328). W owym czasie nie dostrzegłem jeszcze, że według „Dynastii Elrosa” władcą następującym po Tar-Kahnakilu nie był Ar-Adunakhor, ale Tar-Ardamin, teraz jednak sprawa wydaje się oczywista: skoro śmierć Tar-Ardamina nastąpiła w roku 2899, znaczy to, że został on przez pomyłkę pominięty w spisie zamieszczonym we *Władcy Pierścieni*.

Z drugiej wszakże strony nie ulega wątpliwości (jak podają to zgodnie trzy źródła: Dodatek A, *Akallabeth*, „Dynastia Elrosa”), że Ar-Adunakhor był pierwszym Królem Numenoru, który wstąpił na tron pod imieniem pochodzącym z języka aduinackiego. Jeśli zatem uznać, że Tar-Ardamin został przez niedopatrzenie opuszczony na liście w Dodatku A, pozostaje pytanie, czemu zmiana zwyczaju dotyczącego przyjmowania imion monarszych została skojarzona z pierwszym panującym po Tar-Kalmakilu. Może być i tak, że nie chodzi tu wcale o prostą pomyłkę, ale że kryje się za tym coś bardziej złożonego.

⁴³ Dwie tablice genealogiczne podają, że jej ojcem był Gimilzagat, drugi syn Tar-Kalmakila (urodzony w 2630), co nie jest żadną miarą możliwe. Musiało dzielić ich więcej stopni pokrewieństwa.

popiecznikiem pod każdym względem, wszelako ojciec ukochał sobie nade wszystko młodszego syna, Gimilkhada i uczyniłby go chętnie swoim Następcą, gdyby tylko prawo na to zezwalało. Gimilkhad urodził się w roku 3044, zmarł w 3243 ⁴⁴.

XXIV Tar-Palantir (Ar-Inziladun)

Urodził się w roku 3035, rządził lat 78, aż do śmierci w roku 3235. Żałując postępów poprzedników, chętnie odnowiłby przyjaźń z Eldarami i Władcami Zachodu. Inziladun przyjął imię Tar-Palantira, był bowiem człowiekiem dalekowzrocznym, tak dosłownie, jak i w przenośni.

Przeciwnicy Króla obawiali się jego zdolności przewidywania. Wiele czasu spędzał w Andunie, jako że jego babcia ze strony matki Lindorie, należała do książęcego rodu i była siostrą Eandura, piętnastego księcia Andunie, i dziadka Numendila, który był w czasach Tar-Palantira księciem Andunie (i kuzynem władcy zarazem). Tar-Palantir nie raz wspinał się na pradawną wieżę Króla Minastira i tęsknie spoglądał na Zachód z nadzieją, że może ujrzy żagiel statku przybywającego z Eressei. Wszelako nigdy już żaden okręt nie nadpłynął z tamtych stron, a to za sprawą zuchwałości Królów oraz pogłębiającej się degeneracji mieszkańców Numenoru. Gimilkhad bowiem kontynuował dzieło Ar-Gimilzora, stając się przywódcą Stronnictwa Królewskiego i przeciwstawiając się woli Tar-Palantira na tyle jawnie, na ile starczało mu śmiałości, częściej jednak działając skrycie. Przez jakiś czas wszakże Wiernych zostawiono w spokoju, a Król zachodził czasami na Święte Miejsce na szczycie Meneltarmy. Ponownie też otoczono troską i szacunkiem Białe Drzewo. Tar-Palantir wywieszczył bowiem, że kiedy Drzewo umrze, wówczas też znikną ze świata Królowie Numenoru.

Tar-Palantir ożenił się późno i nie miał syna, tylko córkę, której nadał w języku elfów imię Miriel. Kiedy jednak umarł, wziął ją za żonę Farazon, syn nieżyjącego już wówczas Gimilkhada. Uczynił to wbrew woli dziewczyny i przeciwko prawom Numenoru, jako że była ona córką brata jego ojca. Potem wydarł Berło, ogłaszając się Ar-Farazonem (Tar-Kalionem), a Miriel nazywając Ar-Zimrafel⁴⁵.

XXV Ar-Farazdn (Tar-Kalion)

⁴⁴ Istnieje pewien w znacznym stopniu stylizowany wzór kwiatowy, narysowany przez mojego ojca, a przypominający szkic pomieszczony w książce *Pictures by J. R. R. Tolkien* (1979, *Rysunki J. R. R. Tolkiena*), strona 45 po prawej na dole. Obrazek zatytułowano *Inziladun*. Tak też jest podpisany w piśmie Feanoriana, wraz z transliteracją nazwy: Numellote [„Kwiat Zachodu”].

⁴⁵ Według *AkallabSth* (*Silmarillion*, str. 328), Gimilkhad „zmarł na dwa lata przed dwusetną rocznicą urodzin

Najpotężniejszy i ostatni Król Numenoru. Urodził się w roku 3118, rządził 64 lata. Zginął w Upadku w roku 3319. Uzurpator, odebrał tron należący prawnie do żony⁴⁶.

Tar-Miriel (Ar-Zimrafel)

Urodziła się w roku 3117, śmierć poniosła w Upadku.

O wszystkich czynach Ar-Farazona, zarówno tych chwalebnych, jak i szalonych, wzmiankuje szerzej opowieść o Upadku Numenoru, spisana przez Elendila i przechowywana w Gondorze⁴⁷.

(bardzo wcześniej jak na potomka Elrosa, nawet w czasach zmierzchu tej dynastii)”.
⁴⁶ Jak zostało to odnotowane w Dodatku A do *Władcy Pierścieni*, Miriel winna zostać czwartą panującą Królową Numenoru.

Ostatnia rozbieżność między „Dynastią Elrosa” a Kroniką Królestw Zachodnich dotyczy lat panowania Tar-Palantira. *Akallabeth* podaje (*Silmarillion*, str. 327), że „Inziladun przejąwszy Berło wybrał sobie wedle dawnego obyczaju imię w języku elfów - Tar-Palantir”, podczas gdy w Kronice Królestw Zachodnich (*Powrót Króla*, str. 477) odnajdujemy wzmiankę: „3175 - Skrucha Tar-Palantira. Wojna domowa w Numenorze”. Wydaje się niemal pewnym, że datą wstąpienia Tar-Palantira na tron był rok 3175, szczególnie, że taką właśnie datę zapisał pierwotnie ojciec w „Dynastii Elrosa”, jako rok śmierci Ar-Gimilzora, i dopiero później poprawił ją na 3177. Podobnie jak w przypadku datowania śmierci Tar-Atanamira (por. przypis 10 powyżej), trudno pojąć, czemu miała służyć ta drobna zmiana pozostająca w sprzeczności z Kroniką Królestw Zachodnich.

⁴⁷ To jedyna wzmianka przypisująca Elendilowi autorstwo *Akallabeth*. Gdzie indziej powiada się także, że historia Aldanona i Erendis, jedna z nielicznych opowieści zachowanych z Numenoru zawdzięcza swe przetrwanie Elendilowi, dla którego była szczególnie istotna.

IV. HISTORIA GALADRIELI I KELEBORNA I AMROTHA, KRÓLA LORIEN

Nie ma w historii Śródziemia drugiej równie zawilej opowieści, jak ta traktująca o Galadrieli i Kelebornie. Trzeba też zaznaczyć, że tradycyjne przekazy im poświęcone zawierają sporo zasadniczych niekonsekwencji, chociaż spojrzawszy na sprawę inaczej, można powiedzieć, że po prostu rola Galadrieli w dziejach Śródziemia ujawniała się stopniowo, tak zatem opowieść o niej ulegała kolejnym modyfikacjom.

Z całą pewnością według wcześniejszej koncepcji Galadriela miała sama ruszyć z Beleriandu poprzez góry na wschód, przed końcem Pierwszej Ery, i spotkać Keleborna w jego własnej krainie, w Lorien. Taką dokładnie wersję zawierają nie publikowane pisma, wedle niej skomponowana została również wypowiedź Galadrieli w rozmowie z Frodem (*Wyprawa*, str. 481), kiedy to powiada o Kelebornie: „Od zarania ziemi przebywa na Zachodzie, ja zaś jestem przy nim od niepamiętnych czasów. Jeszcze przed upadkiem Nargothrond i Gondolinu przybyłam tutaj zza gór i razem z Kelebornem przez długie wieki walczyliśmy, stawiając opór złym losom”. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Keleborn miał w tej wersji być Elfem Nandorskim (czyli jednym z tych Telerich, którzy odmówili przekroczenia Gór Mglistych podczas Wielkiej Wędrówki z Kuivienen) bowiem był bratem Olwego i ten związek krwi wywarł wpływ na podjęcie decyzji o pozostaniu na Wygnaniu i nader istotny okazał się potem, w Beleriandzie. Finrod przypominał ojca tak obliczem, jak i złocistymi włosami, podobnie też nosił w piersi szlachetne i szczodre serce, chociaż w młodości odważny i niespokojny był jak Noldorowie. Po matce zaś, pochodzącej z Telerich, odziedziczył uwielbienie morza, i tęsknotę za odległymi krajami, których nigdy nie ujrzał. Galadriela to najznamienitsza postać wśród Noldorów, może wyjąwszy samego Feanora, chociaż wykazywała się większą mądrością niż on, a mądrość ta pogłębiała się z latami. Matka nadała jej imię Nerwena („męska panna”), wyrosła też ponad zwykłą miarę kobiecą, nawet tę cechującą Noldorów⁴⁸. Była, silna, bystra i zdecydowana, w dniach młodości mierzyć mogła się na równi z uczonymi jak i atletami Eldarów. Nawet wśród Eldarów uchodziła za piękność, a jej włosy uznawano za niezrównanie cudne złociste, jak u ojca i babki Indis, bardziej jednak błyszczące, wspomnienie bowiem o gwiazdnym srebrze jej matki ożywiało ich złoto. Eldarowie powiadali, że to blask Dwóch Drzew, Laurelina i Telperiona, uwięziony został w jej warkoczach. Wielu uważało, iż właśnie te spostrzeżenia podsunęły Feanorowi pomysł, by zamknąć i zmieszać światło obu Drzew, co

⁴⁸ Por. Dodatek E do niniejszej książki.

później przybrało w jego rękach postać Silmarili. Feanor bowiem z podziwem i wielką przyjemnością spoglądał na Galadrielę. Po trzykroć błagał o kosmyk, ale ona nie chciała mu dać ani włosa. Tych dwoje krewniaków, największych Eldarów w Valinorze, zawsze już zostało nieprzyjaciółmi. Galadriela urodziła się w okresie chwały Valinoru, ale nie trwało długo, wedle rachuby Błogosławionego Królestw; a chwała ta zbladła i Galadriela nigdy już nie zaznała spokoju. W czasie bowiem próby i konfliktów między Noldorami wahała się, przyciągana przez jedną lub drugą stronę. Była dumna, silna i uparta. Nie różniła się tym od każdego innego potomka Finwego (prócz Finarfina). Podobnie jak brat, Finrod, najbliższy jej sercu ze wszystkich krewnych, marzyła o odległych krainach i lennach. Pragnęła nimi władać sama, bez niczyjej kurateli. Mocniej wszakże zakorzeniła się w niej szlachetność i szczodrość Vanyarów, a także szacunek wobec Valarów, których nie mogła nijak zapomnieć. Od najmłodszych lat potrafiła cudownym sposobem zaglądać do cudzych umysłów, czyniła to jednak ze zrozumieniem dla innych, oferując miłosierne i nigdy nie odmawiała pomocy nikomu, prócz Feanora. W nim bowiem dostrzegła znienawidzoną i grozę budzącą ciemność, nie zauważywszy wszakże tego samego złego Cienia zalegającego nad myślami wszystkich Noldorów, jej samej nie wyłączając. Tak zatem, gdy zgasło światło Valinoru (Noldorowie sądzili, że na zawsze), przyłączyła się do buntu przeciwko Valarom, którzy kazali Noldorom tam zostać, a gdy raz już postawiła stopę na drodze wiodącej do Wygnania, nie chciała się cofnąć. Odrzuciła ostatnie posłanie Valarów i przyjęła Wyrok Mandosa. Nie zawróciła nawet po okrutnym ataku na Telerich i zniszczeniu ich statków, chociaż nie szczędząc sił, walczyła z Feanorem w obronie plemienia swej matki. Honor nie pozwalał jej na powrót w roli pokonanego, błagającego teraz wybaczenia. Płonęła gniewem, gotowa ścigać Feanora, gdziekolwiek by się udał, aby udaremniać wszelkie jego zamysły. Duma Galadrieli nie wygasła nawet pod koniec Dawnych Dni, tak i po ostatecznym obaleniu Morgotha, odrzuciła wybaczenie oferowane przez Valarów wszystkim, którzy kiedyś przeciwko nim wystąpili, i pozostała w Śródziemiu. Dopiero gdy minęły dwie długie ery i kiedy to, czego pragnęła w młodości, znalazło się przed nią na wyciągnięcie ręki, wówczas, kierując się dojrzałą przez wieki mądrością, odrzuciła zarówno dar Pierścienia Władzy, jak i możliwość zapanowania nad Śródziemiem (o czym marzyła). Pomyślnie przeszedłszy ten ostatni test, na zawsze opuściła Śródziemie.

Ostatnie zdanie nawiązuje bezpośrednio do owej sceny w Lothorien. Wtedy właśnie Frodo chciał oddać Jedyny Pierścień Galadrieli (*Wyprawa*, str. 493): „Nareszcie się stało! Chcesz dobrowolnie oddać mi Pierścień! Na miejscu Czarnego Władcy postawić Królową”.

Silmarillion (na stronie 96) podaje, że podczas buntu Noldorów w Valinorze, Galadriela

była chętna do odejścia. Nie złożyła wprawdzie przysięgi, lecz słowa Feanora o Śródziemiu znalazły oddźwięk w jej sercu, gdyż marzyła, by zobaczyć rozległe nie strzeżone przestrzenie i rządzić jakimś królestwem według własnej woli.

Jest jednak w tym tekście kilka wskazówek nie pojawiających się w *Silmarillionie*: pokrewieństwo dzieci Finarfinia z Thingolem jako czynnik decydujący o przyłączeniu się do buntu Feanora; niechęć i nieufność, którymi Galadriela od początku darzyła Feanora, i wpływ, jaki nań wywarła; walka między samymi Noldorami w Alqualonde-Angrod zapewnił Thingola w Menegrocie o tym jedynie, że krewni Finarfinia nie byli winni zabójstwa Telerich (*Silmarillion*, str. 155). Najbardziej godny jednak uwagi jest cytowany już fragment, stwierdzający, że Galadriela odrzuciła wybaczenie oferowane przez Valarów pod koniec Pierwszej Ery. W dalszym ciągu rozprawy mówi się o tym, że chociaż nazwana przez matkę Nerweną, przez ojca zaś Artanis („szlachetną kobietą”), sama wybrała sobie w sindarińskim imię Galadrieli „najbardziej bowiem jej się podobało i otrzymała je od swego kochanka, Teleporna z Telerich, którego poślubiła później w Beleriandzie”. Teleporn to Keleborn, centralna postać przytoczonej poniżej historii. O jego imieniu traktuje Dodatek E do niniejszej książki.

Zupełnie odmienna opowieść, naszkicowana, lecz nigdy nie opracowana, odnosi się do postępowania Galadrieli w czasie buntu Noldorów. Jest to notatka bardzo późna, częściowo nieczytelna (ostatnia tytułowa Galadrieli i Keleborna, jak i zapewne całego Śródziemia oraz Valinoru), spisana w ostatnim miesiącu życia mego ojca. Przedstawił tam przywódczą rolę sprawowaną przez Galadrielę już w Valinorze. Podkreślił jej umiejętności dorównujące talentom Feanora, chociaż z gruntu odmienne. Powiada również, że nie chciała przyłączyć się do jego buntu i we wszystkim mu się przeciwstawiała. Naprawdę wolała od Valinoru szerokie przestrzenie Śródziemia, gdzie znalazłaby dla siebie pole do popisu, bowiem „będąc nader bystrego umysłu, szybka też w działaniu, wcześniej przyswoiła sobie wszystkie nauki, które Valarowie uznali za stosowne przekazać Eldarom” i czuła się ograniczona opiekuńczością Amanu. Manwe znał najpewniej pragnienia Galadrieli i nie zakazał jej odejścia, chociaż nie udzielił też oficjalnego pozwolenia. Zastanawiając się nad dalszymi poczynaniami, pomyślała o statkach Telerich i zamieszkała na czas jakiś z krewnymi matki w Alqualonde. Tam spotkała Keleborna, który pojawia się tu ponownie jako książę Telerich, wnuk Olwego z Alqualonde i tym samym bliski jej krewny. Razem postanowili zbudować statek, po czym pożeglować do Śródziemia. Już mieli poprosić Valarów o dyspensę na ową eskapadę, gdy Melkor uciekł z Valmaru i wróciwszy z Ulgoliantą, unicestwił światło Drzew. W buncie Feanora (rebelia nastąpiła po zalegnięciu mroków w Valinorze) Galadriela nie brała udziału, wręcz przeciwnie,

z wielkim poświęceniem walczyła u boku Keleborna, by obronić Alqalonde przed napaścią Noldorów. Szczęśliwie udało im się uratować przed nimi statek Keleborna. Galadriela, doprowadzona do rozpaczyny wydarzeniami w Valinorze jak i przerażona ciężko gwałtownością i okrucieństwem Feanora, pożeglowała w ciemność i nie czekała na pozwolenie Manwego, który zapewne nie udzieliłby takowego w tejże godzinie bez względu na prawość jej pobudek. Dlatego Galadrielę również objęła klątwa nałożona na wszystkich i nie miała powrotu do Valinoru. Razem jednak z Keleboraem dotarła do Śródziemia nieco wcześniej niż Feanor i zawinęła do przystani Kirdana, a on powitał ich z radością jako krewnych Elwego (Thingola). W późniejszych latach nie włączyli się do wojny z Angbaudem, uważali bowiem walkę za beznadziejną, przynajmniej jak długo obowiązuje klątwa Valarów, gdyż nie mogli liczyć na pomoc. Radzili wycofać się z Beleriandu i rozbudować potęgę Eldarów ku wschodowi (skąd, jak się obawiali, Morgoth zdoła ściągnąć posiłki), zaprzyjaźniając się z mieszkającymi tam Elfami Ciemnymi i ludźmi. Ponieważ jednak takiej polityki nie zaakceptowałyby elfy z Beleriandu, Galadriela i Keleborn przed końcem Pierwszej Ery przekroczyli Ered Lindon i kiedy otrzymali od Valarów zgodę, by wrócić na Zachód, nie chcieli z niej skorzystać.

Ta opowieść, negująca wszelkie związki Galadrieli z rebelią Feanora, mówiąca o opuszczeniu przez Galadrielę Amanu na pokładzie osobnego statku (w towarzystwie Keleborna), znacznie różni się od wszystkich gdzie indziej pomieszczonych relacji. Wyrosła z „filozoficznych” raczej niż z „historycznych” rozważań dotyczących, z jednej strony samej istoty nieposłuszeństwa Galadrieli w Valinorze, z drugiej zaś - jej statusu i władzy posiadanych w Śródziemiu. Oczywistym jest, że wymagałoby to w dalszym ciągu pracy wprowadzenia wielu zmian w tekście *Silmarilliona* i mój ojciec niewątpliwie zamierzał to uczynić. Można zauważyć, że w pierwotnej wersji opowieści o buncie i ucieczce Noldorów, Galadriela nie pojawia się wcale. Opowieść ta była starsza niż postać Galadrieli, w jasny zatem sposób po zaistnieniu Galadrieli w historii Pierwszej Ery tok jej działań mógł jeszcze ulegać modyfikacjom, przynajmniej do czasu publikacji *Silmarilliona*. Jednak na ów tom złożyły się teksty dopracowane i nie mogłem wówczas brać pod uwagę naszkicowanych ledwie projektów zmian.

Uczynienie zaś z Keleborna elfa Telerich z Amanu przeczy nie tylko twierdzeniom zawartym w *Silmarillionie*, ale także przytoczonym już cytatom z *The Road Goes Ever On* i Dodatku B do *Władcy Pierścieni*, gdzie Keleborn zostaje przedstawiony jako Sindarin z Beleriandu. Chęć dokonania tak zasadniczej zmiany mogła wynikać z uprzedniego wprowadzenia nowego wątku tycaącego sposobu opuszczenia Amanu przez Galadrielę, czyli pożeglowania niezależnie od zbuntowanych Noldorów. Wszelako Keleborn stał się Telerim już

w cytowanej uprzednio wersji, kiedy to Galadriela brała jeszcze udział w rewolcie Feanora i razem z nim opuściła Valinor, nie ma jednak w tym wariancie ani wzmianki o tym, jak właściwie Keleborn przybył do Śródziemia.

Wcześniejsza opowieść (poza kwestią klątwy i przebaczenia), do której odnoszą się wszelkie nawiązania obecne w *The Road Goes Ever On*, w Dodatku B do *Władcy Pierścieni*, jest dość klarowna: Galadriela przybyła do Śródziemia jako jedna z przywódczyni buntu Noldorów, w Dodacie spotkała Keleborna, za którego potem wyszła. Był on wnukiem brata Thingola, Elma, dość mglistej postaci. Wiadomo o nim tylko, że był to młodszy brat Elwego (Thingola) i Olwego, a „pozostał on przy Elwem, który go miłował” (Syn Elma na imię miał Galadhon, a jego synami byli Keleborn i Galathil; Galathil miał córkę Nimloth. Wzięła ona sobie za męża Diora, dziedzica Thingola, i urodziła Elwingę. Wedle tej genealogii Keleborn był krewnym Galadrieli, wnuczki Olwego z Alqualonde, nie tak bliskim wszakże, jak wedle wersji uznającej go za wnuka Olwego). W naturalny sposób nasuwa się przypuszczenie, że Keleborn i Galadriela widzieli zniszczenie Doriathu (w pewnym miejscu jest mowa o tym, że Keleborn „umknął podczas plądrowania Doriathu”) i zapewne pomagali unoszącej Silmaril Elwindze w ucieczce do Przystani Sirionu. O tym ostatnim nie ma jednak żadnej wzmianki. O Kelebornie wspomina się w Dodatku B do *Władcy Pierścieni*, iż mieszał on przez jakiś czas w Lindonie na południe od Jeziora Księżycowego⁴⁹, lecz na początku Drugiej Ery przedostał się wraz z Galadriela przez Góry do Eriadoru. Dalszy ciąg ich historii, tak jak prezentowała się ona w tejże właśnie „fazie twórczości” mojego ojca, pomieszczony został poniżej.

⁴⁹ Wśród nie publikowanych materiałów dotyczących elfów z Harfindonu, czyli Lindonu leżącego na południe od Jeziora Księżycowego, znajduje się notatka twierdząca, iż były to głównie elfy sindarińskiego pochodzenia i cała ta kraina stanowiła lenno pod rządami Keleborna. Zupełnie naturalnie nasuwa się skojarzenie z informacją zamieszczoną w Dodatku B, wszakże może się to odnosić do późniejszego okresu, nader niewiele bowiem wiadomo o wędrówkach oraz miejscach zamieszkania Keleborna i Galadrieli po upadku Eregionu w roku 1697.

O Galadrieli i Kelebornie

Pod tym tytułem kryje się tekst krótki, pospiesznie naszkicowany, wręcz chropawy, który jest jednak jedynym niemal źródłem informacji o wydarzeniach, które miały miejsce na Zachodzie Śródziemia aż do czasu pokonania Saurona i wypędzenia go z Eriadoru w roku 1701 Drugiej Ery. Poza tym temat ów poruszają tylko zdawkowe i nieliczne wzmianki w Kronice Królestw Zachodnich oraz ogólnikowa, niepełna relacja przedstawiona w *Silmarillionie* (rozdział „Pierścienie Władzy i Trzecia Era”). Bez wątpienia tekst ten powstał po wydaniu *Władcy Pierścieni*, co można sądzić zarówno po występujących tu odniesieniach do książki, jak i z faktu, że Galadriela zwana jest tutaj córką Finarfina i siostrą Finroda Felagunda (a są to późniejsze imiona owych książąt, wprowadzone do poprawionego wydania, por. przypis 20). Tekst nosi ślady wielokrotnego poprawiania, więc nie zawsze można odróżnić, co przynależy do wersji pierwotnej rękopisu, a co zostało dodane później. To właśnie dotyczy stwierdzenia, iż Amroth był synem Galadrieli i Keleborna. Tak czy inaczej, uważam, że owa opowieść napisana została po *Władcy Pierścieni*, gdyby bowiem pomyśl, aby Amroth był ich synem, zrodził się wcześniej, bez wątpienia znaleźlibyśmy o tym wzmiankę w Trylogii.

Warto zauważyć, iż tekst ten pomija nie tylko kwestię objęcia Galadrieli zakazem powrotu na Zachód, ale w początkowych akapitach sugeruje wręcz, że taka sytuacja w ogóle nie zaistniała. Dalej zaś mowa jest o tym, iż Galadriela została w Śródziemiu po pokonaniu Saurona w Eriadorze wiedzona wyłącznie poczuciem obowiązku, by nie porzucić tej krainy, skoro wróg nie został całkowicie zwyciężony. Stanowi to zasadniczy powód wyrażonego powyżej (ostrożnego) mniemania, iż pomysł onego zakazu później powstał niż *Władca Pierścieni*; por. także odpowiedni fragment w podrozdziale „Elessar”.

Poniżej przedstawiam tekst oparty na wspomnianym rękopisie. Komentarze uzupełniające wyróżnione zostały kwadratowymi nawiasami.

Galadriela była córką Finarfina i siostrą Finroda Felagunda. Mile widziano ją w Doriacie, jej matka bowiem, Earwena, córka Olwego, pochodziła z Telerich i była bratanicą Thingola, ponadto lud Finarfina nie uczestniczył w bratobójstwie w Alqualonde, tak i została przyjaciółką Meliany. W Doriacie spotkała Keleborna, wnuka Elma, brata Thingola. Z miłości do Keleborna, który nie chciał opuścić Śródziemia (jak i zapewne za sprawą własnej dumy, uprzednio bowiem garnęła się do tej krainy), nie odpłynęła na Zachód po Upadku Melkora, ale przekroczyła z Kelebornem Ered Lindon i przybyła do Eriadoru. Gdy już się tam osiedlili, wielu innych Noldorów podążyło ich śladem, a z nimi też Elfy Szare i Leśne. Przez pewien czas przemieszkiwali w krainie wokół Jeziora Nenuial (Evendim, na północ od Shire). Keleborn i

Galadriela uznani zostali za Pana i Panią Eldarów w Eriadorze, za swoich zaś poddanych mieli również wędrownie plemiona pochodzenia nandorskiego, które nigdy nie podążyły na zachód przez Ered Lindon i nie zeszły do Ossiriandu [por. *Silmarillion*, str. 110]. Tam właśnie, w pobliżu Nenuial, urodził się w okresie pokoju między latami 350 a 400 ich syn, Amroth [Czas i miejsce narodzin Kelebriany, czy nastąpiły w owym przedziale czasowym, czy później, w Eregionie, lub nawet w Lorien, nie zostały precyzyjnie określone].

Ostatecznie jednak Galadriela zdała sobie sprawę z faktu, że jak kiedyś, w dniach pojmania Melkora [por. *Silmarillion*, str. 56], tak i tym razem przeoczono osobę Saurona. Właściwie należy powiedzieć, że wyczuła wówczas jedynie wpływ złej siły sprawczej, emanującej ze źródła położonego daleko na Wschodzie, poza Eriadorem i za Górami Mglistymi, a to dlatego, że nie kojarzono wówczas Saurona z tym jedynie imieniem i nikt nie przypisywał rozmaitych zdarzeń (którym on był winien) jednemu tylko złemu duchowi.

Tak zatem około roku 700 Drugiej Ery Keleborn i Galadriela ruszyli na Wschód, zakładając w Eregionie królestwo Noldorów (głównie Noldorów, choć nie wyłącznie). Być może uczynili to tam właśnie, Galadriela bowiem wiedziała o krasnoludach z Khazadumu (Morii). Krasnoludy mieszkaly wówczas (i później) po wschodniej stronie Ered Lindon⁵⁰, niedaleko Nenuial, gdzie leżały niegdyś starożytne miasta Nogrod i Belegost, największa jednak ich siła była w Khazadumie. Keleborn nie przepadał za krasnoludami dowolnej rasy (jak okazał to Gimliemu w Lothlorien) i nigdy nie wybaczył im roli, jaką odegrały w zniszczeniu Doriathu, wszelako w tej napaści wzięli udział jedynie zbrojni z Nogrodu, wybici zresztą w bitwie pod Sarn Athrad [*Silmarillion*, str. 286-288]. Krasnoludy z Belegostu przelekły się klęski i jej skutków, co przyspieszyło ich odejście na Wschód, do Khazadumu⁵¹. Tym samym można było sądzić, iż krasnoludy z Morii nie ponosiły odpowiedzialności za zagładę Doriathu i nie miały wrogiego stosunku do elfów. Tak czy inaczej, Galadriela wykazała się w tej materii większą zdolnością przewidywania niż Keleborn i już wtedy pojęła, że nie da się Śródziemia ocalić przed „posiewem Morgotha” inaczej, jak tylko dzięki zjednoczeniu wszystkich ludów zdolnych na swój sposób przeciwstawić się złu. Tak zatem spojrziała na krasnoludów okiem wodza, dostrzegając w nich wyśmienitych wojowników, zdolnych z powodzeniem zwalczać

⁵⁰ Por. *Wyprawa*, str. 71: „Pradawny szlak ze Wschodu na Zachód przecinał Shire, kończąc się w Szarej Przystani, toteż krasnoludy zawsze tędy wędrowały do swych kopalń w Górach Błękitnych”.

Ten cytat podaję w nowym tłumaczeniu, w polskim bowiem wydaniu *Władcy Pierścieni* ma on brzmienie: „...wielki szlak na zachód przecinał Shire i biegł przez most na Brandywinie, toteż krasnoludy zawsze tędy od czasu do czasu chadzały” (przyp. tłum.).

⁵¹ Powiedziane jest w Dodatku A do *Władcy Pierścieni*, że pradawne miasta Nogrod i Belegost zostały zniszczone podczas klęski Thangorodrimu [*Powrót Króla*, str. 459]; wszakże w Kronice Królestw Zachodnich czytamy: „ok. 40 Wielukrasnoludów, opuszczając stare siedziby w Ered Lion, przenosi się do Morii, dokąd ściągają coraz liczniej ich współplemieńcy” [*Powrót Króla*, str. 475].

Orków. Co więcej, Galadriela wywodziła się z Noldorów, tak i odpowiadał jej sposób myślenia krasnoludów oraz ich umiłowanie dla rzemiosł, znacznie przewyższające podobne pasje przejawiane przez Eldarów. Krasnoludy były „Dziećmi Aulego”, a Galadriela, podobnie jak pozostali Noldorowie, należała w Valinorze do grona uczniów Aulego i Yavanny.

Wśród poddanych Galadrieli i Keleborna znajdował się noldorski rzemieślnik Kelebrimbor [Tutaj pada wzmianka, że był on jednym z ocalałych z Gondolinu, gdzie nader wysoko cenił go Turgon; wszakże tekst został przerobiony zgodnie z późniejszą wersją, która czyni zeń potomka Feanora, jak podano to w Dodatku A do *Władcy Pierścieni* (tylko w wydaniu poprawionym), bardziej szczegółowo rzecz relacjonując w *Silmarillionie* (str. 213, 348), gdzie mowa jest o tym, iż Kelebrimbor to syn Kurufina, piątego syna Feanora, i że odżegnawszy się od ojca pozostał w Nargothrondzie po wygnaniu stamtąd Kelegonna i Kurufina]. Kelebrimbor ogarnięty był „niemal krasnoludzką pasją rzemiosła” i wkrótce został największym artystą Eregionu i zawarł znajomość z krasnoludami z Khazadumu, najbliżej zaprzyjaźniając się z Narwim [Odczytany przez Gandalfa napis na Zachodniej Bramie Morii głosił: *Im Narvi hain echant: Celebrimbor o Eregion teithant i thiw hin*, czyli: „Zrobiłem te drzwi ja, Narwi. Znaki wykuł Kelebrimbor z Hollinu” (*Wyprawa*, str. 415). Zarówno elfy, jak też krasnoludy wiele zyskały na połączeniu wysiłków. Eregion urósł dzięki temu w siłę, a Khazadum wypiękniał, a nie stałoby się tak za sprawą tylko jednej strony.

[Ta wersja genezy Eregionu zgodna jest z relacją pomieszczoną w *Silmarillionie* (rozdział „Pierścienie Władzy i Trzecia Era”, str. 348), jednak ani tutaj, ani w Dodatku B do *Władcy Pierścieni* nie ma żadnej wzmianki o obecności Galadrieli i Keleborna, chociaż w tym drugim źródle (znów jedynie w poprawionym wydaniu) Kelebrimbor zwany jest Panem Eregionu].

Budowa głównego miasta Eregionu, Ost-in-Edhil ruszyła około roku 750 Drugiej Ery [data wymieniona w Kronice Królestw Zachodnich jako rok założenia Eregionu przez Noldorów]. Wieści o tych poczynaniach doszły do uszu Saurona i spotęgowały jego lęki rozbudzone faktem dotarcia Numenoryjczyków do Lindonu oraz do wybrzeży na południu, jak też ich przyjaźnią z Gilgaladem. Usłyszał również, że Aldarion, syn Tar-Meneldura, Króla Numenoru, wyrósł na wielkiego budowniczego okrętów i że dotarł już w swoich wyprawach aż do przystani Haradu. Zatem Sauron zostawił na czas jakiś Eriador w spokoju, wybierając Mordor (jak później nazwano tę krainę) na swą warownię, stanowiącą przeciwwagę dla zagrożenia powodowanego przez numenoryjskich żeglarzy [według Kroniki Królestw Zachodnich było to około roku 1000]. Gdy poczuł się bezpieczny, wysłał do Eriadoru emisariuszy, ostatecznie zaś, około roku 1200 Drugiej Ery, sam się tam pofatygował,

przybrawszy najpiękniejszą postać, w jaką potrafił się wcielić.

W tym czasie jednak potęga Galadrieli i Keleborna urosła znacznie, a Galadriela, z pomocą zaprzyjaźnionych krasnoludów z Morii, nawiązała kontakt z nandorskim królestwem w Lorinandzie po drugiej stronie Gór Mglistych⁵². Zaludniały je elfy, które odłączyły się od Wielkiej Wędrówki Eldarów z Kuwienen i osiedliły się w lasach Doliny Anduiny [*Silmarillion*, str. 110], zajmując lasy po obu stronach Wielkiej Rzeki, włącznie z okolicą, gdzie później wzniesiono Dol Guldur. Nie było między nimi książąt ni władców. Wiodły życie beztroskie w czasie, gdy cała potęga Morgotha skupiała się na północnym zachodzie Śródziemia;⁵³ „wszakże wielu Sindarów i Noldorów zamieszkało między nimi, przez co zaczęła się pod wpływem kultury Beleriandu sindaryzacja tych ludów” [Nie *jest* jasne, kiedy nastąpiła owa migracja do Lorinandu; możliwe że przybysze pochodzili z Eregionu i pod patronatem Galadrieli przedostali się przez Khazadum]. Galadriela usiłowała przeciwstawić się machinacjom Saurona, co w Lorinandzie udało jej się uczynić. Tymczasem Gilgalad nie wpuszczał do Lindonu ani wysłanników Saurona, ani jego samego [jak opisano to dokładnie w „Pierścieniach Władzy” - *Silmarillion*, str. 349]. Lepiej powiodło się Sauronowi z Noldorami z Eregionu, a szczególnie z Kelebrimborem, który w głębi serca pragnął dorównać mistrzostwu Feanora [O tym, jak Sauron zwiódł rzemieślników Eregionu, przybierając imię Armatora, Pana Darów, czytamy w „Pierścieniach Władzy”, nie ma tam jednak mowy o Galadrieli].

W Eregionie Sauron podał się za emisariusza Valarów. Mieli wysłać go oni do Śródziemia („antycypując w ten sposób przybycie Istarich”), nakazawszy pozostać tam i

⁵² W przypisie do tekstu zostało wyjaśnione, że Lorinand to nandorska nazwa tej krainy (zwanej później Lorien lub Lothlorien) i zawiera ona słowo z języka elfów oznaczające „złote światło”, „dolina złota”. W języku quenya brzmiałoby to *Laurenajide*, w sindarińskim *Gloman* lub *Nan Laur*. Zarówno tutaj, jak i wszędzie indziej nazwa ta wiąże się ze złocistymi drzewami, mallornami rosnącymi w Lothlorien, zostały one jednak sprowadzone tam przez Galadrielę. Inna, późniejsza rozprawa podaje, że nazwa Lorinand ma być przetworzeniem (dokonanym po sprowadzeniu mallornów) starszej nazwy brzmiącej Lindorinand, „Dolina na Ziemi Śpiewaków”. Ponieważ na terenach tych dominował ród Telerich, nie ma wątpliwości, że w tej nazwie obecne jest określenie, jakie Teleri sami sobie nadali: *Lindar*, „Śpiewacy”. Pozostałe, różniące się nieco rozprawy poświęcone nazwom Lothlorien wskazują, że wszystkie późniejsze miana zostały zapewne nadane przez Galadrielę, która łączyła ze sobą różne wyrazy: *lawę* - „złoto”, *nan(d)* - „dolina”, *ndor* - „kraina”, *lin* - „śpiewać”; w nazwie zaś *Laurelindorinan* „Dolina Śpiewającego Złota” (tę właśnie Drzewiec podał Hobbitom jako wcześniejszą) z rozmysłem nawiązuje do Złocistego Drzewa rosnącego w Valinorze, „za którym Galadriela ani chybi tęskniła z każdym rokiem coraz bardziej, aż w końcu tęsknota zamieniła się we wszechogarniający żal”.

Lorien było pierwotnie w języku quenejskim określeniem rejonu Valinoru, często stosowanym jako imię Valara (Irmo), który nią władał: „miejsce odpoczynku pod cienistymi drzewami pośród fontann, schronienie przed troskami i smutkami”. Późniejsza przemiana z Lorinand, „Dolina Złota”, w *Lorien*, „mogła zostać uczyniona przez samą Galadrielę”, bowiem „podobieństwo nie może być dziełem przypadku. Ona właśnie umyśliła uczynić z Lorien schronienie, wyspę pokoju oraz piękną, pamiątkę po dawnych dniach. Galadrielę wypełniały jednak żal i obawa, wiedziała bowiem, że kończy się już złoty sen i bliskie jest przebudzenie w szarości. Warto odnotować, że Drzewiec przetłumaczył *Lothlorien* jako „Kwietny Sen”.

W tekście „O Galadrieli i Kelebornie” zachowałem wszędzie formę *Lorinand*, chociaż w czasie powstawania tej opowieści miała to być pierwotna, prาดawna nandorska nazwa tej krainy, a historia o sprowadzeniu tam przez Galadrielę mallornów jeszcze nie powstała.

wspierać elfy. Z miejsca spostrzegł, że Galadriela będzie jego najgroźniejszym przeciwnikiem i przeszkodą w przyszłości, więc próbował ją sobie zjednać, z udawaną cierpliwością i uprzejmością znosząc jej szyderstwa [Brakuje w szkicu wyjaśnienia, czemu właściwie Galadriela tak pogardzała Sauronem. Gdyby przyjąć, że rozszyfrowała jego postać, to nasuwa się pytanie, czemu pozwoliła mu jednak pozostać w Eregionie?]⁵⁴. Sauron użył całej swej przebiegłości wobec Kelebrimbora i jemu podobnych mistrzów sztuki kowalskiej, którzy utworzyli stowarzyszenie czy bractwo, Gwaith-i-Mirdain, nader potężne w Eregionie. Działał jednak w sekrecie, ukrywając się przed Galadriela i Kelebornem. Nie trwało długo, a podporządkował sobie Gwaith-i-Mirdain, jako że zrzeszenie wielce zyskało dzięki ujawnionym przez Saurona tajemnicom sztuki obróbki metali⁵⁵. Tak wielki był jego wpływ na Mirdain, że z czasem przekonał ich do otwartego buntu przeciwko Galadrieli i Kelebornowi, po czym przejął władzę w Eregionie. Nastąpiło to gdzieś między 1350 a 1400 rokiem Drugiej Ery. Skutkiem tego Galadriela opuściła Eregion i przez Khazadum udała się do Lorinandu, biorąc ze sobą Amrotha i Kelebriana, Keleborn jednak odmówił wejścia do siedziby krasnoludów. Pozostał zatem w Eregionie, lekceważony wszak przez Kelebrimbora. Galadriela objawszy rządy nad Lorinandem zaczęła przygotowania do obrony przed Sauronem.

Sauron zaś odszedł z Eregionu około roku 1500, kiedy to bractwo Mirdain zaczęło wykuwać Pierścienie Władzy. Wówczas to Kelebrimbor, który uczciwy z gruntu dawał się zwodzić stwarzanym przez Saurona pozorom, odkrył w końcu istnienie Jedyne Pierścienia i

⁵³ To późniejsza poprawka, oryginalny tekst podawał, że krainą Lorinand zarządzili miejscowi książęta.

⁵⁴ W osobnej notatce, której data powstania nie jest znana, pada uwaga, że chociaż imię *Sauron* użyte zostało wcześniej w Kronice Królestw Zachodnich, to jednak tego właśnie imienia owej postaci (miana sugerującego tożsamość z wielkim namiestnikiem Morgotha, występującym w *Silmarillionie*) nie znano aż do około 1600 roku Drugiej Ery, czasu wykucia Jedyne Pierścienia. Istnienie tajemniczej, wrogiej elfom i Edainom siły, zauważono krótko po roku 500, a spośród Numenoryjczyków ową nieprzyjazną moc pierwszy dostrzegł Aldarion pod koniec ósmego wieku (w czasie budowania przystani w Vinyalonde). Siła ta nie miała wyraźnego źródła. Sauron starał się oddzielać dwa swoje oblicza: wroga i kusiciela. Znalazłszy się między Noldorami, przyjął zwodniczo cudną postać (antycypując w ten sposób późniejsze pojawienie się Istarich) i piękne imię: *Artano*, „Wielki Kowal”, lub *Aulendil*, oznaczające kogoś, kto w pełni oddany jest służbie Valara Aulego (w „Pierścieniach Władzy”, [*Silmarillion*, str. 349] Sauron określa się w tym czasie jako Annatar, Pan Darów, tutaj wszakże to imię nie występuje). Notatka podaje następnie, że Galadriela nie dała się omamić i oznajmiła, że *Aulendil* nie jest poddanym Aulego z Valinoru, „ale jej zdanie nie przeważało, Aule bowiem istniał już przed „Stworzeniem Ardy”, więc było wielce prawdopodobne, że Sauron to naprawdę jeden z jego Majarów, zwiedziony „przed początkiem Ardy, przez Melkora”. Współbrzmi to ze zdaniem otwierającym tekst „Pierścienie Władzy i Trzecia Era”: „Z dawna istniał Sauron, Majar [...] Na początku, gdy powstawała Arda, Melkor uwiódł Saurona” [*Silmarillion*, str. 347].

⁵⁵ W liście napisanym we wrześniu 1954 roku mój ojciec stwierdził: „Na początku Drugiej Ery zachowywał on [Sauron] wciąż piękną postać, lub takową potrafił przybierać, i nie ze szczerem był zły, chyba żeby uznać, że wszelcy „reformatorzy”, pragnący przyspieszyć „rekonstrukcję” i „reorganizację” są zawsze z gruntu źli, nawet wówczas, gdy nie wbiją się jeszcze w dumę i nie zeżre ich własna chciwość. Jeden z odłamów Elfów Wysokiego Rodu - Mistrzowie Wiedzy, czyli Noldorowie - zawsze wykazywał szczególną podatność na uleganie nowinkom „nauki i techniki”, jak i dzisiaj byśmy powiedzieli. Pragnąc posiąść całą wiedzę, jaką Sauron dysponował, Noldorowie z Eregionu zlekceważyli ostrzeżenia Gilgalada i Elronda. Innym przejawem tego wyjątkowego „pożądania” dręczącego elfy z Eregionu - w sensie alegorycznym: ukochania maszyn i urządzeń technicznych -

zwrócił się przeciwko Sauronowi. Potem podążył do Lprinandu, by naradzić się z Galadriela. Winni wówczas zniszczyć wszystkie Pierścienie Władzy, jednak nie mieli dość siły. Galadriela doradziła mu, aby ukryć Trzy Pierścienie elfów, nie używać ich nigdy i rozproszyć, wywożąc jak najdalej z Eregionu, gdzie Sauron gotów byłby ich szukać. Wówczas to dostała od Kelebrimbora Nenyę, Biały Pierścień, by wzmocnić dzięki niemu i umaić Lorinand. Wszelako Pierścień ten miał na Galadnelę wpływ wielki, trudny do przewidzenia, rozbudził w niej bowiem utajoną tęsknotę za Morzem oraz pragnienie powrotu na Zachód, tak że zbladła jej radość pobytu w Śródziemiu⁵⁶. Kelebrimbor posłuchał rady Galadrieli, by odesłać Pierścień Powietrza i Pierścień Ognia z Eregionu. Powierzył oba Gilgaladowi z Lindonu [Powiada się tutaj, że Gilgalad przekazał zaraz Narnię, Czerwony Pierścień, Kirdanowi, Władcy Przystani, dalej jednak pojawia się na marginesie notatka, że Gilgalad zatrzymał ten Pierścień dla siebie aż do chwili, gdy wyruszał na wojnę Ostatniego Sojuszu].

Gdy Sauron dowiedział się o wywołanym późną skrucą buncie Kelebrimbora, odrzucił przebranie. Pełen gniewu zebrał wielkie siły, z którymi w roku 1695 ruszył przez Kalenardhon (Rohan) na podbój Eriadoru. Gdy wieści o tym dotarły do Gilgalada, ten wysłał oddziały pod wodzą Elronda Półelfa, ten jednak miał długą drogę do przebycia, Sauron zaś skręcił na północ i zaatakował Eregion. Zwiadowcy oraz czołówka wojsk Saurona znajdowali się już blisko, gdy Keleborn przeprowadził atak i odrzucił wroga, ale chociaż zdołał połączyć się z oddziałami Elronda, to jednak nie mogli już wrócić do Eregionu, siły Saurona bowiem były znacznie liczniejsze, dość potężne, by oblegać Eregion, a jednocześnie powstrzymywać odsiecz. W końcu napastnicy wdarli się do Eregionu, niszcząc doszczętnie i przechwytyjąc główny cel ataku Saurona, Siedzibę Mirdain, wraz z mistrzami kowalskimi i skarbami. Zdesperowany Kelebrimbor sam zastąpił Sauronowi drogę na stopniach przed wielkimi drzwiami Mirdain, został jednak obezwładniony i pojmany, a dom splądrowano. Potem Sauron zabrał Dziewięć Pierścieni a także inne, pomniejsze dzieła bractwa, jednak Siedmiu i Trzech nie znalazł. Dopiero wzięwszy Kelebrimbora na męki, usłyszał, gdzie ukryto Siedem. Kelebrimbor wyjawiał ów sekret, nie cenił bowiem Siedmiu ni Dziewięciu tak wysoko jak Trzy. Te pierwsze wykute zostały z pomocą Saurona, Trzy zaś były samodzielnym dziełem Kelebrimbora, który odmiennymi mocami przy ich tworzeniu się posługiwał i inne cele mu przyświecały [Nie zostało tu jasno powiedziane, że Sauron posiadał wówczas Siedem Pierścieni, chociaż zdaje się to jasno wynikać z opowieści. W Dodatku A do *Władcy Pierścieni* widnieje wzmianka, iż

jest szczególna przyjaźń tych elfów z krasnoludami z Morii.

⁵⁶ Galadriela nie mogła zrobić użytku z Nenyi aż do czasu, gdy długo później zniszczono Rządzący Pierścień. Trzeba wszakże zauważyć, że tekst nijak tego nie sugeruje (choć powiada trochę wcześniej o radzie Kelebrimbora, by nigdy nie używać Pierścieni Elfów).

krasgoludy z Plemienia Durina wierzyły, że Durin III, Król Khazadumu, miał otrzymać swój pierścień bezpośrednio od kowali elfów, a nie od Saurona, w tym tekście wszakże nie ma żadnej wzmianki, jakim sposobem Siedem dostało się w ręce krasnoludów]. O Trzech Pierścieniach Sauron nie dowiedział się od Kelebrimbora niczego, tak więc kazał go zgładzić. Domyślił się jednak prawdy i słusznie podejrzewał, że skoro powierzone zostały one straży elfów, to musiały trafić do Galadrieli i Gilgalada.

W dzikim gniewie Sauron rzucił się ponownie w wir bitwy, nacierając na siły Elronda. Na czele swych oddziałów kazał ponieść przeszyte strzałami Orków i nadziane na pal ciała Kelebrimbora. Wprawdzie Elrond zebrał niedobitki elfów z Eregionu, to jednak nie mógł stawić czoło hordom Saurona i zostałby przez nie pobity, gdyby nie atak wyprowadzony na tyły wroga przez oddziały krasnoludów wysłane przez Durina z Khazadumu. Razem z nimi nadciągnęły pod przewodnictwem Amrotha elfy z Lorinandu. Elrond uszedł tym sposobem cało z opresji, został jednak zepchnięty na północ, skutkiem czego założył wówczas [Według Kroniki Królestw Zachodnich w roku 1697] schronienia i warownię w Imladris (Rivendell). Sauron zaniechał pościgu za Elrondem. Zwrócił się natomiast przeciwko krasnoludom oraz elfom z Lorinandu, których oddziały odparł; wszakże nie zdołał pokonać zatrzaśniętych w porę Bram Morii. Zawsze już odtąd darzył Khazadum nienawiścią i przykazywał Orkom nękać krasnoludy przy każdej okazji.

Póki co jednak skupił się na podboju Eriadoru, tymczasowo wstrzymując się z wszelkimi napaściami na Lorinand. Kiedy jednak pustoszył krainę, zabijając lub wypędzając pozostałe jeszcze nieliczne grupki ludzi, jak też polując na ocalałe elfy, wielu umykało mu wszakże i wzmacniało siły Elronda na północy. Ostatecznie za najważniejsze zadanie uznał zdobycie Lindonu, gdzie miał nadzieję przechwycić jeden albo i więcej z Trzech Pierścieni. Tak zatem zwoławszy swe rozproszone siły, pomaszerował na zachód, ku krainie Gilgalada, paląc i łupiąc po drodze. Musiał wszakże zostawić część armii, by powstrzymywała Elronda przed zbrojnymi wycieczkami na tyły jego wojsk.

Numenoryjczycy od wielu już lat wprowadzali swe statki do Szarej Przystani, gdzie byli miłymi gośćmi. Gdy tylko Gilgalad zaczął obawiać się ataku Saurona na Eriador, wysłał słowo do Numenoru. Mieszkańcy wyspy zaczęli gromadzić na wybrzeżu Lindonu wszystko, czego trzeba na wojnę. Potem Król Tar-Minastir wysłał wielką flotę, spóźniła się ona wszakże i nie dotarła do Śródziemia, aż nadszedł rok 1700. Do tego czasu Sauron opanował w pełni Eriador (prócz obleganego Imladris) i dotarł do rzeki Lhun, skąd wezwał posiłki. Te nadciągały z południowego wschodu i były już w Enedwaith u Przepawy w Tharbadzie, słabo zresztą bronionej. Gilgalad i Numenoryjczycy bronili się rozpaczliwie na linii rzeki Lhun, by nie

dopuścić wroga do Szarej Przystani. W ostatniej zaiste chwili nadciągnęła ogromna rzesza zbrojnych Tar-Minastira. Oddziały Saurona zostały pobite, zdziesiątkowane i odparte. Numenoryjski admirał Kiryatur wysłał część statków bardziej na południe.

Po wielkiej rzezi u Brodu Sarn (przeprawa przez Branduinę) Sauron został przepędzony na południowy wschód i chociaż wzmocnił swe siły w Tharbadzie, to jednak zaskoczyła go obecność wojsk numenoryjskich na tyłach. Wysłane przez Kiryatura jednostki wyładowały bowiem spore siły u ujścia rzeki Gwathlo (Szara Woda), „gdzie był niewielki, numenoryjski port” [chodzi o założoną przez Tar-Aldariona przystań Vinyalonde, później zwaną Lond Daer, por. Dodatek D do niniejszej książki]. W Bitwie nad Gwathlo został pobity i sam ledwie uciekł z mocno przerzedzonymi oddziałami, które zostały doszczętnie pokonane na wschód od Kalenardhonu. Z garstką ledwie straży przybocznej umknął następnie w okolice zwane później Dagorlad („Pole Bitwy”), skąd załamany i poniżony wrócił do Mordom, gdzie poprzysiągł zemścić się na Numenorze. Oblegająca Imladris armia znalazła się w kleszczach między siłami Elronda i Gilgalada i uległa zagładzie. Eriador został wyzwolony, kraina była wszakże w znacznym stopniu zniszczona.

W tymże czasie po raz pierwszy zebrała się Rada⁵⁷, która ustaliła, że wschodnia warownia elfów powinna mieścić się raczej w Imladris niż w Eregionie. Wtedy też Gilgalad oddał Vilyę, Błękitny Pierścień, Elrondowi i ustanowił go swoim namiestnikiem w Eriadorze. Sam zatrzymał wszakże Czerwony Pierścień aż do czasu, gdy wyruszyć mu przyszło z Lindonu w dniach Ostatniego Sojuszu. Dopiero wówczas przekazał go Kirdanowi⁵⁸. Na wiele lat pokój zapanował za zachodzie Śródziemia. Mieszkańcy tej krainy mieli zatem dość czasu na leczenie ran. Numenoryjczycy zasmakowali jednak władzy i od tej pory [około roku 1800 według Kroniki Królestw Zachodnich] zaczęli zakładać osiedla na zachodnich wybrzeżach Śródziemia, dość urastając w siłę, by na długi okres powstrzymać parcie Mordoru na zachód. W ostatnim akapicie opowieść wraca do Galadrieli i powiada, że tęsknota za Morzem narosła w jej sercu tak bardzo (choć nie chciała porzucić swej powinności strzeżenia Śródziemia, jak długo Sauron nie zostanie całkowicie pokonany), że aż postanowiła porzucić Lorinand i zamieszkać na wybrzeżu. Powierzyła zatem Lorinand Amrothowi i raz jeszcze przeszła przez Morię, by w poszukiwaniu Keleborna przybyć wraz z Kelebrianą do Imladris. Tam (jak się

⁵⁷ Poprawka tekstu zmienia to na „pierwszą Białą Radę”. W Kronice Królestw Zachodnich ciało zbiorowe określane jako Biała Rada pojawia się w roku 2463 Trzeciej Ery. Możliwe jednak, że Rada z Trzeciej Ery świadomie nawiązała do poprzedniej, przyjmując taką samą nazwę, zwłaszcza że niektórzy członkowie tej drugiej należeli także do pierwszej.

⁵⁸ Wcześniej zostało wspomniane, że Gilgalad dał Naryę, Czerwony Pierścień, Kirdanowi, ledwo sam go otrzymał od Kelebrimbora, co zgadza się z informacją zawartą w Dodatku B do *Władcy Pierścieni* i *Pierścieniach Władzy*, że Kirdan miał pierścień od samego początku. Odmienna, pomieszczona tutaj wersja została nakreślona na

zdaje) znalazła męża i osiedliła się wraz z nim w Imladris. Dopiero wówczas Keleborn po raz pierwszy ujrzał Kelebrianę i pokochał ją, chociaż nie zdradzał swego uczucia. Właśnie podczas pobytu Galadrieli w Imladris odbyło się zebranie Rady i zapadła wspomniana już decyzja. Wszelako jakiś czas później [data nieznana] Galadriela i Keleborn opuścili Imladris razem z Kelebrianą. Osiedli na rzadko zamieszkałych ziemiach pomiędzy ujściami Gwathlo a Ethir Anduin, a konkretnie w Belfalas, w miejscu zwanym później Dol Amroth. Odwiedzał ich tam czasem syn, Amroth, a Nandorskie Elfy z Lorinandu powiększały grono domowników. Dopiero wiele lat później, w Trzeciej Erze, gdy Amroth zginął i Lorinand znalazł się w niebezpieczeństwie, Galadriela wróciła do dawnej siedziby, a stało się to w roku 1981. Tak kończy się tekst „O Galadrieli i Kelebornie”.

Można zauważyć, że brak we *Władcy Pierścieni* jakichkolwiek wskazówek, co do innych kolei losu Galadrieli i Keleborna, przywiódł komentatorów do zrozumięcia całkiem wniosku, iż oboje spędzili połowę Drugiej Ery i całą Trzecią Erę w Lothlorien. Nie tak wszakże było, chociaż ich historia zarysowana w tekście „O Galadrieli i Kelebornie” została mocno zmieniona w późniejszym okresie, o czym każdy się zaraz przekona.

Amroth i Nimrodel

Wspomniałem wcześniej, że gdyby zamiysł uczynienia Amrotha synem Galadrieli i Keleborna istniał już w czasie powstawania *Władcy Pierścieni*, nie pominięto by tak istotnego szczegółu. Jakkolwiek wszakże było, to wspomniana koncepcja musiała zostać później odrzucona. Jako następną zamieszczam powiastkę (napisaną w roku 1969 lub później) zatytułowaną: „Fragment streszczonej pokrótce legendy o Amrocie i Nimrodel”.

Po tym, jak Amdir zginął w Bitwie na Równinie Dagorlad [w 3434 roku Drugiej Ery], Królem Lorien został syn jego, Amroth. Pokonanie Saurona przyniosło krainie wiele lat pokoju. Będąc wprawdzie potomkiem Sindarinów, Amroth żył zgodnie ze zwyczajami Elfów Leśnych i mieszkał w koronach wielkich drzew rosnących pomiędzy wyniosłymi, zielonymi wzgórzami, w okolicy nazwanej później Kerin Amroth. Czynił to z miłości do Nimrodel, którą kochał przez całe lata i nie poszukał sobie innej żony, gdy Nimrodel go odrzuciła. Ona wprawdzie również darzyła go wielką sympatią, był bowiem piękny, nawet jak na Eldara, dzielny ponadto i mądry, wszakże Nimrodel pochodziła z Elfów Leśnych i niechętnie patrzyła na przybycie Elfów z Zachodu, przynieśli oni bowiem ze sobą (jak powiadała) wojny i zniszczyli tym panujący z dawna pokój. Godziła się używać tylko języka Elfów Leśnych, nawet w czasie, gdy wyszedł on już z życia między mieszkańcami Lorien;⁵⁹ mieszkała też samotnie nad wodospadami Nimrodel, której to rzece użyczyła swego imienia. Kiedy jednak krasnoludy opuściły Khazadum, a na ich miejsce nadciągnęli Orkowie, hańbą okrywając Morię, Nimrodel samotnie uciekła przerażona na południowe pustkowia [w roku 1981 Trzeciej Ery]. Amroth ruszył w trop, znajdując ją w końcu na skraju Fangornu, którego granice w owych dniach znajdowały się znacznie bliżej Lorien⁶⁰. Nimrodel nie odważyła się wejść do lasu, drzewa bowiem, jak mówiła, groziły jej, a niektóre nawet zastępowały drogę. Amroth i Nimrodel rozmawiali tam długo, aż w końcu wyznali sobie wszystko i złożyli pewne obietnice.

- Pozostanę wierna przyrzeczeniu - powiedziała Nimrodel - i pobierzemy się, kiedy zawiedziesz mnie do kraju, gdzie panuje pokój.

Amroth przysiągł, że opuści dla niej swój lud (choć chwila była po temu zupełnie nieestosowna) i poszuka takiego zakątka.

- Jednak w Śródziemiu nie ma spokojnego miejsca - stwierdził - i nigdy już nie będzie, a to za sprawą elfów. Musimy poszukać drogi przez Wielkie Morze na pradawny Zachód.

Potem opowiedział jej o przystani na południu, gdzie wielu jego pobratymców osiedliło się dużo wcześniej.

⁵⁹ Por. Dodatek A do niniejszej książki.

- Są już nieliczni, jako że większość pożeglowała na Zachód, jednak ci, co zostali, wciąż budują statki i oferują przewóz wszystkim elfom ściągającym do nich, zmęczonych Śródziemniem. Powiada się, że Valarowie w swej łaskawości pozwalają teraz przebyć Morze także i tym, którzy wzięli udział w Wielkiej Wędrówce, nawet jeśli przed wiekami nie przybili do wybrzeży Błogosławionego Kraju i nigdy go nie widzieli.

Nie ma co rozwodzić się tutaj nad przebiegiem ich wędrówki do Gondoru. Działo się to w dniach Króla Earnila II, przedostatniego Króla Południowego Królestwa i zamęt panował na jego ziemiach [Earnil II rządził Gondorem w latach 1945-2043]. Gdzie indziej opowiedziane zostało [choć te zapiski się nie zachowały], że Amroth i Nimrodel zostali rozdzieleni. Potem Amroth, długo i na próżno szukając ukochanej, zawędrował w końcu do przystani elfów, gdzie pozostała ich już ledwie garstka, mniej niż mieściło się na pokładzie statku, przy czym mieli tylko jedną pełnomorską jednostkę do dyspozycji. Tak i przygotowywali się do odpłynięcia na zawsze ze Śródziemniem. Ciepło przyjęli Amrotha, uradowani, że wzmocni on skromną załogę, nie chcieli jednak czekać na Nimrodel, nie wierząc w jej przybycie.

- Gdyby wędrowała ku nam przez zamieszkałą część Gondoru - powiedzieli - nikt by jej nie napastował i mogłaby liczyć na pomoc, ludzie z Gondoru bowiem to dobre istoty, rządzą nimi potomkowie dawnych przyjaciół elfów, wciąż władający na swój sposób naszą mową. Góry jednak pełne są wrogich ludzi i złych stworów. Zbliżała się jesień, a wraz z nią silne wichury, niebezpieczne nawet dla statków elfów, przynajmniej jak długo żeglowały jeszcze blisko Śródziemniem. Rozpacz Amrotha była wszakże tak wielka, że mimo wszystko odłożyli jeszcze wyprawę na wiele tygodni. Mieszkali w tym czasie na statku, ich domy bowiem na wybrzeżu stały już puste i ogołocone z wszelkich dóbr. Pewnej jesiennej nocy nadeszła wielka burza, jedna z najgwałtowniejszych, o jakiej wspomniano w annałach Gondoru. Nadciągnęła z zimnego Pustkowia Północnego i z wielkim hukiem przetoczyła się przez Eriador, docierając do Gondoru, gdzie uczyniła wiele spustoszeń. Białe Góry nijak nie chroniły przed wietrzną nawałnicą i wiele statków zepchniętych zostało do Zatoki Belfalas, gdzie potonęły. Lekką jednostkę elfów wiatr zerwał z cum, po czym poniósł przez rozszalałe żywioły ku wybrzeżom Umbaru. Nigdy więcej nie słyszano już o niej w Śródziemniem, jednak statki budowane przez elfy na ostatnią podróż nie tonęły, więc także ten musiał widać opuścić Kręgi Świata i dopłynąć w końcu do Eressei. Amroth jednak tam nie dotarł. Kiedy sztorm spadł na wybrzeża Gondoru, świt właśnie przedzierał się przez powłoki gnanych wiatrem chmur. Po przebudzeniu Amroth dostrzegł, że statek oddalił się już znacznie od lądu. Krzyknął wówczas w rozpacz: „Nimrodel!” i rzuciwszy się do wody, popłynął ku ledwie widocznej linii brzegu. Obdarzeni

⁶⁰ Por. Dodatek C (j. w.).

byстрыm wzrokiem elfów marynarze długo śledzili jego walkę z falami, aż wschodzące słońce przebiło się przez chmury i jasne włosy Amrotha załśniły w dali niczym złota iskra. Od tamtej pory nikt, ani elf, ani człowiek, nie ujrzał go już w Śródziemiu. Nie wiadomo też, co właściwie spotkało Nimrodel, chociaż powstało wiele legend dotyczących jej losu.

Tekst powyższy powstał w zasadzie na marginesie dysputy etymologicznej poświęconej nazwom niektórych rzek Śródziemia. W tym przypadku chodziło o Gilrain, rzekę płynącą przez Lebennin w Gondorze, wpadającą do Zatoki Belfalas na zachód od Ethir Anduin. Jeszcze jeden aspekt legendy o Nimrodel wyłania się zaś z roztrząsania znaczenia cząstki *rain*. Wywodzi się ona prawdopodobnie z rdzenia *ran* „wędrować, błąkać się, iść niepewnym szlakiem” (*jak* w wyrazie *Mithrandir* czy *Rana*, słowie będącym nazwą Księżyca).

Nazwa ta nie wydaje się pasować do żadnej z rzek Gondoru, jednak pewne miana rzek mogą dotyczyć tylko części ich biegu (źródeł, dolnego biegu) lub nawiązywać do cech, które szczególnie rzuciły się w oczy ich odkrywcom. W tym wszakże wypadku ów fragment legendy o Amrocie i Nimrodel zawiera równocześnie wyjaśnienie. Podobnie jak inne rzeki w tej okolicy, Gilrain spływała wartkim nurtem z gór, docierając do krańca Ered Nimrais, miejsca oddzielającego ją od Kelos [por. mapa dołączona do trzeciego tomu *Władcy Pierścieni*, tam też wpływała w płytką i rozległą dolinę. U jej południowego skraju tworzyła niewielkie rozlewisko, po czym przedzierała się przez pasmo wzgórz i ponownie byстрыm strumieniem wpadała do Serni. Gdy Nimrodel uciekła z Lorien, podobno zgubiła się w Białych Górach, gdzie szukała drogi do Morza, aż w końcu doszła (*jakim* szlakiem czy przełęczą, tego nie wiadomo) do rzeki, która przypominała jej strumień płynący przez Lorien. Podniosło to dziewczynę na duchu. Przysiadła na brzegu rozlewiska, patrząc w odbijające się w wodzie gwiazdy i słuchając grzmotu wodospadów w dolnym biegu rzeki. Potem zasnęła mocno ze zmęczenia. Spała tak długo, że do Belfalas dotarła dopiero po zniesieniu statku Amrotha na morze i po zaginięciu ukochanego pośród fal, gdy próbował wracać wpław na ląd. Ta legenda była szeroko znana w Dor-en-Ernil (Ziemi Księcia)⁶¹ i niewątpliwie nazwę tę nadano za sprawą owej historii.

W dalszym ciągu rozprawa wyjaśnia pokrótce relację pomiędzy Amrothem, jako Królem Lorien, a panującymi tam Kelebornem i Galadriela:

Mieszkańcy Lorien byli już wówczas [tj. w czasie, gdy zaginał Amroth] tacy sami, jak pod koniec Trzeciej Ery. Pochodzili z Elfów Leśnych, ale rządzili nimi książęta z Sindarinów

⁶¹ Pochodzenie nazwy Dor-en-Ernil nie zostało nigdzie wyjaśnione. Poza tym pojawia się tylko na wielkiej mapie Rohanu, Gondoru i Mordoru we *Władcy Pierścieni*. Określa tam miejsce położone po przeciwnej niż Doi Amroth stronie gór, jednak obecny kontekst sugeruje, iż *Emil* to książę Dol Amrothu (czego i tak można było się domyślać).

(tak jak w królestwie Thranduila w północnej części Mrocznej Puszczy, chociaż nie wiadomo, czy Thranduil i Amroth byli spokrewnieni)⁶². Znajdowało się wśród nich wielu Noldorów (używających języka sindarińskiego), którzy przybyli przez Morię po zniszczeniu Eregionu przez Saurona w roku 1697 Drugiej Ery. Wówczas to Elrond ruszył na zachód [sic! zapewne znaczy to po prostu, że nie przeszedł przez Góry Mgliste] i założył schronienie w Imladris. Keleborn jednak udał się najpierw do Lorien i umocnił krainę na wypadek, gdyby Sauron próbował przeprowadzić się przez Anduinę. Kiedy jednak Sauron wycofał się do Mordoru i skupił uwagę (jak podają) na podboju Wschodu, Keleborn dołączył do Galadrieli w Lindonie. Nadeszły potem dla Lorien długie lata pokoju i izolacji, które trwały pod rządami króla Amdira aż do Upadku Numenoru i raptownego powrotu Saurona do Śródziemia. Amdir odpowiedział na wezwanie Gilgalada i wraz z największym oddziałem, jaki tylko zdołał zebrać, przyłączył się do Ostatniego Sojuszu, zginął jednak w Bitwie na Równinie Dagorlad, a wraz z nim większość jego towarzyszy. Potem królem został syn jego, Amroth.

Fragment ten odbiega znacznie od relacji pomieszczonej w tekście „O Galadrieli i Kelebornie”. Amroth nie jest tu ich synem, tylko Amdira, księcia wywodzącego się z Sindarinów. Wydaje się, że dawniejsza sieć powiązań Galadrieli i Keleborna z Eregionem i Lorien uległa daleko idącym modyfikacjom, nie da się jednak powiedzieć, ile by z niej pozostało w ukończonym tekście. Związki Keleborna z Lorien zostały teraz przedstawione jako znacznie wcześniejsze (według tekstu bowiem „O Galadrieli i Kelebornie”, nie zbłądził do Lorien przez całą Drugą Erę). Dowiadujemy się też nagle, że wielu Noldorów przeszło przez Morię do Lorien po zniszczeniu Eregionu. W uprzedniej relacji nie ma żadnej wzmianki na ten temat, a migracja „beleriandzkich” elfów do Lorien następuje w okresie pokoju przed wojną. Przytoczony powyżej fragment implikuje przypuszczenie, że właśnie Keleborn po Upadku Eregionu prowadził uchodźców do Lorien, podczas gdy Galadriela dołączyła do Gilgalada w Lindonie. W innym rękopisie wyłożone to zostało *explicite*, że oboje w tym samym czasie „przeszli przez Morię, a za nimi podążyło wielu uchodźczych Noldorów i zamieszkali na długie lata w Lorien”. W późniejszych pismach brak zarówno potwierdzenia, jak i zaprzeczenia, by Galadriela (lub Keleborn) byli w jakiś sposób związani z Lorien przed rokiem 1697. Nigdzie też, poza tekstem „O Galadrieli i Kelebornie” nie ma żadnej wzmianki o buncie Kelebrimbora (gdzieś pomiędzy rokiem 1350 a 1400) przeciwko ich władztwu nad Eregionem ani też o przeniesieniu się w owym czasie Galadrieli do Lorien i objęciu rządów tamże. Nie wspomniano również o pozostaniu Keleborna w regionie. Późniejsze zapiski nie precyzują, gdzie Galadriela i Keleborn spędzili okres Drugiej Ery po pokonaniu Saurona w Eriadorze, w każdym razie nie

⁶² Por. Dodatek B do niniejszej książki.

mówi się już więcej o ich pobycie w Belfalas, trwającym całą erę. A oto ciąg dalszy rozprawy o Amrocie:

Jednak w miarę, jak upływała Trzecia Era, Galadriela zaczęły nawiedzać złe przeczucia i razem z Kelebornem wybrała się do Lorien, gdzie zostali na dłużej z Amrothem, szczególnie pilnie łowiąc wszystkie wieści i plotki o Cieniu narastającym w Mrocznej Puszczy i ponurej warowni Dol Guldur. Wszakże ich lud zadowolony był z rządów Amrotha, okazał się bowiem władcą dzielnym i mądrym. Dobrze się wszystkim wiodło w jego małym, ale pięknym królestwie. Tak zatem po odbyciu długich podróży wywiadowczych po Rhovanionie, od Gondoru i granic Mordoru po ziemię Thranduila na północy, Keleborn wraz z Galadriela przeszli przez góry do Imladris i osiedli się tam na wiele lat, Elrond bowiem należał do ich rodziny, jako że na początku Trzeciej Ery [wedle Kroniki Królestw Zachodnich w roku 1909] poślubił Kelebriane. Po klęsce w Morii [w roku 1980] i żałobie w Lorien, która to kraina została bez władcy (Amroth bowiem utonął w morzu w Zatoce Belfalas i nie zostawił następcy), Keleborn i Galadriela wrócili do Lorien, gdzie zostali z chęcią przyjęci. Panowali tam aż do kresu Trzeciej Ery, ale nie przyjęli tytułów Króla czy Królowej, mówiąc, że są tylko strażnikami tego małego, ale pięknego królestwa, najdalej na wschód wysuniętej placówki elfów. Gdzie indziej napotykamy jeszcze jedną wzmiankę o ich podróżach w tamtych latach:

Do Lorien Keleborn i Galadriela wracali dwakroć, nim skończyła się Druga Era i zawiązał Ostatni Sojusz, w Trzeciej Erze zaś, kiedy znów urósł Cień Saurona, mieszkali tam przez długi czas. W swej mądrości Galadriela dojrzała strategiczne znaczenie Lorien jako warowni powstrzymującej Cień przed przekroczeniem Anduiny podczas nieuniknionej wojny, która poprzedzi zniszczenie Saurona (o ile uda się go pokonać). Aby jednak ten plan urzeczywistnić, trzeba było owej krainie władcy silniejszego i mądrzejszego, niż ci wywodzący się z Leśnych Elfów. Tak czy inaczej, dopiero po klęsce w Morii, kiedy to siły Saurona przekroczyły Anduinę (czego Galadriela żadnym sposobem nie mogła przewidzieć) i zagroziły Lorien w czasie bezkrólewia, Galadriela i Keleborn osiedli tam na stałe, przejmując rządy nad ludem gotowym już uciekać, kraj zostawiając na pastwę Orków. Nie przyjęli jednak tytułów Króla ni Królowej, tylko w roli strażników przeprowadzili Lorien nie tknięte przez Wojnę o Pierścień.

W innej rozprawie etymologicznej z tego samego okresu znajdujemy wyjaśnienie, iż imię Amroth było przezwiskiem wywiedzionym z tego, iż król miał zwyczaj przemieszkować na wysoko pomieszczonych platformach nadrzewnych, zwanych *talon* lub *flet*, które Galadhrimowie budowali w Lothlorien (por. *Wyprawa*, księga druga, rozdział „Lothlorien”);

słowo to znaczyło „wspinającego się wysoko”⁶³. Wspomina się tutaj, że zwyczaju mieszkania w koronach drzew nie miały wszystkie Elfy Leśne, jednak przyjął się w Lorien jako przydatny w warunkach tej krainy, płaskiej i pozbawionej kamieni, prócz tych skał, które można było dobywać w górach na zachodzie i spławiać Srebrną Żyłą, co wszakże nie należało do łatwych zadań. Główne bogactwo stanowiły tu drzewa, pozostałości wielkiej puszczy z Dawnych Dni. Jednak nawet w Lorien nie każdy mieszkał wśród konarów, *telain* i *flety* zaś były z początku jedynie schronieniami przygotowanymi na wypadek ataku oraz punktami obserwacyjnymi (szczególnie te na wyższych drzewach), z których bystre oczy elfów przepatrywać mogły cały kraj oraz jego granice. Pod koniec bowiem pierwszego tysiąclecia Trzeciej Ery rozpoczął się dla Lorien czas czujności i bez wątpienia od chwili wzniesienia w Mrocznej Puszczy twierdzy Dol Guldur narastać musiał niepokój Amrotha.

Na takim właśnie punkcie obserwacyjnym *flet* wykorzystywanym przez strażników północnego pogranicza, spędził noc Frodo. Domostwo Keleborna w Karas Galadhon miało takie samo pochodzenie. Jego najwyższa *flet*, której Drużyna Pierścienia nie widziała, stanowiła też punkt górujący nad całą krainą. Wcześniej najwyżej położonym był *flet* Amrotha, pomieszczony na szczycie usypanego wysiłkiem wielu rąk, okazałego kopca czy wzgórza Kerin Amroth. Platformę tę wykonano głównie z myślą o możliwości obserwacji Dol Gulduru po drugiej stronie Anduiny. Dopiero później przebudowano owe *telain* na stałe siedziby i jedynie w Karas Galadhon występowały w większej liczbie. Jednak Karas Galadhon było fortecą, więc tylko nieliczni Galadhrimowie mieszkali w jej murach. Z początku przebywanie w nadrzewnych domostwach niewątpliwie uważano za coś niezwykłego. Zapewne też Amroth był pierwszym, który się na to poważył. I tak właśnie, sugerując się jego zwyczajem przemieszczania w koronie drzewa, urobiono mu zapewne imię. Jako jedyne przetrwało później w legendzie.

Stwierdzenie „zapewne Amroth był pierwszym, który się na to poważył” opatrzone jest przypisem:

Jeśli nie brać pod uwagę Nimrodel, wszakże inne motywy kierowały jej postępowaniem. Kochała wody i fale Nimrodel, od której to rzeki nie chciała nigdy na długo się oddalać. Przyszły wszakże gorsze czasy, a strumień płynął zbyt blisko północnej granicy i niewielu Galadhrimów mieszkalo już nad nim. Może to właśnie Nimrodel natchnęła Amrotha

⁶³ Można przypuszczać, że pierwszym składnikiem imienia *Amroth* jest słowo z języka elfów identyczne z quenejskim *amba*, „w górę”, spotykane równie w sindarińskim jako *amon*, co oznacza wzgórze lub górę o stromych zboczach. Drugą częścią jest przetworzona forma tematu *rath-*, „wspinać się” (stąd też pochodzi rzeczownik *rath*, który w Gondorze, gdzie dla nadawania imion i nazw posługiwano się numenoryjskim sindarinem, pojawiał się w mianach dłuższych dróg i ulic Minas Tirith. Prawie wszystkie te uliczki biegły po

ideą zamieszkania w wysoko wzniesionej *flet*⁶⁴.

Wracając do przytoczonej powyżej legendy o Amrocie i Nimrodel, nasuwa się pytanie: cóż to była za „przystań na południu”, w której Amroth oczekiwał Nimrodel i gdzie (jak jej powiedział) „wielu jego pobratymców osiedliło się dużo wcześniej”? Odpowiedź sugerują dwa fragmenty zawarte we *Władcy Pierścieni*. Jeden, to stwierdzenie Legolasa, który po odśpiewaniu pieśni o Amrocie i Nimrodel (*Wyprawa*, str. 460) wspomina o Zatoce Belfalas, „skąd statki elfów odbiły od lądu”. Drugi zaś dotyczy chwili, kiedy to Legolas spogląda na Księcia Imrahila z Dol Amrothu, poznaje „człowieka, w którego żyłach płynęła krew elfów” i rzecze mu: „Dawno już potomkowie Nimrodel opuścili lasy Lorien, a jednak nie wszyscy, jak widać, pożeglowali z przystani Amroth na zachód, za wielką wodę”. Księżę Imrahil zaś odpowiada: „Tak mówią stare legendy mojej ojczyzny” (*Powrót Króla*, str. 187).

Późniejsze, oderwane zapiski starają się nieco sprawę wyjaśnić. W rozprawie poświęconej zagadnieniom lingwistyki i stosunków politycznych w Śródziemiu (powstałej w roku 1969 lub później) znajdujemy drobną wzmiankę, że w dniach wczesnego osadnictwa w Numenorze, wybrzeża Zatoki Belfalas były w większości wciąż nie zamieszkane „z wyjątkiem przystani i niewielkiej osady elfów na południe od zbiegu Morthondu i Ringlo” (tj. zaraz na północ od Dol Amrothu).

Wedle tradycji Dol Amrothu została ona założona przez żeglujących po morzu Sindarów z zachodnich przystani Beleriandu, którzy trzema małymi statkami uciekli przed potęgą Morgotha, gdy ten pokonał Eldarów i Atanich; później jednak rozbudowały ją Leśne Elfy, a te dotarły do morza wędrując wzdłuż Anduiny.

Elfy Leśne (jak zostało tu zaznaczone) „nigdy nie uwolniły się całkowicie od niepokoju i tęsknoty za Morzem, która od czasu do czasu kazała niektórym spośród nich opuszczać domostwa”. Odnosząc wzmiankę o „trzech małych statkach” do opowieści przytoczonych w *Silmarillionie*, można przypuścić, że na pokładach znajdowali się uciekinierzy z Brithombaru lub Eglarestu (przystani w Falas na zachodnim wybrzeżu Beleriandu), którzy opuścili te miejsca po ich zniszczeniu w rok po Nirnaeth Arnoediad (*Silmarillion*, str. 238). Wszakże znaczy to, że podczas, gdy Kirdan i Gilgalad schronili się na Wyspie Balar, flotylla tych trzech statków popłynęła wzdłuż brzegów o wiele dalej na południe, docierając aż do Belfalas.

Jednak inna, nie dokończona notka dotycząca pochodzenia nazwy Belfalas, sugeruje inny zupełnie przebieg wydarzeń i przesuwając założenie przystani przez elfy na znacznie późniejsze

pochyłości, jak *Rath Dinen* - Ulica Milczenia, wiodąca z twierdzy do Grobowców Królów).

⁶⁴ We „Fragmentcie streszczonej pokrótce legendy o Amrocie i Nimrodel” czytamy, że Amroth mieszkał na drzewach w Kerin Amroth „z miłości do Nimrodel”.

czasy. Powiada się tam, że wprowadzie przedrostek *Bel-* na pewno wywodzi się z nazewnictwa prenumenoryjskiego, to pierwotne pochodzenie jego jest w gruncie rzeczy sindarińskie. Notka urywa się, nie dochodząc do dalszych wyjaśnień w kwestii prefiksu *Bel-*, wszakże podaje, iż powodem uznania źródłosłowu za sindariński jest fakt, że „istniała w Gondorze osada Eldarów, niewielka wprowadzie, ale już samo w sobie było to coś niezwyklego i nader istotnego”. Po zniszczeniu Thangorodrimu Elfy z Beleriandu popłynęły za Morze albo zostały w Lindonie, lubo też poszły przez Góry Błękitne na wschód do Eriadoru; wydaje się wszakże, że istniała jeszcze i taka grupa Sindarów, która na początku Drugiej Ery skierowała się na południe. Byli to nieliczni ocaleni z Doriathu, wciąż zapamiętali w niechęci do Noldorów. Przez czas jakiś popasali w Szarej Przystani. Tam nauczyli się skutnictwa. Potem „z biegiem lat zaczęli szukać miejsca, gdzie mogliby wieść własne życie, w końcu osiedlając się u ujścia Morthondu. Rybacy, którzy uciekli ze strachu przed Eldarami, zostawili tam prymitywną przystań⁶⁵”.

Notatka powstała w grudniu 1972 roku lub później, jak i część ostatnich zapisków, które ojciec poświęcił Śródziemiu. Skupiają one uwagę na kwestii wpływu posiadania elfich przodków na kondycję człowieka. Objawiało się to brakiem zarostu u takich ludzi (co wyróżniało wszystkie elfy). W odniesieniu zaś do rodu książęcego z Dol Amrothu powiada się, że „wedle legend, ród ten dziedziczył szczególnie wiele elfich przymiotów” (co jest nawiązaniem do cytowanego już fragmentu opisującego spotkanie Legolasa i Imrahila w *Powrocie Króla*).

Jak sugerują słowa Legolasa opowiadającego o Nimrodel, istniał z dawna w pobliżu Dol Amrothu port elfów i niewielka osada założone przez Leśne Elfy z Lorien. Wedle legendy przekazywanej w rodzie książęcym, jeden z praojców dających początek tej linii miał ożenić się z półelfką. Według jednej wersji była to sama Nimrodel (wysoco nieprawdopodobne), w innej jakaś towarzyszka Nimrodel, która zagubiła się w wysoko położonych dolinach. W to łatwiej już uwierzyć.

Ten drugi wariant legendy pojawia się w bardziej szczegółowej formie w notatce dołączonej do nie opublikowanej genealogii dynastii Dol Amrothu, zaczynającej się od Angelimara, dwudziestego księcia, ojca Adrahila, ojca Imrahila, księcia Dol Amrothu podczas Wojny o Pierścień.

Wedle tradycji rodu Angelimar był w prostej linii dwudziestym potomkiem Galadora,

⁶⁵ Miejsce zatoki elfów w Belfalas oznaczone zostało na ozdobnej mapie Śródziemia (sporządzonej przez Pauline Baynes) jako *Edhellond* („Przystań Elfów”, por. Dodatek do *Silmarilliona*, hasła *edhel* i *land*), nigdzie indziej jednak tej nazwy nie znalazłem. Por. Dodatek D do niniejszej książki. Por. także *Przygody Toma Bombadila* (1962, str. 8): „W Langstrandzie i Dol Amroth istniało wiele przekazów o pradawnych siedzibach elfów i o przystani u ujścia Morthondu, skąd statki na zachód odpływały jeszcze w dniach upadku Eregionu w Drugiej

pierwszego władcy Dol Amrothu (w latach około 2004-2129 Trzeciej Ery). Wedle tego samego przekazu Galador był synem Imrazora Numenoryjczyka, który mieszkał w Belfalas, i kobiety elfów Mithrellas. Należała ona do kompanii Nimrodel i razem z wieloma innymi elfami uciekła na wybrzeże około roku 1980 Trzeciej Ery, kiedy zło ujawniło się w Morii. Nimrodel wraz ze swą siostrą zabłądziła między lesistymi wzgórzami. Wszelako ta opowieść podaje, że Imrazor przygarnął Mithrellas i wziął ją za żonę. Kiedy jednak urodziła mu ona syna, Galadora, i córkę, Gilmith, wymknęła się pewnej nocy z domu i nikt jej więcej nie widział. Chociaż Mithrellas pochodziła z pomniejszego plemienia Elfów Leśnych (a nie z Elfów Wysokiego Rodu czy Elfów Szarych), to jednak zawsze utrzymywano, że przedstawiciele rodu władców Dol Amrothu godni byli miana szlachetnych, tak poprzez więzy krwi, jak i dzięki urodzie i zaletom umysłów.

Elessar

Nie opublikowane prace ojca nie zawierają już prawie żadnych więcej informacji o Kelebornie i Galadrieli. Jedyny w zasadzie wyjątek stanowi czterostronicowy rękopis zatytułowany „Elessar”. Jest to wyraźnie dopiero szkic, wszakże czynione ołówkiem poprawki są bardzo nieliczne, nie ma też innych wersji. Oto tenże tekst, poddany tylko niewielkiej obróbce redakcyjnej:

Był w Gondolinie pewien złotnik zwany Enerdhil, największy spośród rzemieślników Noldorów po śmierci Feanora. Enerdhil ukochał wszelką żywą zieleń, a największą radość sprawiał mu widok słońca przeświecającego przez listowie drzew. W przypływie natchnienia postanowił stworzyć klejnot pełen uwięzionego blasku słońca, zielony wszakże jak liście. I zrobił, co zamierzył. Nawet Noldorowie nie mogli wyjść z podziwu. Powiada się bowiem, że ci, którzy spojrzeli w kamień, dostrzegali rzeczy zniszczone lub spalone znowu całymi lub zupełnie nowymi. Dłonie trzymające klejnot nabywały mocy uzdrawiania dotykiem zranień. Enerdhil podarował kamień Idril, córce królewskiej, ona zaś nosiła go na piersi, w ten sposób ocalała z pożogi Gondolinu. Zanim wszakże Idril pożeglowała w podróż, powiedziała Earendilowi, swemu synowi:

- Zostawiam ci Elessara, wiele bowiem jest w Śródziemiu serc bolejących. Może je ulecysz. Nie wolno ci jednak przekazać daru nikomu innemu.

Rzeczywiście, wielu było w Przystani Sirionu cierpiących, a wśród nich ludzie, elfy i zwierzęta, które uciekły od grozy wydarzeń na Północy. Jak długo Earendil mieszkał między nimi, zdrowie i pomyślność panowały w krainie, a wszystka zieleń soczysta była i jasna. Kiedy jednak Earendil zaczął wypuszczać się w długie podróże po morzu, zawsze nosił Elessara na piersi, w każdej bowiem wyprawie przyświecała mu jedna nadzieja: że może odnajdzie jeszcze Idril. Pierwszą rzeczą zapamiętaną z dzieciństwa w Śródziemiu, kiedy matka śpiewała nad jego kołyską w czasach świetności Gondolinu, był właśnie zielony kamień na jej piersi. I stało się tak, że Elessar też powędrował, gdy Earendil nie wrócił więcej do Śródziemia. Całe wieki później pojawił się jeszcze jeden Elessar i różnie się o tym mówi, a prawdę mogliby rzec jedynie dawno nieżyjący już Mędrcy. Niektórzy bowiem twierdzą, że ów drugi klejnot to w istocie ten pierwszy. Powiadają, iż wrócił do Śródziemia dzięki łasce Valarów - Olorin (znany w Śródziemiu jako Mithrandir) przywiózł go ze sobą z Zachodu. Pewnego dnia Olorin odwiedził Galadrielę, która mieszkała wówczas pod drzewami Wielkiego Zielonego Lasu i długo ze sobą rozmawiali. Pani Noldorów ciążyć już bowiem zaczynały długie lata wygnania i stęskniła się za wieściami o swych pobratymcach żyjących w błogosławionej krainie jej

narodzin, jednak nie chciała porzucić Śródziemia [to zdanie zostało poprawione, pierwotnie brzmiało: jednak nie było jej wolno porzucić Śródziemia]. Kiedy Olorin przekazał już Galadrieli wszelkie nowinki, westchnęła i powiedziała:

- Boleść ogarnia mnie w tej krainie, bo liście tu opadają a kwiaty więdną. Serce me tęskni za stronami, gdzie drzewa i trawa są wiecznie zielone. Chciałabym widzieć takie właśnie rośliny za progiem mego domu.

- Czy przyjmiesz zatem Elessara? - spytał Olorin.

- Gdzież jest teraz klejnot Earendila? - spytała Galadriela. - Nie ma już Enerdhila, twórcy kamienia.

- Kto wie? - odparł Olorin.

- Niewątpliwie wraz z innymi odszedł za morze, jak niemal wszystko, co piękne - westchnęła Galadriela. - Czy musi zatem Śródziemie zwiędnąć i zniknąć na zawsze?

- Taki los - stwierdził Olorin. - Jednak na krótki czas można by to jeszcze zmienić, gdyby Elessar wrócił do Śródziemia. Nie na długo, tylko do nadejścia Czasu Ludzi.

- Gdyby... Ale jak tego dokonać? - spytała Galadriela. - Bez wątpienia Valarowie odsunęli się od nas i nie myślą już o Śródziemiu, które coraz głębszy Cień spowija.

- To nie tak - powiedział Olorin. - Wciąż widzą wszystko dobrze i serca im nie skamieniały. Spójrz tylko, a przekonasz się, że mówię prawdę!

I pokazał jej Elessara, a ona spojrzała z podziwem na klejnot.

- Przynoszę ci go od Yavanny. Wykorzystaj go, jak potrafisz, a na pewien czas twa kraina stanie się najpiękniejszym zakątkiem Śródziemia. Nie dostajesz jednak tego kamienia na własność. We właściwej chwili przekazesz go dalej. Zanim bowiem ogarnie cię znużenie i porzucisz Śródziemie, pojawi się ktoś, komu klejnot będzie pisany i kto otrzyma miano właśnie od tego kamienia: zwać go będą Elessarem⁶⁶.

Inna opowieść tak przedstawia sprawę:

Dawno, dawno temu, zanim jeszcze Sauron omamił kowali z Eregionu, przybyła tam pewnego dnia Galadriela i powiedziała Kelebrimborowi, najważniejszemu spośród kowali:

- Boleść ogarnia mnie w Śródziemiu, gdzie liście opadają i więdną me ukochane kwiaty, aż żal wypełnia mą krainę i żadna wiosna go nie koi.

- A jakże inaczej czuć się mogą Eldarowie, skoro trwają uparcie w Śródziemiu? - odparł Kelebrimbor. - Czy zamierzasz zatem odpłynąć za Morze?

⁶⁶ Zgadza się to z fragmentem w *Wyprawie* (str. 506), kiedy to Galadriela daje Aragornowi zielony kamień i mówi: „Przyjmij w tej godzinie imię, które zostało ci wywołane: Elessar, Kamień Elfów z rodu Elendila!”

- Nie. Angrod odszedł, Aegnor odszedł, nie ma już Felagunda. Ja jedna zostałam z dzieci Finarfina⁶⁷, ale duma jeszcze we mnie nie wygasła. Cóż takiego uczynił złotowłosy ród Finarfina, bym miała błagać Valarów o wybaczenie czy też zadowolić się wyspą na morzu, skoro mą ojczyzną jest Błogosławiony Aman? Tutaj jestem potężniejsza.

- Czego zatem pragniesz? - spytał Kelebrimbor.

- Chciałabym, aby drzewa i trawa wkoło mnie nie umierały, by nie wiedły w tej krainie, którą władam. Co stało się z dawną sztuką Eldarów?

- A gdzie jest teraz kamień Earendila? - spytał Kelebrimbor. - Gdzież jest Enerdhil, który go stworzył?

- Odeszli za Morze. A wraz z nimi niemal wszystko, co piękne. Czy musi zatem Śródziemie zwiędnąć i zniknąć na zawsze?

- Obawiam się, że taki los mu już pisany - odparł Kelebrimbor. - Ale wiesz, że cię kocham (choć ty wybrałaś Keleborna od Drzew) i dla tej miłości uczynię, co potrafię, by moja sztuka osłodziła twój żal. - Nie powiedział wszakże Galadrieli, że sam też pochodzi z Gondolinu i że był przyjacielem Enerdhila, chociaż zawsze pozostawał w jego cieniu. Jednak gdyby nie maestria Enerdhila, imię Kelebrimbora już wówczas stałoby się głośnie. Tak zatem pomyślał chwilę, po czym siadł do długiej niełatwej pracy, aż ukończył dla Galadrieli największe ze swych dzieł (jeśli nie liczyć Trzech Pierścieni). Powiada się, że jego kamień był bardziej subtelny i przejrzysty niż ten stworzony przez Enerdhila, miał wszakże mniejszą moc, pierwszy Elessar bowiem zawierał blask młodego słońca, a w czasie, gdy Kelebrimbor po wiekach tworzył klejnot, nigdzie już w Śródziemiu nie spotykało się takiego światła jak niegdyś. Wprawdzie ciśnięto już Morgotha w Pustkę i nijak nie mógł on wrócić do świata, to jednak jego odległy cień kładł się na wszystkim. Niemniej i tak promienny był Elessar Kelebrimbora. Kowal osadził kamień w wielkiej srebrnej broszy upodobnionej do wzlatującego orła⁶⁸. Dzierżąc Elessara, Galadriela czyniła wszystko wkoło pięknym. Działo się tak, aż Cień padł na Puszczę. Potem jednak, kiedy Kelebrimbor przysłał Galadrieli Nenyę,

⁶⁷ W tekście niniejszym, jak i w następnym, pojawia się imię *Finrod*, które dla uniknięcia pomyłek zmieniłem na *Finarfin*. Zanim jeszcze w roku 1966 ukazało się poprawione wydanie *Władcy Pierścieni*, ojciec zmienił Finroda na Finarfina. Syn zaś Finarfina, Felagund, poprzednio zwany Inglor Felagund, został Finrodem Felagundem. Odpowiednie fragmenty w Dodatkach B i F; Dodatek D w wydaniu polskim] zostały w następnym wydaniu stosownie poprawione. Warto zauważyć, że Galadriela nie wymienia wśród swoich braci Orodretha, Króla Nargothrundu po Finrodzie Felagundzie. Z powodów, których nie znam, ojciec przesunął drugiego Króla Nargothrundu i uczynił go członkiem tej samej rodziny w następnym pokoleniu; jednak ani ta zmiana, ani jej genealogiczne następstwa nie znalazły nigdy obicia w opowieściach *Silmarilliona*.

⁶⁸ Porównaj opis Kamienia Elfów znajdujący się w *Wyprawie*, (str. SOS-506): „To mówiąc [Galadriela] pokazała duży, jasnozielony kamień osadzony w srebrnej broszy, wykutej na kształt orła z rozpostartymi skrzydłami. Kiedy podniosła klejnot w górę, błysnął jak słońce przesiane przez wiosenne liście”.

najważniejszy z Trzech⁶⁹, Elessar nie był już jej potrzebny. Oddała go więc córce Kelebranie, którym to sposobem klejnot trafił w ręce Arweny, a dalej do Aragorna, który zwany był Elessarem.

Na końcu zaś tekstu widnieje akapit:

Elessar powstał w Gondolinie i zrobił go Kelebrimbor, potem zaś kamień przekazano Idril, a następnie Earendilowi i wraz z nim odszedł z tego świata. Wszakże Kelebrimbor zrobił później drugiego Elessara, a uczynił to w Eregionie na prośbę pani Galadrieli (którą kochał). Klejnot nie podlegał władzy Jedynego, powstał bowiem przed odrodzeniem się Saurona.

Ta opowieść ma wiele wspólnego z tekstem „O Galadrieli i Kelebornie”. Powstała zapewne w tym samym czasie lub nieco wcześniej, Kelebrimbor jest tu bowiem znowu złotnikiem z Gondolinu, a nie potomkiem Feanora, a Galadriela niechętnie wypowiada się o opuszczeniu Śródziemia, chociaż późniejsze poprawki dodają kwestię zakazu, a w dalszej części mówi się o przepraszaniu Valarów.

Postać Enderhila nie ukazuje się nigdzie indziej, a ostatnie zdania tekstu sugerują, że jego miejsce jako twórcy Elessara w Gondolinie zająć miał Kelebrimbor. O miłości Kelebrimbora do Galadrieli też nie odnajdujemy żadnych więcej wzmianek. W tekście „O Galadrieli i Kelebornie” pojawia się sugestia, że przybył on do Eregionu razem z nimi, tutaj wszakże, tak jak i w *Silmarillionie*, czytamy, iż Galadriela spotkała Keleborna w Doriacie. Trudno więc pojąć sens słów Kelebrimbora, gdy mówi on: „choć ty wybrałaś Keleborna od Drzew”. Niejasna jest też uwaga o zamieszkaniu Galadrieli „pod drzewami Wielkiego Zielonego Lasu”. Można to uznać za swobodne użycie tej nazwy (nie powtórzone nigdzie indziej) również wobec lasów Lorien na drugim brzegu Anduiny; stwierdzenie zaś o tym, że „Cień padł na Puszczę” odnosi się niewątpliwie do wzrostu potęgi Saurona w twierdzy Dol Guldur, co w Dodatku A do *Władcy Pierścieni* określa się jako „cień zalegający lasy” [*Powrót Króla*, str. 459]. Może to sugerować, że w owym czasie władza Galadrieli rozciągała się i na południowe krańce Wielkiego Zielonego Lasu, co potwierdzałby cytat z tekstu „O Galadrieli i Kelebornie”, powiadający, że królestwo Lorinand (Lorien) miało obejmować „lasy po obu stronach Wielkiej Rzeki, włącznie z okolicą, gdzie później wzniesiono Dol Guldur”. Możliwe też, że tę samą koncepcję prezentuje notatka pomieszczona w Kronice Królestw Zachodnich, w części dotyczącej Drugiej Ery (wedle pierwszego wydania): „...wielu Sindarów przeniosło się dalej na wschód, a niektórzy z nich założyli królestwa w odległych lasach. Najważniejszymi z takich władców był Thranduil, Król północnej części Wielkiego Zielonego Lasu, i Keleborn na

⁶⁹ Niemniej w *Powrocie Króla*, na stronie 395, kiedy to Błękitny Pierścień pokazuje się na palca Elronda, zwany jest „Vilya, najpotężniejszy z Trzech”.

południu puszczy”. W wydaniu poprawionym usunięto wzmiankę o Kelebornie, miast tego osadzając go w Lindonie [*Powrót Króla*, str. 474-475].

Na zakończenie można jeszcze zauważyć, że uzdrawiająca moc przypisana Elessarowi (podczas pobytu Earendila w Przystani Sirionu) została w *Silmarillionie* powiązana raczej z Silmarilem (str. 301).

DODATKI

DODATEK A

ELFY LEŚNE I ICH MOWA

Według informacji zawartych w *Silmarillionie* (str. 110), niektórzy z Nandorów Telerich, którzy odłączyli się od wędrówki Eldarów po wschodniej stronie Gór Mglistych, „długie wieki przebywali w lasach Doliny Wielkiej Rzeki” (podczas gdy inni mieli udać się w dół Anduiny aż do jej ujścia, jeszcze inni zaś przejść do Eriadoru. Z tych ostatnich wywodzą się Elfy Zielone z Ossiriandu).

W późnej etymologicznej rozprawie dotyczącej imion własnych, takich jak Galadriela, Keleborn i Lorien, Elfy Leśne z Mrocznej Puszczy zostały określone precyzyjnie jako potomkowie Telerich, którzy zostali w Dolinie Anduiny:

Leśne Elfy (*Tawarwaith*) pochodziły od Telerich, przez co łączyło ich dalekie pokrewieństwo z Sindarami, chociaż dłużej pozostawały z nimi w separacji niż Teleri z Valinoru. Były potomkami tych Telerich, którzy podczas Wielkiej Wędrówki zlekli się Gór Mglistych i pozostali w Dolinie Anduiny, nigdy nie dochodząc ani do Beleriandu, ani do Morza. W ten sposób łączyło ich bliższe pokrewieństwo z Nandorami (zwanymi inaczej Elfami Zielonymi), którzy ostatecznie przeszli góry i dotarli w końcu do Beleriandu.

Elfy Leśne skryły się w puszczy za Górami Mglistymi, tworząc niewielkie, żyjące w rozproszeniu plemiona, trudne do odróżnienia od Avarich, ale wciąż pamiętali, że pochodzą od Eldarów, członków Trzeciego Szczepu, i z radością witali tych Noldorów, a szczególnie Sindarów, którzy nie odpłynęli za Morze, tylko podążyli na wschód [na początku Drugiej Ery]. Pod ich to przewodnictwem stali się znów zorganizowaną społecznością i poszerzyli swą wiedzę. Thranduil, ojciec Legolasa, jednego z Dziewięciu Wędrówców, był Sindarem i tenże język używany był w jego domu, chociaż poddani nim nie władali.

W Lorien, którego mieszkańcy wciąż w znacznej części pochodzili od Sindarów lub ocalałych z Eregionu Noldorów, język sindariński był w powszechnym użyciu. W jakim stopniu różnił się od dialektu stosowanego w Beleriandzie, tego oczywiście nie wiadomo (por. *Wyprawa*, str. 461, kiedy to Frodo dochodzi do wniosku, że mowa leśnego ludu choć podobna jest do tej, której używa się na Zachodzie, to wszakże tylko podobna). Zapewne różnice nie ograniczały się tylko do odmiennego sposobu „akcentowania”, jak to się obecnie mawia (czyli do wymowy samogłosek i intonacji), ale było to dość, by zwieść kogoś nie obeznanego, jak Frodo, z bardziej poprawnym sindarińskim. Oczywiście, mogły występować też regionalizmy i inne oboczności związane z wpływami dawnej mowy Elfów Leśnych. Kraina Lorien była dość

długo odizolowana od świata.

Niektóre imiona, jak *Amroth* czy *Nimrodel*, zachowane w nie zmienionej formie, nie dawały się w satysfakcjonujący sposób wywieść z sindarińskiego, chociaż pod względem formalnym „pasowały” do tego języka. Karas [Caras] zdaje się być dawnym słowem określającym fortecę otoczoną fosą, jednak w sindarińskim nie ma takiego wyrażenia. Lorien jest zapewne przetworzoną formą dawniejszej, zapomnianej już, nazwy [wcześniejszej jednak niż silwańska czy nandorska brzmiąca: *Lorinand*, por. przypis 8. do poprzedniego rozdziału].

Te uwagi dotyczące nazw w języku Elfów Leśnych współgrają z informacjami zawartymi w Dodatku D do *Władcy Pierścieni*, w przypisie do części zatytułowanej „Elfy” (tylko w wydaniu poprawionym, *Powrót Króla*, str. 511-512).

Inna ogólna wzmianka dotycząca Elfów Leśnych znajduje się w lingwistyczno-historycznej rozprawie pochodzącej z tego samego okresu, co dzieło dopiero co cytowane:

Chociaż dialekty Leśnych Elfów, gdy znów po latach spotkał się ów lud z krewniakami, na tyle były już odległe od sindarińskiego, że stały się ledwo zrozumiałe, to ustalenie ich pokrewieństwa z językami Eldarów nie nastęczało wielu trudności. Wprawdzie porównywanie leśnych dialektów z ich własną mową nader pasjonowało uczonych, szczególnie noldorskiego pochodzenia, to jednak niewiele dziś wiadomo o mowie Elfów Leśnych. Nie wynaleźli oni żadnych sposobów zapisu, a ci, którzy przyjęli znaki graficzne od Sindarów, pisali jak mogli w sindarińskim. Pod koniec Trzeciej Ery języki Elfów Leśnych wyszły z użycia w obu tych regionach odgrywających istotną rolę w Wojnie o Pierścień, czyli w Lorien i królestwie Thranduila na północy Mrocznej Puszczy. Przetrwało po nich jedynie parę rzeczowników pospolitych oraz kilka nazw własnych zapisanych niegdyś w kronikach.

DODATEK B

SINDARIŃSCY KSIĄŻĘTA ELFÓW LEŚNYCH

W Dodatku B do *Władcy Pierścieni*, we wprowadzeniu do Kroniki Królestw Zachodnich (podrozdział „Druga Era”), widnieje wzmianka, że „zanim wybudowano Barad-Dur, wielu Sindarów przeniosło się dalej na wschód, a niektórzy założyli królestwa w odległych lasach. Poddanymi ich były w większości Elfy Leśne. Jeden z takich władców to Thranduil, Król północnej części Wielkiego Zielonego Lasu”.

W późnych filologicznych pracach ojca znaleźć można nieco więcej na ten temat. I tak, według pewnej rozprawy, królestwo Thranduila sięgało lasów rosnących wzdłuż zachodnich brzegów Długoego Jeziora i wokoło Samotnej Góry i granice jego nie zmieniły się, aż do nadejścia wygnanych z Morii krasnoludów i pojawienia się Smoka. Zamieszkujący to królestwo lud elfów przywędrował z południa i był spokrewniony z sąsiadami z Lorien. Mieszkał jednak w Wielkim Zielonym Lesie na wschód od Anduiny. W Drugiej Erze król tego ludu, Orofer [ojciec Thranduila, ojca Legolasa] wycofał się na północ za Pola Gladden. Uczynił to, by uwolnić się od sąsiedztwa rosnących w siłę, agresywnych krasnoludów z Morii, która stała się największą siedzibą tego plemienia w całych dziejach. Miał za złe Kelebornowi i Galadrieli, że nie pytając nikogo o zdanie, osiedli w Lorien. Niemniej w owym czasie żadne niepokoje nie nawiedzały jeszcze terenów między Zielonym Lasem a Górami i aż do Wojny Ostatniego Sojuszu jego lud utrzymywał łączność z pobratymcami po drugiej stronie Rzeki. Mimo pragnienia Elfów Leśnych, by jak najmniej mieszać się w sprawy Noldorów, Sindarów, krasnoludów, ludzi czy Orków, Orofer potrafił przewidzieć, że pokój nie powróci, o ile nie pokona się Saurona. Tak zatem zebrał wielką armię (ponieważ wielu już miał wtedy poddanych) i przyłączył się do mniejszej armii Malgalada z Lorien i razem z nim poprowadził oddziały Elfów Leśnych do bitwy. Jego podwładni byli dzielni i wytrzymali, słabo jednak uzbrojeni w porównaniu z Eldarami z Zachodu, uznawali się też za lud niezależny i nie poddali się pod naczelne dowództwo Gilgalada. Tym samym ponieśli straty większe niż te nieuniknione w owej strasznej wojnie. Malgalad poległ wraz z ponad połową podkomendnych, kiedy to podczas wielkiej bitwy na równinie Dagorlad został odcięty od głównych sił i zagnany na Martwe Bagna. Orofer zginął w trakcie pierwszego ataku na Mordor. Na czele najdzielniejszych wojowników ruszył do walki, zanim jeszcze Gilgalad dał sygnał do szturm. Jego syn, Thranduil, ocalał, ale gdy wojna dobiegła końca i zabito (jak się wówczas wydawało) Saurona, poprowadził z powrotem do domu ledwie trzecią część tej armii, która wymasze-

rowała na bój.

Malgalad z Lorien nie pojawia się nigdzie indziej, a i tutaj nie mówi się o tym, że był ojcem Amrotha. Z drugiej jednak strony Amdir, ojciec Amrotha, miał zginąć na równinie Dagorlad (co zostało wspomniane już dwukrotnie w tej książce) i wydaje się, że można tym samym utożsamiać Malgalada z Amdirem. Nie potrafię jednak orzec, które z tych imion jest pierwotnym, a które później wprowadzonym. Tekst zaś prowadzi nas dalej:

Nastał potem długi czas pokoju i Elfy Leśne znów stały się liczne, gnębił je wszakże lęk i niepokój, czuły bowiem, że Trzecia Era niesie liczne zmiany dla świata. Ludzi też było coraz więcej i rośli w siłę. Numenoryjscy Królowie Gondoru sięgali coraz dalej na północ, ku granicom Lorien i Zielonego Lasu. Wolni Ludzie z Północy (zwani tak przez elfy, jako że nie poddawali się oni władzy Dunedainów oraz w większości nie składali hołdu Sauronowi ni jego sługom) stopniowo przemieszczali się na południe: głównie na wschód od Zielonego Lasu, chociaż niektórzy osiedlili się również na skraju puszczy i na trawiastych równinach w Dolinie Anduiny. O wiele gorsze wieści dochodziły z dalekiego Wschodu, gdzie siali zamęt Dzicy Ludzie. Niegdysiejsze sługi i czciciele Saurona przestali odczuwać nad sobą bat tyrana, ale wciąż ciemność i zło zalegały w ich sercach. Szalały między nimi okrutne wojny, przez co niektóre plemiona wycofywały się na zachód, przy czym pełni nienawistnych myśli Dzicy Ludzie uznawali wszystkich mieszkańców Zachodu za swoich wrogów. Uważali, że trzeba ich zabić, a siedziby złupić. Wszakże Thranduila nękała troska jeszcze gorsza. Wciąż nie mógł zapomnieć potworności, jakie ujrział w Mordorze i chociaż wiedział, że potęga ta została już złamana, a kraina opuszczona i królowie ludzi strzegą jej pilnie, to jednak strach nie odchodził i podszeptował nieustannie, iż tymczasowym było to zwycięstwo i że zło jeszcze się odrodzi.

W innym fragmencie, pochodzącym z tego samego okresu co poprzedni, mowa jest, iż po tysiącu lat Pierwszej Ery, gdy Cień znów padł na Wielki Zielony Las, rządzone przez Thranduila Leśne Elfy wycofały się przed Cieniem, gdy ten pełził niezmiennie na północ, aż w końcu Thranduil ustanowił królestwo na północny wschód od puszczy i wydrążył tam obszerną, podziemną fortecę. Orofer był sindarińskiego pochodzenia i bez wątpienia jego syn wziął przykład z żyjącego niegdyś w Doriacie Króla Thingola, chociaż jego dzieło nie umywało się do Menegrothu. Nie miał dość biegłości ani bogactwa, ani też pomocy krasnoludów, w zestawieniu zaś z mieszkańcami Doriathu jego lud wydawał się nieokrzesany i prostacki. Orofer przybył między nich jedynie z garstką Sindarów, którzy szybko stopili się z miejscowym żywiołem, przyjmując język i imiona Elfów Leśnych. Uczynili to z rozmysłem, bowiem (tak jak inni, podobni wędrowcy, zapomnieni już lub tylko wzmiankowani w legendach) dotarli z Doriathu po jego zagładzie i nie chcieli opuszczać Śródziemia ani mieszać

się z innymi Sindarami z Beleriandu, zdominowanymi przez noldorskich Wygnańców, których mieszkańcy Doriathu nie darzyli specjalnymi względami. Zaiste, nade wszystko pragnęli stać się leśnym ludem i powrócić, jak powiadali, do prostego życia elfów, bytowania zgodnego z rytmem przyrody, jak to było we zwyczaju, zanim jeszcze zaproszenie wystosowane przez Valarów zmąciło dawny porządek.

Nigdzie (według mnie) nie zostało jednoznacznie wyjaśnione, jak ma się opisać tutaj przejęcie mowy poddanych przez sindarińskich władców Elfów Leśnych z Mrocznej Puszczy do wspomnianego wcześniej stwierdzenia, że pod koniec Trzeciej Ery język Elfów Leśnych wyszedł z użycia w królestwie Thranduila.

DODATEK C

GRANICE LORIEN

W Dodatku A do *Władcy Pierścieni* królestwo Gondoru miało u szczytu swej chwały za czasów Króla Hyarmendakila I (Trzecia Era 1015-1149) rozciągać się na północy „do rzeki Kelebrant i do południowego skraju Mrocznej Puszczy” [*Powrót Króla*, str. 418]. Mój ojciec kilkakrotnie wytykał ten błąd, za poprawną wersję uznając: „do Srebrnego Pola”. Zgodnie z jego późną pracą poświęconą wzajemnym związkom między językami Śródziemia, Rzeka Kelebrant (Srebrna Żyła) płynęła w obrębie królestwa Lorien, faktyczną zaś granicę Gondoru na północy (na zachód od Anduiny) wytyczała Mętna Woda. Cała trawiasta równina pomiędzy Srebrną Żyłą a Mętą Wodą, na której południu rozciągały się niegdyś lasy Lorien, znana była w Lorien jako Parth Kelebrant (tj. pole lub pastwisko Srebrnej Żyły) i traktowano ją jako część tego królestwa, chociaż elfy nie zamieszkiwały tam, poza granicami lasu. W późniejszych latach Gondor spiął brzegi Mętnej Wody mostem (w górnym biegu) i często obsadzał swoimi wojownikami wąski skrawek ziemi między dolnym biegiem Mętnej Wody i Anduiną, czyniąc w ten sposób wschodni przyczółek obronny, jako że w wielkich zakolach Anduiny (tam, gdzie minąwszy bystrym nurtem Lorien, spływała na równinę, by w dalszym biegu znów przyspieszyć między urwiskami Eryn Muil) pełno było płycizn i rozległych ławic, dzięki którym co bardziej zdeterminowany i dobrze wyekwipowany nieprzyjaciół mógłby przeprawić się na tratwach lub pontonach, szczególnie przez dwa ku zachodowi wygięte zakola, znane jako Północna i Południowa Płycizna. Ten właśnie teren nazywano w Gondorze Parth Kelebrant i stąd właśnie użyto owej nazwy dla określenia dawnej północnej granicy królestwa. W czasie Wojny o Pierścień, kiedy to wszystkie kraje na północ od Gór Białych (prócz Anorien) aż do Mętnej Wody stały się częścią Królestwa Rohanu, nazwa Parth Kelebrant (Srebrne Pole) została wykorzystana tylko do opisanie bitwy, w której Eorl Młody pokonał zagrażających Gondorowi napastników.

W innym artykule mój ojciec zauważył, że chociaż wschodnią i zachodnią granicę Lorien wytyczała Anduina oraz góry (a nie nie powiada przy tym, by terytorium Lorien rozciągało się po drugiej stronie Anduiny), to jednak granice na północy i południu nie były jasno określone.

Z dawien dawna Galadhrimowie uznawali się za władców lasów, które sięgały aż do wodospadów Srebrnej Żyły, gdzie przemywano rany Froda; na południe ich władza wykraczała daleko za Srebrną Żyłę, do rzadszych lasów mniej rosnących drzew. Tereny te przechodziły

płynnie w Las Fangorn. Niemniej serce królestwa było zawsze w zakątku pomiędzy Srebrną Żyłą a Anduina, gdzie stał Karaś Galadhon. Nie istniała żadna w widoczny sposób wytyczona granica między Lorien a Fangornem, jednak ani Entowie, ani Galadhrimowie nigdy nie przestępowali umownej linii. Według legendy sam Fangorn miał niegdyś spotkać się z królem Galadhrimów i powiedzieć:

- Ja wiem, co moje, ty znasz swoje; niech żadna ze stron nie niepokoi drugiej na jej terenie. Jeśli jednak jakiś elf zapragnie zażyć miłego spaceru po moich ziemiach, przyjmiemy go z ochotą. Jeśli zaś jakiś ent zawita w twoim kraju, niech nikt się jego nie lęka. - Musiały wszakże minąć długie lata, nim entowie czy elfy poważyli się postawić stopę na terenach sąsiada.

DODATEK D

PORT W LOND DAER

Jak podaje tekst „O Galadrieli i Kelebornie”, podczas wojny przeciwko Sauronowi w Eriadorze pod koniec siedemnastego wieku Drugiej Ery, numenoryjski admirał Kiryatur wysadził wojska na brzeg u ujścia Gwathlo (Szarej Wody), gdzie była „niewielka numenoryjska przystań”. Wszystko wskazuje na to, że wówczas to po raz pierwszy wspomniano o tym porcie, znacznie wyprzedzając późniejsze zapiski.

Pełniejsza relacja znajduje się w filologicznej rozprawie dotyczącej nazw rzek (cytowanej już w związku z legendą o Arnrocie i Nimrodel). W tej pracy nazwę Gwathlo komentuje się następująco:

Nazwa rzeki Gwathlo tłumaczona jest jako „Szara Woda”. Jednak w języku sındarińskim *gwath* oznacza „cień”, rozumiany jako półmrok powodowany przez chmury czy mgłę lub zalegający na dnie głębokiej doliny. To wszakże nie pasuje do fizycznego ukształtowania tamtych stron. Rozległe tereny, które Gwathl⁷⁰ rozdzielała na krainy zwane przez Numenoryjczyków Minhiriath („Pomiędzy Rzekami”, chodzi o Baranduinę i Gwathlo) oraz Enedwaith („Pustkowie Zachodnie”⁷⁰) były głównie równinami pozbawionymi wyższych wzniesień. W miejscu, gdzie łączyły się nurty Glanduiny i Mitheithel [Hoarwell] teren był niemal zupełnie płaski i wody płynęły leniwie, często tworząc moczary⁷¹. Kilkaset kilometrów poniżej Tharbadu spadek terenu stawał się większy, nurt Gwathlo wszakże nie przyspieszał i statki o mniejszej wyporności mogły docierać nią (pod żaglami lub dzięki wiosłom) aż do Tharbadu. Źródeł nazwy Gwathlo trzeba szukać w historii. W czasie Wojny o Pierścień krainy te wciąż porastał miejscami bujny las, szczególnie Minhiriath i południowo-wschodni Enedwaith, równiny jednak w większości były trawiaste. Od czasu Wielkiego Moru w roku 1636 Trzeciej Ery prawie nikt nie zamieszkiwał Minhiriathu, chociaż po lasach kryło się kilka plemion myśliwych.

⁷⁰ Nazwa występująca w polskim tłumaczeniu, dosłowny przekład oryginalnej nazwy to „środek-lud” (przyp. tłum.).

⁷¹ Glanduina („Granica-rzeka”) wypływała z Gór Mglistych na południe od Marii, by powyżej Tharbadu połączyć się z rzeką Mitheithel. Na oryginalnej mapie do *Władcy Pierścieni* jej nazwa nie została zaznaczona (w książce pojawia się tylko raz, w Dodatku A). Wydaje się, że w roku 1969 mój ojciec przekazał pannie Pauline Baynes dodatkowo pewną liczbę nazw do wykorzystania przy sporządzaniu ozdobnej mapy Śródziemia: „EdheHond” (wspomniana w przypisie 18. do poprzedniego rozdziału), „Andrast”, „Dniwaith laur” (Stara Ziemia Pukelów), „Lond Daer (ruiny)”, „Eryn Vorn”, „Rz. Adorn”, „Łabędzia Woda” i „Rz. Glanduina”. Ostatnie trzy nazwy zostały wpisane w oryginalną mapę dołączoną do książki, jednak nie udało mi się ustalić, czemu właściwie. Nazwę „Rz. Adorn” poprawnie umiejscowiono, natomiast „Łabędzia Woda” i „Rzeka Glandina” [sic] zostały błędnie naniesione w górnym biegu Iseny. Do spraw związanych z dwiema ostatnimi nazwami wracam w dalszym ciągu Dodatku

Na wschodzie krainy Enedwaith osiedliły się niedobitki Dunlendingów, ich siedziby mieściły się u stóp Gór Mglistych. Bardzo liczny zaś, ale barbarzyński lud rybacki zajmował tereny u ujścia Gwathlo i Angrenu (Iseny). Wcześniej wszakże, w okresie pierwszych wypraw Numenoryjczyków, wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Minhiriath i Enedwaith porośnięte były potężnymi puszciami, rzednącymi tylko w okolicy Wielkich Moczarów. Późniejsze zmiany wynikały przede wszystkim z działalności Tar-Aldariona, Króla-marynarza, który zawiązał przyjaźń i sojusz z Gilgaladem. Aldarion nade wszystko potrzebował drewna do budowy statków, pragnął bowiem uczynić z Numenoru potęgę morską, a postępujący wyrąb drzew na wyspie budził coraz większe niezadowolenie jego ojca. Puszcze, które wypatrzył podczas wypraw wzdłuż wybrzeża, wzbudziły jego zachwyt, tak i wybrał ujście rzeki Gwathlo na miejsce nowej przystani należącej wyłącznie do Numenoryjczyków (Gondor był dopiero pieśnią przyszłości). Rozpoczęto wielkie roboty, które kontynuowano po śmierci Aldariona. Posiadanie przyczółka w Eriadorze okazało się nader ważne podczas wojny z Sauronem (Druga Era 1693-1701), pierwotnie był to jednak port przeładunkowy tarcicy i stocznia. Tubylcy byli liczni i wojowniczo nastawieni. Jednak ów lud leśny żył w rozproszeniu i nie posiadał centralnych struktur władzy. Bał się Numenoryjczyków, ale nieprzyjazny stosunek objawił dopiero, gdy puszcza zaczęła się kurczyć. Rdzenni mieszkańcy tych okolic zaczęli atakować przybyszy i zastawiać na nich pułapki przy każdej okazji. Numenoryjczycy zaś uznali ich za nieprzyjaciół i rozpoczęli rabunkowy wyrąb, zapominając o zadrzewianiu pustych połaci i innych zasadach gospodarowania leśnym bogactwem. Z początku ścinali drzewa rosnące na obu brzegach Gwathlo, spławiając pnie do przystani (Lond Daer), potem jednak wycięli w puszczy drogi wiodące na północ i na południe od Gwathlo, a ocaleli tubylcy uciekli z krainy Minhiriath do mrocznych lasów porastających wielki Przylądek Eryn Yorn, na południe od ujścia rzeki Baranduiny, której nie śmieli przekroczyć (gdyby nawet było to możliwe), a to ze strachu przed elfami. Mieszkańcy Enedwaith umknęli w góry na wschodzie, tam gdzie później rozciągał się Dunland. Nie przeprawili się przez Isenę ani nie osiedlili na wielkim cyplu między Iseną a Lefnui, tworzącym północne ramię Zatoki Belfalas [Ras Morthil lub Andrast: por. przypis 6. do rozdziału „Aldarion i Erendis”], a to za sprawą ludu Pukelów... [Więcej na ten temat w rozdziale „Istari”, w trzecim tomie *Niedokończonych opowieści*] Numenoryjczycy poczynili straszliwe spustoszenia. Przez długie lata pozyskiwali w tych krainach drewno nie tylko dla Lond Daer i innych stoczní, ale także na potrzeby samego Numenoru. Niezliczone statki z tarcicą odpłynęły na wyspę. Tempo usuwania lasu z olbrzymich połaci gruntu zwiększyło się jeszcze podczas wojny w Eriadorze, wygnani bowiem ze swych terenów tubylcy przywitali Saurona jako sojusznika w walce z ludźmi zza Morza. Sauron świetnie

wiedział, jak ważna jest dla jego przeciwników Wielka Przystań oraz jej stocznie, więc wykorzystywał rozeźlonych tubylców jako szpiegów i przewodników dla oddziałów czyniących zbrojne wypad. Nie miał dość sił, by otwarcie napaść na umocnienia przystani czy forty nad brzegami rzeki Gwathlo, ale i te nękające najazdy czyniły wielkie szkody na skraju puszczy, podpalano bowiem wówczas las i ogromne składy drewna zgromadzonego przez Numenoryjczyków.

Kiedy Sauron został w końcu pokonany i wygnany na wschód, większość puszczy już zniknęła. Na obu brzegach Gwathlo rozciągały się pozbawione drzew i zgoła pustynne ugory. Inaczej to wyglądało, gdy nadawali jej nazwę pierwsi, dzielni odkrywcy z załogi statku Tar-Aldariona, którzy małymi łódkami wybrali się w górę rzeki. Ledwie minęli tereny leżące w bezpośredniej bliskości morza, gdzie widać było wpływ słonej bryzy i sztormowych wichrów, puszcza przysunęła się do koryta rzeki, a pnie wielkich drzew rzucały długie cienie na wodę. Łodzie przemykały cicho pod rozłożystymi koronami w głąb nie znanej krainy. Dlatego właśnie z początku nazwali tę wodę „Rzeką Cienia”, *Gwathir*, *Gwathir*. Dalszy bieg zbadali dopiero później, docierając na północ aż do linii wielkich mokradeł, chociaż wciąż jeszcze nie mieli dość ludzi i sporo czasu musiało minąć, nim rozpoczęli intensywne prace przy odwadnianiu, przygotowując teren pod wielki port w miejscu, gdzie za czasów Dwóch Królestw znajdował się Tharbad. Mokradła określali wówczas sindarińskim słowem *log*, wcześniej *loga* [od *log-*, co znaczy „mokry, przesiąknięty, podmokły”]; z początku myśleli, że z olbrzymich bagnisk wypływa leśna rzeka, nie wiedzieli nic o Mitheithel spływającej z gór na północy, łączącej się z nurtami Bruineny [Grzmiącej Wody] oraz Glanduiny i dalej rozlewającej się po równinie. W ten sposób nazwa *Gwathir* zmieniona została na *Gwathlo*, cienista rzeka z moczarów.

Gwathlo było jedną z nielicznych nazw geograficznych, które znali nie tylko marynarze Numenoru i zostały przełożone na aduinacki. Tak powstała nazwa *Agathurush*.

Do historii Lond Daeru i Tharbadu rozprawa powraca raz jeszcze przy okazji nazwy *Glandum*:

Glanduin znaczy „granica-rzeka”. Nazwę tę rzeka otrzymała jako pierwszą (w Drugiej Erze), jako że jej koryto wyznaczało południową granicę Eregionu, za którą przemieszkiwali Prenumenoryjczycy i ludy ogólnie nieprzyjazne, jak antenaci Dunlendingów. Dalej (połączona z Gwathlo i Mitheithel) wytyczała południowe granice Północnego Królestwa. Krainę po drugiej stronie, między Gwathlo a Iseną (Sir Angren), zwano Enedwaith (Pustkowie Zachodnie). Nie należała ona do żadnego królestwa, a ludzie pochodzenia numenoryjskiego nie osiedlali się tam na stałe. Biegł jednak tamtędy Stary Gościniec Południowy, główna droga

łącząca oba królestwa (nie licząc szlaku morskiego), wiodąca z Tharbadu do Brodu na Isenie (Ethraid Engrin). Przed upadkiem Północnego Królestwa i klęskami, które przetoczyły się przez Gondor, a dokładnie do nadejścia Wielkiego Moru w Trzeciej Erze (1636 roku), oba królestwa wykazywały zainteresowanie tymi terenami, więc wspólnym wysiłkiem wzniosły i utrzymywały Most Tharbadu oraz długie groble wiodące doń po obu stronach Gwathlo i Mitheithel przez moczary na równinach krain Minhiriath i Enedwaith⁷².

Aż do siedemnastego wieku Trzeciej Ery utrzymywano tam spory garnizon składający się z żołnierzy, marynarzy i budowniczych okrętów. Potem jednak cała okolica podupadła i na długo przed czasem akcji *Władcy Pierścieni* znów zamieniła się w bezludne bagniska. Kiedy Boromir wybierał się w wielką podróż z Gondoru do Rivendell (a wymagało to ogromnej odwagi i męstwa, o czym książka wspomina dość marginalnie) Stary Północny Gościniec był już tylko wspomnieniem, a z grobli zostały jedynie szczątki. Drogą tą jakiś śmiałek mógłby wprawdzie (z wielkim dla siebie ryzykiem) zbliżyć się do Tharbadu, by ujrzeć wietrzejące stosy gruzów i stanąć przed ruinami mostu, po których od biedy przeprawiłby się na drugi brzeg szerokiej rzeki, w tym miejscu bowiem szczęśliwie była płytka i płynęła leniwie.

Jeśli pamiętano gdziekolwiek nazwę Glanduiny, to jedynie w Rivendell, a i wówczas odnoszono ją tylko do górnego, bystrego biegu rzeki, która dalej spływała na równinę i niknęła wśród moczarów. Jedynymi mieszkańcami tych obfitujących w grzęzawiska, wodne oczka i wysepki terenów były nieprzebrane stada łabędzi oraz wiele innych ptaków wodnych. Jeśli rzeka miała tam jakąś nazwę, to tylko w języku Dunlendingów. W *Powrocie Króla*⁷³

⁷² We wczesnych dniach obu królestw najczęściej (wyjawszy przemieszczenia wojsk) wykorzystywano drogę morską do dawnego portu u ujścia Gwathlo, a dalej do rzeczno-portu w Tharbadzie, stamtąd zaś już szlak biegł Gościńcem. Pradawny port morski i jego przystanie popadły w ruinę, ale w Tharbadzie wybudowano wielkim wysiłkiem przystań mogącą przyjmować jednostki pełnomorskie jak i fort strzegący słynnego niegdyś Mostu Tharbadu. Onże pradawny port był jedną z pierwszych przystani Numenoryjczyków. Jego budowę rozpoczął sławny Król-marynarz Tar-Aldarion. Potem kontynuowano prace, powiększając i fortyfikując to miejsce, zwane Lond Daer Enedh, Wielka Środkowa Przystań (jako że znajdowało się pomiędzy Lindonem na Północy i Pelargirem na Anduinie) [przypis autora].

⁷³ W polskim przekładzie się nie pojawia. Chodzi o rozdział „Wiele pożegnań”, kiedy to dawna (i coraz mniej kompletna) Drużyna Pierścienia wraca na północ częściowo Starym Gościńcem Południowym (jak określa go mapka dołączona do *Władcy Pierścieni. Przewodnik...* Tylera podaje nazwę „stary Gościniec Północny”, a w tekście *Władcy Pierścieni* pada nazwa Północny Gościniec), czyli Zieloną Ścieżką (przyp. tłum.).

zwana jest Łabędzią Wodą (bez „rzeki” w nazwie) spływającą do Nin-in-Eilph, „Wodnej Krainy Łabędzi”⁷⁴.

Mój ojciec miał poprawić mapę dołączoną do *Władcy Pierścieni*, dodając nazwę Glanduina dla oznaczenia górnego biegu rzeki i zaznaczyć na niej moczary jako Nm-in-Eilph (lub Łabędzia Woda). Wszelako jego intencje zostały opacznie zrozumiane, na mapie bowiem Pauline Baynes dolny bieg rzeki oznaczony został jako „Rz. Łabędzia Woda”, na mapie zaś w książce nazwy przypisano niewłaściwej rzece.

Można odnotować, że Tharbad został w *Wyprawie* określony jako „ruiny miasta” (str. 374), a Boromir stwierdził w Lothlorien, że u brodu Szarej Wody w Tharbadzie stracił konia (tamże, str. 504). W Kronice Królestw Zachodnich zniszczenie i opuszczenie Tharbadu datowane jest na rok 2912 Trzeciej Ery, kiedy to wielkie powodzie pustoszyły Enedwaith i Minhiriath.

Widać z tych tekstów, że pomysł umiejscowienia numenoryjskiej przystani u ujścia Gwathlo został znacznie rozwinięty od czasu powstania relacji „O Galadrieli i Kelebornie”, na miejscu bowiem „niewielkiej numenoryjskiej przystani” mamy już Lond Daer, Wielką Przystań. Cały czas chodzi oczywiście o Vinyalonde, Nową Przystań opisaną w legendzie „Aldarion i Erendis”, chociaż ta akurat nazwa nie pojawia się nigdzie w cytowanych powyżej materiałach.

We wspomnianej legendzie czytamy, że prace, które Aldarion wznowił w Vinyalonde otrzymawszy już Berło, „nie zostały nigdy ukończone”. Oznacza to zapewne tyle tylko, że nie on finalizował dzieło, późniejsze bowiem losy Lond Daer pozwalają przypuszczać, iż przystań w końcu odbudowano i stosownie zabezpieczono przed wściekłością morza. I rzeczywiście, legenda podaje trochę dalej, iż Aldarion „położył podwaliny pod późniejsze dokonania Tar-Minastira podczas pierwszej wojny z Sauronem. Gdyby nie dalekowzroczne dzieło Aldariona, flota Numenoru nigdy nie dotarłaby we właściwym czasie na miejsce”.

Wspomniane powyżej twierdzenie, jakoby port nazywał się Lond Daer Enedh „Wielka Środkowa Przystań”, jako że leżał pomiędzy Lindonem na Północy i Pelagrireem nad Anduiną, musi odnosić się do czasu o wiele późniejszego niż numenoryjska interwencja podczas wojny z Sauronem, według bowiem Kroniki Królestw Zachodnich dopiero w roku 2350 rozpoczęła się „budowa Pelargiru, który staje się głównym portem Wiernych Numenoryjczyków” (*Powrót Króla*, str. 477).

⁷⁴ Sindariński *alph*, łabędź, liczba mnoga *eliph*, quenejski *alqua*, tak jak w *Algualonde*. Teleri zamienili pierwotną zbitkę *kw* na *p* (oryginalnie występujące *p* pozostawiając jednak nie zmienione). Znacznie przekształcony sindariński występujący w Śródziemiu zmieniał głoski zwarte występujące, po *l* oraz *r* w szczelinowe. W ten sposób wyraz brzmiący najpierw *dkwa* przeszedł w *alf*.

DODATEK E

IMIONA KELEBORN I GALADRIELI

W artykule poświęconym zwyczajowemu nazewnictwu stosowanemu przez Eldarów z Valinoru mowa jest, iż elfy te miały po „dwa imiona” (*essf*), z których pierwsze nadawał ojciec zaraz po narodzinach i było to imię podobne brzmieniem lub znaczeniem do imienia ojca (lub nawet było to dokładnie imię ojca), potem zaś, gdy dziecko już wyrosło, dołączono do jego miana jakiś wyróżniający je stosowny przedrostek. Natomiast drugie imię nadawano później (czasem wiele lat po urodzeniu, a czasem od razu) i czyniła to matka. Imiona wybrane przez rodzicielki miały wielkie znaczenie, kobiety Eldarów bowiem w okresie macierzyństwa miały dar jasnowidzenia i trafnie przewidywały charaktery oraz zdolności swoich dzieci. Dodatkowo każdy Eldar mógł jeszcze zdobyć *epesse* (przydomek), niekoniecznie nadawany przez bliskich krewnych, zwykle stanowiący wyraz podziwu czy szacunku okazywanego jego osobie. *Epesse* mógł stać się powszechnie stosowanym imieniem używanym również w pieśniach czy legendach (jak stało się to, na przykład, z Ereinionem, znanym niemal jedynie pod swym *epesse* Gilgalada).

W tenże sposób imię *Alatarriel*, które według późnej wersji opowieści o jej więzach pokrewieństwa Keleborn nadał Galadrieli w Amanie, było w istocie rzeczą *epesse* (etymologię tego imienia wyjaśnia dodatek do *Silmarilliona*, hasło *kal-*) obranym przez nią w Śródziemiu, ale w formie sindarińskiej, czyli Galadriela, miast nadanego przez ojca imienia *Artanis* i matczynego *Nerwen*.

Dopiero w późniejszej wersji opowieści Keleborn pojawia się nie pod swym imieniem sindarińskim, tylko pod mianem wywodzącym się z języka Elfów Wysokiego Rodu: Teleporn. Uznaje się, że jest to forma wzięta z języka Telerich. Dawny rdzeń słowa elfów oznaczającego „srebro” brzmiał *kyelep-*, zmieniając się w *keleb* w sindarińskim, *telep-i* i *telpe* w języku Telerich i *tyelep-*, *tyelpe* w quenejskim. Jednak w quenejskim upowszechniła się pod wpływem języka Telerich forma *telpe*, Teleri bowiem przedkładali srebro nad złoto i umiejętności ich wykorzystujących srebro rzemieślników ceniono wysoko nawet wśród Noldorów. W ten sposób *Telperion* stało się formą bardziej popularną niż *Tyelperion* - imię Białego Drzewa w Valinorze (*Alatarriel* też było słowem pochodzącym z języka Telerich, jego quenejska forma brzmiała *Altariel*).

Imię Keleborna miało z początku znaczyć „Srebrne Drzewo” i było także imieniem Drzewa w Tol Eressei (*Silmarillion*, str. 66). Bliscy krewni Keleborna nosili „drzewne imiona”:

Galadhon, jego ojciec; brat Galathil; bratanica Nimloth, zwąca się tak samo jak Białe Drzewo Numenoru. W ostatnich pracach filologicznych ojca znaczenie „Srebrnego Drzewa” zostało wszakże odrzucone, a drugi składnik imienia *Keleborn* został wywiedziony z pradownej formy przymiotnikowej *orna* „wznoszący się, wysoki”, a nie z pokrewnego rzeczownika *orne*, „drzewo” (*Orne* było pierwotnie stosowane wobec drzew szczególnie prostych i smukłych jak brzozy, podczas gdy bardziej przysadziste, o rozłożystych koronach, jak dęby czy buki, zwano w dawnym języku *galada* „wielki wzrost”, wszakże to rozróżnienie nie zawsze obecne było w quenejskim i zniknęła w sindarińskim, który wszystkie drzewa określał jako *galadh*, przy czym *orn* wyszło z powszechnego użycia i przetrwało jedynie w wierszach i pieśniach, oraz w licznych imionach i nazwach drzew). Wysoki wzrost Keleborna został odnotowany w Dodatku poświęconym numenoryjskim miarom długości (w trzecim tomie *Niedokończonych opowieści*).

O zdarzającym się pomyłkowym kojarzeniu imienia Galadrieli ze słowem *galadh*, ojciec pisał:

Gdy Keleborn i Galadriela zostali władcami elfów w Lorien (w większości Elfów Leśnych określających siebie Galadhrimami) imię Galadrieli zaczęto kojarzyć z drzewami, szczególnie że miano jej męża też zawierało w sobie „drzewne słowo”; tak i poza granicami Lorien, wśród ludów nie pamiętających już dawnych dni ani historii Galadrieli, imię jej często zmieniano na Galadhriela, jednak w samym Lorien tego nie czyniono.

Można wspomnieć, że Galadhrim to poprawna forma nazwy elfów z Lorien, podobnie jak Karas Galadhon. Ojciec zamienił pierwotnie dźwięczną formę *th* (brzmiącą tak jak we współczesnym angielskim *theri*), która występuje w imionach elfów na *d*, bowiem (jak pisał) zbitka *dh* nie istnieje w angielskim i wygląda przez to niezręcznie. Potem porzucił ów pomysł, wszakże nazwy *Galadrim* i *Karas Galadon* pozostały bez zmiany nawet w poprawionym wydaniu Władcy Pierścieni (uczyniono to dopiero w ostatnich wznowieniach). W *Silmarillionie* (Dodatek, hasło *alda*) też podano je błędnie.